

NAJWIĘKSZY MISTRZ POWIEŚCI PRZYGODOWYCH ŚWIATA

CLIVE CUSSLER

Nowy
bestseller

JUSTIN SCOTT


AMBER

SNAJPER

Cykl
ISAAC BELL



Clive Cussler

Justin Scott

Snajper

Przekład: Jacek Złotnicki i Maciej Pintara

Tytuł oryginału The Assassin

Cykl: Isaac Bell - Tom 8



PROLOG.

Rok 1899, Pensylwania

– Czyżby pociąg? - zdziwił się Spike Hopewell.

– Nawet dwa - odpowiedział Bill Matters. Ciężkie, wilgotne sapanie lokomotyw towarowych 2-8-0, należących do Pennsylvania Railroad, niosło się daleko w spokojnym, nocnym powietrzu. - Są na głównym szlaku, nie tutaj.

Spike był zdenerwowany, nie mógł przestać gadać.

– Wiesz, o czym wciąż myślę? Odkąd pamiętam, biznesem naftowym zawsze władał John D. Rockefeller.

– Niech piekło pochłonie Rockefellera razem z całym jego Standardem.

Bill Matters znalazł ich piętę achillesową. Po trzydziestu latach bezskutecznej walki ze Standard Oil, podczas których wielokrotnie dawał się wyprowadzić w pole, wreszcie złamie ich monopol na transport ropy rurociągami.

Tu i teraz. Pod nocnym niebem bielejącym od gwiazd, na łące u stóp Alleghenów, leżącej w kotlinie obramowanej porośniętymi lasem zboczami. Zagłębienie pośród gór przecinał tor kolei Pennsylvania Railroad, biegnący po estakadzie podtrzymywanej wysokim drewnianym rusztowaniem z kratownic.

Spike Hopewell wziął udział w grze, choć rozsądek mu to odradzał. Bill miał zawsze skłonność do snucia fantastycznych wizji graniczących z szaleństwem i z wiekiem mu się to pogłębiało. Poza tym John D. Rockefeller wymyślił już chyba wszystkie możliwe sztuczki w dziedzinie wygryzania niezależnych nafciarzy z interesu.

– Już! - Bill wyciągnął wielkiego, sześciostrzałowego remingtona i wypalił w powietrze.

Świsnęły baty. Muły napięły uprzęże. Wozy pełne ludzi i materiałów wytoczyły się na łąkę i wjechały pod wiadukt między kratownicami z belek podtrzymujących biegnące wysoko nad gruntem szyny kolejowe.

Po przeciwnych stronach pola, do samej krawędzi lasu dochodziły odcinki rurociągu położone wcześniej przez Mattersa i Hopewella. Nitka zachodnia,

licząca trzysta dwadzieścia kilometrów, biegła przez Allegheny do roponośnych pól Pensylwanii. Odcinek wschodni ciągnął się dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów do będącej ich własnością nadmorskiej rafinerii w Constable Hook w stanie New Jersey, skąd gotową naftę mogły odbierać pełnomorskie parowe zbiornikowce. Mniej więcej co pięćdziesiąt kilometrów znajdowały się stacje pomp i zbiorniki wyrównawcze. Pozostawało tylko połączyć obie części rury na terenie, który zakupili, pod torami kolejowymi.

Spike wciąż gadał jak najęty.

– Słyszałeś, co powiedział prezes Penney? Że biorąc pod uwagę oszczędności na lokomotywach i pulmanach oraz ciągłe skargi i narzekania pasażerów, najchętniej rozpuszczaliby ich i przepompowywał w stanie ciekłym ruropociągami, tak jak my ropę.

– Wiem, przecież też tam byłem - odparł Matters. Tam, czyli w Filadelfii, w dyrekcji kolei Pennsylvania Railroad, wysoko nad stacją Broad Street, gdzie obaj, ściskając kapelusze, załatwiali zgodę na poprowadzenie ruropociągu przez teren kolei. Wyniosły prezes, właściciel Pennsylvania Road, zwanej Main Line, patrzył z wyżyn swojej paryskiej edukacji na awanturniczych nafcjarzy.

– Zazdroszczę wam, panowie. Sam chciałbym być właścicielem ruropociągu.

A kto by nie chciał? Spytajcie Rockefellera. Dostarczanie surowej ropy rurami wprost z pól naftowych do rafinerii było na głowę inne formy transportu. Odpadało uciążliwe ładowanie płynnego towaru do baryłek, na barki czy do wagonów-cystern, a także późniejszy rozładunek. Wystarczyło odkręcić zawór. Zresztą to tylko pierwsza z wielu zalet. Ruropociąg wszak pełnił rolę magazynu. Cóż łatwiejszego, jak zgromadzić wielkie zapasy w rurach i zbiornikach, a potem tylko czekać na wzrost zapotrzebowania i cen? Można też udzielać kredytów, jak bank, i zarabiać na oprocentowaniu, mając w rurach tę samą ropę, za której dostawę pobrało się opłatę od producenta. A najlepsze - albo najgorsze, w zależności od standardów moralnych - było to, że właściciel ruropociągu sam ustalał opłatę przesyłową, faworyzując przyjaciół i naciągając wrogów. Co więcej, mógł w ogóle odmówić dostaw, bez względu na cenę. Specjalizował się w tym Rockefeller, wykańczając w ten sposób niezależne rafinerie. Należący do Mattersa i Hopewella zakład w Constable Hook stał bezczynnie, suchy jak wiór, bo Standard odciął dopływ ropy.

– Pamiętasz, co mu odpowiedziałem? - Spike zarechotał. - Możemy rozpuszczać pasażerów w naszej rafinerii, ale do pana będzie należało przywrócenie ich do pierwotnego stanu.

Prezes kolei potraktował dowcip Spike'a zdawkowym uśmiechem, po czym zadał im śmiertelny cios.

– Za żadne pieniądze nie pozwolę wam położyć rury w poprzek moich torów.

– Dlaczego nie?

– Otrzymałem wyraźne polecenie, prosto z Jedenastego Piętra.

W 1899 roku w Stanach Zjednoczonych Ameryki było tylko jedno Jedenaste Piętro - biuro Rockefellera w głównej siedzibie Standard Oil przy ulicy Broadway 26 w Nowym Jorku - i miało ono znacznie większą siłę przebicia niż Biały Dom i Kongres razem wzięte.

Tej nocy Bill Matters zamierzał odpowiedzieć ciosem na cios.

Z wozów wysypało się sześćdziesięciu ludzi z kilofami, szpadlami, chwytakami i podporami do rur. Pracując w świetle gwiazd, wykopali płytki rów przez środek pola, przechodzący pod wiaduktem. Chwytakami zdejmowali z wozów dziesięciometrowe odcinki stalowych rur średnicy dwudziestu centymetrów, układali na podporach ustawionych w wykopie i skręcali je ze sobą.

Dobiegające z oddali odgłosy pociągów, które słyszeli wcześniej, nagle stały się bardziej wyraźne.

Matters ujrzał poświatę między drzewami i zorientował się poniewczasie, że źle ocenił odległość. Pociągi znajdowały się na tym odgałęzieniu. Buchając kłębami pary wolno i miarowo, nadjeżdżały jeden z północy, drugi z południa.

Kopacze i robotnicy z chwytakami zadarli głowy.

Rozbłysły światła reflektorów czołowych. Olbrzymie lokomotywy typu H6 Baldwin 2-8-0 wypadły z lasu porastającego zbocza wzgórz i wtoczyły się z łoskotem na wiadukt.

– Nie przerywać pracy! - krzyknął Bill Matters na robotników. - Ta ziemia należy do nas. Mamy święte prawo tu być. Róbcie swoje!

Dziewięćdziesięciotonowe parowozy przetoczyły się nad nimi i zatrzymały na wiadukcie, nos w nos, niemal dotykając się zgarniaczami, dokładnie nad dopiero co położonym rurociągiem Mattersa i Hopewella. Jeden ciągnął

platformę pełną funkcjonariuszy policji kolejowej, a drugi prowadził wagon techniczny ze stutonowym dźwigiem. Gliniarze kolejowi odepchnęli na bok palaczy, otworzyli drzwiczki palenisk i rozwinęli przewody do spuszczenia wody z kotłów.

Jakiś olbrzym wspiął się na wagon techniczny. W świetle reflektorów widać było złą, zawziętą twarz, szeroką klatkę piersiową i wydatny brzuch. Matters rozpoznał w nim Wielkiego Pete'a Strauba, rosnącego łamistrajka na usługach Standard Oil, z odznaką korporacyjnej policji na kamizelce, rewolwerem przy biodrze i trzonkiem kilofa w zaciśniętej dłoni.

- Rzućcie narzędzia! - zawołał Straub z góry do ludzi na polu.
- Nie ruszać się z miejsc! - wrzasnął Matters. - Wracać do roboty!
- Wynocha stąd! - ryknął Straub.
- Prawo jest po naszej stronie! Wolno nam tu być!
- Dajcie im popalić, chłopcy!

Gliniarze kolejowi zaczęli wygarniać węgiel z palenisk i odkręcili zawory spustowe wody. Deszcz rozżarzonego węgla i wrzątku runął na robotników Mattersa.

- Stać! Nie dajcie się zastraszyć!

Przerażeni, poparzeni ludzie pierzchali w popłochu.

Matters przeciął im drogę i młóćąc pięściami, powalał na ziemię kolejnych uciekinierów.

Spike chwycił go za rękaw.

- Daj spokój, Bill. Zostaw ich. Przecież nie mają szans.

Matters huknął jakiegoś kopacza w żebra i jednym ciosem ogłuszył innego.

- Tchórze!

Płonąca bryła węgla spłynęła z rozgwieżdżonego nieba, ciągnąc za sobą snop iskier. Rękaw płaszcza Mattersa zajął się żywym ogniem. Bill poczuł na policzkach gorące drobiny mialu. Smród przypalonych włosów uderzył go w nozdrza. Wyrwał remingtona spod płaszcza, podbiegł do rusztowania i wspiął się na belkę.

Spike rzucił się za nim przez strefę ognia i zdołał chwycić go za but.

- Zwariowałeś? Co ty wyprawiasz?
- Idę zabić Strauba.

– Jest młodszy od ciebie o dwadzieścia lat i ma pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi! Uciekaj!

Spike Hopewell był cięższy od Billa Mattersa. Uwiesiwszy mu się u nogi, ściągnął go z rusztowania.

Ogień i kłęby gorącej pary zmusiły ich do odwrotu. Bill Matters wycelował swój wielki rewolwer prosto w Strauba. Spike wytrącił mu broń, podniósł z ziemi i schował pod płaszcz.

Matters przypatrywał się z bezsilną wściekłością, jak stutonowy dźwig opuszcza rozcapierzoną łapę chwybaka. Wystające zęby wbiły się w świeżo rozkopaną glebę jak szczęki tyranozaura. Zasycała para. Szczęki zacisnęły się z trzaskiem. Dźwig wyrwał rurę z ziemi i cisnął na bok. Rurociąg zmienił się w stertę pogiętego, potrzaskanego metalu.

Przyćmione światła dwóch reflektorów sunęły ku nim przez pole, podskakując na nierównościach. Nadciągał miejscowy szeryf w podobnym do bryczki benzynowym samochodzie marki Pittsburgh. Obok niego siedział zastępca. Sprawiał wrażenie wystraszonego.

Bill Matters i Spike Hopewell zażądali ochrony dla swoich pracowników. Matters wykrzykiwał, że wolno im poprowadzić prywatny rurociąg bez naruszania prawa do swobodnego przejazdu zagwarantowanego dla kolei, bo tory ułożone są wysoko na wiadukcie, a teren poniżej należy do nich.

– Kolej nie może blokować naszej budowy. To nasza ziemia, możemy na niej robić, co chcemy.

Matters wyciągnął akt własności i potrząsnął arkuszem pergaminu w mętnym świetle przednich lamp samochodu.

Szeryf zerknął w dół znad wajchy, służącej do kierowania pojazdem. Jego odpowiedź była podejrzenie szybka, jakby kazano mu już wcześniej zapoznać się z kopią dokumentu.

– Tu jest napisane, że kolej Pennsylvania Railroad otrzymuje prawo do swobodnego przejazdu przez waszą farmę.

– To się odnosi wyłącznie do torowiska i wiaduktu.

– Z zapisu wynika, że nie wolno wam naruszyć podtorza.

– Nawet nie dotykamy podtorza! Wykop przechodzi pomiędzy filarami rusztowania.

Matters podsunął do światła kolejne papiery.

– Tu jest ekspertyza biegłego, tu opinia prawna dotycząca tej sprawy, a tu precedensowy wyrok sądu!

– Nie jestem prawnikiem - powiedział szeryf - ale wszyscy dobrze wiedzą, że pan Rockefeller ma bardzo wiele do powiedzenia odnośnie do zarządzania koleją Pennsylvania Railroad.

– Ale to nasza własność...

Szeryf wybuchnął śmiechem.

– Co wam strzeliło do łbów, żeby zadzierać ze Standard Oil?

* * *

Rozpacz Billa Mattersa była równie czarna, jak zasnute dymem niebo nad Pittsburghiem.

– Interes to interes - wycedził bankier. Zadłużywszy się po uszy na budowę rurociągu, którego nie zdołali dokończyć, teraz musieli sprzedać go po kosztach. Jedyłą ofertę przedstawił Standard Oil. - Nie będzie innych chętnych. Radzę przyjąć ich warunki i wyjść z tego na czysto.

– Podpuścili nas. Zbudowaliśmy ten rurociąg dla nich - szepnął Matters.

– A co będzie z Hook? - spytał Spike.

– Constable Hook? - upewnił się bankier. - Wliczone w cenę.

– To najnowocześniejsza rafineria na świecie - jęknął Matters.

– Bez rafinerii transakcja nie dojdzie do skutku. Zdaje się, że Standard zamierza ją rozbudować.

– Jest do tego stworzona. Kupiliśmy całe wzgórze wraz z linią brzegową.

– Standard chce ją mieć.

– Przynajmniej pozbędziemy się większości długów - zauważył Spike.

– My zasialiśmy - mruknął Matters. - Oni zbiorą plony.

Zagwizdała rura głosowa. Bankier przyłożył ją do ucha. Nagle zerwał się na równe nogi.

– Przybył pan Comstock.

Drzwi otworzyły się na oścież. Do środka wkroczył siwowłosy Averell Comstock, jeden z pierwszych wspólników Johna D. Rockefellera, jeszcze z czasów, kiedy firma miała siedzibę w Cleveland. Comstock należał do ścisłego

kierownictwa, złożonego z kilku najbardziej uprzywilejowanych członków trustu, nazywanego przez prasę Gangiem Standard Oil.

– Zostaw nas samych - powiedział przybysz do bankiera, a ten bez słowa czmychnął z własnego gabinetu.

– Pan Rockefeller poprosił mnie, abym zaproponował szanownym panom akces do naszej firmy.

– Co takiego? - Spike Hopewell posłał Mattersowi zdumione spojrzenie.

– Pan Rockefeller oferuje panom na początek stanowiska współdyrektorów Zarządu Sieci Rurociągów - oznajmił Comstock.

Matters aż pobladł ze złości. Trzęsły mu się ręce. Zacisnął dłonie w pięści, ale nadal drżały.

– Miałbym kierować monopolem na rurociągi, z którym próbowałem walczyć? Rujnować ludzi wykonujących nowe odwierty? Doprowadzać do bankructwa właścicieli niezależnych rafinerii?

Wysoki, energiczny Comstock ze spokojem zniósł jego stalowe spojrzenie.

– W Standard Oil nic się nie marnuje. Wykorzystujemy w pełni wszelkie zasoby, wliczając w to, w szczególności, inteligentnych, ambitnych, zdeterminowanych nafcjarzy. Jesteście z nami?

– Wolalbym zawrzeć układ z diabłem - burknął Spike Hopewell.

Nacisnął kapelusz na głowę i ruszył do drzwi.

– Billy, wychodzimy. Zaczniemy od początku w Kansas. Dowiercimy się do nowych złóż, zanim owiną się wokół nich macki ośmiornicy.

* * *

Bill Matters wrócił do swojego domu w Oil City w Pensylwanii. Skromna, dwupiętrowa rezydencja na podmurówce, z otynkowanymi ścianami, stała przy wysadzonej drzewami ulicy, sąsiadując z podobnymi domami niezależnych nafcjarzy, którzy dorobili się w czasach „gorączki naftowej”, wiele lat przed tym, jak Standard Oil zdominował całą branżę. Sekretarzyk z roletą, przy którym zwykł pracować, stał w salonie od strony ogrodu wraz z książkami jego córek oraz dziecięcymi teatrzykami lalkowymi.

Kartonowe modele londyńskich i nowojorskich scen teatralnych, które dziewczynki wołały od domków dla lalek, zajmowały całą wolną powierzchnię

pokoju. W barwnych, miniaturowych aranżacjach Julia wzdychała z balkonu do Romea, Hamlet przechadzał się po blankach z duchem swojego ojca, Ryszard III wręczał zlecenie zabójstwa mordercom.

Córki, Nellie i Edna, tam go znalazły. Miał oczy pełne łez. Tulił do siebie remingtona, kupionego od weterana z wojny secesyjnej. Z pomocą tego „wiernego przyjaciela” wygrał kiedyś kilka potyczek z wozakami, zbierającymi się nocami w bandy, aby zniszczyć jego pierwszy, ponadsześciokilometrowy rurociąg do Oil Creek, przez który ich wozy stały się bezużyteczne.

Dziewczyny zareagowały jak zgrany zespół. Nellie otoczyła go ramionami i ucałowała w policzek. Edna wyrwała mu rewolwer z rąk. Nie stawiał oporu. Wolałby umrzeć, niż skrzywdzić którąkolwiek z nich. Małomówna Edna, pasierbica, którą zaadoptował, właśnie ukończyła Allegheny College i praktykowała w dziale reporterskim lokalnej gazety „Oil City Derrick”. Młodsza, przebojowa Nellie, zwykle gadała za obie. Tak jak teraz, kiedy próbowała rozładować napięcie żartobliwym przekomarzaniem.

- Do kogo zamierzałeś strzelać, ojcze? - spytała wesoło dźwięcznym głosem.
- Czyżby zakradli się rabusie?

- A tak niewiele brakowało - wymamrotał. - Tak niewiele.

- Następnym razem pójdzie ci lepiej.

Matters oderwał dłonie od twarzy i podniósł wzrok na bystre, smukłe panny. Przyrodnie siostry wyglądały niemal tak samo, obie odziedziczyły po matce jedwabiste, kasztanowe włosy i zdecydowane, regularne rysy twarzy, ale na tym podobieństwa się kończyły. Jedna była otwartą księgą, druga kłębowiskiem tajemnic.

- Wiecie, co zrobił Rockefeller? - spytał.

- Jeśli utonął w rzece, pewnie znajdą jego ciało w górnym biegu - powiedziała Edna. - JDR to mistrz niespodzianek.

- Życzę mu, żeby utonął - wtrąciła Nellie.

- Ja też - poparł ją Matters. - Bardziej niż zwykle.

Opowiedział im o otrzymanej od Rockefellera propozycji pracy dla Standard Oil.

- Szef Zarządu Sieci Rurociągów, to ci dopiero.

Siostry spojrzały na broń, trzymaną wciąż przez Ednę, a potem popatrzyły sobie w oczy. Przestraszyły się, że mogłyby popełnić samobójstwo. Z drugiej

strony, rezygnacja z niezależności, o którą walczył całe życie, też mogłaby go zabić. Tyle że wolniej.

– Może powinieneś się zgodzić - podsunęła Edna.

– Ojca stać na coś lepszego - stwierdziła Nellie.

Lśniące od łez oczy oderwał od ich twarzy i spojrzał na teatrzyki lalkowe, a potem wbił wzrok w rewolwer. Edna przycisnęła broń do ciała. Dziwny uśmiech przemknął mu przez ponurą twarz.

– Może faktycznie stać mnie na coś lepszego?

– Z pewnością, tato - odpowiedziały chórem. - Z pewnością.

Bezradność malująca się na ich twarzach raniła mu serce.

– Idźcie już - mruknął. - Zostawcie mnie samego. Zabierzcie tę spluwę ze sobą. Może to was uspokoi, moje głuptaski.

– Nic ci się nie stanie?

– Dajcie mi czas do rana. Muszę oswoić się z porażką.

Odprowadził je do drzwi i zamknął je na klucz. Szalone pomysły przelatywały mu przez głowę. Nie mógł usiedzieć w miejscu. Ojca stać na coś lepszego?

Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Od czasu do czasu spoglądał na teatrzyki lalkowe. Dwa razy w roku zabierał córki pociągiem na przedstawienia do Nowego Jorku. A odkąd w Oil City przebudowano wrotkarnię na operę, nie opuścili żadnego występu objazdowych trup teatralnych. Szekspir był ich ulubieńcem. Romeo kochający Julię. Hamlet, przysięgający pomstę duchowi swego ojca. Ryszard III wydający rozkazy swoim pomocnikom. Sekretne przyrzeczenia. Skryta zemsta. Tajemnicze intrygi.

A może pokornie spuścić głowę, zaakceptować ofertę Rockefellera i przyłączyć się do trustu? Albo, jeszcze lepiej, tylko zamarkować pokorę?

Co ty na to, Hamlecie? Zdecyduj się. Pragniesz zemsty? A może czegoś więcej? Dziesiąta część krociowych zysków Standard Oil uczyniłaby cię jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce. Co z tego? Nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze.

Dziesiąta część potęgi Standardu zapewniłaby królewską koronę.

Co ty na to, Ryszardzie? A ty, ile spisków musiałeś uknuć? Jakie zakulisowe intrygi?

Nawet Ryszard nie spodziewał się, jak ślepi mogą być jego wrogowie.

Matters oceniał szanse, punktując słabości przeciwnika.

Wszechmocny monopol sprawiał wrażenie doborowego zaprzęgu rączych rumaków. Jednak patrząc chłodnym, przenikliwym okiem, Bill Matters potrafił dostrzec, że rumaki mają klapki na oczach, są spętane i zastraszone. Spętane lękiem przed zmianami, zastraszone przez zwalczających monopole prokuratorów federalnych oraz reformatorów „ery postępu”, ślepe z powodu panującej w Standard Oil obsesji tajemniczości.

A gdyby tak wykorzystać tę tajemniczość? Wszak Romeo i Julia sami sprowadzili na siebie zgubę, bo pogubili się we własnych sekretach.

Zasady dyskrecji obowiązujące w Standard Oil, tajne fundusze powiernicze i firmy wydmuszki, chroniące korporację przed kontrolą publiczną, wszystko to stanowiło idealną pożywkę dla wszelkich intryg. Kiedy od czasu do czasu bywał w biurach Standardu, nie zdarzyło się jeszcze, aby zauważył jakiegokolwiek innego gościa. Kto wie, jakie prywatne interesy ubijano w sąsiednim pokoju?

Ryszard byłby odpowiednim człowiekiem, zdolnym pokonać Standard, siewcę zakulisowych intryg.

Skąd jednak wziąć pomocników? Kto byłby skłonny go poprzeć? Na kogo mógłby liczyć? Spike zupełnie się do tego nie nadawał. Dawny wspólnik mógł co najwyżej spuścić komuś lanie, ale żaden z niego konspirator, ponadto jego wrodzona poczciwość nie pozwoliłaby mu zabić z zimną krwią, nawet gdyby od tego zależało powodzenie planu. Musiał znaleźć sobie pomocników o sercach z kamienia.

CZEŚĆ 1: KULE

Sześć lat później, Kansas

1.

Wysoki mężczyzna w białym garniturze, z bujną grzywą złocistych włosów, gęstym wąsem i świdrującymi, błękitnymi oczami, wysiadł z superszybkiego ekspresu w depo Union Pacific i ruszył różnym krokiem po odbiór swego locomobile'a z wagonu do przewozu przesyłek. Wymienił najnowsze dowcipy z pracownikami firmy przesyłowej, sprowadzającymi duże, czerwone auto na rampę, okazał głębokie współczucie z powodu przejścia pierwszobazowego Grady'ego z Kansas City do St. Louis Cardinals, a po skończonej robocie wręczył im sute napiwki.

Czy mogliby polecieć mu najszybszą drogę do należącej do Standard Oil rafinerii Sugar Creek?

Stosując się do otrzymanych wskazówek, wyjeżdżał właśnie z obskurnych, pełnych zakazanych spelunek okolic stacji, gdy nagle dwa wozy zablokowały go z obu stron w wąskiej uliczce. Mężczyźni, którzy z nich zeskoczyli, ubrani byli raczej jak zawodowi bokserzy, a nie jak wozacy. Na czele kroczył butnie zwalisty olbrzym. Przybysz rozpoznał Wielkiego Pete'a Strauba, którego widział wsiadającego do pociągu w St. Louis.

Straub błysnął odznaką.

– Policja rafinerii Standard Oil. Jesteś Isaac Bell?

Bell wysiadł z samochodu. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt i dorównywał Straubowi wzrostem, a na jego osiemdziesiąt kilo żywej wagi składały się głównie sploty mięśni, napiętych jak stalowe liny. Wysoko podniesiona głowa i pełne rezerwy spojrzenie znamionowały niespożytą energię.

Straub oszacował jego wiek na około trzydziestki.

– Wracaj tam, skąd przybyłeś.

– A to czemu? - spytał nonszalancko Bell.

– Tu, w Kansas, nie masz czego szukać. Każdy, kto zamieni z tobą choćby słowo, wyleci z roboty. Wszyscy pracownicy dobrze o tym wiedzą.

– Przystawcie swój wóz.

Zamaszysty sierpowy był wycelowany prosto w jego twarz.

Bell podbił cios ramieniem w górę i dał krok do przodu, wymierzył w cielsko Strauba prawy i lewy prosty, po czym odskoczył. Korporacyjny gliniarz złożył się wpół. Jego kumple ruszyli do natarcia.

– Brać go!

Nagle zajął im w oczy przepastny otwór lufy samopowtarzalnego pistoletu, który nieoczekiwanie, niczym królik z kapelusza, pojawił się w dłoni Bella.

– Przystawcie swój wóz.

* * *

Benzynę sprzedawali na bocznicach kolejowych. W sklepie żelaznym można było dostać zapasowe opony i dętki, linkę holowniczą, kanistry na wodę, olej silnikowy i dodatkowy zapas benzyny, śpiwór, a także powtarzalnego, przeładowywanego dźwignią winchestera wraz z futerałem, który Bell przytroczył obok siebie, do pustego fotela pasażera.

Zatrzymał się u rzeźnika, aby kupić stek, który miał zamiar usmażyć sobie wieczorem, kiedy zatrzyma się na nocleg, oraz gruby plaster szynki, kawę i chleb na śniadanie. Centrum Kansas City zatłoczone było tramwajami, ciężarówkami, wozami konnymi, a także stadami nowiutkich aut o napędzie parowym, elektrycznym i benzynowym. Kierując się na południe i zachód, wydostał się wreszcie z korków na przedmieściach, przekroczył granicę stanu Kansas i otworzywszy na oścież przepustnicę i kolektory wydechowe locomobile'a, pognął z rykiem silnika przez prerię.

2.

Żadne karesy, żadne pocałunki nie dorównywały delikatnością pieszczocie, z jaką palec zabójcy muskał spust.

Idealnie wyregulowany i wyważony przez doskonałego rusznikarza karabin powtarzalny Savage 99 wynagradzał ten subtelny związek ciała i metalu

niespotykaną celnością. Nacisk, leciutki jak płytki oddech, powodował odpalenie ręcznie elaborowanego bezdymnym prochem naboju o wysokiej prędkości początkowej, spoczywającego w komorze. Teleskopowy celownik marki Warner & Swasey należał do przyrządów optycznych najwyższej klasy. Widoczna w nim postać Spike'a Hopewella była duża i bliska, jak na wyciągnięcie ręki.

Spike przechadzał się po platformie na szczycie dwudziestopięciometrowej wieży wiertniczej, stojącej na krańcu skupiska setki podobnych wież, obsługiwanych przez niezależnych wiertaczy. Kratownicowe konstrukcje wznosiły się nad pozostałościami małej wioski przy odległych rozstajach w stanie Kansas, siedemdziesiąt kilometrów w głąb Terytorium Indiańskiego w kierunku północnym. Ponieważ to właśnie on pierwszy dowiercił się tu do ropy, żadna bogactwa zgraja nowicjuszy nazwała to miejsce Hopewell Field.

Domy, stajnie, płoty, a nawet płyty nagrobne na miejscowym cmentarzu były pokryte brązowymi zaciekami ropy, tryskającej z szybów i porywanej przez wiatr. Zbiorniki do magazynowania świeżego urobku, wielkie pojemniki o żelaznych ścianach i drewnianych pokrywach, liczące dwadzieścia pięć metrów średnicy i sześć wysokości, wypełniała po brzegi surowa ropa. Rurociągi łączyły je z nowoczesną rafinerią, gdzie stały kolumny rektyfikacyjne o pojemności dwustu baryłek każda, osadzone na ceglanych paleniskach i oplecione gąszczem rur skraplaczy. Z ich kominów buchały w niebo strzeliste słupy dymu.

Tuż obok rozciągało się błyskawicznie rosnące zbiorowisko baraków i chałup, dostarczających pożywienia i rozrywki robotnikom, którzy ochrzcili to miejsce mianem Hope-Heil, a spali na wielkim polu namiotowym, zwanym „szmacianym miasteczkiem”. Saloony, podobnie jak te w Wichita i Kansas City, nic sobie nie robiły z obowiązującej w Kansas prohibicji. Mieściły się w starych wagonach towarowych i było raczej mało prawdopodobne, aby zaatakowała je wymachująca siekierą Carrie Nation. Na tyłach saloonów wisały czerwone latarnie hamulcowych, zapraszające do burdeli.

Tory kolejowe skrętnie omijały tętniący życiem kompleks. Do najbliższej miejscowości ze stacją pasażerską było szesnaście kilometrów. Inwestorzy wypuszczali obligacje, aby zbudować linię tramwaju elektrycznego.

Rafineria cuchnęła benzyną.

Zabójca wyczuwał ją z odległości niemal sześciuset pięćdziesięciu metrów.

* * *

Ognistoczerwony locomobile mknął przez równinę Kansas, ciągnąc za sobą smugę pyłu.

Na ten widok Spike Hopewell uśmiechnął się szeroko, mimo trapiących go kłopotów. Zarówno samo auto, jak i siedzący za kółkiem demon prędkości to najlepszy dowód na to, że właśnie benzyna - niegdyś niepożądany produkt uboczny procesu destylacji, zanieczyszczenie, powodujące eksplozje lamp naftowych - była paliwem przyszłości.

Nowa rafineria Spike'a wytwarzała ogromne ilości tego towaru - z jednej baryłki surowej ropy otrzymywano szesnaście galonów benzyny. Produkcja dopiero nabierała rozpędu, a już miał pięćdziesiąt tysięcy galonów. Problem polegał na tym, jak dostarczyć ją potencjalnym odbiorcom.

* * *

Zabójca czekał, aż powiew wiatru rozpędzi dym.

Przy strzelaniu na duże odległości wiatr zawsze stanowił utrudnienie. Należało dokładnie przeliczyć jego wpływ na tor lotu pocisku, z uwzględnieniem oporu powietrza i grawitacji. Jednak tym, co w ogóle uniemożliwiało oddanie strzału, był brak widoczności celu. Wszechobecny dym z setek maszyn parowych oraz palenisk rafinerii sprawiał, że stary nafciarz prezentował się w lunecie celownika jako ciemny, niewyraźny kształt.

Hopewell przestał chodzić, oparł dłonie na barierce i zapatrzył się w jakiś punkt.

Pojawiła się lekka bryza. Dym zaczął się przeredzać.

Jego głowa stawała się coraz lepiej widoczna w potężnych szklach lunety.

Dzięki znajomości anatomii zabójca potrafił wyobrazić sobie kości, włókna ścięgien, mięśnie oraz nerwy pod skórą ofiary. Pień mózgu miał niecałe trzy centymetry szerokości. Zniszczenie go oznaczało natychmiastową śmierć.

Spike Hopewell poruszył się gwałtownie. Zwrócił się ku drabinie, prowadzącej z dołu na platformę. Zabójca sięgnął po lornetkę. Dzięki jej szerszemu polu widzenia mógł dokładniej przyjrzeć się intruzowi.

Mężczyzna w białym garniturze przeskoczył z ostatniego szczebla na platformę. Zabójca dostrzegł w jego ruchach gibką, sprężystą grację, charakterystyczną dla drapieżcy równie niebezpiecznego jak on sam, i zareagował natychmiastowym wyostreniem zmysłów.

Instynkt, logika i zdrowy rozsądek w idealnej zgodzie podpowiadały mu rozwiązanie. Najpierw zlikwiduj zagrożenie.

Zuchwała duma podniosła bunt. Nikt, kimkolwiek by był, nie przeszkodzi mu w realizacji planu. Zabijesz tego, kogo chcesz i kiedy chcesz.

* * *

Isaac Bell wylądował lekko na platformie i podszedł do Hopewella z przyjaznym uśmiechem i dłonią wyciągniętą na powitanie.

– Bell. Agencja Detektywistyczna Van Dorn.

Spike wyszczerzył wesoło zęby.

– Dedukuje pan incognito, w czerwonym locomobile’u? Wziąłem pana raczej za strażaka.

Bell z miejsca poczuł sympatię do energicznego niezależnego nafciarza. Dojrzał w nim szczerego i niezłomnego człowieka. Rzuciwszy znaczące spojrzenie na źródło trosk Spike’a - monstrualny zbiornik na benzynę po drugiej stronie rafinerii, liczący dwadzieścia pięć metrów średnicy i ponad sześć wysokości - odpowiedział z kamienną twarzą:

– Ponieważ wydedukowałem, że opływa pan w benzynę, zamieniłem wierzchowca na samochód.

Hopewell wybuchnął śmiechem.

– Punkt dla pana. To największa nadwyżka od czasu wynalezienia auta. Czego pan sobie życzy, młodzieńcze? Co pana do mnie sprowadza?

– Dochodzenie Federalnej Komisji Korporacyjnej na okoliczność naruszenia Ustawy Antymonopolowej Shermana przez Standard Oil.

– Co pan powie - mruknął Hopewell, poważniejąc w jednej chwili.

– Komisja zleciła Agencji Van Dorn zebranie dowodów na stosowanie przez Standard nieuczciwych praktyk wobec konkurentów.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Prawie dwa i pół tysiąca ton benzyny, której nie może pan sprzedać, to dowód, jakiego szukam.

– Pański dowód pływa sobie w tamtym zbiorniku. Może mu się pan przyglądać do woli.

– Czy powie mi pan, skąd wzięła się ta nadwyżka?

– Nie. I zeznawał też nie będę.

Isaac Bell spodziewał się oporu. Hopewell zapracował sobie na opinię twardziela i zawadiaki. Jednak powodzenie śledztwa prowadzonego przez Agencję Van Dorn zależało od przekonania niezależnych nafciarzy, by zaczęli mówić, i to zarówno w zaufaniu, jak i podczas publicznych przesłuchań. A zostało już niewielu takich, którzy dorównywali Spike'owi doświadczeniem w walce z monopolem.

Wiek ani trochę go nie przyhamował. Mógł spieniężyć ogromne złożę, które odkrył w Kansas, i wycofać się z interesu. On jednak wolał zbudować tuż obok szybów nowoczesną rafinerię i przetwarzać ropę, wydobywaną przez podobnych do niego niezależnych wiertaczy. Teraz toczył życiowy bój o rurociąg, którym zamierzał dostarczać benzynę i naftę na zbiornikowce czekające w Port Arthur w Teksasie.

Standard Oil równie zaciekle starał się mu w tym przeszkodzić.

– Nie będzie pan zeznawał? Standard obstawił swoimi prawnikami wszystkie sądy, aby zablokować pańską rurę prowadzącą do Zatoki Meksykańskiej.

Spike radził sobie całkiem nieźle z pociąganiem za odpowiednie sznurki.

– Walczę z nimi w legislaturze stanowej. Ustawodawcy w Topeka wiedzą cholernie dobrze, że zarówno producenci, jak i rafinerie w całym Kansas pójdą z torbami, jeśli nie zdołam dostarczyć ich wyrobów na rynek europejski, który pozostaje poza kontrolą Standard Oil.

– Czy to właśnie z tego powodu kolej odcięła pańską bocznice?

Na bocznicy należącej do rafinerii nie stała ani jedna cysterna. Zdezelowana lokomotywa manewrowa 0-6-0 była pod parą, ale nie mogła donikąd dojechać, a jej zastosowanie ograniczało się do transportu materiałów w obrębie zakładu. Tory Hopewella dzieliło od linii do Kansas City niemal pół kilometra trawy i zarośli. Podtorze było usypane i ustabilizowane tłuczniem, druty telegraficzne napięte jak struny, ale odgałęzienie, którym przewożono materiały do budowy

rafinerii, zostało zerwane. Zwrotnice, szyny i podkłady leżały bezładnie na ziemi, jakby porozrzucane kopniakami wściekłego olbrzyma.

– Moi prawnicy właśnie uzyskali nakaz sądowy, zgodnie z którym kolej ma znów podpiąć mnie do swej sieci - powiedział Hopewell.

– A więc odniósł pan pyrrusowe zwycięstwo. Standard Oil przejął wszystkie cysterny kolejowe w tym rejonie. Komisja chciałaby wiedzieć, jak do tego doszło.

– Niech się z tym zwrócą do kolei.

Błękitne oczy detektywa poszarzały jak zmrożone zimową poświatą, a uśmiech nabral chłodnego wyrazu. Chodzenie na paluszkach wokół starego nafcjarza zdało się na nic.

– Koleją zajmują się inni pracownicy Agencji Van Dorn. Mnie interesują metody, jakimi Standard Oil blokuje budowę pańskiego rurociągu.

– Mówiłem już, że nie zamierzam zeznawać.

– Bez rurociągu oraz dostępu do transportu kolejowego pańskie szyby i rafineria są bezwartościowe - zareplikował Bell. - Wraz z całą swoją inwestycją zostanie pan przyparty do ściany.

– Zdarzało mi się bankrutować już w czasach, gdy pana, młodzieńcze, nie było nawet na świecie. Jednak tym razem mogę jeszcze mieć asa w rękawie.

– Jeśli pan się boi, Agencja Van Dorn zapewni ochronę - powiedział Bell.

Spike złagodził nieco swoją postawę.

– Dziękuję, panie Bell. Nie wątpię, że jest pan kompetentną osobą. - Wskazał ruchem głowy stojącego dwadzieścia pięć metrów niżej locomobile'a. - Skoro pomyślał pan o zabranii linki holowniczej w podróż przez to pustkowie, zapewne potrafi pan sobie radzić w różnych sytuacjach.

– Mam też dość części zamiennych, aby zbudować nowe auto i wyciągnąć nim to stare z rowu - uśmiechnął się Bell z nadzieją na ciekawą rozmowę.

– Mimo to źle pan ocenia Standard Oil. Oni nie mordują konkurentów.

– To raczej pan lekceważy zagrożenie.

– Nie muszą nas zabijać. Przed chwilą sam pan to powiedział. Mają dość lobbystów, by rzucać nam kłody pod nogi w legislaturze, i aż nadto prawników, którzy miażdżą nas w sądach.

– Zna pan Wielkiego Pete’a Strauba? - spytał Bell, obserwując reakcję Hopewella.

– Pete Straub jest pracownikiem straży przemysłowej Standard Oil. Pod tą wyszukaną nazwą kryją się gliniarze ochraniający rafinerie, łamistrajki i szpiedzy działający wśród organizacji związkowych. To on parę lat temu zniszczył mój rurociąg w Pensylwanii.

– Nie dalej jak wczoraj wpadłem na niego w Kansas City.

Stary nafcjarz wzruszył ramionami, okazując całkowity brak zainteresowania.

– Standard Oil nie ma monopolu na prywatną policję czy łamistrajków. Wielki Pete tłamsi związki zawodowe w kopalniach, na kolei i w stalowniach. Z pańskich informacji wynika tylko tyle, że jedzie do Kolorado potarmosić się ze związkiem górników. Toż połowa tamtejszych kopalni jest własnością Rockefellera.

– Nie ma go w Kolorado. Jest w Kansas. Kiedy ostatnio odwiedził tę okolicę, dwaj właściciele niezależnych rafinerii opierający się Standardowi zostali znalezieni martwi w Fort Scott i Coffeyville.

– Wypadki chodzą po ludziach - prychnął Spike Hopewell. - Reed Riggs wpadł pod lokomotywę, jak się wydaje, kompletnie pijany. A biedny Albert Hill zleciał na dno zbiornika, naprawiając mieszalnik. - Hopewell rzucił Bellowi wyzywające spojrzenie. - Wie pan, co to jest mieszalnik, panie detektywie?

– W mieszalniku następuje łączenie surowego destylatu benzyny z kwasem siarkowym, wypłukiwanie kwasu wodą, neutralizacja za pomocą sody kaustycznej i na koniec oddzielanie wody.

– Odrobił pan pracę domową. - Hopewell pokiwał głową. - W takim razie wie pan, że trzeba bardzo uważać ze względu na opary, od których może zakręcić się w głowie. Najwyraźniej Albert nie zachował ostrożności.

– Nie jestem pewien na sto procent, czy to były wypadki.

– A ja jestem - odparował Hopewell.

Bell obrócił się nagle w jego stronę.

– Skoro się pan nie boi, dlaczego nie chce pan zeznawać?

Hopewell skrzyżował potężne ramiona na piersi.

– Kapowanie nie leży w mojej naturze.

– Kapowanie? O czym pan mówi, Spike? Nie jesteśmy dziećmi. Tu chodzi o dzieło pańskiego życia, a może nawet i o samo życie.

– Pańska komisja będzie potrzebowała wielu lat, żeby cokolwiek zmienić - odciął się Hopewell. - Tymczasem mieszkańcy Kansas chcą walczyć o swoje tu i teraz. Wygramy ze Standardem w legislaturze. Zdelegalizujemy rabaty i zagwarantujemy jednakowe opłaty za transport dla wszystkich. A jeśli Standardowi to się nie spodoba, Kansas wybuduje własną rafinerię albo, co jeszcze lepsze - tu wybuchnął gromkim śmiechem - odkupi ten zakład ode mnie, dzięki czemu będę mógł skupić się na moim rurociągu.

Bell usłyszał fałszywą nutę w jego śmiechu. Spike Hopewell zgrywał przed nim chojraka, ale wcale nie był pewny swego.

* * *

Czy można trafić człowieka w szyję z sześciuset pięćdziesięciu metrów?

Zapytajcie zdobywcę złotego medalu w Prezydenckich Zawodach Strzeleckich z 1902 roku.

Czy w ogóle widać cel z odległości grubo powyżej pół kilometra?

Przeczytajcie list pochwalny prezydenta Theodore'a Roosevelta, bohatera spod San Juan Hill, wyrażający najwyższe uznanie strzelcowi wyborowemu, który wygrał Prezydenckie Zawody Strzeleckie w ramach Mistrzostw Armii Stanów Zjednoczonych w konkurencji karabinu.

Nie wierzycie?

Poczytajcie sobie o dziesiątkach, wystrzelanych z dziewięciuset metrów.

Zabójca uśmiechnął się. Czy prezydent wykrzyknął: „Dobra robota!”, także wówczas, kiedy dowiedział się, że czempion samowolnie opuścił szeregi? Zresztą wątpliwe, by ktokolwiek odważył się powiedzieć Teddy'emu, że najlepszy snajper amerykańskiej armii zdezerterował ze swego pułku.

* * *

– Panie Hopewell - zaczął Isaac Bell - skoro nie jestem w stanie przekonać pana, aby zachował się pan właściwie wobec popierających pana niezależnych wiertaczy, to może chociaż odpowie mi pan na kilka pytań, dotyczących jednego z pańskich byłych współników?

– Billa Mattersa.

– Skąd pan wie, że spytam właśnie o niego? Miał pan wielu wspólników, przy próbnym wierceniach, rurociągach, rafineriach. - Tu Bell wymienił trzy nazwiska.

Hopewell odpowiadał powoli, starannie dobierając słowa, jakby zwracał się do dziecka opóźnionego w rozwoju.

– Komisja, która zatrudniła pańską agencję, prowadzi dochodzenie przeciwko Standard Oil. Bill przeszedł na stronę Standardu. Jada lunch z członkami zarządu w Nowym Jorku. To właśnie podczas lunchu, panie detektywie od komisji antytrustowej, wykluwają się ich nowe strategie.

Bell pokiwał głową, starając się zachęcić Hopewella do dalszych wynurzeń, skoro udało mu się wreszcie przerwać jego milczenie. Prowadzone przez niego śledztwo jak dotychczas obejmowało badanie przypadku, w którym w jakiś niewiadomy sposób ogromna firma potrafiła rozpałać wyobraźnię i mnożyć fantastyczne pomysły. Odkąd sięgnął pamięcią, Standard Oil utrzymywał się na szczycie. Nic dziwnego, że przypisywano mu władanie tajemną mocą.

– Czy był pan tym zaskoczony?

– Kiedy to sobie przemyślałem, to nawet nie. Standard koncentruje się na tym, co ma dla niego największą wartość. Ropa, ziemia, maszyny, ludzie. Kupują zawsze to, co najlepsze. A Bill Matters był najlepszy.

– Chodziło mi o to, czy zaskoczyło pana przejście Mattersa na stronę Standardu?

Spike Hopewell podniósł wzrok i spojrzał Bellowi prosto w oczy. Nagle, ku zaskoczeniu detektywa, zaczął mówić cicho, ze wzruszeniem.

– Wymienił pan nazwiska kilku moich wspólników. Ale z Billem było inaczej. Zaczynaliśmy razem. Walczyliśmy ramię w ramię i wygrywaliśmy. Przy wozakach nawet grizzly wyglądały na łagodne stworzenia, a my daliśmy im łupnia. Rozumieliśmy się bez słów, czytaliśmy sobie w myślach. Kiedy więc pyta mnie pan, czy byłem zaskoczony, że Bill przyjął ofertę Standardu, to odpowiem panu, że owszem, dopóki sobie tego nie przemyślałem. Widzi pan, Bill nigdy nie doszedł do siebie po utracie swojego chłopaka.

– Nie rozumiem - zdziwił się Bell. - Jakiego chłopaka? Z tego, co wiem, ma dwie córki.

– Biedny mały gnojek uciekł od niego. Od tamtej pory nie dał znaku życia.

– Powiedział pan biedny mały gnojek? Czyżby nieszczęśliwe dziecko?

– Nie, nie. Przeciwnie, zawsze był uśmiechnięty, wesoły, w życiu bym nie pomyślał, że jest nieszczęśliwy. Aż tu nagle trzask-prask i zniknął. Bill nigdy się z tym nie pogodził.

– Kiedy uciekł?

– Jakieś siedem, osiem lat temu.

– A więc zanim Bill dołączył do Standardu?

– O tak, ładnych parę lat wcześniej. Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że chłopak swoją ucieczką złamał mu serce. Bill się zmienił, zrobił się jeszcze twardszy, twardy jak kamień, a przecież żaden z nas nie był niewiniątkiem. Dla niewiniątek nie ma miejsca w biznesie naftowym. A jednak z czasem zmurszały zasady, którymi się dotąd kierował i...

Hopewell zamilkł w pół słowa. Patrzył za plecy detektywa na wielki zbiornik z benzyną, nerwowo poruszając szczęką. Bell pomyślał, że wygląda, jakby zamierzał zmienić zdanie.

– Jeśli chce pan zrozumieć cały ten biznes naftowy, panie detektywie, to niech pan wie, że Bill Matters nie był pierwszym ani jedynym, który uległ Standardowi. Połowa kadry kierowniczej ich nowojorskiego biura to ludzie, którzy zostali zniszczeni przez Rockefellera. John D. Rockefeller to samo zło, jego powinien pan ścigać.

– Przypuszczam, że doprowadzi mnie do niego jeden z tych nowo zatrudnionych, jak Bill Matters. Co pan na to?

– Powiem panu tylko tyle, że nikt o zdrowych zmysłach nie będzie gryzł ręki, która go karmi.

– A pan, czy przyłączyłby się do Standardu, gdyby złożyli panu taką ofertę? Stary nafciarz wyprostował się z błyskiem w oku.

– Ależ złożyli. Jednocześnie Billowi i mnie.

– Naturalnie pan ją odrzucił. A czy w ogóle ją pan rozważał?

– Posłałem ich do wszystkich diabłów.

– Czy nie rozumie pan - spytał Bell - że współpracując ze mną, może ich pan tam posłać naprawdę?

Wyciągnął rękę w dół i wskazał równe rzędy zbiorników i buzujące paleniska, a potem las szybów wznoszących się nad dachami niegdyś

spokojnego miasteczka. Powiew wiatru przegonił na bok dym. Teraz widział wyraźnie nawet najbardziej oddalone drewniane wieże wiertnicze.

– Zbudował pan tę rafinerię, żeby obsługiwać niezależnych producentów. To panu leży na sercu. Czy zgodzi się pan ze mną, że właśnie w ich interesie powinien pan zeznawać?

Hopewell pokręcił przecząco głową.

Bellowi została już tylko jedna karta atutowa. Postawił na nią wszystko.

– Ile płacił Standard za baryłkę ropy dwa lata temu, kiedy pan się do ropy dowiercił?

– Dolara i trzydzieści pięć centów.

– A ile płaci teraz, zakładając, że zdoła ją pan dostarczyć?

– Siedemdziesiąt centów.

– Sztucznie zawyżyli cenę, żeby zachęcić pana do wierceń. Pan i pańscy niezależni wiertacze wykonaliście za nich próbne odwierty na własny koszt. Dzięki temu znają zasięg pól roponośnych w Kansas i wiedzą, jak to się ma do złóż na Terytorium Indiańskim i w Oklahomie. Wycyckali pana, panie Hopewell.

– Kolejna starannie odrobiona praca domowa, panie Bell - zauważył Spike. - Czyżby zawołaniem detektywów Van Dorna było: Odrabiaj pracę domową?

– Motto Agencji Van Dorn brzmi: Nigdy się nie poddajemy! Nigdy!

Hopewell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To tak samo, jak moje... No cóż, trudno odmówić człowiekowi, który tak pilnie odrabia pracę domową. A już wręcz nie sposób komuś, kto nigdy się nie poddaje... Okej, przyklep pan, panie Bell!

Spike Hopewell wyciągnął swą silną prawicę do Bella.

– Od czego chce pan zacząć?

Bell podszedł, by ją uścisnąć, i powiedział:

– Najbardziej jestem ciekaw pańskich asów w rękawie.

Nagle Hopewell zatoczył się w tył, chwytając się za gardło.

3.

Bell, wciąż ściskający wyciągniętą dłoń Hopewella, usłyszał stłumiony huk. Po opóźnieniu, z jakim dotarł do niego odgłos wystrzału, zorientował się, że pocisk musiał przebyć ogromny dystans, zanim trafił w cel. Pociągnął Spike'a w dół, na deski platformy, za iluzoryczną osłonę drewnianej balustrady. Było już jednak za późno na jakąkolwiek pomoc. Nafciarz był martwy. Kula rozorała mu gardło i przeszła na wylot przez kark.

Kolejny pocisk przeciął powietrze w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała się głowa Bella, zrykoszetował z metalicznym brzękiem od górnego wielokrążka i utkwiał w dębowej desce. Bell szukał wzrokiem miejsca, skąd padł strzał. Zwodnicze echo utrudniało ustalenie kierunku. Miał wrażenie, że dobiegało od zachodu, gdzie równina pocięta była rowami, odprowadzającymi wodę do strumienia. Na jego przeciwnym brzegu niskie, porośnięte lasem pagórki ciągnęły się aż po horyzont. Nagle dostrzegł jakiś ruch na północy. Ktoś schodził z wieży wiertniczej, stojącej w zdumiewającej odległości co najmniej sześciuset pięćdziesięciu metrów od platformy.

Isaac Bell popędził w dół po drabinie, przeskakując po trzy szczeble naraz.

Locomobile stał między skośnymi podporami wieży wiertniczej a maszynownią. Motor, wciąż jeszcze gorący, zaskoczył po drugim obrocie korby. Bell wskoczył za kółko i z ogłuszającym warkotem silnika popędził w kierunku, z którego padł strzał. Gnał pomiędzy gęsto porozstawianymi szybami, omijając slalomem sprzęt wiertniczy, pompy, maszyny parowe i warsztaty. Kiedy wyjechał wreszcie spomiędzy szybów, ujrzał wysokiego jeźdźca, galopującego konno przez równinę, rozciągającą się za polem naftowym.

Bell ruszył za nim w pościg.

Uciekinier siedział pewnie w siodle na silnym, grubokościstym koniu, wysokim na co najmniej metr siedemdziesiąt. Bell wcisnął pedał gazu do podłogi i kręcił kierownicą jak szalony, omijając rowy i większe nierówności terenu.

Jeździec zbliżał się do krawędzi trawiastego obszaru, który kończył się ścianą gęstego lasu. Jeśli zdoła wjechać między drzewa, będzie wolny. Głęboki

jar z płynącym w dole strumieniem oddzielał otwarte pole od drzew. Bell nie krył radości - zbieg znalazł się w potrzasku.

Przestawił regulator wydechu na maksymalny przepływ. Pozbawione oporu wylotowego cztery cylindry locomobile'a ryknęły pełną mocą.

Jeździec pędził prosto na strumień i spiął konia ostrogą. Wierzchowiec zebrał się w sobie i skoczył. Dosięgnął! przednimi nogami krawędzi skarpy na drugim brzegu. Tylne lewe kopyto ześliznęło się po stromej ścianie urwiska, ale prawe mocno wbiło się w darń. Zwierzę wydostało się z opresji i pocwałowało między drzewa.

Isaac Bell wdepnął z całych sił w anemiczny hamulec locomobile'a i wprowadził auto w poślizg. Zatrzymał się bokiem auta na samej krawędzi jaru, o włos od stoczenia się w dół. Wyszarpnął winchestera z futerału przytroczonego do siedzenia pasażera. Jeździec już zniknął za osłoną pierwszej, rzadkiej linii drzew. Bell dostrzegł w tym swoją jedyną szansę i otworzył ogień.

Repetował broń płynnymi, mocnymi ruchami dźwigni. Gdyby broń się zacięła, zapewne pękłaby mu w rękach. Ciężki karabin odzywał się raz po raz ogłuszającym hukiem. Kapelusz jeźdźca sfrunął mu z głowy, a on sam zachwiał się i zaczął spadać, ale zdołał przytrzymać się łęku siodła i pozostał na grzbiecie wierzchowca. Bell przestał strzelać, gdy koń wraz z jeźdźcem zniknęli w głębi lasu.

Nagle Bell usłyszał za plecami głośny huk wystrzału. Czyżby kolejny uzbrojony bandyta? Tym razem odgłos doszedł spomiędzy wież wiertniczych. Tuż po nim rozległ się metaliczny szczęk, jak uderzenie kowalskiego młota, a odpowiedział mu ostry trzask, przypominający eksplozję spłonki albo niewielkiego ładunku dynamitu.

Oślepiający błysk oświetlił całą rafinerię.

Powietrze zadrgało głuchym odgłosem wybuchu. Podmuchi zerwał pokrycie z jednego z tworzących zewnętrzny pierścień zbiorników ropy. W niebo wzbijała się chmura potrzaskanych kawałków drewna i słup czarnego dymu. Zgodnie z przypuszczeniami Bella pierwsza eksplozja spowodowała wybuch oparów, gromadzących się w zbiorniku nad powierzchnią surowej ropy, która teraz zapaliła się od płonących gazów.

O tym, że sytuacja groziła zniszczeniem całej rafinerii, świadczyły grupy nafciarzy, biegnących z łopatami i kilofami, by wykopać rów oddzielający płonący zbiornik od pozostałych. Ściągali do pożaru z wież wiertniczych i

rafinerii, ze szmacianego miasteczka i z saloonów. Kilku z nich toczyło armatę na dwukołowej lawecie.

Widok wytaczanego w tej sytuacji działa polowego mógł wydać się niedorzeczny, ale Bell, w ramach przygotowań do śledztwa, zleconego przez Komisję Korporacyjną, zapoznał się gruntownie z branżą naftową. Standardowa procedura gaszenia płonącego zbiornika zakładała przedziurawienie ścianek poniżej poziomu cieczy, aby spuścić z niego ropę zasilającą ogień. Wykorzystanie w tym celu artylerii pozwalało ludziom pozostać poza zasięgiem ewentualnej eksplozji.

Jedno z kół lawety ześliznęło się do płytkiego rowu i ugrzęzło po oś w grząskiej glebie. Bell natychmiast skierował w tę stronę locomobile'a, pędząc z maksymalną prędkością, na jaką pozwalała porośnięta kępami trawy preria. U podstawy kolumny gęstniejącego dymu dostrzegł oślepiające ognisko pożaru, które z każdą chwilą rosło, stawało się coraz bardziej rozległe i coraz jaśniejsze.

Bell obrócił kierownicę w lewo do oporu i podjechał możliwie jak najbliżej z boku armaty, ale tak, by koła samochodu pozostały na twardym gruncie. Sięgnął po linkę holowniczą owiniętą wokół zapasowych opon i rzucił jej koniec ludziom przy dziale, którzy natychmiast przywiązali ją do lawety. Potężny samochód ruszył i wyciągnął armatę z rowu. Utrzymując umiarkowaną prędkość, aby nie zostawić w tyle obsługi działa, Bell zaciągnął armatę na pozycję dającą czyste pole ostrzału w kierunku płonącego zbiornika.

Płonąca ropa wrzała i pieniała się w potwornym wirze czerwonych płomieni, białej pary i czarnego dymu. Ludzie okopujący zbiornik nie zdołali już dłużej wytrzymać bijącego od niego żaru. Musieli się cofnąć. Nagle wrząca, spieniona ropa eksplodowała. Gigantyczne macki płynnego ognia wystrzeliły w niebo, po czym spadły na ziemię i sąsiednie zbiorniki.

Strażacy cisnęli na ziemię łopaty i rzucili się do ucieczki. Ledwie uszli z życiem. Chwilę później, jeden po drugim, eksplodowały dwa kolejne zbiorniki. Pokrywy wyleciały wysoko w powietrze, niesione przez gejzery płomieni, które kaskadami spadały na nienaruszone dotąd zbiorniki. Ściana jednego z nich pękła i na ziemię spłynęła fala ropy. Czarna, spieniona maź przeląła się przez rowy, zniosła płonącą szopę i się zapaliła.

Płynny ogień rozlewał się coraz szerzej i coraz szybciej.

Płomienie przeskoczyły przez zewnętrzny wykop biegnący wokół rafinerii. Kilka budynków buchnęło ogniem, który szybko rozprzestrzenił się na całą

rafinerię i podszedł pod największy zbiornik w całym Kansas, zbudowany przez Spike'a Hopewella w celu przechowania niesprzedanej nadwyżki benzyny.

Obsługa działa wymieniła przerażone spojrzenia.

– Strzelajcie! - krzyknął Bell. - Piorunem!

Z ich oczu wycierał strach. Większość czmychnęła w popłochu. Bell został z trójką najodważniejszych: niezależnym wiertaczem, wyróżniającym się długimi butami do konnej jazdy i dewizką od kieszonkowego zegarka, siwobrodym weteranem wojny secesyjnej w furażerze i młodym farmerem w sponiewieranym kapeluszu.

– Nie możemy strzelać w benzynę - zaprotestował wiertacz.

– Zbyt lotna - poparł go stary wiarus. - Rozwali zbiornik jak nitrogliceryna i zabije wszystkich w promieniu kilometra.

– Jeśli wystrzał nie zainicjuje eksplozji, to i tak zrobi to ogień - zauważył Bell. Intensywnie myślał nad wyjściem z sytuacji. Jego wzrok padł na lokomotywę manewrową, stojącą na boczniczy.

– Kto potrafi ją obsługiwać?

– Ja - zgłosił się brodac.

– Podprowadź ją jak najbliżej zbiornika.

Bell wyciągnął rękę i wskazał ogromną szpulę liny wiertniczej. Pozostała dwójka natychmiast zrozumiała, co zamierza. Na usmolonych twarzach mężczyzn pojawił się grymas przerażenia. Jego plan wyraźnie im się nie spodobał.

– To nasza jedyna szansa - ostrzegł ich Bell.

Szpula miała prawie dwa metry wysokości. Wyciągnęli wolny koniec ze zwoju, napanarli ramionami na szpulę i zaczęli rozwijać linę. Kilku przyglądających się temu z boku ludzi pośpieszyło im z pomocą.

Podbiegł do nich mechanik z kluczem francuskim i torbą pełną zacisków linowych, śrub i nakrętek.

– Całkiem wam odbiło! - wrzasnął, przekrzykując ryk pożaru. - Nie pozostaje nic innego, jak się do was dołączyć!

Wygiął wolny koniec liny w pętlę, zabezpieczył ją zaciskiem i pociągnął w stronę lokomotywy, a pozostali wraz z Bellem chwycili drugi koniec i pobiegli pod zbiornik benzyny.

Za ich plecami i po bokach płonęły zbiorniki z ropą. Wznosiły się nad nimi słupy dymu, wirujące jak tornada, które wysoko łączyły się w jeden czarny całun, zasnuwający całe niebo.

Bell wraz z pomocnikami, ścigani ogniem, dociągnęli linę pod sam zbiornik, wielki jak trzypiętrowa kamienica. Do metalowej ściany była przymocowana drabina. Bell zarzucił sobie pętlę liny na ramię i zaczął wspinać się po szczeblach. Pozostali pchali linę w górę, aby choć trochę mu ulżyć. Dysząc ciężko, dotarł do krawędzi zbiornika i wciągnął się na drewnianą pokrywę. Tuż za nim wszedł na górę farmer, dźwigając łom i siekierę.

– Czy mógłbyś przynieść mi francuza?

– Co chcesz zrobić?

– Na razie wybiję dziurę w pokrywie - odpowiedział Bell i wziął szeroki zamach siekierą. - No leć, bo tu może zaiskrzyć.

Pożar rozprzestrzeniał się coraz szybciej. Eksplozja kolejnego zbiornika z ropą wyrzuciła w powietrze ognistą fontannę. Nie mając wiele czasu na wyrąbanie otworu, Bell dziękował w duchu za doświadczenie, jakie zdobył, gdy udawał drwała podczas jednego z poprzednich śledztw. Miarowymi uderzeniami siekiery ciął zabezpieczone papą deski pokrywy.

Po chwili wybił otwór tuż przy metalowej ścianie. Buchnęły z niego opary benzyny, przyprawiając go o zawrót głowy. Tymczasem na szczyt zbiornika wrócił zdyszany farmer. Podał Bellowi klucz francuski.

– Po co ten klucz?

– Posłuży jako kotwica - odparł Bell, zaciskając szczęki francuza na końcu zapętlonej liny. - Zjeżdżaj stąd, póki możesz.

Wpuścił koniec liny z kluczem do otworu i zaklinował go mocno łomem i siekierą. Potem dał sygnał staremu wiarusowi, zszedł jak najszybciej po drabinie i pobiegł do niego.

Lokomotywa stała w odległości nieco ponad dwustu metrów od zbiornika z benzyną. Teraz zaczęła się cofać, wybierając nadmiar liny. Kiedy luz się skończył, lina uniosła się z ziemi i zawisała pod niewielkim kątem między górną krawędzią zbiornika a parowozem. W tej chwili Bell wskoczył do kabiny maszynisty.

– Teraz ja ją poprowadzę.

– Bardzo proszę.

Bell położył dłonie na dźwigniach przepustnicy i nastawnika, wpuścił parę do cylindrów i ruszył ostrożnie wstecz.

– Teraz trzeba delikatnie i z wyczuciem.

– Nieźle ci idzie, synu - zauważył z podziwem żołnierz. - Gdzieżeś się tego nauczył?

Bell obserwował z uwagą linę, która napięła się jak cięciwa łuku.

– Kiedyś, jeszcze jako student, pożyczyłem sobie lokomotywę.

Lina wiertnicza była dość mocna, aby spełnić swoje zadanie, a parowóz manewrowy dysponował wystarczającą mocą. Pytanie, czy prowizoryczna kotwica nie ześlizgnie się ze ściany zbiornika?

Trochę więcej pary. Bell wpatrywał się poprzez dym w ścianę zbiornika. Czyżby zaczynała się wyginać, czy raczej za sprawą myślenia życzeniowego widzi to, co chciałby zobaczyć?

– I dokąd pojechałeś tą lokomotywą?

– Do panny Porter.

– Do tej szkoły dla dziewcząt?

– Raczej dla młodych dam.

Jeszcze więcej pary. Teraz widział wyraźnie, że ściana zbiornika się wybrzuszyła.

Nagle lina ze świstem poleciała wysoko w powietrze.

– Lina pękła! - krzyknął weteran.

– Nie - uspokoił go Bell. - Ściana zbiornika puściła.

Jedna z żelaznych płyt szerokości dwóch metrów, z których wykonano poszycie zbiornika, odgięła się na krawędzi, strzelając zerwanymi nitami, po czym odwinęła się w dół jak wieczko konserwy. Z powstałego otworu chlusnęła rzeka benzyny.

Isaac wstrzymał oddech. Teraz możliwe były dwa scenariusze, oba równie prawdopodobne.

Przy odrobinie szczęścia wypływająca ciecz powinna zalać iskry, krzesane przez trące o siebie metalowe płyty. W przeciwnym razie, jeśli benzynowa powódź popchnie przed sobą wybuchowe opary, cała rafineria, pole naftowe, osiedle drewnianych domków, sklecone naprędce chałupy przyszłych milionerów i szmaciane miasteczko namiotowe, wszystko to w jednej chwili przestanie istnieć.

4.

Licząca pięćdziesiąt tysięcy galonów rzeka benzyny wypływała przez otwór wybity przez Isaaca Bella w poszyciu zbiornika i spadała kaskadą na ziemię. Spływała z niewielkiego wzniesienia, na którym stał zbiornik, i rozlewała się coraz szerzej bulgoczącą strugą, wirując wokół przeszkód i wypełniając wszelkie dołki i szczeliny.

– W nogi! - zawołał Bell i pierwszy zerwał się do biegu.

Wciąż jeszcze żyli, co oznaczało, że udało im się zapobiec katastrofalnej w skutkach eksplozji. Jednak pożar trwał nadal, fontanny płomieni wciąż tryskały z wybuchających zbiorników ropy i opadały na ziemię niczym ognie piekielne. Przynajmniej, pomyślał z nadzieją Bell, ludzie zyskali szansę ucieczki.

Chwilę później benzyna zapłonęła na całej powierzchni. Fale płomieni przelewały się przez prerię. Płynny ogień wlał się do rowów i spłynął nimi do odległego strumienia, który zapłonął w mgnieniu oka.

Popędzając przed sobą grupkę uciekinierów, podnosząc na nogi tych, co upadli, Bell zauważył, że znaleźli się przed domkiem, w którym Hopewell urządził swoje biuro. Niegdysiejszy przydomowy ogródek tkwił teraz jak w kleszczach pomiędzy piecem rafineryjnym a zbiornikiem ropy. Wychodziły stąd druty telegraficzne, biegnące nad zerwanym torem odgałęzienia od głównego szlaku.

Bell pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Masz połączenie z Waszyngtonem?

Telegrafista, który gapił się z przerażeniem na płomienie ogarniające stojący tuż obok zbiornik, nagle zerwał się i wyskoczył przez okno. Isaac dopadł do klucza i w zawrotnym tempie zaczął wystukiwać alfabetem Morse'a depezę do centrali Agencji Van Dorn:

PRZYSŁAĆ ŚLEDCZYCH HOPEWELL FIELD

MORDERSTWO PODPALENIE

PIO...

Nagle klucz zamilkł mu w dłoni.

Bell wyjrzał przez okno. Słupy telegraficzne, łączące Hopewell Field z systemem Western Union, biegnącym wzdłuż głównego szlaku, stały w ogniu. Druty uległy stopieniu. Ostatni wyraz nie dotarł w całości do adresata, ale każdy detektyw Agencji Van Dorn wiedział doskonale, że pilne depesze od Isaaca Bella zawsze kończyło słowo PIORUNEM!

* * *

Następnego dnia pośpieszne pociągi pocztowe przywiozły niezbędnych ludzi.

Przez dwadzieścia cztery godziny, które minęły od wybuchu pożaru, łatwopalna benzyna oraz nafta zdążyły się wypalić w całości, ale pożary wciąż szalały, bezustannie podsycane ciężką surową ropą. Bell opisał nowo przybyłym sytuację i poinformował ich, że niewiele zdążył ustalić, gdy byli w drodze, oraz oprowadził po Hopewell Field, by pokazać rozmiary zniszczenia.

– W zasadzie nie ma świadków. Przed eksplozją wszyscy byli zajęci pracą, a potem zwiewali, gdzie pieprz rośnie. Jeśli chodzi o motyw, niezależni obwiniają Standard Oil, zarówno o morderstwo, jak i podpalenie.

– Jakies dowody na związek między jednym i drugim?

– Nadziałem się na Wielkiego Pete'a Strauba w Kansas City, podobno ktoś inny spotkał go wczoraj w Fort Scott. Człowiek, któremu zrobiłem przedziałek kulą z winchestera, pasuje do przydomka „wielki”, ale nie widziałem jego twarzy.

Bell miał zapadnięte policzki i mówił schrypniętym głosem, bo od chwili zabójstwa i wybuchu pożaru nie przespał ani minuty. Oczy jarzyły mu się gniewnym błękitem, kontrastującym z okopconą twarzą. Jego przytomność umysłu i zdecydowane działania ocaliły życie wielu ludziom. Nie było żadnych ofiar śmiertelnych, nie licząc Hopewella, jednak pożar zrujnował zaprzyjaźnionych ze Spikiem niezależnych nafciarzy.

Zniszczenia objęły zarówno pole naftowe, jak i rafinerię. Od intensywnego żaru stopiły się maszyny parowe napędzające świdry i poskręcały się stalowe rury. Po drewnianych wieżach wiertniczych i szopach, w których stały pompy, pozostał tylko popiół. Zniszczone zostały szyby, których obudowy osunęły się na dno odwiertów. Z setki gotowych studni, z których już wydobywano ropę, na

palcach jednej ręki można było policzyć te nadające się do dalszej eksploatacji, z nienaruszonymi wieżami wiertniczymi i pompami.

Wally Kisley, ekspert Agencji Van Dorn od materiałów wybuchowych, odziany niczym komiwojażer w trzyczęściowy garnitur w kratkę, jako prawdziwy znawca tematu aż zagwizdał z uznaniem.

– W kwestii czynienia totalnego spustoszenia nic nie przebiję pożaru rafinerii.

Rudowłosa Archie Abbott, przedstawiciel nowojorskiej elity społecznej, a zarazem mistrz przebierania się i charakteryzacji, najlepszy przyjaciel Bella, nie krył niezadowolenia i złego humoru.

– Wcieliłem się w londyńskiego pasera, skupującego drogie kamienie w Chicago, i dzielił mnie już tylko jeden cholerny krok od przyskrzynienia Laurence’a Rosanii, kiedy szef mnie odwołał i kazał w te pędy zjawić się tutaj.

– To dochodzenie jest tysiąc razy ważniejsze od pułapki na dżentelmena włamywacza, prującego sejfy żon i kochanek chicagowskich bogaczy - tłumaczył mu Bell. - To, że Van Dorn cię odwołał, powinno ci uzmysłwić, jak ważny jest dla agencji kontrakt z Komisją Korporacyjną.

– Musimy dorwać Rosanię, zanim wraz z sejfem wysadzi w powietrze czyjś dom.

– To przeze mnie zginął stary Hopewell. - Bell przerwał posępnym tonem jego biadolenie. - Dlatego nie odpuszczę, dopóki zabójca nie zadynda na stryczku.

– Przecież nie przydzielono ci osobistej ochrony Hopewella - przypomniał Archie.

Bell zrobił krok w jego stronę, oczy błyszczały mu niczym lodowe sztylety.

Wally Kisley, znacznie starszy od nich obu, zorientował się, że Archie posunął się za daleko. Swoimi słowami wystawił na próbę łączącą go z Bellem wieloletnią przyjaźń, zapoczątkowaną na studenckim ringu bokserskim. Gestem nakazał Archiemu zamknąć jadaczkę, zanim dojdzie do pięściarskiego rewanżu, i sam zabrał głos, żeby narwaniec nie pogorszył sytuacji.

– Jesteśmy gotowi, Isaac. Bierzmy się do roboty.

– Zasadnicze pytanie brzmi, czy ci sami złoczyńcy stoją za morderstwem i podpaleniem. Archie, potrzebuję świadków. Ktoś musiał widzieć, jak snajper wspinał się na wieżę wiertniczą albo z niej schodził. Miał ze sobą karabin, być

może zamaskowany jako narzędzie. Poza tym ktoś przecież musiał zauważyć jego przekłętego konia. Wally, chciałbym, abys poszukał jakichkolwiek mechanizmów opóźniających wybuch, zegarowych albo pirotechnicznych. Prawdopodobnie mamy do czynienia z grupą przestępców, ale zastosowanie czasowego zapalnika umożliwiłoby jednemu człowiekowi uzbrojenie bomby, a potem zrobienie użytku z karabinu. Z drugiej strony, strzelcy wyborowi to wysoko wykwalifikowani specjaliści. Czy taki snajper wiedziałby, jak przygotować bombę zegarową?

– Każdy wiertacz albo pracownik rafinerii może okazać się podpalaczem - powiedział Wally. - Rafinerie z natury rzeczy narażone są na eksplozje. Wybuchają co i raz, choćby od uderzenia pioruna.

– Zmierzyłem krokami dystans między wieżą, z której strzelał sprawca, a tą, na której zginął Spike. Prawie sześćset pięćdziesiąt metrów. Każdy może być podpalaczem, ale nie każdy potrafi celnie strzelać z takiej odległości. To musiał być wyśmienity strzelec wyborowy, a taki nie brudziłby sobie rąk podpaleniem, ryzykując przy tym wykrycie. Snajperzy wolą operować z dużej odległości.

– Ładunek z zapalnikiem czasowym umożliwia oddalenie się - zauważył Archie. - Im dłuższa zwłoka, tym większy dystans.

– Zajmij się szukaniem świadków - polecił Bell.

Archie już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale Kisley nie dopuścił go do głosu.

– Pożar przygasa. Isaac, możesz mi wskazać zbiornik, który zapalił się pierwszy?

* * *

Isaac Bell, kierując się odgłosem maszyny do pisania, trafił do namiotu, rozbitego obok wypalonych ruin Hope-Hell. Tuż obok stał nieduży, odkryty powóz. Wyprzęgnięty muł pasł się na skrawku trawy, litościwie ominiętym przez płomienie. Detektyw zastukał kłykciami w słup podtrzymujący namiot.

– E.M. Hock?

Maszyna klekotała nieprzerwanie.

Schyliwszy głowę, Bell odchylił płócienne klapy namiotu i wszedł do środka. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał kobietę, pochyloną nad walizkową maszyną do pisania. Dama była do tego stopnia pochłonięta

stukaniem w klawisze, że wątpił, aby zdawała sobie sprawę z jego obecności tuż za jej plecami. Jedwabiste, kasztanowe włosy miała przystrzyżone tak krótko, że dostrzegł wdzięczne wygięcie linii karku. Jasna szmizjerka z wysoką stójką ciasno przylegała do długich, zgrabnych pleców.

Wyposażenie namiotu uzupełniało łóżko polowe ze zwiniętym śpiworem oraz stolik z maszyną do wywoływania błon fotograficznych Kodaka, obok której leżała sterta zapisanych arkuszy papieru. Na śpiworze spoczywał słomkowy kapelusz, jakby rzucony w biegu przez właścicielkę, spieszącą się, by zasiąść do pisania. Bell zaczął czytać kartkę, leżącą na wierzchu stosu.

KORESPONDENCJA SPECJALNA DLA OIL CITY DERRICK NOWOJORSKIE GAZETY PROSZONE O PRZEDRUK

Hopewell Field

Kansas

Zagadkowy pożar zmiotł należące do Hopewella budynki, zbiorniki, kolumny rektyfikacyjne i wieże wiertnicze, zburzył osiedle Kent oraz miasteczko namiotów i baraków, zamieszkane przez robotników pracujących na polach naftowych. Wysokość średnich strat przypadających na jeden szyb oszacowano na trzy tysiące dolarów. Większość została zniszczona po tym, jak rury obudowy spadły do odwiertów. Ze stu eksploatowanych studni przetrwało zaledwie sześć, z nienaruszonymi wieżami i pompami. Niezależni producenci zostali wyeliminowani. Tylko tych wiertaczy, którzy wcześniej, w tajemnicy, zapewnili sobie wsparcie ze strony firm należących do koncernu Standard Oil, stać będzie na odbudowanie zniszczonych maszynowni, spalonych wież wiertniczych i stopionych rurociągów.

– Ilu niezależnych było w rzeczywistości wspieranych przez Standard Oil? - spytał Bell.

– Niech pan to zostawi - powiedziała przez ramię. - Ten tekst nie jest jeszcze gotowy.

– Szukam osoby o nazwisku E.M. Hock.

– Jest zajęta - odparła, nie przerywając pisania.

– Podczas czytania odnosiłem wrażenie, że E.M. Hock to kobieta.
– Po czym pan to rozpoznał?
– Po większej niż zwykle dawce zdrowego rozsądku oraz zauważalnym braku patosu. Co oznaczają inicjały E.M.?

– Edna Matters.

– Dlaczego pisze pani pod pseudonimem?

– Aby nie budzić niezdrowych emocji. A pan to kto?

– Isaac Bell, Agencja Detektywistyczna Van Dorn.

Odwróciła się i obrzuciła go surowym spojrzeniem szarzielonych oczu, tylko trochę złagodzoną przez chłopięcą fryzurę.

– Czy to pan jest tym prywatnym detektywem, który przypadkowo towarzyszył panu Hopewellowi w chwili, gdy go zastrzelono?

Co za cudowne uszy, pomyślał Bell, konstatuując z zaskoczeniem, jak pociągająca może być kobieta z tak krótko przyciętymi włosami.

– Prowadzimy śledztwo na zlecenie Komisji Korporacyjnej.

– Zna się pan na przemyśle naftowym?

– Jestem ekspertem.

Sceptycznie uniosła ciemne brwi.

– Ekspertem? Jak to? Pracował pan na polach naftowych?

– Nie, panno Matters.

– Studiował pan inżynierię chemiczną?

– Nie.

– To co z pana za ekspert?

– Czytam pani artykuły.

Odwróciła się, ułożyła palce na klawiszach i wpatrzyła się w kartkę wkręconą w maszynę. Wystukała linijkę tekstu. Kąciki jej ust wygięły się w kpiącym uśmiechu. Przerwała pisanie.

– No cóż, widzę, że coś nas łączy, panie Bell. Zarówno prywatni detektywi, jak i reporterzy bezwstydnie podlizują się swoim rozmówcom, aby skłonić ich do mówienia.

– Chciałem jedynie złożyć wyrazy uznania autorce podpisującej się jako E.M. Hock za *Historię szwindli i wymuszeń monopolu naftowego*. Ma pani lekkie pióro i wykazuje się znakomitą orientacją w temacie.

– Dziękuję.

– Poza tym nie zamierzam zanudzać tak pięknej kobiety zachwykami nad jej wyglądem, bo zapewne słyszy ich bez liku każdego dnia.

– Panie Bell, niech pan będzie uprzejmy nie poruszać tematu mojej kobiecości w tej rozmowie.

To będzie jak dyskusja o świetle dziennym z pominięciem słońca, pomyślał Bell, ale nie powiedział tego głośno, bo zależało mu przede wszystkim na wyciągnięciu jak największej ilości informacji od rezolutnej dziennikarki, przysłanej tu w celu relacjonowania katastrofalnego pożaru.

* * *

– Czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Billem Mattersem?

– To mój ojciec.

– Jak więc wyjaśni pani swoje solidaryzowanie się z niezależnymi producentami?

– Solidaryzowanie się nie oznacza zaślepienia. Uważam, że drobni przedsiębiorcy to główna siła napędowa amerykańskiej gospodarki. Są odważni, a odwaga to podstawa innowacyjności, która z kolei warunkuje osiągnięcie sukcesu. Mimo to - zastrzegła z lekkim uśmiechem - nie mam żadnych złudzeń, że niemal wszyscy niezależni nafcjarze, gdyby tylko zyskali sposobność, staliby się równie bezwzględnyymi graczami jak Rockefeller.

– To rozróżnienie wyraźnie wynika z treści pani artykułów - przytaknął Bell.

– Wydaje mi się, że pan czegoś ode mnie chce, panie Bell.

Isaac wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie mogę się doczekać, aby porozmawiać z panią o tym „czymś”, kiedy już skończę dochodzenie w sprawie morderstwa, podpalenia i łamania zasad wolnej konkurencji. Na razie chciałbym się upewnić, czy prawdą jest, że pani ojciec był współnikiem Spike'a Hopewella, zanim przeszedł do Standard Oil?

– Ich drogi rozeszły się sześć lat temu. Czy właśnie o tym rozmawiał pan z Hopewellem tuż przed jego śmiercią?

– Rozstali się w przyjaźni?

– Czyżby Hopewell nie powiedział, że był wściekły na ojca z powodu jego akcesu do Standard Oil?

Bell przypomniał sobie wzruszającą historię o ucieczce syna Mattersa, a zarazem brata swej rozmówczynie, i pokręcił głową.

– Nie. Właściwie to wspominał go dość życzliwie. Jak się rozstali?

– Hopewell nazwał ojca zdrajcą. Ojciec nazwał Hopewella zaskorupiałym tępakiem. Hopewell spytał ojca, czy są na świecie ludzie bardziej nikczemni niż magnaci ze Standard Oil. - Rzuciła Bellowi wymowny uśmiech. - Świadkowie zaklinali się, że obaj jednocześnie zaczęli się okładać pięściami.

– Czy od tamtej pory rozmawiali jeszcze ze sobą? - spytał detektyw.

– Oczywiście. Sześć lat to za długo, by prawdziwi przyjaciele ciągle mieli do siebie wzajemną urazę. Poza tym obaj prosperowali doskonale. Pan Hopewell znalazł ropę w Kansas, a ojciec zarządzał systemem rurociągów Standardu.

– Jak pani ojciec przyjmie wiadomość o śmierci Hopewella?

– Ciężko to przeżyje. Bardzo ciężko.

– Czy gdybym chciał go odwiedzić, zastanę go pod nowojorskim adresem Broadway 26? - spytał Bell.

– Tak, jeśli nie będzie w podróży.

Coś uderzyło o płócienny dach namiotu. Edna Matters uniosła wzrok. Uśmiech zadowolenia na jej twarzy sprawił, że wydawała się jeszcze piękniejsza. Otarłszy się o Bella, wybiegła z namiotu. Wybiegł i on. Z nieba zwieszała się gruba lina z konopi manilskich. Sto metrów nad ich głowami unosił się w powietrzu balon gazowy z podwieszonym pod spodem wiklinowym koszem. Edna podbiegła i chwyciła wlokący się po ziemi koniec liny.

Po chwili zjechał po niej gruby jutowy worek, podobny do tych, w których banki przewożą gotówkę, i wylądował u stóp reporterki. Edna pomachała do kogoś, kto patrzył w dół z gondoli balonu, po czym pośpiesznie wróciła do namiotu i wyjęła z torby sztywną, żółtawą kopertę. Wewnątrz niej znajdował się metalowy cylindryczny pojemnik z filmem zwojowym Kodaka.

– Czy to błona do aparatu fotograficznego?

– Moja siostra wykonała lotnicze zdjęcia pogorzelniska.

– Pani siostra?

– Przyrodnia. Mój rodzony ojciec zmarł, kiedy byłem dzieckiem. Mama wyszła za Billa Mattersa, a potem urodziła się Nellie.

Edna wyciągnęła lornetkę i razem wyszli na zewnątrz.

– Odnoszę wrażenie, że jest pan koneserem kobiecej urody, panie Bell. Proszę sobie popatrzeć.

Bell wyostrzył lornetkę na kasztanowych włosach, przyciętych tak samo krótko jak u siostry, na olśniewającym uśmiechu i wyrazistych brwiach. Piękno regularnych rysów Edny było jakby spotęgowane w twarzy Nellie.

– Na wypadek gdyby moja siostra się panu spodobała, dam panu dobrą radę, panie Bell. W rozmowie z nią niech pan powstrzyma się od komplementowania jej urody i kobiecości.

– A to dlaczego?

– Niech pan czyta.

Żółty balon dryfował z lekkim wiatrem. Teraz, kiedy nie wisiał bezpośrednio nad nimi, Bell dostrzegł wielkie czarne litery na jego powłoce:

PRAWA WYBORCZE DLA KOBIET

– Sufrażetka?

– Sufrażystka - poprawiła go Edna Matters.

– A co za różnica?

– Sufrażetki starają się przekonywać mężczyzn do poparcia równouprawnienia.

– Słyszałem wystąpienie Amandy Faire w Madison Square Garden - powiedział Bell, wspominając posągową rudowłosą prelegentkę, która oczarowała w większości męską widownię.

– Piękna Amanda to książkowy przykład sufrażetki. Działalność sufrażystek nakierowana jest na kobiety. Jeśli chce pan mieć jakiegokolwiek szanse u Nellie, musi pan zrozumieć, że kobiety uzyskają prawa wyborcze dopiero wtedy, gdy wszystkie zgodnie uznają, że równouprawnienie to kwestia sprawiedliwości.

– A co z mężczyznami?

– Skoro zależy im na gorących posiłkach, uprasowanych koszulach i wygrzanym małżeńskim łożu, to nie będą mieli wyboru, muszą to

zaakceptować. Tak przynajmniej uważa Nellie... A tak na marginesie, straci pan wszelkie szanse, jeśli w jej towarzystwie choćby wspomni pan o Amandzie Faire.

– Rywalizują ze sobą?

– Jak ogień z wodą.

Pojawił się zdyszany Archie Abbott. Osłoniwszy dłonią oczy, wpatrywał się w balon.

– Jeśli dobrze widzę, to Nellie Matters, więc szykuj się na przemowę - powiedział.

– Znasz ją?

– Zeszłej jesieni byłem świadkiem jej wystąpienia podczas festynu w Illinois. Z wysokości pięćdziesięciu metrów wygłosiła porywającą orację w stylu Williama Jenningsa Bryana, po której żony patrzyły na swoich mężów jak na seryjnych morderców.

– Oto jej siostra - powiedział Bell. - Panno E.M. Hock, pani pozwoli, mój najlepszy przyjaciel, Archibald Angell Abbott IV.

Płomiennorudy Archie, w którego żyłach płynęła błękitna krew, zerwał z głowy melonik i rozjaśnił się w uśmiechu, wprawiającym w łopot serca nowojorskich dziedziczek i ich pnących się po drabinie społecznej matek, a zarazem budzącym podejrzliwość nowobogackich ojców.

– Jestem zaszczycony, panno Hock. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że pogłoski krążące wśród dziennikarzy, jakoby E.M. Hock była kobietą, znalazły wręcz olśniewające potwierdzenie.

Bell nie potrafił powstrzymać się przed porównaniem chłodnej reakcji na podobny komplement z jego strony z przychylnym uśmiechem, którym Edna obdarzyła Archiego.

– Jak to możliwe, że dotarła pani tutaj tak szybko? - spytał Archie. - Zgliszczą jeszcze na dobre nie ostygły.

– Przypadkiem znalazłam się w pobliżu, w drodze powrotnej z Terytorium Indiańskiego.

Archie skierował domyślne spojrzenie na stojącą nieopodal bryczkę.

– Tym pani podróżuje?

– Relacjonowanie gorączki naftowej zmusza mnie do bywania w miejscach, do których nie można dojechać koleją.

– Chylę czoło przed pani przedsiębiorczością i odwagą. A skoro jesteśmy przy gorączce naftowej, jak pani już zapewne wie, panno Hock, wiertacze twierdzą, że za ten pożar odpowiada Standard Oil.

– Znalazłeś świadka, który mógłby dowieść prawdziwości tych oskarżeń? - spytał Bell.

– Zgodnie z tym, co sam mówiłeś, większość z nich słyszała, że ktoś widział gdzieś w pobliżu Strauba. Chodzi o Wielkiego Pete'a Strauba, panno Hock, którego Standard zatrudnia...

– Pan Straub niedawno awansował na naczelnika policji rafineryjnej - weszła mu w słowo Edna.

– Co oznacza, że może sobie jeździć tam, gdzie zechce - dodał Bell. - Mów dalej, Archie.

– Dotarłem do faceta, który twierdzi, że widział, jak Straub wynajmował konia w Fort Scott.

– Czy widział też tego konia?

– Mówi, że był wysoki, jak konie rasy Clydesdale.

– Ten, którego ja widziałem, mógł być tej właśnie rasy. Czy twój świadek ma jakiś pomysł, dlaczego Standard Oil chciałby podłożyć ogień?

– Pogłoski na ten temat można podzielić na dwie grupy. Według pierwszej Standard Oil chce zamknąć produkcję w Kansas, aby podnieść ceny poprzez ograniczenie dostaw.

Bell z uwagą obserwował reakcję Edny.

– Standard jest wciąż mocno zaangażowany w eksploatację pól naftowych w Pensylwanii i na Terytorium Indiańskim, które są dość ubogie, co zwiększa koszt wydobycia - powiedziała. - Jeśli cena nie wzrośnie, Standard zacznie ponosić straty.

– Co dalej, Archie?

– Wyznawcy drugiej, dość karkołomnej teorii twierdzą, że Standard Oil buduje rurociągi prowadzące przez Kansas do bogatszych złóż w Oklahomie. Kiedy podłączą je do międzystanowej linii przesyłowej, całkowicie ominą pola naftowe Kansas i doprowadzą do zamknięcia tutejszego wydobycia. Po przyparciu właścicieli do muru Standard odkupi od nich roponośne tereny i przetrzyma ropę pod ziemią z myślą o przyszłości. Naturalnie chodzi o przyszłość Standardu.

Bell znów popatrzył na Ednę. Dziennikarka się roześmiała.

– Mając ojca nafcjarza, łatwo się przekonać, że wszelkie pogłoski dotyczące Standard Oil zawsze się sprawdzają. W dodatku Rockefeller dowiaduje się o nich pierwszy.

– Także w tym przypadku? - spytał Bell.

– To, co dotyczy Kansas, pasuje idealnie. Tak właśnie działa Standard. Wydaje się też, że rośnie liczba nowych odwiertów na Terytorium Indiańskim i w Oklahomie. Jednak strategia Standardu nie obejmuje strzelania do ludzi i podkładania ognia.

– To samo powiedział mi Spike Hopewell.

– A jednak został zamordowany - stwierdziła Edna. - Nie znamy natomiast przyczyny pożaru.

– Na razie - rzucił Bell. Zdawał sobie sprawę, że jedyną zbrodnią, do której na pewno doszło, było zabicie Hopewella przez snajpera. Co do przyczyny pożaru, to mógł ją określić jedynie detektyw Wally Kisley, który nie lubił, aby ktokolwiek wchodził mu w paradę, dopóki sam nie poprosi o pomoc.

– Jak to możliwe, że John D. Rockefeller pierwszy dowiadywał się o tych plotkach? - spytał Archie.

– Kiedy dwóch ludzi podpisuje umowę, JDR zna warunki zawartego porozumienia, zanim oni przedstawią je swoim szefom.

– Dlaczego tak się dzieje? - zdziwił się Bell.

– Opłaca informatorów, aby wiedzieć zawczasu, co w trawie piszczy, zarówno w interesach, jak i w polityce. Dotyczy to nafcjarzy, dystrybutorów, wiertaczy, kolejarzy, polityków. Nazywa ich korespondentami.

– Czy opłaca również dziennikarzy?

Edna Matters uśmiechnęła się do wysokiego detektywa.

– Wiadomo, że zdarzało mu się przeciągać reporterów na swoją stronę.

– A co oni na to?

– Nie wypada mi donosić na kolegów po fachu. Istnieje coś takiego jak tajemnica zawodowa. Nawet między przyjaciółmi.

– Czy z własnego doświadczenia wie pani, jak na to reagują dziennikarze? - spytał Archie, nie przestając posyłać jej swojego uśmiechu najbardziej pożądanego nowojorskiego kawalera.

Edna odwzajemniła jego uśmiech.

– Ja zareagowałam tak samo, jak dawny wspólnik mojego ojca, nieszczęsny pan Hopewell.

– Czyli jak?

– Proszę spytać pana Bella, to on rozmawiał z nim ostatni.

– Posłał Rockefellera do wszystkich diabłów - wyjaśnił Bell.

– W rzeczywistości użył nieco innego określenia - poprawiła go Edna. - Z relacji ojca wiem, że powiedział dosłownie: „Wolałbym zawrzeć układ z diabłem”.

– Jaka była odpowiedź Rockefellera na pani diabelskie preferencje?

– Nie mam pojęcia. JDR nie kontaktuje się osobiście. Przysyła ludzi, którzy robią to w jego imieniu.

– Jest słynnym negocjatorem. Czy jego przedstawiciele wrócili z kontrpropozycją?

– Powiedzieli, że bym to przemyślała - odparła z powagą Edna. - Tak zrobiłam. JDR nigdy nie rozmawia z dziennikarzami. Oznajmiłam im, że podzielę się informacjami pod warunkiem, że pan Rockefeller spotka się ze mną osobiście i udzieli mi wyczerpującego wywiadu.

– Co z tego wynikło?

– Nie otrzymałam odpowiedzi.

– Co ciekawe - zauważył Bell - nie próbował powstrzymać pani od pisania artykułów, w których krytykuje pani własnego ojca. O ile wiem, należy on do ścisłego kierownictwa?

– Mój ojciec jest wartościowym człowiekiem, a JDR ceni wartościowych ludzi.

– Nawet takich, którym własne córki są solą w oku? Pani artykuły nie mogły mu się podobać. Przecież pisze w nich pani nie tylko o ciemnych sprawkach, ale o jawnym łamaniu prawa.

– To, że nie próbował zamknąć mi ust, świadczy chyba na korzyść pana Rockefellera?

Przerwało im pojawienie się usmolonego i wymazanego smarem Wally'ego Kisleya.

– Isaac, czy mogę cię prosić na chwilę? - spytał Wally, uchyliwszy kapelusza na widok Edny.

– Już idę - odrzekł Bell. - Ty też chodź, Archie.

Wally poprowadził ich do zbiornika, który pierwszy wyleciał w powietrze.

– Niesłychane! - entuzjasmował się Archie. - Dziennikarz, który nie śmierdzi wodą i cygarami!

– Trzymaj się od niej z daleka - ostrzegł go Bell. - Byłem pierwszy.

– Gdyby nie to, że jestem prawie zaręczony z dwiema pannami, których wiano obejmuje dobrze prosperujące huty, rzuciłbym ci wyzwanie.

– Skup się na tym, że im szybciej schwytamy zabójcę Hopewella, tym szybciej będziesz mógł wrócić do ścigania swojego złodzieja kosztowności.

– Co to ma wspólnego z panną E.M. Hook?

– Zamiast nią, zajmij się szukaniem świadków. Sam zobaczę, co odkrył Wally.

Archie pomknął prosto do jednego z wagonowych saloonów. Bell dołączył do Kisleya, który stał przy stercie popiołu i pogiętej blachy. Zbiornik surowej ropy wyglądał teraz jak zgnieciona papierowa torba.

– Wybuch nastąpił, kiedy byłeś koło strumienia? - upewnił się Wally.

– Za tamtym zakrętem - pokazał Bell.

– Czy przypadkiem nie usłyszałeś wystrzału z karabinu?

– Na pewno nie stąd.

– A zza pleców? Z pola naftowego?

– Coś słyszałem. Nie wiem, czy to był wystrzał.

– Ale mógł być?

– Chyba tak. Panował wtedy potworny harmider. A dlaczego o to pytasz?

– Zobacz, co znalazłem - powiedział Wally. Trzymał w dłoni dziwnie ukształtowany, zaokrąglony kawałek żeliwa, do którego był przymocowany kwadratowy wspornik. - Ostrożnie, jest jeszcze gorący. Włóż moją rękawiczkę.

Bell ściągnął mu rękawiczkę z lewej dłoni i wziął przez nią metalowy przedmiot.

– Ciężki.

Przyjrzał mu się z uwagą. Przedmiot miał piętnaście centymetrów wysokości. Po jednej stronie całą powierzchnię pokrywały małe wgłębienia, jak od punktaka.

- Podobny do kaczki odwróconej do góry nogami.
- To samo sobie pomyślałem.

Bell obrócił przedmiot wspornikiem do dołu.

- To naprawdę jest kaczka.
- Faktycznie, ma kształt kaczki.
- Wiesz, co to może być? - spytał Bell.
- Ty mi powiedz.

Bell doskonalił się w zawodzie detektywa pod okiem Wally'ego i jego partnera, Macka Fultona. Jedną z rzeczy, których nauczył się podczas swojej praktyki, było powstrzymywanie się z wydawaniem opinii, zanim partner sam się zapozna z tematem, aby nie wpływać na jego spostrzeżenia.

- To jest cel ze strzelnicy. Przewracająca się kaczka.

Wally potwierdził kiwnięciem głowy.

– Wspornik jest połączony zawiasem z prowadnicą. Kaczka przewraca się po trafieniu pociskiem.

- Gdzie to znalazłeś?
- Dziesięć metrów od zbiornika, który wybuchł pierwszy.
- Co o tym sądzisz?

– Hałas, który usłyszałeś tuż przed eksplozją, mógł być wystrzałem karabinowym. Kula uderzyła w tę kaczkę, a to uruchomiło detonator.

– A więc kiedy ja ścigałem snajpera uciekającego na koniu, inny strzelec wyborowy zdetonował ładunek, który zapoczątkował pożar.

– Tak właśnie myślę. Strzelił do kaczki, ona zaś, trafiona pociskiem, przewróciła się i pod wpływem wstrząsu pobudziła detonator.

– A może człowiek, którego ścigałem, był puszczonej tylko na wabia - myślał głośno Bell - podczas gdy prawdziwy zabójca nie ruszył się z miejsca i jednym strzałem wywołał pożar.

– Użył jako celu kaczki ze strzelnicy - powiedział z niejakim podziwem Wally Kisley. - Musi mieć wysublimowane poczucie humoru.

– Jakoś nie jest mi do śmiechu - burknął Bell. - Podziwiam jednak zimną krew sprawców. Musieli przecież zainstalować kaczkę, detonator i dynamit pod samym nosem pracujących tu ludzi. Jak to możliwe, że nikt niczego nie zauważył?

– Gorączka naftowa. Wszyscy byli zajęci robieniem wielkich pieniędzy.

5.

O północy, kiedy księżyc przesunął się już odrobinę ku zachodowi, powiał leciutki, ciepły wiatr. Zabójca siedział na zydlu, zrobionym z przeciętej beczki, przed nastawnią obok towarowej stacji kolejowej. W środku było ciemno, bo aż do rana nie przewidywano żadnego przyjazdu ani odjazdu pociągu.

Zabójca zapalił hawańskie cygaro Ramón Allones i wyciągnął z kieszeni płaszcz skórzany woreczek, w którym trzymał złoty medal, pięćdziesięciodolarowy banknot i list napisany na grubym papierze. Zadowolony z siebie wypuścił kółko z dymu, jednak delikatny powiew zniweczył efektowną sztuczkę.

Medal był ciężki jak złota dwudziestodolarówka. Widniały na nim koncentryczne kręgi, jak na tarczy strzelniczej, z zaznaczonym w samym środku punktem, oznaczającym trafienie w dziesiątkę. Zawieszony był na czerwonej wstążce, przewleczonej przez spłaszczone złote uszko, na którym wygrawerowano napis „Strzelec wyborowy”.

Pięćdziesięciodolarowy banknot wyglądał całkiem zwyczajnie, jednak na jego odwrocie znajdował się odręczny podpis prezydenta. Zabójca wyobrażał sobie, jak zapracowany prezydent woła: „Zaraz! Dajcie mi go jeszcze na chwilę. Złożę na nim swój autograf dla tego dzielnego, młodego żołnierza”.

Z pewnością był to podpis Theodore’a Roosevelta, bo taki sam widniał na liście gratulacyjnym, wystukany przez niego na maszynie, jak miał w zwyczaju pisać wszelkie osobiste listy, na papierze z nagłówkiem Białego Domu. Zabójca przeczytał go chyba po raz setny w świetle żarówki znad drzwi nastawni.

BIAŁY DOM

Waszyngton 1 października 1902

Drogi Żołnierzu,

Przed chwilą dowiedziałem się, że wygrałeś Prezydenckie Zawody Strzeleckie w ramach Mistrzostw Armii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pragnę osobiście pogratulować. ..

Zabójca pominął dyrdymały o honorze pułku i wyjątkowych przymiotach ochotników, jakby to oni celowali i naciskali spust. Zero szans. Potem zaczynało się najlepsze:

Gratuluje zwycięstwa oraz wytrwałości i determinacji...

Chrzęst tłucznia pod naciskiem czyichś stóp przerwał jego rozmyślania. Szybko wrzucił wszystko do woreczka i schował go do kieszeni.

– Dlaczego tutaj? - spytał wyraźnie poirytowany Bill Matters. - Czy nie byłoby nam wygodniej spotkać się w mojej komfortowej salonce?

– To zbyt pretensjonalne - odrzekł zabójca. - A ja cenię sobie prostotę.

Zanim Matters zdążył odpowiedzieć, zabójca wskazał cygarem stojącą obok beczkę.

– Przyznam, że stołki byłyby wygodniejsze, gdyby położyć na nich poduszki.

Mimo ciemności trudno było nie zauważyć gniewu na twarzy Mattersa.

– Dlaczego, do cholery, wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozsądku strzelasz do Hopewella w obecności detektywa?

Zabójca nie przeprosił i nie zamierzał się usprawiedliwiać. Zamiast tego powiedział wyniośle:

– Parafrazując skorumpowanego senatora Plunkitta z Tammany Hall, dostrzegam cel i go eliminuję.

Bill Matters aż zatrząsł się z wściekłości.

– To ja się płaszczę całe lata przed tymi świętoszkowatymi sukinsynami, a ty przez swoją niefrasobliwość narażasz mój misterny plan.

- Nikt mnie nie widział. Detektyw nawet się do mnie nie zbliżył.
- Ale przez ciebie zwała się do Kansas cała zgraja vandornowców.
- Przecież już skończyliśmy działalność w tym stanie.
- O tym, czy skończyliśmy, decyduję ja.

Matters miał poważny kłopot. Zabójca, niezbędny do realizacji planu, funkcjonował w rzeczywistości i stanie ducha, których nie dało się kontrolować, a tym bardziej zrozumieć. Wprawdzie mając w ręku broń, działał sprawnie jak dobrze naoliwiona maszyna, ale po wykonaniu zadania nabierał złudnego przekonania, że nie może go spotkać nic złego, że szczęście zawsze będzie po jego stronie i nie grożą mu żadne konsekwencje.

– Dziwi mnie twoje niezadowolenie. - Zabójca przerwał, by wypuścić obłoczek dymu. - Wydało mi się oczywiste, że ucieszy cię wyprawienie starego przyjaciela na tamten świat.

– Detektywi Van Dorna mają takie powiedzenie: „Nigdy się nie poddajemy!” - burknął Matters, po czym stwierdził z niechęcią, że wywołało to jeszcze bardziej obojętną odpowiedź.

– Nigdy? Ja też mam swoje powiedzenie: „Nigdy się do mnie nie zbliżaj”. Ci, którzy podejda zbyt blisko, zginą. - Zabójca strzepnął popiół z cygara. - Kto następny?

- Pewien facet z Teksasu załazł mi za skórę.
- Jak się nazywa?
- C.C. Gustafson.
- Aha!

Zabójca kiwnął energicznie głową, wyrażając w ten sposób uznanie dla przebiegłości zleceniodawcy. C.C. Gustafson był nie tylko wydawcą gazet, który bruździł Mattersowi, ale przede wszystkim konsekwentnym krytykiem poczynań Standard Oil i przywódcą podżegaczy wielbionym przez reformatorów, którzy zagięli parol, by przepędzić znieawidzony trust z Teksasu.

– Przez ciebie wokół tej sprawy zaczęli węszyć najlepsi detektywi Van Dorna - powiedział Matters. - Musimy odsunąć od nas wszelkie podejrzenia.

Morderca nie przejawiał z tego powodu choćby najlżejszego poczucia winy. Wręcz przeciwnie, zastosowanie przez Mattersa formy „my” sprawiło mu

wyraźną satysfakcję, spychając w niepamięć niefortunne zabicie Spike'a Hopewella pod samym nosem vandornowca.

– Poczęstujesz się cygarem?

Matters pokręcił odmownie głową.

– Genialnie! Opinia publiczna spodziewa się wszystkiego co najgorsze po Standardzie. O zamordowanie Gustafsona ludzie oskarżą budzącego strach giganta, którego wszyscy uwielbiają nienawidzić.

– Potrafisz tego dokonać?

– Czy potrafię? - Zabójca potwierdził przyjęcie zlecenia teatralną frazą: - Możesz uważać prasy drukarskie C.C. Gustafsona za zatrzymane.

Matters nie wątpił, że maszyny staną. Kula w łeb na pewno załatwi sprawę. Bardziej martwił się tym, że wkrótce może nadejść moment, w którym przestanie panować nad zabójcą, pracującym na jego prywatne zlecenie.

6.

Isaac Bell pojechał do Independence w hrabstwie Montgomery, niedaleko granicy Terytorium Indiańskiego, na spotkanie z koronerem. Woźny sądowy wskazał mu drogę do ponurego pomieszczenia. Był tam tylko hydraulik naprawiający chłodnię, który poradził Bellowi, aby zajrzał do więzienia. Doktor McGrade składał właśnie wizytę naczelnikowi w jego apartamencie znajdującym się nad celami. Panowie popijali whiskey z filiżanek do herbaty i uprzejmie zaproponowali Bellowi, by do nich dołączył.

Jak większość poznanych przez detektywa mieszkańców Kansas, doktor McGrade był w pełni świadom dochodzenia prowadzonego przez Komisję Korporacyjną i szczerze popierał wszelkie działania, mające na celu powstrzymanie ekspansji Standard Oil. Bell wyjaśnił mu, czym się zajmuje.

– Chętnie bym panu pomógł, detektywie, ale nie wiem jak. Czyżby koroner hrabstwa Bourbon nie przeprowadził autopsji pana Hopewella?

– Już z nim rozmawiałem. Interesują mnie ustalenia w sprawie śmierci Alberta Hilla.

– Chodzi o tego gościa z rafinerii - wyjaśnił McGrade naczelnikowi - który utonął w destylatorze.

Szef zakładu karnego łyknął z filiżanki i pokiwał głową.

– Pamiętam, to było, zdaje się, w Coffeyville.

– Czy badając zwłoki pana Hilla, znalazł pan jakiegokolwiek ślady ran postrzałowych?

– Postrzałowych? Pan raczy żartować.

– Pytam najzupełniej poważnie. Widział pan rany postrzałowe?

– Nie czytał pan mojego raportu na temat przyczyny zgonu?

– Zapoznałem się z nim w sądzie.

– Wobec tego, do diaska, powinien pan wiedzieć, że Hill wpadł do destylatora pełnego wrzącej ropy! Zanim ktokolwiek to zauważył i wyciągnął nieszczęśnika, został z niego tylko szkielet i kłamra od paska. Cała reszta się rozpuściła. - Przerwał, po czym z ironicznym przymrużeniem oka dodał: - Jest coś, czego nie napisałem w raporcie: kłamra wyglądała na nienaruszoną.

– A jak wyglądały kości? Jakies złamania?

– Owszem, złamanie kości udowej, dawno zrosnięte. Zapewne przytrafiło mu się w młodości.

– Żadnych otworów w czaszce?

– Tylko te, które zrobił dobry Bóg, abyśmy mogli widzieć, słyszeć, oddychać, jeść i co tam jeszcze.

– A kręgi szyjne, czy były uszkodzone?

– Akurat co do tego nie mam stuprocentowej pewności.

– Dlaczego?

– Nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z Komisją Korporacyjną...

Bell nie widział przeciwwskazań, aby dopuścić koronera i naczelnika więzienia do tajemnicy. Kiedy wieść się rozniesie, być może zgłosi się ktoś z dodatkowymi informacjami o Albercie Hillu.

– Pan Hopewell został zastrzelony, kiedy rozmawiał ze mną o dochodzeniu prowadzonym przez komisję, dlatego uznałem za stosowne zapoznanie się z okolicznościami śmierci innych niezależnych nafciarzy.

– W porządku, teraz wszystko jasne.

– Dlaczego więc nie ma pan pewności, czy kręgi szyjne Hilla nosiły ślady uszkodzeń?

– Bo nie wszystkie zostały odnalezione. Krążki międzykręgowe i tkanka chrzęstna musiały się rozpuścić, dlatego kręgi oddzieliły się od siebie.

– Nie znalazłem tego w pańskim raporcie.

– Uznałem, że to nieistotne dla określenia przyczyny śmierci.

– Czy to samo stało się z resztą kręgosłupa?

– Nie bardzo rozumiem...

– Czy kręgi piersiowe i lędźwiowe oddzieliły się i rozsypały tak samo jak szyjne?

Doktor zamilkł. Odezwał się dopiero po chwili.

– A wie pan, że nie. Pozostałe odcinki kręgosłupa zachowały się w całości. Tak samo większość odcinka szyjnego.

– Większość?

– Dwa kręgi były połączone z czaszką, a cztery z odcinkiem piersiowym kręgosłupa.

– Ile kręgów liczy odcinek szyjny u człowieka?

– Siedem.

– A więc brakuje tylko jednego.

– Owszem, jednego - przytaknął McGrade. - Zapewne opadł na dno destylatora. Po pewnym czasie naturalnie uległ rozpuszczeniu. Wszedł w skład oleju opałowego, nafty, benzyny, a nawet smarów.

– Ale...

– Ale co, panie Bell?

– Czy to pana nie zdziwiło?

– Co niby miało mnie zdziwić?

– Powiedział pan, że dwa pierwsze kręgi były połączone z czaszką. Brakuje więc kręgu numer trzy, nieprawdaż?

– Z całą pewnością.

– Czy nie ma pan ochoty rzucić okiem na drugi i czwarty kręg odcinka szyjnego?

– Raczej nie.

– A ja mam.

– Po co?

– Założmy, że to nie rozpuszczenie się krążka międzykręgowego jest powodem braku trzeciego kręgu. Być może coś wyrwało go z kręgosłupa pana Hilla.

– Co by to miało być? - zastanawiał się głośno koroner i po chwili sam sobie odpowiedział. - Kula karabinowa...

– Racja - przytaknął Bell. - To mogła być kula. Nie korci pana, żeby to sprawdzić?

– Szczątki tego człowieka zostały już pogrzebane.

– Mimo to ja bym je obejrzał - oznajmił Bell.

– Jestem zdecydowanym przeciwnikiem ekshumacji. To wyjątkowo paskudna robota.

– Ale z tego nieszczęśnika zostały przecież same kości.

Doktor McGrade kiwnął głową.

– To prawda. W dodatku wypolerowane do czysta, jakby biedak zmarł sto lat temu.

– Otóż to - powiedział Bell. - Tym bardziej warto je obejrzyć.

– Pożyczę panom łopaty - zaoferował się naczelnik więzienia.

* * *

Koroner z Fort Scott, dużego węzła kolejowego, w którym zbiegało się kilka linii, był potężnie zbudowanym, młodym lekarzem z wiecznie zagniewanym wyrazem twarzy, jakby stale miał do wszystkich o coś pretensje.

– Zauważył pan rany po kulach? - spytał Bell.

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego powiedział pan „oczywiście”?

– Proszę przeczytać mój raport w aktach sprawy.

– Już czytałem.

– W takim razie wie pan, że Reed Riggs spadł z peronu na tory prosto pod lokomotywę, a jego ciało zostało starte na miazgę?

– Owszem, ale...

– Co znowu?

– Z pańskiego raportu wynika, że nie zrobił pan nic poza spisaniem relacji funkcjonariuszy policji kolejowej, według których Riggs wpadł pod lokomotywę i został przez nią przejechany.

– Co pan sugeruje?

– Niczego nie sugeruję - odparł Bell. - Mówię panu prosto w twarz, doktorze, że nawet nie zbadał pan zwłok Riggsa.

– Została z niego kupa poszarpanego mięsa i kości. Wpadł pod lokomotywę. Czego pan się spodziewa?

– Spodziewam się, że urzędnik państwowy, który bierze pieniądze za ustalenie przyczyny śmierci obywatela, nie będzie uchylał się od swoich obowiązków.

– Słuchaj pan, panie prywatny detektywie...

– Nie, to pan mnie posłucha, panie doktorze! Żądam, aby zbadał pan zwłoki Reeda Riggsa!

– Riggs leży w grobie od dwóch tygodni.

– To go pan wykop!

Koroner zerwał się na równe nogi. Niemal dorównywał Bellowi wzrostem i był od niego ze dwadzieścia kilo cięższy.

– Radzę po dobroci, wynoś się pan stąd, póki jeszcze możesz! Podczas studiów zarabiałem na chesne walką w ringu.

Isaac zrzucił z ramion płaszcz i zdjął kapelusz.

– Ponieważ nie mamy rękawic, przypuszczam, że obsłuży mnie pan gołymi rękami.

* * *

– Co ci się stało w rękę? - spytał Archie Abbott.

– Skaleczyłem się podczas golenia - odparł Bell. - Co sądzisz o tamtym zbiorniku wody?

Spacerowali po peronie stacji Fort Scott na linii St. Louis - San Francisco, tym samym, z którego tuż przed śmiercią spadł nafciarz Reed Riggs.

– Niewykluczone - odpowiedział Archie, rozważając możliwość oddania strzału z dachu zbiornika do miejsca, w którym stali na peronie. - Pasuje mi też

budynek nastawni, mówiąc szczerze, nawet bardziej. Dogodny ką ostrzału z dachu.

– Ale jak zdołałby się tam dostać niezauważony przez dyżurnych ruchu?

– Mógł wejść o zmroku, wykorzystując hałas przejeżdżającego pociągu.

– A jak zszedł na dół?

– Zaczekał do nocy.

– Gdyby spudłował i ktoś go zauważył, znalazłby się w pułapce, bez szans na ucieczkę.

– Jesteś pewien, że Riggs został zastrzelony?

– Nie do końca - odrzekł Bell. - Ewidentnie ma dziurę w czaszce, w kawałku kości skroniowej, który nie został całkiem strzaskany. Jednak podobne obrażenia mogły powstać w wyniku nadziania się na gwóźdź do mocowania szyn albo uderzenia w ostrą krawędź tłucznia.

– A co powiedział koroner?

– Był skłonny przyznać mi rację.

* * *

Bell i Archie pojechali pociągiem do Coffeyville, miasta leżącego tuż przy granicy Kansas i Terytorium Indiańskiego, które rosło jak na drożdżach dzięki gorączce naftowej. Zlokalizowali rafinerię i zbiornik, w którym zginął Hill podczas naprawy mieszalnika.

Rozglądali się za miejscem, skąd mógł paść strzał. Sprawdzili dach oddalonej o niemal czterysta metrów kotłowni, a potem bednarni. Obie lokalizacje zapewniały idealne pole ostrzału. Obok bednarni znajdowała się bocznic kolejowa, na której rozładowywano pociągi z drewnem do produkcji klepek.

– Ruch jak w mrowisku, łatwo wtopić się w tłum - stwierdził Archie.

– Ja stawiam na kotłownię - oznajmił Bell. - Paleniska wytwarzają taki hałas, że nikt nie usłyszałby wystrzału.

– Jeśli w ogóle ktoś strzelał.

– Przecież ci już mówiłem. - Bell westchnął. - Wygląda na to, że drugi kręg odcinka szyjnego został draśnięty.

– Sposób, w jaki zabił Spike’a Hopewella, świadczy, że byłby w stanie trafić zarówno Hilla, jak i Riggsa - powiedział Archie. - Dziwi mnie jednak, że nikt go nie widział. Albo jest w czepku urodzony, albo w sposób przemyślany wybiera najdogodniejszy moment.

Bell nie zgodził się z tym poglądem.

– Mogło tak być, jeśli chodzi o Hilla. Natomiast moment zabójstwa Riggsa podyktowany był wjazdem lokomotywy. W obu przypadkach strzały zostały oddane przez snajpera tak samo wyrachowanego i precyzyjnego jak ten, który zabił Spike’a Hopewella.

– Jeśli w ogóle padły tu jakiekolwiek strzały - nie dawał za wygraną Archie.

Wally poparł go:

– Może i były strzały, co by wyjaśniało, dlaczego obaj upadli. Jednak równie dobrze mogło być tak, jak Hopewell powiedział Isaacowi, że jeden przewrócił się, bo był pijany, a drugi nawdychał się oparów.

– Poprosiłem Grady’ego Forrera - powiedział Bell - żeby pogrzebał w ich przeszłości.

Forrer był szefem działu analitycznego Agencji Van Dorn.

* * *

Isaac Bell poszedł zobaczyć się z Edną Matters Hock. Zastał ją przy ładowaniu namiotu do powozu i pośpieszył jej z pomocą.

– Dokąd teraz?

– Do Pittsburgha.

– Tą bryczką?

– Chodzi o Pittsburgh w stanie Kansas.

– Chciałem prosić o odbitkę tego zdjęcia, które pani siostra zrobiła z balonu, ale widzę, że spakowała już pani maszynę Kodaka...

– Tak się składa, że zrobiłam dodatkową odbitkę. Pomyślałam, że może zechce pan ją obejrzeć.

Wręczyła Bellowi kopertę z fotografią.

– Aha, w środku jest jeszcze jedno zdjęcie, które Nellie zrobiła przed pożarem. Ma pan więc widok przed katastrofą i po niej.

– Przelatywała wcześniej nad tym obszarem?

– Przypadkowo. Zamierzała przemówić na konwencji wyborczej w Fort Scott, ale zmienił się wiatr i balon zdryfował tutaj. Mam nadzieję, że przydadzą się panu te fotografie.

Bell serdecznie jej podziękował.

– A propos przypadku - dodał. - Mój ojciec był oficerem wywiadu podczas wojny domowej i próbował z balonu robić dagerotypy pozycji konfederackich.

– Nie widziałam żadnych fotografii lotniczych z wojny domowej.

– Powiedział, że obraz był zamazany z powodu kołysania balonu. A kiedy wiatr ucichł, konfederacka kula rozbiła aparat, który trzymał w rękach.

– Co za niezwykła historia wojenna.

– Właściwie to ojciec rzadko opowiadał o wojnie - uśmiechnął się Bell. - A jeśli już, zawsze były to zabawne historie, takie jak ta o balonie.

– Na mnie już czas.

Pomógł jej wejść do powozu.

– Było mi bardzo miło poznać panią. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Poczuł na sobie powłóczyście spojrzenie szarozielonych oczu.

– Chętnie, panie Bell. Być może nam się poszczęści.

– A potem dokąd się pani wybiera?

– Z Pittsburgha? Jeszcze nie wiem.

– Czy mógłbym kontaktować się z panią telegraficznie przez gazetę?

– Dobrze, powiadomię redakcję, aby przekazywano mi wiadomości od pana.

Podali sobie ręce.

– Aha, i proszę pożegnać ode mnie pana Abbotta.

Bell przyrzekł, że to zrobi. Na komendę wydaną przez Ednę muł ruszył niespiesznym truchtem.

Bell pokazał fotografie Wally'emu Kisleyowi, który na ich widok gwizdnął przeciągle.

– Fascynujące. Nigdy nie widziałem świata z tej perspektywy.

Zdjęcie wykonane po pożarze przedstawiało coś na podobieństwo kropli deszczu w błotnistej kałuży. Po zbiornikach ropy zostały tylko okrągłe blizny na ziemi. Ceglane paleniska rafinerii sterczały jak ruiny zamków. Stalowe kadzie

powyginały się, pozapadały lub zostały całkiem spłaszczone. Resztki wież wiertniczych wyglądały jak kości rozwłócone przez dzikie zwierzęta.

Na zdjęciu sprzed pożaru wszystko było spowite dymem, ale rafineria wyglądała równie dobrze, jak na projekcie architektonicznym. Widać było wyraźnie, że Hopewell zaprojektował ją tak, aby maksymalnie usprawnić proces otrzymywania benzyny z surowej ropy.

– Popatrz, od razu widać, dlaczego wysadzony został ten właśnie zbiornik.

– Ale celem sprawców był zbiornik benzyny. Dlaczego od razu go nie wysadzili?

– Nie mogli się do niego dostać. Stał na otwartym terenie, dobrze widoczny ze wszystkich stron. Nie zdołaliby niepostrzeżenie podłożyć ładunku i zainstalować kaczki ze strzelnicy. Ale popatrz na to. Wybrali ten właśnie zbiornik, aby mieć pewność, że po pierwszej eksplozji rozpęta się piekło. Ktoś znał się na rzeczy.

* * *

Mack Fulton, detektyw o lodowatym spojrzeniu, specjalista od ścigania włamywaczy, przyjechał z Nowego Jorku ubrany na czarno, jakby wybierał się na pogrzeb. Przywiózł nowiny dla Archiego Abbotta.

– Złodziej kosztowności, którego nowojorska policja ochrzciła Lotnikiem z Piątej Ulicy, mając na uwadze jego wyrafinowany gust i umiłowanie piękna, wygląda mi na twojego Lawrence’a Rosanię.

To wzbudziło zainteresowanie Archiego, bo Rosania był znany z tego, że nie kradł nieatrakcyjnych klejnotów, choćby nawet były warte krocie. Ponadto, podobnie jak wspomniany Rosania, Lotnik z Piątej Ulicy pruł sejfy na wyższych piętrach okradanych domów.

– Nowojorscy gliniarze uważają, że wspina się po ścianach, ale mnie się wydaje, że dostaje się na górę, flirtując z damami i oczarowując dżentelmenów, dokładnie tak, jak twój człowiek.

– Jak zdołał dostać się tam tak szybko? - zastanawiał się Archie. Do ostatniego włamania w Nowym Jorku doszło w niecałe dwadzieścia cztery godziny po wyglądającym na robotę Rosanii skoku w Chicago.

– Ekspresem 20th Century Limited?

– No cóż, byłoby go na to stać, nawet gdyby był sprawcą ledwie połowy kradzieży, o które go podejrzewamy.

– Tym samym nakreśla konkurencję między nowojorskimi i chicagowskimi paserami, co pozwala mu wytargować wyższą cenę za fanty. A właśnie, Isaac, przypomniałem sobie, że mam dla ciebie wiadomość od Grady’ego Forrera.

Bell rozerwał otrzymaną kopertę. Niestety, Forrer nie znalazł powiązań między Hopewellem, Hillem i Riggsem. Żadnych wspólnych interesów ani zatargów. Łączyło ich jedynie to, że wszyscy byli niezależnymi nafciarzami. Nawet jeśli faktycznie zostali zastrzeleni, to nie z pobudek osobistych.

– Jedyne, co wiem na pewno, to fakt, że Hopewell został zastrzelony. Dwa pytania, panowie - przez kogo i z jakiego powodu?

– Hopewell miał wroga, który go nienawidził tak bardzo, że zabił Hopewella, i przypadkiem był strzelcem wyborowym, potrafiącym oddać celny strzał z sześciuset pięćdziesięciu metrów - wysnuł swoją teorię Archie.

– Może inaczej - odezwał się Mack Fulton. - Hopewell miał wroga, który go nienawidził tak bardzo, że wynajął kogoś do zabicia Hopewella, a ten ktoś okazał się strzelcem wyborowym, potrafiącym oddać celny strzał z sześciuset pięćdziesięciu metrów.

– Jeszcze inaczej - powiedział Wally Kisley. - Hopewell miał wroga, który go nienawidził tak bardzo, że do zabicia Hopewella wynajął zawodowego mordercę, posługującego się karabinem o skutecznym zasięgu ponad sześciuset pięćdziesięciu metrów.

– Stawiam na zawodowca, o którym mówi Wally - zdecydował Bell.

– Bo zawodowiec pasuje do twoich podejrzeń, że pozostali dwaj, Hill i Riggs, także zostali zastrzeleni. Weź jednak pod uwagę, że musiałby to być wybitnie uzdolniony strzelec.

– Przyjmijmy chwilowo, że zostali zastrzeleni. Na czyje zlecenie?

– Wszyscy trzej byli niezależnymi nafciarzami, zwalczającymi Standard Oil.

– Czy Hopewell nie był przypadkiem kongregacjonistą? - spytał Wally Kisley, uśmiechając się do Macka Fultona. Obaj partnerzy odznaczyli się wybitnym poczuciem humoru, dlatego w agencji przezywano ich „Weber i Fields”, od znanego duetu komików wodewilowych.

– Nie, Hopewell to presbiterianin.

– Szkoda - westchnął z udawanym żalem Wally. - Gdyby był, od razu moglibyśmy przymknąć Rockefellera.

Gazety aż huczały od opowieści o bostońskim zgromadzeniu kongregacjonistów, które odrzuciło milionowy datek Johna D. Rockefellera, uznając, że są to „brudne” pieniądze.

– Te pieniądze na pewno są brudne - powiedzieli chórem Wally i Mack - ale nie śmierdzą!

– Skupcie się - napomniął ich ze śmiechem Bell. - W ostatnich słowach wypowiedzianych do mnie Hopewell wspomniął coś o asach w rękawie, dzięki którym będzie mógł dokończyć budowę rurociągu na wybrzeże. Wally i Mack, znajdźcie wszystkich jego znajomych z Kansas i spróbujcie ustalić, co planował.

– Masz to jak w banku, Isaac.

– Archie, znajdź Wielkiego Pete’a Strauba. Ustal, gdzie był w chwili zabójstwa Spike’a. Dowiedz się, czy to nie jego postrzeliłem z winchestera. I uważaj na siebie.

– Dzięki za troskliwość, ale potrafię sobie z nim poradzić.

– Zrobisz, co zechcesz, pod warunkiem że dopadniesz go samego - odparł stanowczo Bell. - Jeśli jednak będzie miał towarzystwo, skontaktuj się z Wallym i Mackiem, zanim się do niego zbliżysz. Postaram się wrócić jak najprędzej.

– A dokąd się wybierasz?

– Do Waszyngtonu.

– Przecież nie masz nic do zameldowania.

– Nie jadę w tym celu.

– A po co?

– Zamierzam wziąć szefa pod włos.

7.

Do 1905 roku Agencja Detektywistyczna Van Dorn objęła zasięgiem działania całe Stany Zjednoczone i miała oddziały w wielu miastach, nie tylko w tych największych. Centrala nadal mieściła się w chicagowskim hotelu Palmer House, gdzie Van Dorn założył swoją szybko rozwijającą się firmę. Jednak gdy dostrzegł możliwość zwielokrotnienia zysków prywatnej agencji detektywi-

stycznej o ogólnokrajowym zasięgu przez świadczenie usług dla rządu federalnego, nie radzącego sobie ze ściganiem współczesnych przestępców, dla których granice stanów nie były żadną przeszkodą, spędzał coraz więcej czasu w waszyngtońskim biurze terenowym.

Mieściło się ono w nowym i nieznośnie zbyt kownym hotelu Willard, dwie przecznice od Białego Domu i, jak stwierdził Bell, od jego ostatniej wizyty powiększyło się o kilka dodatkowych pokoi. Rozrost ten przypisał coraz cieplejszym stosunkom szefa z prezydentem Rooseveltem, a także konsekwentnym umizgom wobec grubych ryb rządzących Departamentem Sprawiedliwości oraz Marynarką Wojenną USA, dobremu imieniu, wyśmienitej reputacji, artykułom w niedzielnych dodatkach i urokowi rodowitego Irlandczyka.

Wyłożony orzechową boazerią gabinet Van Dorna urządzony był z przepychem, aby bankierzy, przemysłowcy, senatorowie i szefowie departamentów czuli się tu jak w domu. Wyposażony był niczym centrum zarządzania wielkiej linii kolejowej w kilka telefonów, rury głosowe, elektryczny interkom, taśmowy aparat odbiorczy oraz klucz nadawczy, podłączone do prywatnej linii telegraficznej. Okna na przestrzał zapewniały widok na interesantów i informatorów, przybywających od strony Pennsylvania Avenue i Czternastej ulicy, a judasz pozwalał na podglądanie potencjalnych klientów w recepcji.

Szef był potężnym, krzepkim mężczyzną po czterdziestce o milej powierzchowności i przyjaznym uśmiechu, który mógł w jednej chwili stać się zimny jak lód. Lśniaca łysina wieńczyła jego wysoko wysklepioną czaszkę, a gęsty, rudy zarost okalał mu twarz. Głęboko osadzone oczy kryły się w cieniu krzaczastych brwi, tak samo rudych jak broda i bokobrody. Dopiero kiedy otwierał je szeroko, aby popatrzeć rozmówcy prosto w twarz, zdradzały jego ogromną inteligencję i niezłomną determinację. Przez pomyłkę można było go wziąć za zamożnego przedsiębiorcę. Przestępcy, którzy popełnili ten błąd, a było ich bez liku, trafiali przed oblicze sprawiedliwości.

Van Dorn spojrzał na Bella ze szczerą sympatią. Właśnie pochylał się nad mikrofonem jednego z trzech stojących na biurku lichtarzowych telefonów, przyciskając słuchawkę do ucha zwiniętą w pięść wielką dłonią. Drugą chwycił rurę głosową i rzucił przez nią zwięzłe polecenie. Następnie zamknął rurę

zatycką, wykrzyczał serię rozkazów do telefonu, zamasyście odwiesił słuchawkę, chwycił inny telefon i powiedział przymilnym tonem:

– Panie senatorze Stevens, chyba nikt dotąd tak wspaniale mnie nie ugościł jak pan i pańska małżonka w zeszły weekend...

Do gabinetu wpadł sekretarz w samej kamizelce, z muszką pod szyją i rewolwerem w kaburze pod pachą. Położył na biurku przepisany na maszynie list, wyciągnął wałek z dyktafonu marki DeVeau, założył nowy i wypadł, zabierając zapisany.

– ...dziękuję, panie senatorze. Liczę, że zje pan ze mną lunch w klubie Cosmos... Owszem, należę. Zapewniam pana, że byłem bardzo zaskoczony, kiedy zaproponowali mi członkostwo. Kto wie, co się za tym kryje... A więc widzimy się w przyszłym tygodniu.

Odwiesił słuchawkę i podpisał list leżący na blacie biurka.

– Dobrze cię widzieć, Isaac.

– Dzień dobry. Wygląda pan kwitnąco, sir.

– Ledwie nadążam z robotą, jak jednoręki tapeciarz. Co cię sprowadza z Kansas?

– Mam pewną prośbę, która początkowo może się panu wydać dziwna.

– To ja decyduję o tym, czy coś jest dziwne, czy też nie. Czego sobie życzysz?

– Chciałbym, aby nakłonił pan Johna D. Rockefellera do wynajęcia agencji w celu schwytania strzelca wyborowego, który zamordował Spike'a Hopewella.

Van Dorn wyprostował się w fotelu i popatrzył podejrzliwie na wysokiego detektywa.

– To rzeczywiście dziwna prośba, nawet jak na ciebie. Dlaczego Rockefeller miałby to zrobić? Przecież wie, że prowadzimy przeciwko niemu dochodzenie na zlecenie Komisji Korporacyjnej.

– Przywiozłem panu najnowsze gazety z Topeka i Kansas City.

Rozłożył na blacie biurka „Kansas City Journal” i „Kansas City Star” i wskazał nagłówki krzyczące o zamordowaniu Spike'a Hopewella, a potem otworzył je na wstępniakach.

Van Dorn szybko przebiegł artykuły wzrokiem.

– Żądają głowy Rockefellera. Piszą o nim tak, jakby osobiście pociągnął za spust. Czyżby wiedzieli coś o prezesie Standard Oil, czego my nie wiemy?

– Naturalnie Rockefeller nikogo nie zastrzelił, ale przez to zabójstwo mieszkańcy Kansas nienawidzą go jeszcze bardziej niż dotychczas. Już wcześniej rozjuszyło ich to, że cena surowej ropy spadła do siedemdziesięciu centów za baryłkę, a nafty podskoczyła do siedemnastu centów za galon. A odkąd Standard Oil zablokował budowę ich rurociągów i zabrał im cysterny kolejowe, uważają go za diabła wcielonego.

– Sugerujesz więc, że zlecając nam schwytanie zabójcy, Rockefeller poprawi swoją reputację - powiedział z powątpiewaniem Van Dorn.

– Jak twierdzi E.M. Hock, z myślą o poprawie wizerunku przekupił całą masę dziennikarzy. Ciążący na nim zarzut morderstwa znacznie utrudni im robotę.

– Jest to jakiś pomysł - stwierdził ostrożnie Van Dorn. - Muszę to sobie przemyśleć.

Bell wiedział z doświadczenia, że przemysłowcy pryncypała mogą zabrać sporo czasu, dlatego szybko powiedział:

– Będzie to też korzystne dla agencji.

– Jak to?

– Inni magnaci i bogacze, niczym stado głodnych wilków, obserwują pilnie każdy jego ruch. Jeśli zauważą, że zrobiliśmy dla niego dobrą robotę, zwrócą się do nas, kiedy sami będą musieli skorzystać z usług agencji detektywistycznej. Tak samo jak pańscy przyjaciele z Departamentu Sprawiedliwości, US Navy, a nawet z Departamentu Skarbu - o ile dobrze pamiętam, senator Stevens zasiada w komisji do spraw finansów.

– To prawda - przytaknął Van Dorn. - Święta prawda. Zobaczą, co się da zrobić. Będę musiał pociągnąć za kilka sznurków.

– Możemy załatwić to inaczej. Wpadłem na pewien pomysł - powiedział Bell.

Van Dorn ściągnął brwi.

– Zdaje się, że przyszedłeś do mnie z obmyślonym planem.

– Rockefeller utrzymuje rozległą sieć tak zwanych korespondentów i płaci im za gromadzenie i przekazywanie mu informacji. Założę się, że ma ich sporo w senacie, a nawet w samej Komisji Korporacyjnej. W dodatku ma możliwość

kontrolowania treści depesz, przysłanych przez dzierzawione łącza telegraficzne, pociągnięte wzdłuż rurociągów.

– Zdaję sobie sprawę, że Rockefeller, bardziej niż którykolwiek inny biznesmen, docenia potęgę informacji. Departament Wojny i Secret Service mogłyby się od niego wiele nauczyć. Na czym polega ten twój pomysł?

– Możemy się postarać, aby dotarła do niego plotka, jakoby zabójca pracował dla Standard Oil.

– Jak chcesz tego dokonać?

– Nasi ludzie podsuną tę wiadomość jego korespondentom. Poza tym możemy przesłać spreparowane depesze przez dzierzawione linie telegraficzne.

– Po to, by Rockefeller odniósł wrażenie, że opinia publiczna jest przekonana, iż to Standard Oil wynajął płatnego mordercę?

– Dokładnie. I tu pojawiamy się my, proponując mu schwytanie zabójcy. Ponadto, jeśli nas zatrudni, będziemy mogli niejako od środka przeświecić Standard Oil w poszukiwaniu dowodów w naszym śledztwie przeciwko niemu, prowadzonym dla komisji.

– Coś w rodzaju konia trojańskiego? - spytał Van Dorn.

Isaac Bell się uśmiechnął.

– Sam bym tego lepiej nie określił.

* * *

Wielki Pete Straub nie był człowiekiem, któremu łatwo było zaimponować. Już samą potężną posturą wzbudzał powszechny lęk. Spotykając go naprzeciw siebie na chodniku, ludzie woleli przejść na drugą stronę ulicy, cofali się pod ściany, kiedy wchodził do pomieszczenia i pierzchali w popłochu, widząc, jak sięga po trzonek kilofa. Przywykł już do ich strachu i traktował wszystkich z pogardą. Tym, co odróżniało go pospolitych knajpianych awanturników i pozwoliło mu wybić się ponad szarą masę, była umiejętność rozpoznawania tych nielicznych osobników, którzy dysponowali nieograniczoną władzą i których nie powinien próbować przestraszyć. Wiedział, że czasem warto powiedzieć „tak, proszę pana”, bo to może mu się opłacać.

Właśnie jednym z takich ludzi był ten mikrus z karabinem. Wyglądał na bogatego, a przynajmniej na kogoś, komu niczego nie brakuje. Płacił hojnie, dziesięć razy więcej, niż Pete zarabiał w firmie, świadczącej usługi

ochroniarskie dla Standardu. W dodatku w złocie, natychmiast po wykonaniu roboty. Odzywał się rzadko, zawsze bardzo cicho, jedno wyszeptane słowo zamiast dwóch, i tylko wtedy, gdy nie wystarczało posłużenie się gestem. Był czujny jak wilk, zawsze w pełni świadom, co dzieje się wokół niego. Był cierpliwy, potrafił siedzieć bez ruchu cały dzień, czekając na dogodny moment do oddania strzału. I nigdy nie tracił głowy, nawet jeśli coś poszło nie tak.

Jednak potężnemu zabijace ze Standardu najbardziej niezwykłych doznań dostarczała sama tylko obserwacja zabójcy. W jego rękach smukły, bezkurkowy savage 99 wyglądał jak śmiertelnie niebezpieczny grzechotnik. Chwilami, myślał Wielki Pete, nie sposób było stwierdzić, gdzie kończą się jego palce, a zaczyna niebieskawa stal. Nosił rękawiczki, czarne i ściśle dopasowane, niczym druga skóra, z niewielkim wycięciem w miejscu, w którym palec dotykał spustu. Kapelusz miał lekko skrócone rondo, zdaniem Strauba specjalnie, by osłaniać okular lunety, a jednocześnie nie przeszkadzać przy strzelaniu. Podobna do kowbojskiej ciemna chusta, obwiązana wokół szyi, okrywała mu policzki i kark.

A jak ten facet strzelał! Trafiał ludzi, których Straub nawet nie był w stanie dostrzec. Oczywiście, miał karabin z lunetą, ale to było coś więcej niż przybliżająca moc szkła, bardziej przypominało jakiś magiczny spektakl. Po opuszczeniu lufy pocisk zmierzał pewnie do celu niczym ekspres po torach, tworząc swoiste połączenie między palcem na spuście a głową ofiary.

Zabójca skinął na Pete'a, żeby przygotował się do oddania strzału. Jego oczy nie wyrażały niczego, a ręce pewnie trzymały broń.

Po raz pierwszy Pete miał strzelać razem ze snajperem. Wcześniej zdarzało mu się zabezpieczać drogę odwrotu przed ewentualnym pościgiem albo ściągać na siebie ogień, jak wtedy, gdy vandornowiec gonił go po zastrzeleniu Hopewella w Kansas. A teraz, na południu Teksasu, w rozbudowującym się szybko mieście Humble, przykucnęli obok siebie na płaskim dachu, za atrapą wysokiej fasady saloonu. Planując akcję krok po kroku, zabójca postanowił strzelać przez otwory w ażurowym zwieńczeniu ozdobnego frontonu.

Zadanie Strauba ograniczało się do wybicia szyby. Jego ręce ani drgnęły, ale czuł, że pocą mu się dłonie. Był wyśmienitym strzelcem. Powtarzalny karabin Springfield 1903 to dobra broń, a powierzchnia celu wynosiła ponad pół metra kwadratowego.

C.C. Gustafson, wydawca gazety „Humble Clarion”, który zrobił karierę na krytykowaniu praktyk stosowanych przez Standard Oil w Teksasie i

prowokowaniu legislatury do wyrzucenia trustu poza granice stanu, stał po drugiej stronie okna nad składem tekstu.

Wielki Pete wycelował w krwistoczerwoną plamę jego krawata.

– Nie próbuj go trafić - wyszeptał zabójca.

– Wiem - odparł Straub. - Mam tylko rozbić szybę.

Skąd on wiedział, w co celuje? Nic nie uchodziło jego uwagi. Straub minimalnie przesunął lufę karabinu, biorąc na cel środek szyby.

– Teraz!

Wielki Pete ściągnął spust. Zagrzmiał springfield. Szyba rozpadła się na kawałki.

Wydawca podniósł wzrok i zagapił się na moment, po czym usiłował ukryć się za prasą.

Savage zabójcy wydał z siebie ostry trzask. Wydawca przechylił się w tył. Nagle, ku zdziwieniu Strauba, zabójca strzelił jeszcze raz. W następnej sekundzie biegli już skuleni na drugą stronę dachu. Potem zeszli na dół po drabinie i popędzili alejką na tyłach saloonu.

– Świetny strzał! - wykrzyknął uradowany Straub.

– Pudło - odrzekł zabójca beznamiętnym głosem.

Zza rogu wyszedł jakiś człowiek. Miał rozpięty rozporek, jakby właśnie zamierzał wysikać się pod ścianą. Rozejrzał się, szukając miejsca, skąd padły strzały, i dostrzegł biegnących prosto na niego ludzi z karabinami.

– Zlikwiduj go - rozkazał zabójca.

Straub skręcił mu kark.

Zabójca gestem pokazał mu co dalej. Straub przerzucił sobie trupa przez ramię i pobiegli dalej, zgodnie z wyznaczoną wcześniej trasą ucieczki. Kiedy oddalili się od saloonu, zabójca bez słowa polecił Straubowi porzucić martwego mężczyznę obok beczki na deszczówkę i wsunąć pod zwłoki jego springfielda.

* * *

Grady Forrer, analityk Agencji Van Dorn, wysłał Bellowi depezę, aby powiadomić go o strzelaninie w dalekim Teksasie, która mogła mieć związek z prowadzonym przez niego śledztwem. Bell znał Forrera od chwili, kiedy Van Dorn zatrudnił go i polecił mu stworzyć dział analityczny, dlatego ufał jego

ocenie sytuacji. Natychmiast zatelegrafował do Teksasa Walta Hatfielda, znakomitego detektywa Van Dorna, wychowanka Komanczów i byłego rangersa, który prowadził jednoosobowe biuro terenowe agencji w największym stanie w całej Unii.

ZBADAJ ZAMACH NA WYDAWCĘ W HUMBLE.
CZYŻBY OIL?

8.

Bili Matters w kółko czytał doniesienia prasowe o przesłanej transatlantyckim kablem depeszy Johna D. Rockefellera z Cannes we Francji do szkółki niedzielnej kościoła baptystów przy Piątej Alei. Gazety z Nowego Jorku i Cleveland opublikowały jej treść w styczniu, kiedy jeszcze przebywał za granicą, a potem, przez całą wiosnę, była ona wielokrotnie przedrukowywana w innych gazetach, które korzystały z mądrości wielkiego człowieka, aby inspirować czytelników i zapełniać miejsce na szpaltach.

ROZKOSZNY WIATEREK. PRZYGLĄDAM SIĘ RYBAKOM
Z SIECIAMI NA PLAŻY I ZERKAM NA SŁOŃCE WSTAJĄCE
NAD PIĘKNYM MORZEM ŚRÓDZIEMNYM. MIJAJĄ
KOLEJNE PRZYJEMNE I OWOCNE DNI.

W dyrekcji Standard Oil tajemnicą poliszynela były zabiegi sprzedajnych dziennikarzy, mające na celu kreowanie pozytywnego obrazu Rockefellera przez zamieszczanie fikcyjnych artykułów w gazetach. Jednak Matters podejrzewał, że w tej depeszy chodziło o coś więcej niż przekształcenie publicznego wizerunku zachłannego bogacza w łubianego przez wszystkich dobrodusznego staruszka. Gdzieś w głębi czuł, że Rockefeller wykorzystywał szyfrowane wiadomości do informowania swoich sędziwych współników o tajemniczym zagranicznym przedsięwzięciu, którego warunki negocjował, udając emeryta podróżującego po Europie.

Cokolwiek knuł stary pirat, Matters zamierzał mieć w tym swój udział.

Nieobce mu były kodowane informacje. Sam porozumiewał się w podobny sposób z zabójcą, wydając mu zaszyfrowane instrukcje za pomocą drobnych ogłoszeń zamieszczanych w dziennikach. Był głęboko przekonany, że ten telegram miał ogromną wagę, dotyczył jakiegoś wielkiego projektu, który rzekomo emerytowany prezes miał czas wykreować dzięki przejęciu jego codziennych obowiązków przez takich jak on podwładnych. To dlatego Rockefeller zaryzykował konsultację z potajnym wspólnikiem, ukrytym wśród dyrektorskiej kadry.

Staruszek Clyde Lapham, jeden z pierwszych wspólników Standard Oil, został odsunięty na boczny tor z powodu postępującej demencji. Kiedy pozostali zorientowali się, że stracił swą siłę przebicia, zaczęli wykluczać go z co bardziej intratnych, prywatnych interesów. Starzec wiedział, albo raczej wyczuwał, co się dzieje, dlatego zaakceptował, choć nieufnie, pełną udawaną grzeczności i szacunku propozycję ze strony o wiele młodszego, energicznego Mattersa.

Kiedy Matters poruszył temat telegramu, Lapham przyznał, że jemu też pachnie to jakimś tajnym układem. Dotknięty do żywego faktem, że nie dopuszczono go do udziału w tym przedsięwzięciu, przetłumaczył zasadnicze elementy depeszy podczas kolacji, na którą Matters zaprosił go do McDonald's Oyster House przy Bleecker Street w Bowery, gdzie nikt nie powinien ich rozpoznać. Matters zamówił wino, aby rozwiązać staremu język. Lapham skupiał nieobecne spojrzenie na pustych skorupach po ostrygach, jakby tkwiła w nich jakaś tajemnica. Mówił słabym, cienkim głosem.

– „Rozkoszny wiaterek” oznacza nadchodzące wielkie zmiany - stwierdził rzeczowo Lapham. - „Przyglądam się rybakom z sieciami na plaży” to informacja, że Rockefeller obserwuje konkurentów.

Natomiast fragment „zerkam na słońce wstające nad pięknym Morzem Śródziemnym” sprawił starca w zdumienie. Zdecydowanym ruchem sięgnął w poprzek stołu, wziął do ręki pustą skorupę małża i przyglądał się jej z uwagą.

– Ojciec sir Marcusa Samuela dorobił się na sprzedaży muszli.

– Co takiego?

– Muszle. Marcus senior sprowadzał muszle morskie z Dalekiego Wschodu i sprzedawał je jako elementy egzotycznego wystroju wnętrz. A niby skąd Marcus junior miał pieniądze, które zainwestował w budowę swoich przeklętych zbiornikowców?

Sir Marcus Samuel, twórca pierwszej w świecie flotylii parowców, przeznaczonych do masowego przewozu ropy i produktów jej przetwarzania, stał na czele angielskiej kompanii Shell Transport and Trading, stanowiącej potężną konkurencję dla Standard Oil. Największy dystrybutor oleju opałowego do Indii i Chin w puszkach pakowanych w drewniane skrzynki od ponad dziesięciu lat orbitował wokół wielkiego Standardu, a ostatnio znacznie zwiększył sprzedaż dzięki utworzeniu Asiatic Petroleum Company do spółki z Royal Dutch Company.

Matters, nie bez trudności, zdołał ponownie zwrócić na siebie uwagę Laphama i nakłonił go do skupienia się na słowach „Mijają kolejne przyjemne i owocne dni”.

Po dłuższej chwili Lapham wyraził przekonanie, że w ten sposób Rockefeller informował o przygotowywaniu gruntu pod następne posunięcie. Mówiąc to, wziął do ręki inną muszlę.

– O jakie posunięcie może mu chodzić? - spytał Matters.

Lapham wzruszył ramionami.

– Przecież słońce wstaje nad pięknym Morzem Śródziemnym na wschodzie.

I wszystko jasne! Zasobne pola naftowe Baku nad Morzem Kaspijskim, skąd wydobywano ropę dla połowy świata, znajdowały się na wschodzie. Groźba chaosu zawisła nad Baku. Na skutek masakry robotników w styczniową „krwawą niedzielę” pod carskim Pałacem Zimowym w Petersburgu nasiliły się nastroje rewolucyjne, jednocześnie doszło do wybuchu otwartej nienawiści między muzułmanami a chrześcijanami. Nad polami naftowymi unosiło się widmo wojny domowej.

Bill Matters ledwie powstrzymał się, by nie ucałować pomarszczonej dłoni Laphama. Zbikowany staruszek wyświadczył mu wielką przysługę i sprawił, że łuski opadły mu z oczu. Wszystko, o czym dotychczas myślał i co zamierzał, wydało mu się nieistotne, niegodne uwagi. Nagle spojrzał na świat oczami Rockefellera.

Odczytanie zaszyfrowanej treści depeszy pobudziło Mattersa do czynu. Kierował się wiedzą, zdobytą w ciągu sześciu lat balansowania na obrzeżach wewnętrznego kręgu Gangu Standard Oil, oraz wnikliwą analizą dokonaną przez zabójcę. Prowadziły do wniosku, że Rockefeller zwięszył okazję do wyzwolenia rosyjskiej ropy z morderczego uścisku zamorskich konkurentów -

rodzin Noblów i Rothschildów oraz sir Marcusa Samuela. Na tej podstawie zadał sobie pytanie.

Dlaczego Rockefeller nie dał się skusić doraźnym korzyściom? Na skutek walk i zniszczeń w Baku światowe dostawy ropy mogły zmniejszyć się o połowę. Wówczas cena baryłki ropy wzrosłaby dwu- lub trzykrotnie, do dwóch, trzech, a może nawet czterech dolarów. Takich cen nie notowano od wielu lat. Amerykańscy nafciarze nie posiadaliby się z radości. Ale John D. Rockefeller nie był zwykłym nafciarzem.

Oczami wyobraźni dostrzegł możliwość zdobycia łupów nieporównanie więcej wartych od zysków z czasowej zwyżki cen. W wojnie domowej widział idealną sposobność do wyeliminowania Rothschildów, rzucenia na kolana Noblów i pogrążenia Shella, aby przejąć pozostałą po nich schedę dla siebie.

Bill Matters czuł instynktownie, że właśnie nadchodzi długo wyczekiwana okazja, która nigdy więcej się nie powtórzy. Cokolwiek Rockefeller planował na wschodzie, on musiał mieć w tym swój udział.

Dotychczasowy sukces, osiągnięty po dołączeniu do Standardu - objawiający się systematycznym wzrostem bogactwa i znaczenia w korporacji, choć wciąż pozostawał poza elitarnym wewnętrznym kręgiem - dowodził, że mógł liczyć na przenikającą trust atmosferę tajemniczości i dyskrecji. Dzięki niej miał możliwość nieskrępowanego działania, tym bardziej że wszyscy, od samego Rockefellera w dół, nie zwracali na nic uwagi, skupiając się na robieniu pieniędzy.

Interes kręcił się jak szalony. Powstawały nowe, ogromne rynki zbytu: paliwo dla statków i elektrowni, benzyna dla rosnącej gwałtownie liczby samochodów. Zwiększała się też podaż: nowe, zasobne pola naftowe w Kansas, Oklahomie, Teksasie, Meksyku i Kalifornii, przyćmiewały te stare, z Pensylwanii, Ohio i Indiany. Standard Oil, który jeszcze do niedawna utrzymywał wysokie ceny poprzez regulowanie poziomu produkcji, praktycznie stracił tę możliwość. Nowi konkurenci - tacy jak Gulf Oil i Texas Company - wyrastali jak grzyby po deszczu, odkąd monopolista znalazł się w ogniu krytyki reformatorów „ery postępu”, dążących do rozbicia trustu. Sam Rockefeller zajęty był prowadzonym przeciwko niemu dochodzeniem oraz zabawą w filantropa, co miało poprawić jego wizerunek w oczach opinii publicznej.

Były prezes, znalazłszy się pod rosnącą presją, musiał zrobić coś dla poprawienia sytuacji, stąd nagły zwrot w kierunku Baku.

* * *

Bill Matters zwrócił się do siwowłosego Averella Comstocka, należącego do twardego jądra „gangu”, który czerpał pokaźne profity z często zawieranych prywatnych układów.

– Mam pomysł na wspólne przedsięwzięcie.

– Cóż to za pomysł?

– Prywatna spółka z panem i panem Rockefellerem, której zadaniem będzie przekonanie Rosjan, aby zgodzili się na zbudowanie przez Standard Oil nowoczesnych rafinerii oraz odnowienie dotychczasowych, należących do Rothschildów i Noblów.

Comstock nagle zrobił się podejrzliwy.

– Jak na to wpadłeś, Bill? Czyżbyś czytał w naszych myślach?

Matters poczuł się tak, jakby ktoś dodał mu skrzydeł. Jego domysły okazały się słuszne.

– Po prostu mam nosa, jak przystało na starego wiertacza - powiedział skromnie. - Poza tym pamiętam, że dwa lata temu pan Rockefeller zastanawiał się nad nakłonieniem petersburskich banków do wspólnego zakupu pól naftowych w Baku.

– Czyś ty aby nie bawił się w podsłuchiwanie rozmów telefonicznych?

– Ależ skąd, panie Comstock.

Dowiedział się od Clyde’a Laphama, że nie był to pierwszy raz, kiedy Rockefeller wziął Kaukaz na celownik. Jeszcze wcześniej, w dziewięćdziesiątym ósmym, Standard Oil wysłał ekipę geologów w celu zbadania możliwości komercyjnej eksploatacji złóż ropy w Azerbejdżanie.

– A może podpiąłeś się pod linię telegraficzną?

– Nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać - skłamał Matters.

– Co jeszcze udało ci się wywęszyć?

– Dajmy na to, że przedstawiłbym plan przebicia Marcusa Samuela w dostawach oleju skrzynkowego do Azji.

Comstock spiorunował go wzrokiem. Olejem skrzynkowym potocznie nazywano naftę, sprzedawaną w blaszanych, prostokątnych puszkach, pakowanych po dwie w drewniane skrzynki. Azja była rynkiem bez dna.

Chińczycy i Hindusi spalali naftę w lampach, drewno wykorzystywali do budowy chat i krycia dachów, a z blachy robili garnki i dzbanki. Sir Marcus Samuel, najpotężniejszy angielski dostawca nafty do Indii i Chin, w 1901 roku złożył w biurach Standardu potajemną wizytę z zamiarem nawiązania bliżej nieokreślonej współpracy. Matters stawiał na to, że Rockefeller i Comstock nie byli zadowoleni z przebiegu rozmów.

– Pan Rockefeller woli kierować się rzetelną wiedzą, a nie nosem - rzucił Comstock.

Bill Matters nie dał się zbić z tropu.

– Nos nie ma tu nic do rzeczy.

– Wobec tego przypomnę ci, że przez piętnaście lat Standard Oil nie zdołał wygrać z Samuelem - powiedział Comstock. Nie krył pogardy dla przeciwnika. - Przebiegły Angol, wykorzystując preferencyjne traktowanie ze strony zarządu Kanału Sueskiego, stworzył największą flotyllę zbiornikowców, wożących naftę do Azji.

– Potrafię pokonać Samuela - oznajmił Matters.

– Jak?

– Trzeba obejść Kanał Sueski.

– Obejść kanał? - Pogardliwy ton w głosie Comstocka stał się jeszcze bardziej wyraźny. - Wolne żarty. Masz pojęcie, ile czasu zajmuje opłynięcie Afryki? Jak sądzisz, po co przekopali ten kanał?

– Trzeba też obejść kolej transkaukaską - odparł niewzruszony Matters. - Podobnie jak Batumi, Morze Czarne, Dardanele, Konstantynopol oraz Morze Śródziemne.

– Brednie! To niby jak, u diabła, mamy dostarczać naftę do Indii i Chin?

– Zbudujemy rurociąg z Baku do Zatoki Perskiej.

– Mówisz rurociąg...? - Na twarzy Comstocka nie drgnął nawet jeden mięsień, ale rozbiegane oczy mówiły same za siebie. - Ambitne, ale niewykonalne. Persja jest poprzecinana pasmami gór i nękana przez watażków i rebeliantów.

– Tak samo wykonalne jak nasze rurociągi, poprowadzone przez góry Pensylwanii do wybrzeża Atlantyku - odpowiedział Matters, starannie dobierając słowa. Znienawidzeni rywale sami nie zbudowali nawet centymetra własnego rurociągu, za to jemu jeden ukradli.

Comstock pokręcił głową.

– Wielka Brytania będzie toczyć bój o każdy kawałek rury, łączący Rosję z zatoką.

– Nie sądzi pan, że Standard Oil powinien zawalczyć o połowę światowych złóż ropy i wszystkie azjatyckie rynki zbytu?

Twarz Comstocka nadal przypominała nieruchomą maskę. W końcu złożył dłonie w podwójną pięść i łypnął na Mattersa znad zaplecionych palców.

– Jeśli pan Rockefeller zaaprobuje budowę rurociągu, być może zaprosi cię do uczestnictwa w tym przedsięwzięciu jako młodszego wspólnika.

Naturalnie Averell Comstock zostanie wspólnikiem pełnoprawnym.

– Będę wielce zaszczycony - powiedział Matters z udawaną pokorą.

W rzeczywistości był podekscytowany, nie tyle rolą młodszego wspólnika, co uzyskaniem dostępu do samego prezesa. Co prawda Comstock mógł mieć wątpliwości, ale natychmiast wyczuł, że budowa rurociągu to śmiała koncepcja i Rockefeller z pewnością się jej uczepli. Dlatego teraz będzie musiał działać szybko, z obawy o to, by ktoś inny nie przedstawił prezesowi podobnej propozycji.

Matters przestrzegł się w duchu przed zbytnią pewnością siebie. Starsi dyrektorzy Standardu, zazdrośnie strzegący swej władzy, należeli do najbystrzejszych graczy w amerykańskim biznesie. Niektórzy z nich mogli przejrzeć na wskroś jego knowania i zorientować się, że rurociąg to zaledwie początek wielkiego spisku.

A wówczas, zgodnie ze słowami zabójcy, wypowiedzianymi po zastrzeleniu Spike'a Hopewella, ci, którzy podejną zbyt blisko, zginą.

* * *

Bill Matters wezwał zabójcę do swojej salonki.

– Doszły mnie słuchy z Teksasu, że C.C. Gustafson żyje.

– Nic dziwnego. Był szybki jak błyskawica. Dostał dwa razy, ale żadne trafienie nie było śmiertelne.

– Co się stało?

– Zrządzenie losu - powiedział niefrasobliwie zabójca, ale nie mogąc znieść dręczącego go poczucia porażki, dodał nieoczekiwanie ponurym głosem: - Bardzo mi wstyd... obiecuję, że więcej nie popełnię takiego błędu. Nigdy.

– Nie przejmuj się Gustafsonem. Skutek zamachu jest taki sam, jakby był martwy. Wszyscy obwiniają Standard Oil.

Nie poprawiło to nastroju zabójcy.

– Klnę się na grób matki nigdy więcej nie chybić. Nigdy.

– Mam dla ciebie nową robotę. Coś całkiem innego niż dotychczas.

Zabójca pochylił się do przodu i, zaintrygowany, czekał na dalszy ciąg.

– Co to takiego?

– Ktoś ze starszyzny musi umrzeć.

– Comstock?

– Tak. Ma przekazać mój plan budowy rurociągu Rockefellerowi. Zaraz potem trzeba będzie go sprzątnąć.

– A co z Laphamem?

– Laphama na razie zostaw w spokoju.

– Bóg jeden wie, co zdołał zapamiętać - ostrzegł go zabójca ponurym głosem. - Nawet jeśli niewiele, to i tak stanowi zagrożenie.

– Później. Jest mi jeszcze potrzebny.

– W porządku. Tylko Comstock. Na razie. Mówiłeś, że to będzie coś innego, a ja nie widzę żadnej różnicy.

– Tym razem ma to wyglądać na zgon z przyczyn naturalnych. Żadnego strzelania. Żadnych dowodów morderstwa.

W mgnieniu oka ponury nastrój zabójcy zmienił się w euforię.

– Potrafię przewidzieć każdy twój krok! - aż zapał radośnie i wyciągnął z kieszonki kamizelki czerwoną fiolkę.

* * *

Przebywający w waszyngtońskim biurze agencji Isaac Bell otrzymał depezę z Humble w Teksasie. Nadawcą był Walt Hatfield.

C.C. GUSTAFSON DRAŻNIŁ STANDARD
ZOSTAŁ RANNY ALE WYŻYJE
PODEJRZEWANY PRZEZ SZERYFA SPRAWCA
ZNALEZIONY MARTWY

Bell natychmiast pognął na Central Station. Co prawda ekspres Washington & Southwestern Limited miał pełne obłożenie, ale dzięki biletowi wolnej jazdy, otrzymanemu kiedyś od prezesa kompanii kolejowej, którego syn był jego kolegą ze szkolnej ławki, dostał miejsce zarezerwowane na stałe dla przyjaciół firmy. Konduktor powiedział mu, że chyba wszyscy jadą do Teksasu.

W palarni wypił koktajl manhattan o dokładnie takiej samej barwie jak delikatne, rozwichrzone włosy Edny Matters, a także Nellie, z tego, co zdołał dostrzec przez krótką chwilę. Zamówił jeszcze raz to samo i uniósł koktajlowy kieliszek w salucie dla Monticello, rezydencji Thomasa Jeffersona, którą pociąg właśnie mijał w zapadającym zmroku. W restauracyjnym zjadł karmazyna z rusztu, po czym położył się spać w wagonie sypialnym Pullman Palace, który dołączono do składu w Danville w stanie Wirginia.

Dwadzieścia siedem godzin później praktykant z terenowego biura Agencji Van Dorn w Nowym Orleanie wbiegł na peron Union Terminal z kolejnym telegramem od Teksasa Walta.

MARTWY PODEJRZANY SPRAWCA
OCZYSZCZONY Z ZARZUTÓW
C.C. GUSTAFSON ODZYSKAŁ PRZYTOMNOŚĆ

Isaac Bell przesiadł się do jadącego na zachód Sunset Express.

CZEŚĆ 2: TRUCIZNA

Teksas

9.

– Hummbuuulll Teksas! - wołał przeciągle konduktor. - Humble, Teksas! Dojeżdżamy do stacji Humble, Teksas!

Isaac Bell stał pierwszy przy drzwiach, na czele tłumu podekscytowanych, rozpychających się spekulantów. Kiedy pociąg, utrzymując wciąż sporą prędkość, przechylił się na ostrym łuku torów, Bell zobaczył za szybą coś, co kazało mu otworzyć okno i wystawić głowę na zewnątrz. Widział setki wież wiertniczych w otoczeniu ogromnych zbiorników surowej ropy. Po obu stronach toru stały bezładne skupiska niedawno zbudowanych baraków, pensjonatów, hoteli, saloonów oraz namiotów. Tory odstawcze i bocznicę były czarne od stojących na nich rzędów cystern.

Ale obiekt, który przykuł wzrok detektywa, unosił się na zasnutym dymem niebie ponad miastem. Był to żółty balon Nellie Matters z napisem: PRAWA WYBORCZE DLA KOBIET, na kulistej powłoce. Skąd ona się tu wzięła? Co więcej, czy przybyła w towarzystwie swej pięknej siostry, Edny?

Pociąg już wjeżdżał na prowizoryczną stację przy akompaniamencie bicia dzwonu i świstu hamulców powietrznych, gdy nagle zatrzęsła się ziemia. Zadrżały tory, zadygotały pullmany, a wszyscy ludzie w pociągu rzucili się do okien. Ze szczytu wieży wiertniczej trysnęła fontanna ropy. Strumień czarnej cieczy gwałtownie przybierał na sile. Z głębi ziemi dobył się grzmot i w tej samej chwili wieża rozsypała się na kawałki, które wystrzeliły w niebo niemal na wysokość, na której znajdował się balon Nellie Matters.

Bell ominął szerokim łukiem ryczący gejzer i chmurę czarnej mgły, ustaliwszy siłę i kierunek wiatru według nachylenia liny kotwicznej balon Nellie nad placem targowym. Większość tego zakurzonego obszaru przekształcono w szmaciane miasteczko, zastawione namiotami. Na niewielkim skrawku wolnej przestrzeni pięćdziesiąt kobiet wymachiwało transparentami:

LIGA ZRÓWNANIA PRAW WYBORCZYCH Z HOUSTON I HUMBLE, w kierunku balonu Nellie.

Bell szybkim krokiem minął plac i przecięwszy Main Street, wszedł do największego saloonu w mieście, nazwanego Pod Zwalonym Szybem. Przy barze, zgodnie z obietnicą, czekał na niego Teksas Walt Hatfield, wysoki, żyłasty, ogorzały mężczyzna z dwoma koltami w kaburach przypiętych do noszonego nisko na biodrach pasa, w kapeluszu z szerokim rondem na głowie. Obok niego stał krewki jegomość z ręką na temblaku i obandażowaną szyją. Lekka bladeść jego twarzy znamionowała niedawno przeżyty szok, ale oczy zdradzały pogodę ducha.

– Sie masz, Isaac - powiedział Hatfield i wymienił z Bellem przelotny uścisk dłoni, jakby ostatnio widzieli się wczoraj w pracy, a nie dobry rok temu. - To jest pan C.C. Gustafson.

– Craig Gustafson - przedstawił się wydawca, wyciągając zdrową rękę na powitanie.

– Isaac Bell. Winszuję, że udało się panu wyjść cało z opresji.

Bell przekonał się, że C.C. Gustafson ma wybitnie filozoficzne podejście do zamachu na swoją osobę.

– Moja mała gazetka jest niczym muszka podszczypująca gruboskórnego giganta, jakim jest Standard Oil. Szczerze mówiąc, schlebia mi to, że chciało im się mnie pacnąć.

– Czy mamy jakikolwiek powód, by przypuszczać, że to sprawka Standardu? - spytał Bell.

– Pewności nie mam, ale tak mi się coś kołacze w głowie, że dzień wcześniej przyjechał tu szef ochrony rafinerii Standardu. Zdaje się, że to było we wtorek, a postrzelony zostałem w środę.

– Może są w mieście jacyś ludzie, którym mógł pan nadepnąć na odcisk?

– Nikomu nie ukradłem konia, nie podpaliłem żadnego kościoła. Mogę też wyeliminować zazdrosnych mężów, bo nie zdradzam żony.

Isaac Bell popatrzył na surową, jastrzębią twarz Teksasa Walta w poszukiwaniu potwierdzenia.

Wyjątkowo małomówny były strażnik Teksasu zaskoczył go wygłoszeniem najdłuższego zdania, jakie Bellowi przyszło dotychczas usłyszeć z jego ust.

– Miałem przyjemność poznać Janet Sue, to znaczy panią Gustafson, w szpitalu - powiedział, niemiłosiernie przeciągając samogłoski - i mogę zaświadczyć, że w całym Teksasie nie ma człowieka, któremu przyszłoby na myśl zdradzenie takiej kobiety.

– Od lat wnerwiam Standard - odezwał się Gustafson - a ostatnio zacząłem zabiegać o to, by teksaska legislatura wydała zakaz działalności tych monopolistycznych sędów w naszym stanie.

– Zapamiętał pan coś z samego zajścia? - spytał Bell.

– Prawie nic, jak już mówiłem Waltowi. Pamięć stopniowo mi wraca, ale powoli.

– Pan Gustafson odzyskał przytomność dopiero wczoraj rano - wyjaśnił Hatfield.

– Dziwię się, że tak szybko wypuścili pana ze szpitala.

– Moja żona uważa, że szpitale są niebezpieczne dla zdrowia i życia, bo jest w nich pełno ludzi zakaźnie chorych. Zabrała mnie do domu, gdy tylko odzyskałem władzę w nogach.

Bell zwrócił się do Hatfielda.

– A co z tym martwym podejrzanym, którego szeryf oczyścił z zarzutów?

– Znaleziono go leżącego twarzą do ziemi, a pod nim karabin Springfield 1903. Facet miał złamany kark.

– Czyżby przewrócił się podczas ucieczki?

– Też tak myślałem, ale jego znajomi powiedzieli, że był niemal ślepy bez okularów, które stłukły mu się nad ranem, podczas sprzeczki przy grze w pokera.

– Udało ci się obejrzeć ten karabin?

– Szeryf nie robił problemów. Po zapachu stwierdziłem, że niedawno z niego strzelano. W pięcionabojowym magazynku zostały cztery sztuki.

– Z lunetą?

– Nie.

– Może właśnie dlatego zabójca spudłował - zastanawiał się głośno Bell, po czym zwrócił się do wydawcy.

– Co pan zapamiętał?

– Wybite okno. Właśnie składałem wstępniaka przy oknie, kiedy szyba rozprysła się na kawałki.

– Co było potem?

– Obawiam się, że moja odpowiedź na nic się panu nie przyda, panie detektywie. Potem obudziłem się w obcym łóżku, a żona robiła mi zimny okład na czoło. Rozejrzałem się. Obok łóżka stał Walt z dłońmi na kolbach pistoletów, jakby chciał odstraszyć kolejnych nieudolnych strzelców.

– Czuje się pan na siłach, by pójść do redakcji? - spytał Bell.

– Właśnie się tam wybierałem, kiedy Walt zaproponował, abyśmy wpadli tu na jednego, a potem pan się pojawił.

Poszli do siedziby gazety „Humble Clarion” dłuższą drogą, bocznymi ulicami, aby ominąć tłumy, zgromadzone wokół gejzera. Kilku robotników usiłowało zatkać nowy szyb, inni próbowali wykopać w ziemi zagłębienie, w którym zbierałaby się tryskająca ropa. Pociąg już odjechał. Większość pasażerów została.

Redakcja „Clariona” mieściła się na parterze narożnego budynku. Gustafson zaprowadził ich do zecerni, gdzie składał tekst.

– To jest to okno. Żona wstawiła już szybę i dokończyła za mnie skład wstępniaka. Najpierw musiała pozbierać porozrzucane czcionki.

Bell obejrzał ściany. Szukał otworów po kulach. Stwierdził, że pomieszczenie zostało świeżo pomalowane.

– Janet Sue posprzątała cały bałagan zaraz po oględzinach dokonanych przez szeryfa.

– Czy pani Gustafson wymieniła liczbę zagipsowanych otworów po kulach?

– Mówiła, że były trzy.

Bell spojrzał na Hatfielda.

– Ile pocisków zostało wystrzelonych ze springfielda znalezionego przez szeryfa?

– Jeden.

Isaac Bell stanął w oknie. Wychodziło na boczną ulicę. Po drugiej stronie trwała budowa drewnianego domu. Cieśle przybijali deski podłogowe do belek przyziemia. Dalej rozciągała się niska zabudowa, aż do wysokiej atrapy fasady, wieńczącej piętrowy budynek saloonu Pod Zwalonym Szybem przy Main Street, trzy przecznice dalej.

* * *

Averell Comstock, jak na swój wiek, chodził zadziwiająco sprężystym krokiem. Lubił się chwalić, że to dzięki reżimowi, jaki narzucił sobie dwadzieścia lat temu, tuż po przybyciu do Nowego Jorku. Codziennie późnym rankiem udawał się pieszo z biura przy Broadway 26 nad East River, gdzie mógł zjeść świeżo wyjęte ze skorupki ostrygi, tuż po wyładowaniu z łodzi. Konsumował je bez ketchupu i krakersów, delektując się nieskażonym, morskim smakiem małży, a zarazem zostawiał sobie miejsce na kawę i ciastko z ulicznego stoiska przy Fulton Street. Comstock prawie zakochał się w jego właścicielce, wdowie w średnim wieku o surowych rysach twarzy, łagodzonych przez piękne, niebieskie oczy.

Właśnie słodziła mu kawę. Na początku tygodnia zaczęła się upierać, by nie płacił za dolewkę, i z uśmiechem dodawała darmowy cukier. Comstock zastanawiał się, co by sobie pomyślała, gdyby dowiedziała się, że sędziwy dżentelmen w staromodnym płaszczu jest dziesięć tysięcy razy zamożniejszy od klientów, których obsługiwała.

– Czy pan aby nie jest chory? - spytała.

– Chyba coś mi dolega. - Od kilku dni czuł się wyraźnie nieswojo.

– Jakoś tak blado pan wygląda. Chyba nie jada pan ostryg? Podobno można od nich dostać duru brzuszego.

– Jem wyłącznie ostrygi ze Staten Island. Dur przenoszą te z Jamaica Bay.

– Mam nadzieję, że wkrótce pan wydobrzeje.

– Obym tylko mógł tu codziennie przychodzić. To wszystko, czego mi trzeba. - Dopił drugą kawę i oddalił się pośpiesznie. Na odchodnym rzucił: - Czas wracać do kieratu. Do jutra.

Pani McCloud postawiła na ladzie inną cukiernicę, jednocześnie chowając tę, z której słodziła starcowi kawę.

– Tylko dobrze umyj łyżeczkę.

Uniosła wzrok. Znów stał przed nią ten mężczyzna w surducie i śmiesznym kapelusiku. Patrzył na nią obojętnym wzrokiem naganiacza, podsyłającego klientów nieuczciwemu adwokatowi.

– Co jest w tym cukrze? - spytała.

– Naprawdę cię to obchodzi?

– Ani trochę - odparła, odprowadzając wzrokiem wysokiego starca, który oddalał się powoli w tłumie przechodniów wypełniających chodniki Fulton Street, aż w końcu tramwaj przesłonił jej widok.

Averell Comstock zdziwił się niepomiernie, kiedy w połowie drogi powrotnej do biura, blady i drżący ze zmęczenia, musiał zatrzymać się, aby odpocząć.

* * *

Isaac Bell i Teksas Walt Hatfield znaleźli stanowisko strzeleckie zabójcy na dachu, za atrapą fasady saloonu Pod Zwalonym Szybem. Zgodnie stwierdzili, że oddalone o niecałe trzysta metrów okno zecerni „Clariona” znajduje się na linii wzroku, co umożliwia oddanie łatwego strzału. Harmider dochodzący z saloonu, w którym nafciarze opijali swoje sukcesy, pozwalał przypuszczać, że nikt raczej nie usłyszałby wystrzału z karabinu, a jeśli nawet, to by się tym nie przejął. Miejsce nie było widoczne z innych budynków, stanowiło więc idealną kryjówkę dla zamachowca, czekającego na ofiarę.

Bell obszedł obrzeża dachu, który był lekko spadzisty, aby umożliwić spływanie deszczówki do rynny. Właśnie w rynnie dostrzegł złotawy błysk. Schylił się i z brudu osiadłego na dnie drewnianego korytka wyciągnął łuskę od naboju karabinowego.

– Niestandardowy kaliber - stwierdził, pokazując łuskę Hatfieldowi. Fabryczna łuska kaliber .303 miała zmieniony kształt. Dostosowano ją do nietypowego pocisku i nadwagi prochu, by poprawić zasięg i siłę przebiccia pocisku.

– Stosuje własną amunicję - pokiwał głową Hatfield.

– Spodziewałem się tego, sądząc po celności jego strzałów - powiedział Bell. Nic dziwnego, że doskonały strzelec wyborowy, jakim niewątpliwie był zabójca, używał ręcznie przygotowanych naboju i karabinu przerobionego przez rusznikarza na indywidualne zamówienie, z precyzyjnie wykończoną komorą naboju i specjalnie dostosowaną lufą. - Dziwi mnie tylko, że uciekł, nie pozbierawszy wszystkich łusek. Przecież to dla nas kopalnia informacji.

– Być może zorientował się, że chybił - podsunął Hatfield. - Zdenerwował się i popełnił błąd.

- Możliwe... Tak czy inaczej, to dziwne. Kaliber .303 pasuje do savage'a 99.
- Doskonała broń, choć trochę za lekka.
- Właśnie się zastanawiam, dlaczego używa takiego lekkiego karabinu. Springfield 1903 bije o wiele celniej.
- Ale jest cięższy.
- W Kansas strzelał z sześciuset pięćdziesięciu metrów.
- Z tej odległości człowiek wygląda jak łepiek od szpilki.
- Dlatego bardziej pasowałby springfield.
- A może gość jest mikry? - zastanawiał się Hatfield.
- Za mały, aby utrzymać cięższy i bardziej precyzyjny karabin? To by tłumaczyło, dlaczego musiał przerobić nabój do savage'a. Sam karabin też pewnie został mocno zmodyfikowany. - Bell schował łuskę do kieszeni. - Okej. Teraz zobaczmy, dokąd uciekł.

Hatfield dorastał wśród Komanczów i był doskonałym tropicielem. W smole użytej przy pokrywaniu dachu znalazł fragmentaryczny odcisk obcasa, który powtarzał się kilkakrotnie na ścieżce na tyłach saloonu. Krok po kroku, po nikłych śladach snajpera, doszli do toru kolejowego i przylegającej do niego stajennej zagrody, gdzie zgubili trop pośród odcisków końskich kopyt.

- Wsiadł na konia i odjechał.

W stajni kręciło się kilku *vaqueros*, zbyt starych i niedołącznych, by porzucić dotychczasowe zajęcie i poszukać lepiej płatnej pracy na polach naftowych. Walt Hatfield porozmawiał z nimi po hiszpańsku i przekazał Bellowi, czego się dowiedział. Dwaj ludzie odjechali w pośpiechu na koniach, które trzymali w stajni i polecili osiodłać godzinę wcześniej.

- Dwaj?
- Jeden duży, drugi mały.
- Mieli ze sobą karabiny?
- Byli bez broni.

* * *

W hotelach w Humble brakowało wolnych miejsc, pensjonaty też były zatłoczone do granic możliwości, ale Waltowi udało się załatwić im czyste pokoje nad stacją. Obmyli się w końskich korytach po długim, gorącym dniu i

poszli z powrotem Pod Zwalony Szyb, gdzie wcześniej Bell, wspierając się sutym napiwkami, zamówił stolik na kolację.

Po drodze mijali plac targowy. Złot sufrażystek już się skończył. Grupa obozujących tam robotników z pól naftowych urządziła sobie libację w prowizorycznym saloonie, skleconym z beczek i desek i zadaszonym brezentowymi plandekami. W pobliżu Bell dostrzegł znajomy namiot i stojącą obok bryczkę. Coś się gotowało w czarnym garnku, zawieszonym nad ogniskiem.

– Walt, chyba nie będę ci towarzyszył podczas kolacji.

Kiedy podszedł bliżej, usłyszał stukot maszyny do pisania. Zapukał w słup przy wejściu. Reporterka nie przestała pisać, klawisze terkotały w tempie karabinu maszynowego. Mimo to płachta odchyliła się i na zewnątrz wyszła smukła młoda kobieta z krótkimi, kasztanowymi włosami, o jasnym spojrzeniu i jeszcze jaśniejszym uśmiechu.

– Jeśli nie jest pan Isaakiem Bellem, to znaczy, że moja siostra utraciła swe wybitne zdolności opisu ludzi.

Wyciągnęła rękę na powitanie.

– Jestem Nellie Matters. Nie mogłam się doczekać spotkania z panem.

Bell zerwał z głowy kapelusz, podszedł bliżej i ujął jej delikatną dłoń. Kiedy przyglądał się Nellie przez lornetkę, wydawało mu się, że jej rysy twarzy nie są tak delikatne jak u siostry. Jednak z bliska jej podobieństwo do Edny było znacznie większe. Te same szarozielone oczy, jedwabiste włosy, przepięknie wyrzeźbiony nos. Jedyne, co ją różniło, to mocniej zarysowane brwi i pełniejsze wargi.

– Miałem nadzieję, że kiedyś wróci pani na ziemię.

– Wróciłam, ale na krótko.

Maszyna do pisania nagle ucichła.

– Zaproś pana na kolację! - zawołała Edna.

– Sądysz, że lubi gulasz z polnych myszy?

– Jakich myszy?! Przecież to potrawka z zajęcy.

– Uwielbiam zajęca - oznajmił Bell z entuzjazmem. - Jedna z pań musi być świetnym strzelcem.

Nellie uśmiechnęła się.

– Nie za bardzo. Edna ubiła je ze swojej czterystadziesiątki. Połamaliśmy sobie zęby na śrucinach.

Edna wyszła z namiotu. O ile Bell w pierwszej chwili nabral przekonania, że Nellie jest skończoną pięknoscią, o tyle Edna miała w sobie to coś - jakiś wewnętrzny spokój i łagodne spojrzenie - że na jej widok stracił dech w piersiach.

– Będziemy jeść ostrożnie - powiedziała. - Co u pana słysząc, panie Bell?

– Cieszę się, że panie spotkałem. Co was sprowadza do Humble?

– Domyślam się, że to samo, co pana. C.C. Gustafson.

– Pisze pani relację dla „Oil City Derrick”?

Nie odpowiedziała wprost. Wyjaśniła, że przyjaźni się z Gustafsonem, on zaś niejednokrotnie pomagał jej w zdobywaniu informacji do artykułów.

Nellie spytała Bella, czy prowadzi śledztwo w sprawie zamachu.

– Pan Gustafson niewiele pamięta - odparł wymijająco Bell.

– Powoli wraca mu pamięć - oznajmiła Edna. - Poinformował mnie, że dzień przed postrzeleniem dowiedział się o przyjeździe Wielkiego Pete’a Strauba do Humble.

Nellie się roześmiała.

– Powinien pan zaangażować moją siostrę do pomocy w śledztwie.

Bell nie zdradził, że Gustafson też mu to mówił.

– Panna Edna jest bardzo zajęta swoją pracą, zresztą zapewne nie stać mnie na jej zatrudnienie. Ale cóż to za cudowny zbieg okoliczności, że znalazłyście się panie jednocześnie w tym samym miejscu?

– Często podróżujemy razem - wyjaśniła Nellie. - Zwłaszcza do miejsc, w których samotna kobieta nie czułaby się bezpiecznie. - Tu skinęła głową w kierunku saloonu pod płachtą, gdzie robiło się coraz głośniej. - Dwie kobiety mają o wiele większą siłę przebicia niż jedna samotna dziewczyna, nie sądzi pan?

– Niech pani lepiej zapyta tych zajęcy.

– A więc zostanie pan na kolacji?

– Chętnie, skoczę tylko po jakieś wino.

– Wino? Tu, w Humble? Życzę powodzenia.

Bell uśmiechnął się szeroko.

– Czego się panie napiją do zająca?

Edna odwzajemniła jego uśmiech.

– Może schłodzonego rieslinga? Co ty na to, Nellie?

Nellie rzuciła Bellowi poważniejsze wyzwanie.

– W tę gorącą noc, z zającem i przystojnym mężczyzną u boku, mam wielką ochotę na szampana!

– Zaraz wracam - powiedział Bell.

– Dokąd pan się wybiera? - spytały chórem. - Do Houston?

– Do Nowego Orleanu! - odkrzyknął przez ramię, nie zatrzymując się.

– Tylko prosimy się nie spóźnić!

Bell poszedł prosto do Pod Zwalonym Szybem i zwrócił się do Hatfielda.

– Mówiłeś coś o najlepszym domu schadzek w tym mieście. Gdzie to jest?

– A więc nie poszło ci z tą dziennikarką?

– Zadałem ci pytanie.

– Spokojnie, kolego, tylko żartowałem. Wspomniany przybytek to Francuski Zakątek. Za rogiem, dwie ulice dalej.

Bell wszedł do Francuskiego Zakątka kuchennym wejściem i wsunął w dłoń kucharzowi dwie złote dwudziestodolarówki. Wrócił do namiotu Edny, dźwigając pod pachą beczułkę po whiskey. Kiedy zdjął wieko, siostry z zaciekawieniem zajrzały do środka.

– Lód? Skąd pan wytrzasnął lód?

– Proszę mi wybaczyć, panno Edno, ale zdobycie rieslinga okazało się niemożliwe. Czy zadowolili panią chablis?

– Jestem zdruzgotana. Trudno, niech będzie chablis. Ten jeden raz zrobię wyjątek.

– A co ze mną? - dopytywała się Nellie. - Gdzie mój szampan?

– Może być Moët & Chandon?

– Żartuje pan?

Bell wyciągnął z lodu dwie oszronione butelki.

– Edna, jedna z nas musi go poderwać, zanim nam ucieknie. Przecież ten facet to skarb.

– Oto moja propozycja - powiedział Bell. - Najpierw napijemy się szampana, a chablis zostawimy do zająca.

– Szkoda, że nie mamy szampanek.

– Muszą nam wystarczyć blaszane kubki.

– Nie ma takiej potrzeby - rozległ się znajomy głos i zza namiotu wyszedł Archie Abbott. Dzierzył w dłoni cztery wysokie kieliszki do szampana.

– Do licha, skąd tyś się tu wziął? - zdziwił się Bell.

– Przyjechałem pociągiem z Houston - odrzekł Archie, uśmiechając się czarująco do obu pań. - Krótko mówiąc, zauważyłem cię, jak taszczysz beczułkę pełną lodu, skojarzyłem fakty i szybko postarałem się o kieliszki. Panno Hock, cieszę się, że znów panią widzę. A to zapewne panna Matters, słynna latająca oratorka. - Skłonił się nisko nad dłonią Nellie. - Co za ulga, móc patrzeć na panią bez strzykania w karku.

– Zje pan z nami kolację, panie Abbott?

– Czy ty aby nie masz umówionego spotkania ze świadkiem? - zaproponował Bell.

– Nie pójdę z pustym żołądkiem.

– To byłoby okrutne, panie Bell - wtrąciła się Nellie. - Niech najpierw coś przekąsi.

– Zając ma pierwszeństwo, świadek może poczekać - podsumowała Edna.

– Panowie, otwórzcie chablis, a my nałożymy potrawkę.

Siostry podeszły do ogniska. Bell sięgnął po butelkę wina.

– Co za ślicznotki! - powiedział Archie stłumionym głosem. - W dodatku dwie, jeśli dobrze liczę. Piękne, inteligentne, czarujące, wykształcone i niezamężne. Zbytek szczęścia.

– Nie wchodź mi w paradę - mruknął Bell. - Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Nie bój nic. Moja mama selekcjonuje potencjalne narzeczone.

Nowojorscy Abbottowie stracili majątek podczas paniki roku 1893. Ponoć Archiemu wyznaczono zadanie podreperowania rodzinnego budżetu, ale Bell wątpił w powodzenie tego planu. Bardziej prawdopodobne było to, że młodzieniec zakocha się na zabój, nie dbając o pieniądze.

– Zabawne, że pojawiają się właśnie tam, gdzie prowadzisz śledztwo - zauważył Archie.

– Jak sam powiedziałaś, są inteligentne.

– Gotowe! Częstujcie się! - zawołała Nellie.

– Chętnie skorzystamy! - huknął czyjś gruby głos, tuż poza kręgiem światła z ogniska.

Sześciu czy siedmiu pijanych kowbojów i robotników naftowych odłączyło się od libacji w saloonie.

– Mówisz o żarciu czy o panienkach? - spytał wysoki, krzepki monter.

– O jednym i o drugim! - kowboj zarechotał.

Isaac Bell i Archie Abbott zerwali się na nogi.

– Dobranoc szanownym panom - powiedział Archie. - Idźcie precz.

– Bo co?

Archie zrobił szybki krok w przód i wyprowadził jeszcze szybszy lewy podbródkowy. Monter poleciał do tyłu, na swych kompanów. Kiedy rzucili się na Archiego, Bell już na nich czekał z prawym prostym, którym powalił kowboja, i lewym sierpowym, przeznaczonym dla przysadzistego wiertacza.

Do czterech pozostałych pijaków szybko dołączyło czterech kolejnych.

Detektywi stanęli ramię w ramię.

– Jeśli jeszcze ktoś się przyplącze, wyciągam spluwę.

– Za dużo ludzi na zabawy z bronią.

– Cholera, masz rację!

Nellie Matters wybuchnęła śmiechem.

– Idźcie sobie! Nasze serca są już zajęte!

Jeśli swoim żartem Nellie zamierzała rozładować sytuację, to efekt był zgoła odwrotny. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Za to Edna, jak kątem oka zauważył Bell, całkiem spokojnie popatrzyła na klapę u wejścia do namiotu, za którą stała jej strzelba.

– Bierzmy się do roboty, Archie - rzucił koledze Bell.

– Nie ma sprawy.

* * *

Sztuka polegała na tym, by nie pozwolić zgrai na przeprowadzenie skoordynowanego ataku. Detektywi wykorzystywali długi zasięg swych rąk i

mistrzowską pracę nóg, by trzymać przeciwników na dystans. Po kilku piorunujących ciosach z doskoku trzech z nich odpadło z walki. Vandornowcy cofnęli się nieco, widząc, że pozostałych pięciu czy sześciu napastników, którzy wciąż trzymali się na nogach, zastanawia się nad swoją przyszłością, gdy nagle na czoło wysunął się potężny oprych o gabarytach porównywalnych do Wielkiego Pete'a Strauba.

– Który mi podskoczy?

– To może ja - zgłosił się Bell. Błyskawicznie doskoczył do przeciwnika, zamarkował lewym i trzasnął go prawym z półobrotu, po którym wielkolud ścięty z nóg padł na plecy. Lecz chociaż wyrzwał ciężko o ziemię, nie zrobiło to na nim widocznego wrażenia. Pokręcił głową, jak koń odganiający się od natrętnej muchy, zerwał się na nogi i ruszył do szarży. Bell przyjął pozycję i zauważył, że unosząc pięść, olbrzym odsłonił splot słoneczny. Detektyw już miał wyprowadzić lewy prosty, aby wykorzystać impet napastnika, gdy nagle...

Nagle mężczyzna chwycił się za pierś i runął na Bella, jakby coś pchnęło go z wielką siłą w plecy. Nagłe przyśpieszenie zaskoczyło detektywa. Zanim zdołał zadać cios czy usunąć się z linii ataku, stu pięćdziesięciokilogramowe bezwładne ciało przygniotło go do ziemi.

Coś gorącego opryskało mu twarz. Potrawka z zająca - idiotyczna myśl przeleciała mu przez głowę w ułamku sekundy. Usłyszał huk wystrzału. Chwilę później ołów świsnął mu koło głowy i zagrzmiał kolejny strzał. A potem dostrzegł błysk w mroku nocy i trzeci pocisk snajpera trafił z brzękiem w garnek z potrawką.

– Padnij! - krzyknął Bell.

Archie jednym ruchem ramienia zagarnął Nellie i Ednę na ziemię. Bell usiłował wydostać się spod olbrzyma. Mężczyzna nie próbował go przytrzymać. Kiedy detektywowi udało się odwrócić go na wznak, dostrzegł tryskającą z jego piersi fontannę krwi, która mieniła się w świetle ogniska.

Konający awanturnik przeciął swym ciałem tor lotu kuli, przeznaczonej dla Bella.

10.

– Zdejmij but - padł rozkaz zabójcy.

Wielki Pete Straub zezował na lufę karabinu, wycelowaną w jego głowę, i oceniał możliwość otoczenia swymi łapskami szyi człowieka, któremu dał się okpić jak dzieciak. Kiepsko to wyglądało.

Powoli rozwiązywał but, czekając na właściwy moment i szykując ogromne cielsko do decydującego skoku. Zdawał sobie sprawę, że może zarobić kulkę, albo nawet dwie, zanim ujdzie z niego życie.

– Skarpetkę też.

Straub ściągnął brudną skarpetę i sięgnął do drugiego buta. Na bosaka? Dlaczego?

– Zostaw. Jeden wystarczy.

– Co do...

– Załóż ręce za plecy. Połóż się na nich. Całym ciężarem. Zamknij oczy. Mocno! Zaciśnij powieki!

– Czy to dlatego, że nie trafiłem Bella? Trafiłbym, gdybym mógł strzelać z własnego karabinu.

– Było dla mnie jasne, że nie trafisz.

– To dlaczego...

– Otwórz usta.

– Co...

Lufa karabinu zabójcy wsunięta głęboko między zęby Strauba dotknęła tylnej części podniebienia. Wielki Pete poczuł łaskotanie w gardle.

* * *

– Nie zazdrozczę szeryfowi Humble - powiedział z silnym teksaskim akcentem nie kto inny, jak Teksas Walt Hatfield.

Pod Zwalonym Szybem, wraz z Archiem Abbottem i Isaakiem Bellem, pochłaniał właśnie na śniadanie specjalność zakładu, czyli jajka smażone na słoninie.

– Ledwie się człowiek obróci, a już ktoś pada zastrzelony. Sprawcy zawsze udaje się uciec. Tylko ślepy los sprawił, że choć kule latały gęsto, mamy tylko jednego trupa. Dzięki Bogu, paniom nic się nie stało. Ty też miałeś szczęście, Isaac.

– Uwaga!

Kątem oka Isaac Bell zarejestrował jakiś ruch. Szyba w oknie rozprysła się na kawałki, a do środka wpadł spory kamień. Bell pchnął Archiego. Kamień zaledwie o centymetr minął arystokratyczny nos Abbotta i stłukł filizankę, którą Teksas Walt właśnie podnosił do ust.

Sprawca, nieogolony kowboj w średnim wieku, w poszarpanej koszuli i roboczych portkach, bujał się na flekach pośrodku Main Street. W jednym z jego butów odłaziła podeszwa. Bojowy wyraz twarzy pijaka zastygł w niemym zdziwieniu, kiedy przez wahadłowe drzwi saloonu wypadło na zewnątrz trzech wysokich detektywów z wyciągniętą bronią. Isaac Bell szachował lewą stroną chodnika swoim automatycznym pistoletem. Archie Abbott zastawiał prawą popularnym wśród miejskich gangsterów małym rewolwerem z krótką lufą.

Teksas Walt podszedł do pijanego i wymierzył dwa długolufe rewolwery Smith & Wesson prosto w jego twarz. Kiedy się odezwał, powiało chłodem, a efekt wzmocniony został lodowatym wyrazem jego oczu.

– Zechcesz wyjaśnić, dlaczego popsuleś mi śniadanie?

Pijak zadrzał.

– Zdaje się, że porwałem się z motyką na słońce.

– Co tam bełkoczesz, popaprańcu?

– Czytaliście list?

– Jaki list?

– A ten - powiedział Isaac Bell, który zdążył chwycić kamień w drodze do drzwi. Wyciągnął z buta nóż do rzucania, przeciął szpagat, którym ktoś przymocował kartkę do kamienia, wygładził papier i zaczął czytać.

– Kto ci to dał?

– Jakiś gość, wraz z piątakiem.

– Jak wyglądał?

– Był wielki.

– Miał brodę albo wąsy?

– Nie.

– Jaki kolor włosów?

– Blond.

Teksas Walt wtrącił się z pytaniem:

– Isaac, czy mam go zastrzelić?

– Za chwilę. Kiedy ten gość ci to dał?

– Ze dwie godziny temu. Chyba.

– Dlaczego nie podrzuciłeś go od razu?

– Pomyślałem, żeby najpierw wpaść na jednego.

– Zostało ci coś z otrzymanych pieniędzy?

– Ani centa.

– Masz. Kup sobie coś do jedzenia. - Bell wsunął mu w brudną dłoń złotą monetę, odwrócił się i poszedł dokończyć śniadanie. Walt i Archie podreptali za nim.

– Czemu dałeś pieniądze temu nieszczęsnemu głupcowi? - spytał Walt.

– Wyrządził nam wielką przysługę.

– Zalał mi kawę najlepszą koszulę. To ma być przysługa?

– Stajenni widzieli dwóch ludzi, pamiętasz?

– Jakich ludzi? - zainteresował się Archie.

– Tych, którzy wsiedli na konie i odjechali po postrzeleniu Gustafsona - wyjaśnił Hatfield. - O co ci chodzi z tą przysługą, Isaac?

– Kiedy kamień stłukł szybę, zdałem sobie sprawę, że tam musiało być dwóch ludzi. Ten, który strzelił pierwszy, miał tylko zbić szybę, aby snajper mógł oddać czysty strzał do Gustafsona.

– Ale on spudłował. I to dwukrotnie.

– Tylko dzięki błyskawicznemu refleksowi Gustafsona. Większość ludzi zamarłaby w bezruchu, gapiąc się w okno. I ten schemat działania się powtarza.

– Co za schemat?

– Wielki Pete to typowy pomocnik snajpera. W Kansas został wykorzystany do wyprowadzenia mnie w pole. Tu miał oczyścić drogę dla kuli. Założę się o każde pieniądze, że morderca korzystał z jego pomocy w zabiciu Alberta Hilla w Coffeyville i Riggsa w Fort Scott.

– Co jest napisane w liście? - spytał Archie.

Bell przeczytał na głos:

– „Znajdziesz mnie w I-Bar-O. Złap mnie, jeśli się odważysz”.

– Ktoś tu się naczytał kiepskich powieści - stwierdził Teksas Walt. - Dlaczego informuje nas zawczasu o urzędzeniu zasadzki?

– Faktycznie, teatralny gest - przyznał mu rację Bell.

– Raczej z kiepskiego teatru - dodał Archie.

Bell porozmawiał z właścicielem saloonu i dowiedział się, że ranczo I-Bar-O znajduje się na północ od Humble, za zakrętem rzeki San Jacinto. - Należało do Owenów, ale nie wiem, czy znajdziecie tam żywą duszę. Słyszałem, że się wynieśli.

– Jedziemy szukać wiatru w polu - powiedział Hatfield. - A to kawał drogi, zwłaszcza w tym upale.

– Załatwcie konie, siodła i winchestery i przyjedźcie po mnie do sklepu żelaznego Mike’a.

Dwadzieścia minut później Archie i Walt pojechali kłusem pod nowiutki, trzypiętrowy, murowany budynek. Zgodnie z wiszącym na nim szyldem, była to siedziba firmy Artykuły Przemysłowe u Mike’a. Sprzedaż Hurtowa i Detaliczna. Przyprawdzili luzem dużego kasztana dla Isaaca. Bell wręczył im wyjęte z jutowego worka proce i wskoczył na siodło.

– Isaac, czyś ty się szaleju najadł? Gdyby okazało się, że to jednak nie jest podpucha, to gość będzie miał karabin. Jego pomagier też.

Bell pogrzebał głębiej w worku, po czym rzucił im pudełko zapalek i kilka połówkowych lasek dynamitu z krótkimi lontami.

– To na wypadek, gdyby się zabarykadowali.

Z winchesterami w skórzanych futerałach i dynamitem w sakwach detektywi ruszyli w drogę szybkim kłusem. Przejechali ponad dziesięć kilometrów, pocąc się w dusznym, wilgotnym upale. Minęli kilka gospodarstw, które najwyraźniej splajtowały. Walt wyjaśnił, że we wschodnim Teksasie brakuje rąk do pracy przy bydło. Młodzi szukają lepszego zarobku na polach naftowych.

I-Bar-O okazało się kolejnym opuszczonym ranczem. Dym nie unosił się znad kuchni, zagroda dla koni była pusta.

Detektywi rozdzielili się, zsiadli z koni i ostrożnie, z bronią w ręku, zbliżali się do zabudowań. Obserwowali drzwi, okna i dachy. Niski, parterowy dom

mieszkalny był pusty. Podobnie jak kuchnia z zimnym piecem, zasnutą pajęczynami spiżarnią i lepami na muchy, pełnymi wyschniętych owadów. Jedynymi zwierzętami w oborze były wygłodniałe koty.

Zeszli się przed chatką dla kowbojów. Był to dość lichy domek z gęsto łątanym dachem, kilkoma małymi okienkami i wąskim gankiem. Archie wyrwał do przodu, wszedł na ganek i wyciągnął rękę do drzwi.

– Zaczekaj.

Bell zauważył grudki błota na schodkach i gestem nakazał Archiemu odsunąć się od drzwi. Rudzielec przylgnął plecami do ściany obok okna i zajrzał do środka.

– Ktoś leży na podłodze. Nie widzę go całego. Ma przy sobie karabin, ale go nie trzyma... Być może jest martwy, bo się nie porusza.

Archie znów sięgnął do klamki.

– Nie! - krzyknęli jednocześnie Bell i Walt. Żaden z nich nie wątpił w odwagę Archiego, ale nie do końca ufali jego ocenie sytuacji. Został detektywem dość późno, zatrudniony osobiście przez Bella podczas jego pierwszego dochodzenia, w którym Van Dorn pozwolił mu sformować własny oddział. Sam Van Dorn mawiał niejednokrotnie: „To cud, że nowojorski arystokrata i w dodatku jeszcze protestant potrafił tak szybko nauczyć się irlandzkiego, jak Archibald Angell Abbott IV”.

– Przecież nic się nie dzieje - zaprotestował Archie. - Facet jest sam, w dodatku nie żyje.

Walt Hatfield wycelował w niego swoje rewolwery.

– Archie, jeśli dotkniesz tej gałki, to cię zastrzele.

– Zastrzelisz mnie?

– Żeby powstrzymać cię przed popełnieniem samobójstwa. Odsuń się na bok i patrz. Isaac pokaże ci, jak to się robi w Teksasie.

Bell gestem nakazał Waltowi schować się za jakąś osłonę, wszedł na ganek, odsunął ramieniem Archiego, przywarł plecami do ściany i wykonawszy krótki ruch karabinem do tyłu, wyrznął kolbą w drzwi. Otworzyły się na oścież.

Rozległ się przeraźliwie głośny huk, od którego zadrżała ziemia.

11.

Wiązka grubego śrutu szeroka na dwóch ludzi wystrzelona z wnętrza przeleciała przez otwarte drzwi. Z obu stron futryny posypały się drzazgi. Isaac Bell wpadł do środka, zanim zabójca zdołałby przeładować broń.

Tuż za progiem stanął jak wryty. Prosto w twarz patrzyły mu dwie długie lufy myśliwskiej dziesiątki. Rzucił się w bok, runął na deski podłogi, przeturlał się i zastygł w przysiadzie. Dopiero wtedy zorientował się, że strzelba była na sztywno przymocowana do słupa.

Bell, któremu wciąż niemiłosiernie dzwoniło w uszach, opuścił lufę winchestera i rozejrzał się po wnętrzu. Pod krokwią kołysała się podkowa. Wisiała na sznurku, poprowadzonym przez kilka gwoździ do obu spustów strzelby. Otwarcie drzwi strąciło podkowę z gwoździa, a napięty pod jej ciężarem sznurek ściągnął spusty, powodując jednoczesny wystrzał z obu luf.

Wielki Pete Straub leżał na wznak na podłodze. Miał gołą prawą stopę. Rój much krążył nad postrzępioną dziurą na czubku jego głowy. Brak buta na jednej z nóg świadczył o tym, że szef gliniarzy ochraniających rafinerię popełnił samobójstwo. Umieścił lufę karabinu w ustach i pociągnął za spust dużym palcem stopy.

– Twój schemat działania wali się w gruzy - zauważył Hatfield. - Facet odszedł sam, i to z wielkim hukiem.

– Niewiele brakowało, a zabrałby nas ze sobą - powiedział Archie.

– A właśnie, czy w związku z tym nie masz przypadkiem czegoś do powiedzenia? - spytał Hatfield, unosząc brew w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Dziękuję ci, Walt. Dziękuję ci, Isaac.

– Najlepiej nam podziękujesz, zapamiętując sobie raz na zawsze, że przestępcy miewają czasem niebywale pomysły.

Bell już przyklęknął przy broni Strauba.

– Savage 99 - stwierdził.

Hadfield podniósł z podłogi zużytą łuskę.

– Niestandardowa.

Smukły, bezkurkowy savage wydał się Bellowi zadziwiająco lekki. Zauważył niewielkie przedłużenie komory zamkowej do przodu, tak jakby ktoś tu dodał centymetrowy kawałek stali. Przesunąwszy metalowy suwak, odłączył drewniane łożę, obejmujące dolną część lufy. Znajdował się na niej kwadratowy występ. W łożu był otwór o odpowiadającym mu kształcie. Bell chwycił lufę w jedną dłoń, korpus karabinu w drugą i spróbował przekręcić. Był przekonany, że lufa jest głęboko wkręcona w komorę zamkową, tymczasem wystarczyło ćwierć obrotu, żeby ją odłączyć. Nagle miał w rękach dwie oddzielne części karabinu, mniej więcej półmetrowej długości, które można było łatwo ukryć w teczce, walizce na narzędzia albo w niewinnie wyglądającej torbie podróżnej.

– Walt, widziałeś kiedyś rozkładanego savage’a 99?

– Chyba takich nie produkują.

– W tym egzemplarzu ktoś zastosował złącze na niepełny gwint.

Bell na powrót umieścił lufę w komorze i przekręcił o ćwierć obrotu. Metalowy występ zaskoczył w dostosowanym do niego otworze i zablokował lufę w odpowiednim położeniu. Niepełny gwint - wynalazek, który umożliwił skonstruowanie śrubowych zamków artyleryjskich o dużej prędkości działania - pozwalał na rozłożenie i ponowne złożenie savage’a w dwie sekundy.

Nasuwało się pytanie, dlaczego potężny Straub używał tak lekkiej broni?

– Brakuje lunety.

– A są otwory do jej montażu? - spytał Walt.

Bell sprawdził górną część korpusu.

– Otwory są... Szkoda, że nie widziałeś, z jakiej odległości strzelał w Kansas. Archie świadkiem.

– Prawie siedemset metrów - potwierdził Archie.

– Straub musiał mieć sokoli wzrok. - Walt pokiwał głową.

Springfield 1903, którego szeryf znalazł wraz z zabitym przechodniem w Humble, zasilany był amunicją z prostego, wyjmowanego magazynka. Savage miał magazynek obrotowy. Licznik z boku komory zamkowej pokazywał „4”. Bell wyjął jeden nabój. W odróżnieniu od fabrycznych, zaokrąglonych pocisków, tu pocisk był szpiczasty, o aerodynamicznym kształcie.

Bell podświadomie czuł, że z tą bronią coś jest nie tak. Ponownie odłączył lufę i przypiął ją w sekundę, wsunął na miejsce łożę, składając wszystko w jedną całość. Wyniósł karabin na zewnątrz. W pobliżu pał się spokojnie jego kasztan.

Bell ujął konia za wodze i przywiązał go do werandy, na wypadek gdyby zwierzę spłoszyło się od wystrzałów, wycelował w słupek ogrodzenia, stojący w odległości czterystu metrów i opróżnił magazynek.

Potem wsiadł na konia, pojechał obejrzeć cel i wrócił.

– Trafiłeś chociaż raz? - spytał Walt.

– Dwa razy w sam środek i dwie obcierki. To dobra broń, ale... jakoś trudno mi uwierzyć, że to z niej zabito Spike'a Hopewella.

– Może Straub był lepszym strzelcem od ciebie - zaśmiał się Hatfield.

– Wątpię.

– Dlaczego? - zdziwił się Archie. - Przecież znaleźliśmy niestandardową łuskę, pasującą do savage'a.

– Słuchaj uważnie - pouczył go Teksas Walt. - Isaac nie twierdzi, że Hopewella nie zabito z savage'a 99. Sądzi jedynie, że nie z tego konkretnego egzemplarza.

* * *

– Telegram, panie Bell.

Bell dał chłopakowi ćwierć dolara i spojrzął na blankiet pilnej depeszy, której się spodziewał. Tym razem Joseph Van Dorn, znany z tendencji do maksymalnego ograniczania wydatków, przeszedł samego siebie. Zredukował treść do jednego słowa:

JUŻ

Bell powiedział Archiemu, żeby poszedł w jego ślady, jak tylko skończy pomagać Hatfieldowi, i pobiegł na stację. Ledwie zdążył na Sunset Express do Nowego Orleanu, a tam przesiadł się do New York Limited.

Zasiadł przy sekretarzyku w wagonie klubowym i pisał raport, posiłkując się informacjami zapisanymi w notesie, kiedy usłyszał mówiące chórem dwa damskie głosy, które zabrzmiały w jego uszach jak muzyka:

– Jakże miło pana spotkać, panie Bell.

Edna i Nellie Matters jechały do Waszyngtonu. Nellie miała tam wygłosić przemówienie do delegacji sufrażystek, wnoszących petycję do kongresu.

Złożony balon podróżował w wagonie pocztowym. Dowiedziawszy się, że siostry będą spać na dolnym i górnym łóżku w wagonie sypialnym, Bell odstąpił im swój prywatny przedział.

Edna odmówiła, ale Nellie podziękowała mu serdecznie.

– Jak możemy się panu odwdziaczyć?

– Proszę zjeść ze mną kolację w restauracyjnym.

Podczas kolacji Nellie zabawiła Bella i pasażerów przy sąsiednich stolikach opowieściami o przypadkach utraty kontroli podczas lotu balonem. Edna, choć znała już wszystkie te historie, przez grzeczność słuchała trajkotania Nellie.

– Boczny wiatr spycha cię na drzewa i druty telegraficzne. Masz mało gazu, więc zaczynasz spadać. Szybko! Awaryjny gaz!

– Proszę mi wybaczyć, młoda damo, ale przypadkiem usłyszałem, co pani mówi - przerwał jej duchowny, siedzący przy stoliku po drugiej stronie przejścia. - Skąd pani weźmie awaryjny gaz, skoro już pani jest w powietrzu?

– Mam specjalne stalowe pojemniki na gaz, zainstalowane w koszu - odpowiedziała Nellie. - Podobnie postępują inni piloci balonowi. Zapas wodoru zawsze może się przydać.

– Muszą być bardzo ciężkie.

– Ale przeciwdziałają spadaniu - ucięła Nellie i zwróciła swe zielone oczy na Bella. - O czym to ja mówiłam? Już wiem. Za szybko, za dużo gazu, wtedy wznosisz się zbyt wysoko i zaczynasz się dusić. Powietrze robi się rzadkie, brakuje ci tlenu...

Podczas neapolitańskiego deseru lodowego Bell poruszył kwestię, na którą wcześniej zwrócił uwagę Archie.

– Trochę to dziwne, że zawsze wpadamy na siebie w pobliżu miejsca, w którym popełniono zbrodnię.

– Zaczynam pana podejrzewać, panie Bell - odparowała Edna.

Nellie się roześmiała.

– Ja podejrzewam go od samego początku.

– Czy mogę panie o coś spytać?

Nellie uśmiechnęła się do Edny:

– Popatrz, jak nagle spowaźniał.

– Detektywi tak mają - powiedziała Edna. - Proszę pytać, nie będziemy już panu dokuczać.

– Przynajmniej tak długo, aż ureguluje rachunek. - Nellie zachichotała. - Ale faktycznie, nachmurzył się pan. O co chodzi?

– Spike Hopewell zdążył mi opowiedzieć o waszym bracie. Podobno uciekł z domu i więcej się nie odezwał. Czy to prawda?

Radosny nastrój sióstr prysł jak bańka mydlana. Nellie patrzyła gdzieś w bok. Edna pokiwała głową.

– Tak. Czy pan wie, że on także był w Yale?

– Doprawdy? Który rocznik?

– Na pewno kilka lat późniejszy niż pański.

– Po pierwszym roku nie wrócił już na uczelnię - dodała Nellie.

– Być może pan go znał? - zastanawiała się Edna.

– Nie przypominam sobie nikogo o nazwisku Matters.

– Nazywał się Billy Hock.

– Billy Hock? - Bell spojrzał na nią z błyskiem w oku.

– Tak - potwierdziła Edna. - Był moim starszym bratem.

– Moim też, tyle że przyrodnim - dorzuciła Nellie.

– Nie wpadłem na to, że mógł istnieć między wami jakiś związek. - Bell westchnął.

– A my tak, a przynajmniej dopuszczaliśmy możliwość, że się znaliście - powiedziała Edna. - Teraz pan go sobie przypomina?

Bell skinął głową, przywołując w pamięci obraz szczupłego, chcącego się wszystkim przypodobać młodzieńca, bardziej chłopca niż mężczyznę.

– No cóż, słabo go znałem. - Billy Hock miał duże, szarobrazowe oczy, tak samo roziskrzane jak u Edny i Nellie. - Był na pierwszym roku, kiedy ja już kończyłem studia. Pamiętam, że był bardzo młody, najmłodszy ze wszystkich, którzy się wówczas dostali.

– Miał piętnaście lat i był niski. Jeszcze nie wyrósł.

– Starał się dostać do osady wioślarskiej. Byłby doskonałym sternikiem, bo mało ważył. Niestety, bał się wody. Zawsze odczuwał przed nią ogromny lęk - powiedziała Nellie.

– Wioślarze kpili z niego bezlitośnie - dodała Edna.

Bell pokiwał głową.

- W końcu pewien student z wyższego rocznika położył temu kres.
- Tak było.
- Zastanawialiśmy się, dlaczego to zrobił.
- Nie mógł ścierpieć gnębienia słabszych - wyjaśnił Bell.
- Sam przeciwko całej drużynie? - zdziwiła się Nellie.
- Trenował boks.

Edna popatrzyła mu prosto w oczy.

- Kiedy przyglądałam się, jak wraz z Archiem spuszczaacie lanie tym łobuzom, przyszło mi do głowy, że być może to pan wstawił się za naszym bratem. Czy tak właśnie było?

- Dopiero teraz to sobie skojarzyłem. Inne nazwisko. Na studiach nie opowiadaliśmy sobie o naszych rodzinach, chyba że między kuzynami. Na pewno panie same pamiętają z tamtych lat, jak bardzo cieszyliśmy się, że jesteśmy z dala od domu.

Obie pokiwały głowami.

- A więc waszym zaginionym bratem był Billy Hock... To dziwne. Czasami zastanawiałem się, jak sobie radzi. Kiedy zniknął?

- Latem, zaraz po pierwszym roku.

- Był żądny przygód, tak jak ja - powiedziała Nellie. - Wszystko go ciekawiło, wciąż miał nowe pomysły.

- Nie miałyśmy od niego żadnych wieści - wtrąciła Edna.

- Czasami obwiniałam się o jego ucieczkę - kontynuowała Nellie. - Stałam się dla niego wzorem, chociaż byłam młodsza. Widział, że wciąż interesuję się nowymi rzeczami. Przez chwilę byłam urzeczona balonami, potem chciałam być aktorką, a wreszcie związałam do cyrku, żeby zostać akrobatką. Pamiętasz, Edna?

- Pamiętam, jak ojciec śmiał się, kiedy konferansjer odwiózł cię do domu.

- Na białym koniu! Powiedział, że jestem za mała, a ja mu na to, w porządku, w takim razie odwieź mnie do domu na białym koniu! A on się zgodził... Dodawałam Billy'emu odwagi. Mam tylko nadzieję, że to nie przeze mnie zaciągnął się do wojska.

- Na pewno nie. - Edna położyła uspokajająco dłoń na ramieniu siostry. - Jeśli już, to zmobilizowałaś go do wyjazdu do Yale. Ojciec bardzo chciał, żeby Billy ukończył Yale, bo studiowało tam wielu „naftowych książąt”: synowie Comstocka i Laphama, siostrzeńcy Atkinsona.

– Rozmawiałem kiedyś z Billym o wstąpieniu do wojska. W gazetach w kółko pisano o wojnie z Hiszpanią i wielu młodych ludzi decydowało się na ten krok.

Bell dał się ponieść fantazji i też próbował, ale ojciec, weteran wojny secesyjnej, sprzeciwił się gwałtownie. Wysunął trudny do podważenia argument, że jest wiele spraw, za które warto oddać życie, ale nie należy do nich wojna, wywołana, jak powiedział, „przez gazety tylko po to, by zwiększyć ich nakłady”.

– Domyślamy się, że Billy służył w wojsku pod przybranym nazwiskiem - powiedziała Edna. - Obawiamy się, że zginął na kubańskich bagnach albo w filipińskiej dżungli. Pewnie nigdy się nie dowiemy. Jeśli naprawdę się zaciągnął, musiał zmienić nazwisko i skłamać na temat swojej rodziny.

– Nie wiadomo, co się z nim stało. - Nellie zasępiła się. - Tylko jednego jesteśmy pewne. Jego ucieczka o mało nie zniszczyła naszego ojca.

* * *

– Prawie się spóźniłeś - powiedział Joseph Van Dorn.

Isaac Bell wyciągnął z kieszonki złoty zegarek, otworzył kopertę i pozwolił szefowi odczytać czas. Potem skinął głową w kierunku nowoczesnego zegara w szklanej gablotce, ostatniego zakupu do gabinetu Van Dorna w hotelu Willard.

– Pański elektryczny O’Keenan, ściągnięty za Bóg wie jakie pieniądze prosto z Paryża, spieszy się o pięćdziesiąt siedem sekund.

– Siadaj - powiedział Van Dorn. - On już jest, siedzi w mojej prywatnej poczekalni. Przygotuj się na niezwykle widok. Biedny sukinsyn stracił wszystkie włosy z powodu jakiejś choroby.

– *Alopecia totalis.*

– Nie ma nawet brwi ani wąsów. Patrzyłem przez wizjer. Jest gładki, niczym kula bilardowa.

– Nie szkodzi - uspokoił go Bell. - Nie robi to na mnie wrażenia. Teraz musimy na szybko przygotować plan rozmowy.

Narada trwała dwie minuty. Van Dorn zgłaszał zastrzeżenia, Bell zbijał je przygotowanymi zawczasu, przekonującymi argumentami. Wreszcie Van Dorn uległ perswazji swego detektywa i burknął coś do rury głosowej. Jego gość został wpuszczony prywatnym wejściem do gabinetu.

12.

– Pan Rockefeller.

Emerytowany prezes Standard Oil Corporation był wysokim, solidnie zbudowanym, sześćdziesięciosześcioletnim mężczyzną. Przenikliwe oczy zdawały się płonąć w wielkiej, bezwłosej głowie. Bijący od niego chłód i potężna postura przywiodły Bellowi na myśl długoletniego mistrza wagi ciężkiej, Jima Jeffriesa.

John D. Rockefeller wymienił uścisk dłoni z Van Dornem i skinął głową Bellowi, którego szef agencji przedstawił jako swego najlepszego śledczego. Nie skorzystał z propozycji zajęcia miejsca i od razu przeszedł do rzeczy.

– Zabójca dyskredytuje Standard Oil zabijaniem wrogów korporacji. Opinia publiczna jest przekonana, że za zamachy odpowiada Standard Oil.

– Oto cena pańskiego sukcesu - powiedział współczująco Van Dorn. - Teraz będą obwiniać pana o wszystko.

– Wybuch powszechnego oburzenia przeciwko nam nie ma podstaw. Ludzie nie potrafią przyjąć do wiadomości, że nie jesteśmy potworami. Po prostu jesteśmy skuteczni, o wiele bardziej skuteczni od naszych konkurentów. Ropa naftowa nie jest najbardziej dochodową gałęzią amerykańskiej gospodarki. O wiele większe pieniądze zarabia się na wydobyciu węgla, transporcie kolejowym, produkcji stali. Tymczasem to nam udało się przejąć kontrolę nad węglem, stalą, liniami kolejowymi. Dlaczego? Przecież nie dlatego, że jesteśmy potworami. Powód jest taki, że to oni działają chaotycznie, wdają się w morderczą rywalizację, bronią swej niezależności i bezwzględnie konkurują ze sobą. My stawiamy na współpracę.

Van Dorn zerknął na swojego podwładnego. Bell rozpoczął praktykę w agencji zaraz po studiach i Van Dorn osobiście zajął się przygotowaniem go do zawodu detektywa. Ich terenem działania był głównie chicagowski West Side, niebezpieczny miejski rewir, jakich wiele można było znaleźć w całym kraju. Dlatego też, podobnie jak dwaj wojownicy Apaczów, którzy od dzieciństwa ramię w ramię tropili zwierzynę i zwalczali wrogów, Van Dorn i Bell potrafili porozumiewać się za pomocą sobie tylko znanych sygnałów.

– Jest pan bardzo pewny siebie - stwierdził Van Dorn, nie owijając w bawełnę.

John D. Rockefeller zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Panie Van Dorn, kiedy następnym razem ktoś powie panu, że Standard Oil to ośmiornica, niech pan będzie łaskaw przekazać mu w moim imieniu, że ta ośmiornica sumiennie prowadzi księgi rachunkowe, ma idealny porządek w magazynach, pozytywny bilans na kontach bankowych oraz terminowo spłaca zobowiązania. Nie brnie w kuszące przedsięwzięcia, obarczone dużym ryzykiem. Jest gotowa do podjęcia wszelkich wyzwań. Ośmiornica jest dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana, a cała reszta... po prostu nie jest.

– Jeśli ośmiornica gotowa jest przejść do sedna sprawy, to wróćmy do interesów, które były celem tego spotkania - odparł Van Dorn.

– Zamierzam zlecić Agencji Detektywistycznej Van Dorn schwywanie zabójcy i postawienie tamy fali oszczerstw.

– Spóźnił się pan - zabrał głos Bell. - Ten zabójca popełnił samobójstwo w mieście Humble, w stanie Teksas.

– Dawno nie słyszałem czegoś równie zabawnego - oświadczył Rockefeller.
- Macie całkowicie błędne informacje.

– To raczej niemożliwe, chyba że wie pan coś, czego my nie wiemy o funkcjonariuszu prywatnej policji Standard Oil, znanym jako Wielki Pete Straub - powiedział Bell.

– Owszem, wiem - przyznał Rockefeller, nie okazując żadnych emocji.

– Zamieniamy się w słuch. - Van Dorn zachęcił go do mówienia.

– Pan Straub cierpiał na schorzenie, zwane przez lekarzy opadaniem stopy. Miał uszkodzone nerwy na skutek rany, odniesionej podczas sporu ze związkowcami. To powodowało u niego nieuleczalny niedowład mięśni zginaczy.

– Prawej czy lewej stopy? - spytał Bell.

– Pan Straub nie mógł poruszać palcami prawej stopy. Gdyby chciał nacisnąć spust karabinu palcem stopy, musiałby zdjąć lewy but.

Van Dorn skrzywił się, jakby zażenowany faktem, że jego detektyw okazał się mało roztropny.

Bell omal się nie uśmiechnął. O dziwo, poczuł ulgę. Od samego początku tak lekki karabin jak savage nie pasował mu do dłoni potężnego Strauba. Przy

okazji ich próba spenetrowania Standardu od wewnątrz przyniosła im zupełnie nieoczekiwaną korzyść.

– Dowiedział się pan o tym od funkcjonariuszy policji rafineryjnej? - spytał Van Dorn.

– Przełożeni Strauba poinformowali mnie o jego ułomności, gdy zapoznali się z doniesieniami prasowymi. Sami panowie widzicie, że przyjęcie wersji o samobójstwie to niedorzeczność.

– Dziękujemy panu, panie Rockefeller - powiedział Bell. - To jasne, że został zamordowany. Zbrodnię upozorowano na samobójstwo. Pan Straub nie był szukanym przez nas zabójcą.

Bell mówił spokojnie, ale w głowie wirowały mu pytania. Bardzo lekka broń. Jak wyjaśnić jej zadziwiającą celność? Czyżby cyrkowiec albo aktor z rewii Buffalo Billa? Mało prawdopodobne. Chwytał się wszelkich możliwości. Zabójcą mógł być mężczyzna przeciętnej budowy, który po prostu lubił tę broń i dysponował odpowiednią wiedzą i środkami, by ją w znacznym stopniu udoskonalić. Dlatego karabin znaleziony przy Straubie wyglądał jak wykonany na zamówienie.

– Panie Van Dorn, chciałbym, aby przestał pan tracić czas na swoje waszyngtońskie śledztwo i wykorzystał wszystkie środki w celu schwytania zabójcy - oznajmił Rockefeller.

Isaac Bell i Joseph Van Dorn wiedzieli już, że infiltracja przez nich Standard Oil była bliska powodzenia, bo podejrzliwy prezes chwycił przynętę. Teraz należało iść na całość.

– Przecież zatrudnia pan cały oddział prywatnych detektywów. Dlaczego nie zaprzęgnie ich pan do pracy? - spytał Van Dorn.

– Nie nadają się do takiej roboty. Chcę najlepszych ludzi i za to jestem gotów zapłacić.

Bell i Van Dorn wymienili spojrzenia, które miały świadczyć, że są zakłopotani.

– Ale my już prowadzimy śledztwo w pańskiej sprawie na zlecenie Komisji Korporacyjnej, o czym pan zapewne wie - zaprotestował Van Dorn.

– Proszę pamiętać, że przyszedłem do pańskiego biura sam, prywatnym wejściem.

Joseph Van Dorn zmarszczył swój rzymski nos, jakby poczuł jakiś niemiły zapach.

– Panie Rockefeller, co pański sposób przyścia tu ma wspólnego z czymkolwiek?

– Nie musimy informować Komisji Korporacyjnej o tym, że pan pracuje dla mnie.

Joseph Van Dorn ściągnął usta. Zadrzały mu nozdrza, a policzki stały się czerwone jak bokobrody, jakby nie mógł zaczerpnąć tchu. Po chwili zaczął mówić cichym, twardym głosem, niepozostawiającym wątpliwości, że gdyby Rockefeller był młodszy, to ściągnąłby go za kołnierz główną klatką schodową hotelu Willard na sam dół i wyrzucił za drzwi na Pennsylvania Avenue.

– Obowiązuje mnie umowa zawarta z klientem, czyli z komisją. Nie rzucam słów na wiatr. To kwestia honoru agencji.

– Schwytnie zabójcy to sprawa niecierpiąca zwłoki - upierał się Rockefeller.

Van Dorn już miał zripostować, ale uprzedził go Bell.

– Rzeczywiście, powinniśmy skoncentrować się na zabójcy. Stanowi oczywiste i bezpośrednie zagrożenie.

– Nie - uciał krótko Van Dorn. - Jedyne, co możemy zrobić, to prowadzić jednoczesne dochodzenie w obu sprawach.

– Zgadzam się z panem Rockefellerem - odrzekł stanowczo Bell. - Morderca wkrótce zabije kolejną osobę. Jego schwytanie jest dużo ważniejsze i przyniesie agencji większy splendor niż żmudne tropienie naruszeń ustawy antymonopolowej Shermana w sprawie, w której zarzuty i tak zostaną prawdopodobnie oddalone przez Sąd Najwyższy.

Van Dorn zacisnął pięści.

– Bell, jeśli uważa pan, że intencje chimerycznego Kongresu i niezdecydowanego sądu są ważniejsze od honoru agencji, to może pan zwolnić się z pracy i dołączyć do pana Rockefellera.

Rockefeller obrócił się na pięcie i mszył do drzwi.

– Panie Bell, wybieram się do mojej posiadłości w Westchester w stanie Nowy Jork. Proszę mnie tam odwiedzić.

Zabójca wszedł do wnętrza pomnika Waszyngtona z torbą podróżną i dołączył do grupy kobiet i mężczyzn czekających na windę, którą mieli wjechać

na sam szczyt obelisku. Uśmiechnięci ludzie odnosili się do siebie z serdecznością, której można się było spodziewać po gościach z prowincji. Kiedy zjechała kabina, ścieśnili się, by zrobić mu miejsce. Winda, obsługiwana przez nadętego operatora, który wyraźnie czerpał przyjemność z otwierania i zamykania drzwi w ślimaczym tempie, na pokonanie nieco ponad stu pięćdziesięciu metrów potrzebowała długich dwunastu minut. Jazda, przy wtórze skrzypienia lin i zgrzytania kół o prowadnice, wydawała się trwać o wiele dłużej, bo w kabinie rozbrzmiewała jednostajna paplanina dzielących się wrażeniami, rozemocjonowanych turystów, od czasu do czasu przerywana nagłym okrzykiem na widok pamiątkowych kamieni pochodzących z ich rodzinnych stanów, którymi udekorowano wewnętrzne ściany pomnika. W dzisiejszych czasach coraz łatwiej być snobem, pomyślał zabójca.

Kiedy wreszcie drzwi windy zostały otwarte, z zewnątrz napłynął silny zapach terpentyny i farby.

* * *

Tak zwany pomnik Lincolna był zaledwie błotnistą ścieżką, dlatego Clyde Lapham miał duże trudności ze skoncentrowaniem się na przemowie społecznika. Błądząc oczami po okolicy, zatrzymał wzrok na wystającym spod ziemi korzeniu drzewa, który skojarzył mu się z wężem pełznącym nad brzegiem rzeki Allegheny. Obraz węża widzianego w dzieciństwie zachował się w pamięci starca tak realistycznie, że niemal czuł zapach wody i słyszał muchy krążące nad głową. Mógłby przysiąc, że widział wysuwający się szybko, rozdwojony język gada.

– ...Wielkiego emancypatora - brzęczał mu w głowie monotony głos społecznika. - Zbawiciela Unii... To idealne miejsce naprzeciwko pomnika naszego pierwszego prezydenta, nie sądzi pan?

– Ten wąż...

– Pan wybaczy, panie Lapham...

– Wie pan, ten wąż... - Lapham ucichł, bo przestało go obchodzić, czy społecznik zbierający fundusze na budowę pomnika Lincolna widzi węża. Wystarczy, że on sam go widzi.

Spolecznik wskazywał na pomnik Waszyngtona. Był wyższy od nowojorskich drapaczy chmur, ale w odróżnieniu od nich stał samotnie, na

pustkowiu. A daleko za nim widać było kopułę Kapitolu, wznoszącą się w niebo jak... jak... właściwie, to nieważne, co mu to przypominało. Ale tu, w błocie, był wąż.

Próbował sobie przypomnieć, dlaczego znalazł się tu, w tym miejscu, zamiast być w Nowym Jorku. Społecznik chciał wyciągnąć pieniądze od Standardu, więc chłopcy spod numeru 26 przydzielili mu zadanie. Miał pojechać pociągiem do Waszyngtonu, by przeprowadzić rozpoznanie, czy to jest coś, na co pan Rockefeller zechciałby wypisać czek. Tak przynajmniej twierdzili. Laphamowi wydało się to podejrzane. Zapewne chcieli pozbyć się go z biura, aby uniemożliwić mu udział w kolejnym prywatnym przedsięwzięciu.

– Jaką sumę zamierza pan wyzebrać?

– Wyzebrać? Pozwoli pan, że zacytuję słowa samego pana Rockefellera o filantropii. Powiedział: jestem dumny z moich umiejętności dopraszania się o pieniądze dla dobra ludzkości.

– Ile miałyby to kosztować?

– No cóż, jeśli Kongres nic nie zrobi, wszystko będzie zależało od patriotów, takich jak pan i pan Rockefeller. A skoro Rockefeller podjął się wspierania wielu szczytnych celów, odkąd został emerytem...

– Emerytem? - parsknął Lapham. - Rockefeller emerytem? Żarty pan sobie stroi... - Zamilkł gwałtownie. Właśnie przypomniał sobie, że to miała być tajemnica. Musiał ratować sytuację. - A tak, racja. Odchodzi na emeryturę. Emeryt. Cholera jasna, oczywiście, że emeryt.

Społecznik, który był duchownym, drgnął na dźwięk przekleństwa.

– Więc ile to będzie kosztować? - powtórzył Lapham.

– No cóż... - Społecznik zatarł dłonie. - To będzie zależało od rozmiarów pomnika.

– Ma być taki wielki jak tamten? - spytał Lapham, wskazując na liczący sto sześćdziesiąt dziewięć metrów wysokości, czworoboczny obelisk, wzniesiony dla upamiętnienia Jerzego Waszyngtona. Wpatrzony w pomnik, skupił wzrok na ledwie widocznym kwadratowym otworze tuż pod wierzchołkiem. Wcześniej korzeń drzewa skojarzył mu się z węzłem, a teraz, na widok kwadratowego wgłębienia, wydało mu się, że to wóz wjeżdża na stromą ścianę obelisku. Widział nawet konie, ciągnące go po regularnie ułożonych marmurowych blokach.

– Co tam jest?

– Chodzi panu o pomnik? - spytał pastor. Zaczynał pojmować, że staremu Laphamowi, delikatnie mówiąc, trochę pomieszało się w głowie. Czy aby nie przeszkodzi mu to we wsparciu funduszu budowy pomnika Lincolna, prywatnej inicjatywy duchownego? A może wręcz przeciwnie, zapali się do szczytnej inicjatywy i obficie sypnie pieniędzmi?

– Należy pamiętać, że ta wspiana budowla powstała dzięki staraniom Towarzystwa Budowy Pomnika Waszyngtona, kiedy dobrzy ludzie, tacy jak ci ze Standardu, zgromadzili fundusze, których nie zdołał zapewnić Kongres.

– Tam jest coś kwadratowego, pod samym wierzchołkiem... Co to może być, u licha?

– A, to tylko jedno z okien.

– Okien?

– Ludzie wyglądający przez to okno zobaczą w dole pomnik Lincolna.

– Lepiej, żeby mieli sokoli wzrok - skomentował Lapham. Już nie widział wozu, za to spróbował określić odległość, dzielącą okno od miejsca, w którym stał. - To będzie dobrze ponad osiemset metrów.

– Amerykanie, którzy wejdą na samą górę, by uczcić pamięć Waszyngtona, zbiegną schodami w dół, aby odwiedzić ufundowany przez Standard pomnik Lincolna.

– Cholerni idioci, powinni zjechać windą.

* * *

Zabójca odłączył się od grupy turystów, którzy po wyjściu z windy natknęli się na brezentową kotarę, po czym zostali skierowani do okien wychodzących na wschód, południe i północ. Wśliznął się za brezent i postawił torbę pod oknem wychodzącym na zachód. Aby powstrzymać samobójców przed skokiem, zabezpieczono je mocnymi, metalowymi prętami, które tkwiły głęboko w murze, rozstawione co piętnaście centymetrów.

Z okna widać było Promenadę - porośnięte trawą płaskie pole, ciągnące się prawie do samego Potomacu. Na drugim końcu, tuż nad brzegiem rzeki, znajdował się błotnisty skrawek terenu, przy którym brooklyński ksiądz, inspirując się poprzednimi pokoleniami Brooklyńskich Abolicjonistów, próbował zbierać datki na budowę pomnika Abrahama Lincolna.

Było to niewdzięczne zadanie, któremu od 1867 roku nie podołało Towarzystwo Budowy Pomnika Lincolna. Dzisiejsza ofiara zabójcy, Clyde Lapham, mógłby zapłacić z góry za całość, należał bowiem do stałych członków Gangu Standard Oil. Pod warunkiem że przypomniałby sobie, gdzie zostawił książeczkę czekową.

* * *

Clyde Lapham zdążył już zapomnieć o wężu w błocie i o wozie na wierzchołku pomnika Waszyngtona. Jego uwagę skupiał teraz wierzchołek obelisku, lśniący punkt, odróżniający się kolorem od marmuru. Marmur z czasem ściemniał na słońcu, za to wierzchołek błyszczał nieziemskim światłem.

Spółcznik znów gadał jak najęty. Lapham przerwał mu w pół zdania.

– Dlaczego wierzchołek pomnika Waszyngtona ma inny kolor niż spód?

– Jest zrobiony z aluminium - odpowiedział duchowny.

– Czy zamierzacie zbudować coś podobnego dla prezydenta Lincolna?

Mam cię, pomyślał duchowny. Teraz trzeba tobą tylko odpowiednio pokierować.

– Nie mamy jeszcze żadnej koncepcji, sir. Kongres nie podjął decyzji o finansowaniu pomnika, więc nie ma pieniędzy na opłacenie ewentualnych projektów. I nic się nie zmieni, dopóki zwykli obywatele nie wezmą sprawy w swoje ręce.

W pobliżu zatrzymał się kryty powóz. Wyszli z niego dwaj mężczyźni i skierowali się prosto na nich. Jeden z przybyszów, niosący torbę lekarską, zwrócił się do Laphama, mówiąc wolno i wyraźnie:

– Dzień dobry, panie Lapham. Jak się pan dziś czuje?

– A kim wy jesteście, u diabła?

Ku zdumieniu pastora mężczyźni chwycili Laphama pod ręce i przemocą pociągnęli do powozu. Duchowny pobiegł za nimi.

– Hej, wy tam! Co robicie?

– Jestem jego lekarzem. Powinien już wrócić do domu.

Pastor nie zamierzał pozwolić na to, by tak doskonała okazja wymknęła mu się z rąk.

– Przestańcie natychmiast!

Lekarz odwrócił się nagle i zatarasował mu drogę, podczas gdy jego kompan odprowadził Laphama poza zasięg głosu.

– Wielebny niepokoi mojego pacjenta.

– Przecież on nie jest chory.

Lekarz wyciągnął z torby rewolwer i wycelował duchownemu prosto w twarz.

– Odwróć się i odejdź.

– Dokąd go zabieracie...

Lekarz odwiódł kurek rewolweru. Duchowny odwrócił się i odszedł. Kręciło mu się w głowie aż do odjazdu powozu.

Zabójca zażądał, aby zachodnie okno osłonięto podwójną brezentową kurtyną, na wypadek gdyby jakiś turysta okazał się nazbyt ciekawski. Wzbudziło to oczywiście zainteresowanie odwiedzających.

– Co tu się dzieje? - padło pytanie, zadane zniecierpliwionym głosem.

– To malarz - odpowiedział jeden z przewodników oprowadzających gości. - Maluje pejzaże.

– A dlaczego za kotarą?

– Żeby nikt mu nie przeszkadzał.

– Ale ja chcę wyjrzeć przez to okno!

– Proszę przyjść kiedy indziej.

– Dobrze sobie! Przyjechałem z Wirginii, specjalnie żeby popatrzeć z wysokości na mój stan.

Zabójca czekał.

Do rozmowy dołączył nowy głos, należący do wygadanego sierżanta, przełożonego przewodników, który wcześniej otrzymał wysoki napiwek.

– Dziś zapraszam pana do obejrzenia Marylandu i Dystryktu Kolumbii, a już za tydzień będzie pan mógł bez przeszkód podziwiać Wirginię. Zaraz wydam panu bezpłatną wejściówkę do windy.

Zabójca wyjął z torby dobrze nasmarowany, żeliwny podnośnik i wsunął go między pręty przegradzające okno, po czym zaczął obracać śrubę. Podnośnik był mocny, choć niewielki - mógł unieść róg stodoły. Włożony bokiem między pionowe pręty rozgiął je, jakby zostały zrobione z makaronu.

* * *

Porywacze zgrali czas przywiezienia Laphama pod pomnik Waszyngtona z ostatnim wjazdem windy. Mężczyzna z torbą lekarską podszedł do żołnierza stojącego przy drzwiach, wsunął mu w dłoń złotą monetę i wyjaśnił półgłosem:

– Starszy pan prosił przez cały dzień, abyśmy go tu przywieźli, i teraz jest trochę rozemocjonowany. Chciałbym go możliwie szybko wprowadzić do windy. Mój stażysta skupi na sobie jego uwagę w trakcie jazdy do góry... Kim on jest? Bardzo zamożnym sponsorem mojego szpitala, ze świecą szukać drugiego tak hojnego człowieka. W swoim czasie był wielkim przemysłowcem...

Szeregowy zmarszczył nos. Czuł zapach chloroformu, którym przesiąknięty był surdut lekarza. Bogaty staruszek chwiał się na nogach. Stażysta trzymał go mocno.

– Proszę się nie martwić. Nie będzie sprawiał kłopotu. Jest tylko trochę zdenerwowany, to dla niego bardzo ważne.

Szeregowy wprowadził ich do windy i poprosił turystów, aby nie niepokoili starca.

Na górze poczekali, aż wszyscy opuszczą windę, a kiedy nikt nie mógł już ich zobaczyć, weszli za kurtynę.

Zabójca wskazał na okno. Jeden z prętów pękł, drugi został wygięty. Między nimi było dość miejsca. Lapham przewrócił oczami.

– Co tak śmierdzi?

– Chloroform.

– Tak myślałem. Co tu robimy?

– Będziemy latać - odpowiedział zabójca. Na jego sygnał mężczyźni unieśli Laphama i wyrzucili go głową naprzód przez okno.

Wystraszony nagłym szumem powietrza wokół głowy, Lapham szybko skupił swą uwagę na przelatujących obok granitowych blokach, przypominających długi pociąg złożony z szarych wagonów. Od dziecka lubił pociągi.

* * *

W hali dworca Baltimore & Ohio operator publicznej rozmównicy dał znak, że udało mu się uzyskać międzymiastowe połączenie z Nowym Jorkiem.

Zabójca zamknął za sobą drzwi dźwiękoszczelnej budki.

– Zadanie wykonane.

– Zadanie? - spytał Bill Matters. - Są jakieś zakłócenia na linii. Nie słyszę cię.

– Mówię, że zadanie wykonane.

– Jakie zadanie?

– Gdy nowiny dotrą do redakcji nowojorskich gazet, ulice zostaną zalane dodatkami specjalnymi.

Mimo kiepskiego połączenia Matters wyczuł na drugim końcu linii nadmierną żywiołowość, co mogło oznaczać kłopoty.

– O jakich nowinach mówisz?

– Clyde Lapham popełnił samobójstwo. Wyskoczył przez okno z pomnika Waszyngtona.

– Co?

– Zgodnie z umową, jego śmierć wygląda całkiem niewinnie.

– Nie.

– Biedny starzec został doprowadzony do obłędu. Skoczył ze szczytu pomnika Waszyngtona.

– Nie!

– Można uznać, że planował to od dawna. Przyniósł ze sobą podnośnik, aby rozgiąć pręty, i się przecisnął pomiędzy nimi. Kazał nawet zasłonić okno przed wzrokiem postronnych. Dopracował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Rzekomo jakiś malarz malował pejzaże, zamówione przez wojsko. Jak wiesz, wojsko opiekuje się pomnikiem. Demencja to dziwna przypadłość, nieprawdaż? Człowiek ma zaburzoną świadomość, a jednocześnie potrafi działać tak precyzyjnie.

– Nie! Nie! Nie!

– O co ci chodzi?

Bill Matters wpadł w szal. Przecież mówił wyraźnie, że Lapham jest mu potrzebny. Nie kazał go zabijać. Był tak wściekły, że wykrzyczał słowa, których nie chciał wypowiadać.

– Znowu popadasz w paranoję?

Zabójca odwiesił słuchawkę, zapłacił za rozmowę i po wyjściu ze stacji ruszył pieszo New Jersey Avenue, chcąc zapomnieć o incydencie.

13.

Isaac Bell przeszedł na drugą stronę E Street, zerknął w okna wystawowe i skręcił za róg Siódmej, gdzie postawiwszy nogę na korycie, udał zawiązywanie nieistniejącego sznurowadła. Potem poszedł wzdłuż Pennsylvania Avenue, minął Kapitol i skręcił w New Jersey. Naprzeciwko siebie miał dworzec Baltimore & Ohio.

Właśnie zapowiadano odjazd jego pociągu.

Odebrał zamówione wcześniej bilety na ekspres Royal Blue do Nowego Jorku. Kasjer ostrzegł go, że pociąg odchodzi za pięć minut. Bell ruszył pędem przez halę dworcową, ale zatrzymał się gwałtownie, kiedy drogę zastąpił mu stary siwobrody żebrak w łachmanach i dziurawym kapeluszu. Wyciągał brudną dłoń po jałmużnę.

Bell pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

– Detektywi Rockefellera wciąż depczą ci po piętach - mruknął żebrak.

– Chudy jegomość w surducie - powiedział Bell, nie oglądając się za siebie. - Przejął mnie od wysokiego, barczystego faceta na Siódmej ulicy. Ktoś jeszcze?

Joseph Van Dorn podrapał się po upudrowanej na siwo brodzie i udał, że wydłubuje wiesz.

– Umieścili w pociągu swojego człowieka w przebraniu księdza. Powodzenia, Isaac, jesteś o krok od celu.

– Czy naszym chłopcom udało się nie zgubić Rockefellera?

Dumny uśmiech Van Dorna omal nie zrujnował jego starannej charakteryzacji.

– Szli za nim jak cienie pod samo tylne wejście do perskiej ambasady.

– Persja? - Edna nazwała Rockefellera mistrzem niespodzianek. Jak widać, miała rację. - Ciekawe, na co mu Persja?

– Jeśli dobrze to rozegrasz, wkrótce będziesz miał sposobność się tego dowiedzieć.

Bell upuścił monetę na dłoń Van Dorna.

– Masz, weteranie. Zrób przyjemność swoim przyjaciołom i wydaj to w łaźni.

Okazał bilet, wypadł na peron, po czym, zerkając w okna, pobiegł wzdłuż błękitno-złotego pociągu i wsiadł do pierwszego wagonu. Następnie ruszył szybkim krokiem przez wagony w kierunku końca składu. Wyposażona w ogromne koła, szybka jak wichher lokomotywa Atlantic 4-4-2 dała podwójnym gwizdkiem sygnał do odjazdu.

Cztery wagony dalej zauważył detektywa Standardu w przebraniu księdza i mocno zacisnął dłoń wokół jego koloratki. Lokomotywa buchnęła parą, niezbyt gwałtownie, aby nie szarpnąć przy ruszaniu, i wielkie koła napędowe zaczęły się obracać. Bell poderwał duchownego z miejsca, trzymając go za kark. Pasażerowie patrzyli zdumieni, jak wywleka go z pociągu.

– Powiedz panu Rockefellerowi, by nie marnował pieniędzy i mojego czasu, posyłając amatorów, by mnie śledzili.

– O czym ty mówisz?! - wybuchnął detektyw. - Jak śmiesz napastować osobę duchowną!

Pociąg toczył się coraz prędzej, Bell otarł się ramieniem o bok sunącego wagonu.

– Powiedz temu chudzielcowi w surducie i jego grubemu kumplowi w meloniku, że rozkwaszę im nosy, jeśli jeszcze raz będą za mną łazić.

Ruszył biegiem, wskoczył na stopień wagonu i dodał:

– A księżulo oberwie podwójnie!

* * *

Bell uznał, że zasłużył sobie na kieliszek ulubionego koktajlu. Wchodząc do wagonu klubowego, usłyszał podniesione głosy. Najdonioślejszy należał do czerwonego na twarzy senatora Stanów Zjednoczonych, w ciemnym garniturze i kwiecistym krawacie, w stylu spopularyzowanym przez prezydenta Roosevelta. Jego wydatny brzuch przyozdabiał gruby jak cuma okrętowa złoty łańcuszek od

zegarka. Mężczyzna zwracał się napastliwym tonem do jedynej kobiety w całym wagonie. Była nią Nellie Matters, ubrana w białą bluzkę z szerokim pasem wokół smukłej talii, prostą spódnicę do kolan i zwyczajny, słomkowy kapelusz, udekorowany czerwoną wstążką.

Bell zamówił manhattan i zapytał spoconego barmana:

– Co się dzieje?

– Wszystko przez tę sufrażetkę.

– Sufrażystkę - poprawił barmana. - Zdaje się, że dama świetnie się bawi.

Miała roziskrzone oczy i policzki zarumienione z emocji. Chyba nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie, pomyślał Bell.

– Zaczęli rozmawiać o równouprawnieniu. Zanim ruszyliśmy, już klócili się zawzięcie. - Barman napełnił jego kieliszek. - Rzadko widzujemy panie w wagonie klubowym. Jest to raczej, że się tak wyrażę, bastion męskości.

– A jednak, jak widzę, panowie zechcieli uczynić wyjątek dla tej ślicznotki.

– Tylko że senator woli słuchaczy od ślicznotki.

– Oto kolejny powód, by nie ufać politykom - powiedział Bell.

Senator nie posiadał się z oburzenia.

– Wiem z prasy, panno Matters, że zamierzała pani przelecieć balonem nad Kapitołem i zrzucić torpedy na Kongres! I zrobiłaby pani to, gdyby wiatr nie poniósł balonu w innym kierunku!

– Popeliłam straszliwy błąd - przyznała Nellie Matters. Jej czysty głos rozbrzmiewał w całym wagonie.

– Jaki błąd?

– Zapomniałam przeczytać prognozę pogody. Pilot balonowy powinien zawsze wiedzieć, w którą stronę wieje wiatr.

– Na Boga, kobieto, przyznajesz się do zamiaru zbombardowania Kongresu?

– Nonsens! - W jej oczach pojawił się błysk. Odrzuciła do tyłu głowę, a wszyscy mężczyźni zebrani w wagonie klubowym zamarli w oczekiwaniu na jej odpowiedź. - Nigdy nie wyrządziłabym krzywdy żadnemu człowiekowi, choćby nawet był senatorem. - Odwróciła się, rozkładając szeroko ramiona, jakby zamierzała zdradzić wszystkim jakąś tajemnicę. - Jedynym celem, dla którego chciałam poszybować nad Kongresem, było wykazanie, jak wielkimi durniami są jego członkowie.

– W jaki sposób zamierzała pani osiągnąć ten cel, przelatując balonem nad senatorami i kongresmenami? - spytał donośnym barytonem Isaac Bell.

Nellie obdarzyła go uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: dziękuję panu, panie Bell, za przygotowanie gruntu pod moją kolejną wypowiedź.

– Balon może latać na gaz lub na gorące powietrze. W ich sąsiedztwie na pewno nie zabrakłoby mi ani jednego, ani drugiego.

Wagon zatrzęsł się od śmiechu. Biznesmeni bili brawo, aż poczerwieniały im dłonie. Kilku komiwojażerów klepało się po udach z uciechy. Zatwardziali antyfemiński na wyścigi zapraszali ją na drinka.

– Dziękuję panom, ale nie piję alkoholu. - Rzuciła Bellowi spojrzenie, mówiące jasno: chyba że do potrawki z zająca w Teksasie. - Jednak zamiast kieliszka wina chętnie przyjmę datek na Powietrzną Paradę Niezależnych Kobiet.

– Powietrzna Parada Niezależnych Kobiet?

– Co to ma być?

– Powietrzna Parada Niezależnych Kobiet to sensacyjny wyczyn polegający na tym, że formacja czerwonych, białych i niebieskich balonów pilotowanych przez sufrażystki wzbija się w niebo, aby przeforsować poprawkę do konstytucji, przyznającą kobietom prawa wyborcze.

– Pierwsze słyszę.

– Bo właśnie to wymyśliłam! A szanowni panowie będą jej pierwszymi sponsorami, czyż nie?

– Proszę otworzyć swoją torbę podróżną, panno Matters, a ja przejdę się z kapeluszem - powiedział Bell.

Zerwał z głowy kapelusz, zręcznie ukrywając w dłoni noszonego w nim derringera, po czym obszedł z kapeluszem cały wagon klubowy niczym kościelny z tacą, aż kapelusz wypełnił się datkami. Nellie otworzyła szeroko torbę, a Bell wsypał do niej pieniądze.

– Dziękuję szanownym panom! - krzyknęła Nellie. - W ten sposób zaskarbiliście sobie wdzięczność sufrażystek w całym kraju i zasłużyliście sobie na gorące powitanie przez wasze żony po powrocie do domu.

– Kolejne przypadkowe spotkanie? - spytał Bell. - Tym razem bez zbrodni, przynajmniej na razie.

– To nie przypadek.

– Cóż więc sprawiło, że jedziemy tym samym pociągiem?

– Zapytałam recepcjonistę z hotelu Willard, dokąd polecił pan przekierowywać korespondencję. Okazało się, że do Yale Club w Nowym Jorku.

– Planowała pani podróż do Nowego Jorku?

– Jadę odwiedzić ojca.

– Tak nagle?

– Robię to, na co mam ochotę - powiedziała z uśmiechem.

– Chętnie spotkałbym się z pani ojcem - oświadczył Bell.

– Jak miałabym pana zaanonsować? - spytała. - Ojciec może nie być miły dla detektywa prowadzącego śledztwo przeciwko jego korporacji.

– Nie zajmuję się już tą sprawą.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– Mamy czas. W Nowym Jorku będziemy dopiero za sześć godzin.

– Powiedzmy, że nie chodzi mi o wizytę służbową - skłamał Bell.

Nie było to stuprocentowe kłamstwo. Spotkanie z byłym współnikiem Spike'a Hopewella w jego domu potraktowałby czysto służbowo, ale wcale nie musiałby udawać, gdyby przyszło mu się wcielić w rolę człowieka, który pragnie złożyć wizytę jego córce, a raczej którejkolwiek z jego córek.

– Czy mogłaby mnie pani przedstawić jako swego konkurenta?

– Ojciec nie da się nabrać. Wie doskonale, że nie jestem typem kobiety siedzącej w domu i czekającej na absztyfikantów.

– Więc proszę mu powiedzieć, że jestem entuzjastką baloniarstwa i pragnę, by zabrała mnie pani ze sobą w przestworza.

– Balonem może pan polecieć, kiedykolwiek pan zechce, pod warunkiem, że wygłosi pan przemowę popierającą przyznanie praw wyborczych kobietom.

– Właściwie to już kiedyś latałem balonem, w cyrku. Czy pani też zetknęła się z balonami w cyrku?

– Od cyrku wolę teatr. Jest bardziej niezwykły.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią. W dzieciństwie uciekłem z domu i przystałem do trupy cyrkowej.

– Musi mi pan kiedyś o tym opowiedzieć.

- Może teraz?
- Tak nagle?
- Jeśli pani sobie tego życzy.
- Życzę sobie zjeść kolację - powiedziała Nellie Matters. - Zgłodniałam. Tym razem to ja pana zapraszam.

* * *

Na Central Station zaroilo się od kilkunastoletnich gazeciarzy, roznoszących popołudniowy dodatek nadzwyczajny „Washington Post”.

- Turysta spadł z pomnika Waszyngtona!
- Najnowsze wiadomości! Śmierć turysty!

Archie Abbott rzucił jednemu z nich kilka centów za gazetę i pobiegł na postój dorożek. Na stacji w Danville w stanie Wirginia zawiadowca przekazał mu wiadomość od samego Van Dorna, że ma się zgłosić do biura natychmiast po dotarciu do Waszyngtonu. Dla najlepszych pracowników, takich jak Bell, bezpośrednie wezwania były chlebem powszednim, ale Archiemu przytrafiło się to po raz pierwszy.

- Hotel Willard. Co koń wyskoczy.

Po przyjeździe wbiegł po schodach do siedziby agencji.

- Szef wysłał mi depeszę do pociągu. Miałem się natychmiast zameldować.

Recepcjonista z całkowitym spokojem powiedział coś do rury głosowej. Zblazowany praktykant zaprowadził Archiego do gabinetu Van Dorna. Ujrzawszy szefa bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli, Archie pomyślał, że Van Dorn nie wygląda na właściciela firmy, lecz raczej na dobrze prosperującego murarza.

- Abbott, zdaje się, że jesteś absolwentem Princeton.
- Tak jest, sir.
- Mam zadanie dla kogoś z twoich sfer.
- W czym mogę pomóc?

Van Dorn wskazał ruchem głowy dodatek nadzwyczajny, trzymany przez Archiego pod pachą.

– Ten turysta, co ponoć skoczył z pomnika Waszyngtona, to nie żaden turysta, zresztą nie wierzę, żeby sam wyskoczył. Pismaki jeszcze tego nie zwąchały, ale to był Clyde Lapham.

– Ten ze Standardu?

– Podobno sam skoczył. Jeśli to prawda, chciałbym wiedzieć, z jakiego powodu. Jeśli nie skoczył sam, to muszę wiedzieć, kto pomógł mu znaleźć się za oknem.

– Mam pytanie, sir. Dlaczego uważa pan, że sam nie wyskoczył?

– Nasze dotychczasowe dochodzenie wykazało, że żaden z członków Gangu Standard Oil nie ma w sobie czegoś takiego jak poczucie winy. A gdyby nawet, choć to w zasadzie niemożliwe, którykolwiek z nich miał odczuwać jakieś wyrzuty sumienia, to na pewno nie Lapham. On nie miał żadnych wątpliwości, że robienie pieniędzy to jego święte prawo. Coś tu śmierdzi. I tu zaczyna się twoje zadanie.

– Tak jest, sir - potwierdził Archie, zastanawiając się, co ma do tego wszystkiego fakt, że jest absolwentem Princeton.

– Nie pozwalają naszym ludziom nawet zbliżyć się do pomnika. Gdyby opiekowała się nim marynarka, bez problemu załatwiłbym dostęp. Niestety, nie mam znajomości w armii i nie jestem w stanie przełamać oporu zarozumiałego pułkownika Dana Egana, który patrzy na detektywów z góry, jakby nie byli warci jego cennej uwagi. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Nagle Archie znalazł się na pewniejszym gruncie dzięki doskonałej znajomości subtelnych różnic w statusie społecznym.

– Tak jest, sir. Oficerowie wojsk lądowych często bywają gorzej urodzeni od swych odpowiedników z marynarki wojennej i miewają wobec nich spore kompleksy.

– Ten konkretny oficer ma kompleks wielkości słonia. Szczęśliwie udało mi się dowiedzieć, że jego syn zamierza zdawać do Princeton. Założę się, że będzie zachwycony nie tylko tym, że jesteś absolwentem tej uczelni, ale także twoimi manierami, którymi bardziej przypominasz dobrze sytuowanego próżniaka niż detektywa. Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteś próżniakiem, ale chyba mógłbyś wczuć się w tę rolę.

– Spróbuję - rzucił sucho Archie.

– Nie ma czasu na próby - odparł Van Dorn. - Pułkownik Egan niedawno przybył pod pomnik, aby w środku nocy nadzorować coś, co armia optymistycznie nazywa dochodzeniem. Jedź tam i porozmawiaj z nim po swojemu. Rzuć kilka gładkich słówek, zanim jego ludzie zdeptają dowody i zrobią świadkom wodę z mózgow.

Archie uważał, że niewiele zdoła, jeśli podejdzie do pułkownika i prosto z mostu poinformuje go, że studiował w Princeton. Ośmielił się podzielić z szefem swoimi wątpliwościami.

– Może trzeba będzie zrobić coś więcej niż tylko rzucić kilka gładkich słówek.

W odpowiedzi napotkał twarde spojrzenie Van Dorna.

– Agencja regularnie wypłaca ci okrągłą sumkę właśnie za to „coś więcej”.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Nie wątpię.

14.

Tuż przed północą, kiedy Archie wrócił do agencji, Joseph Van Dorn wciąż tkwił na swoim miejscu za biurkiem.

– Samobójstwo czy morderstwo?

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się pan spodziewa, panie Van Dorn.

Gniewne spojrzenie, jakie skierował na niego Van Dorn, przypomniało Archiemu wydarzenie z afrykańskiego safari, podczas którego stanął oko w oko z nosorożcem.

– Pozwól, że sam zdecyduję, czego się spodziewać. Jednym słowem, samobójstwo czy morderstwo?

– Jednym słowem - powtórzył Archie - wojsko zostało wykiwane.

Joseph Van Dorn, jeszcze przed chwilą ponury jak gradowa chmura, uśmiechnął się z zadowoleniem, dokładnie tak, jak oczekiwał Archie. Zerknąwszy na swoją starą szablę podoficera Korpusu Piechoty Morskiej USA, wiszącą na wieszaku na ubrania, zapytał:

– Na co tym razem dała się nabrać nasza armia?

* * *

Isaac Bell wątpił, czy w ekscytującym życiu Nellie Matters było miejsce dla chłopaka. Okazała się doskonałym kompanem przy kolacji w pięknym wagonie restauracyjnym ekspresu Royal Blue, bawiąc nie tylko jego, ale też pasażerów przy sąsiednich stolikach opowieściami o swych podróżach w roli sufrażystki, o przygodach z balonem oraz o rywalizacji z sufrażetkami, z budzącą postrach Amandą Faire na czele, a potem snuła niczym cukrową watę plany organizacji wymyślonej zaledwie przed chwilą Powietrznej Parady Niezależnych Kobiet. Kiedy wysiedli z pociągu w Jersey City, wszystkie szczegóły niezwykle publicznego wystąpienia sufrażystek były już na swoich miejscach. Pozostało jedynie zdobycie funduszy na zakup stu balonów, czym zresztą zdawała się niewiele przejmować.

Jednak podczas przeprawy promem kolejowym przez rzekę Hudson do Nowego Jorku Bell wyczuł w niej nagłą zmianę nastroju na bardziej romantyczny. Uznał, że stało się tak za sprawą przepięknych widoków na oświetlone drapacze chmur w centrum miasta oraz chłodnych powiewów wiatru na odkrytym pokładzie. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Kiedy prom przybił do brzegu, przywarła jeszcze mocniej.

– Niezbyt często spotykam mężczyzn, którzy mi się podobają. Nie chcę przez to powiedzieć, że w ogóle nie lubię mężczyzn. Po prostu większość z nich nie daje się lubić. Wie pan, o czym mówię?

– Nie - odrzekł Bell. - Co to znaczy, że nie dają się lubić?

– Czy ciągle zadawanie pytań to zawodowa choroba detektywów?

– Tak.

– Jest pan tak samo okropny jak moja siostra dziennikarka.

Elegancką dorożką jechali przez miasto. Nellie trzymała go za rękę. Po zdecydowanie zbyt krótkiej podróży powóz zatrzymał się przed miejską rezydencją Mattersów w Gramercy Park, oazie ciszy pamiętającej czasy sprzed wojny secesyjnej. Po drugiej stronie wąskiego parku znajdował się The Players, jeden z klubów Archiego Abbotta. Dorożka odjechała. Bell odprowadził Nellie do drzwi. Ceglana fasada zdobiły lśniące, czarne okiennice.

– Cóż za okazały dom.

– Obracamy się teraz w wyższych sferach, dzięki Standardowi - odpowiedziała Nellie, wsuwając klucz do zamka. Nagle odwróciła się twarzą do niego i powiedziała: - Proszę przyjść jutro wieczorem, przedstawię pana ojcu.

– Jako początkującego baloniarza czy pretendenta do ręki?

– Jedno nie przeszkadza drugiemu. - Nellie obdarzyła Bella promiennym uśmiechem i zniknęła za drzwiami.

Został sam na chodniku. Musiał przyznać, że czuł się nieco otumaniony przez tę tryskającą energią, dowcipną młodą kobietę.

Nagle, kątem oka, dostrzegł jakiś ruch. Z cienia zalegającego Gramercy Park wychynęła drobna postać kobiety w pelerynie. Światło latarni wydobyło z mroku jej twarz.

– Edna? - spytał zaskoczony, a zarazem uradowany niespodziewanym spotkaniem.

– Właśnie szłam do domu - powiedziała. - Nie chciałam wam przeszkadzać.

Wyglądała na zasmuconą.

– Wszystko w porządku?

Edna Matters zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Niezupełnie. To znaczy, nie wiem, jak się zachować w pewnej sytuacji.

– Dobrej czy złej?

– Gdybym to wiedziała, nie miałabym dylematu.

– Proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Mogę pani pomóc - zaofiarował się Bell. - Mam spore doświadczenie w odróżnianiu dobra od zła. Przejdźmy się i porozmawiajmy.

Godzina była dość późna i elegancko ubrana para mogła przyciągnąć uwagę złodziei, którzy z ochotą zaopiekowaliby się pieniędzmi ich obojga. Jednak widoczna przy bliższym przyjrzeniu się, podejrzana sprężystość ruchów mężczyzny, w połączeniu z jego chłodnym, pewnym siebie spojrzeniem, skutecznie zniechęciła ewentualnych amatorów szybkiego zarobku. Doszli do jasno oświetlonego Broadwayu. Chodniki pełne były ludzi wchodzących i wychodzących z hoteli, restauracji i teatrzyków rewiowych.

– Dorastałam pośród szybów naftowych - odezwała się nagle Edna. - Wciąż słyszałam o rurociągach i zbiornikach przelewowych od ojca, który ponosił kolejne porażki w starciach ze Standardem.

– Czy to dlatego napisała pani *Historię szwindli*?

– Sądzi pan, że miałam inne wyjście?

– Nie wiem - odparł Bell. - Klęski ojca nie skłoniły Nellie do zajęcia się dziennikarstwem.

– Nie uważa pan, że w jej walce o sprawiedliwość dla kobiet chodzi w sumie o to samo?

– Czyli o co?

– O próbę naprawiania świata.

– Nie - zaprzeczył Bell. - Równouprawnienie to konkretny, szczytny cel, a pisanie prawdy jest raczej powołaniem. Być może ma pani rację, mówiąc, że nie miała pani innego wyjścia.

– Za bardzo mi pan nie pomaga.

– Przepraszam, ale nie wiem, na czym polega pani dylemat. W czym pani nie pomagam?

Znów zamilkła. Bell próbował podtrzymać rozmowę.

– A jak to było z Nellie? Czy nie przeżywała problemów ojca tak silnie jak pani?

– Nellie kocha go równie gorąco jak ja, ale nie było jej przy nim w najtrudniejszych chwilach. Kiedy tylko dorosła, zaczęła podróżować po świecie. Dziś tu, jutro gdzie indziej.

– Może próbowała uciec od tego wszystkiego?

– Trudno powiedzieć. Ciągle była w drodze, a do domu wpadała jak po ogień.

– Pani też sporo podróżuje.

– Bardziej jak rak pustelnik. Wożę ze sobą cały mój dom. Bez względu na to, gdzie się zatrzymam, wieczorem siadam przy maszynie do pisania. Wydawało mi się, że już czas przestać pisać, zakończyć moją krucjatę.

– Z jakiego powodu miałyby pani zrezygnować z pisania?

– Sądziłam, że tak będzie lepiej. Ale każdy nowy strajk nafciarzy to kolejna historia do opowiedzenia. A teraz, w związku z malejącą podażą na skutek rozruchów w Baku, światowy przemysł naftowy może zostać wywrócony do góry nogami. Proszę spróbować sobie wyobrazić, co w takich chwilach dzieje się w głowie Rockefellera.

– Dlaczego miałyby się przejmować tym całym Baku?

– Baku to połowa światowych zasobów ropy, zasilających największe rynki zbytu. Jeśli spłoną pola naftowe Baku, kto dostarczy ropę na rynki opanowane przez Rosjan, Noblów i Rothschildów? Tylko Rockefeller, nawet jeśli to prawda, że odszedł na emeryturę, w co zresztą nigdy nie uwierzę... Proszę mnie posłuchać! Mam obsesję na punkcie JDR, nie potrafię przestać o nim pisać. Kiedy tylko pomyślę, że właśnie nadszedł ten moment, zawsze dowiaduję się czegoś nowego.

– Na przykład czego?

– Słyszałam plotki, choć to raczej domysły, że Rockefeller wykorzystuje artykuły, które piszą opłacani przez niego dziennikarze, do potajemnego porozumiewania się ze swymi współnikami. Wspólnie układają historyjkę, która jest przedrukowywana we wszystkich gazetach świata, a ci, którzy znają kod, odczytują zawartą w niej wiadomość... Chłopcze!

Dała dwa centy przebiegającemu obok gazeciarszowi, dostrzegłszy poranne wydanie „Sun”, i szybko przebiegała wzrokiem kolejne strony w potoku światła padającego z okna restauracji serwującej owoce morza.

– Jest! Po raz pierwszy natknęłam się na to w styczniu. Zdaje się, że to list, jaki podobno napisał z wakacji we Francji do swojej szkółki niedzielnej. „Rozkoszny wiaterek. Przyglądam się rybakom z sieciami na plaży i zerkam na słońce wstające nad pięknym Morzem Śródziemnym. Mijają kolejne przyjemne i owocne dni”.

– Brzmi całkiem zwyczajnie, rzekłbym nawet, pospolicie - powiedział Bell. - Do tego stopnia pospolicie, że można by się zastanowić, dlaczego gazety chcą to drukować.

– Każda wypowiedź najbogatszego człowieka w Ameryce automatycznie staje się nowiną dla prasy. Czasem zmieniają jakieś szczegóły w celu uaktualnienia. Na przykład po powrocie JDR z Europy dodali: „Jak pamiętam, podczas pobytu we Francji”, i tak dalej. Ostatnio dołożyli fragment o wschodzącym słońcu. Głowę daję, że to ukryta wiadomość. Może to nie ma znaczenia, a może ma. Nie potrafię przestać o nim pisać... - Odwróciła stronę gazety. - Jest jeszcze jeden tekst, który śledziłam. Ukazywał się w rubrykach towarzyskich. Za nic w świecie nie potrafię odczytać ukrytego sensu, ale to musi być jakiś szyfr. - Zaczęła czytać: - „Monmouth County Hounds, Lakewood. Pierwsza gonitwa po sztucznym śladzie w tym sezonie. John D. Rockefeller w

swoim automobiliu był na linii startu, ale wkrótce odjechał”. - A to niby o tym, jak gra w golfa: „Rockefeller, prezes Standard Oil, triumfował po zwycięstwie swojego zespołu. Dominował na polu długimi, zamaszystymi uderzeniami...”. Dlaczego pan tak na mnie patrzy, panie Bell?

– Powinna pani zobaczyć swoją twarz. Cała płonie. Gratulacje!

– Za co?

– Za znakomitą decyzję, by nie rezygnować z pisania.

Nagle odezwał się szczebiotliwy chór młodzieńczych głosów.

– Dodatek nadzwyczajny! Najnowsze wiadomości!

Grupki gazeciarzy wysypywały się z budynku „Timesa” i rozbiegały w obie strony Broadwayu i Siódmej Alei. Powiewali płachtami dodatku nadzwyczajnego i wykrzykiwali sensacyjne wiadomości.

– Bogaty starzec skoczył z pomnika Waszyngtona!

Bell kupił gazetę. Pochylili się nad nagłówkiem:

„Samobójstwo potentata. Bogacz ze Standard Oil ginie po skoku z pomnika Waszyngtona”.

Potem przebiegli wzrokiem pierwszą i drugą stronę.

– Jak pani sądzi, dlaczego to zrobił? - spytał Bell. - Ruszyło go sumienie?

Edna Matters pokręciła głową.

– Sumienie? Aby poznać znaczenie tego słowa, Clyde Lapham musiałby zajrzeć do słownika.

– Może bał się wyników rządowego śledztwa - zastanawiał się Bell. Wiedział już, że podczas dochodzenia prowadzonego przez Agencję Van Dorn zebrano dość dowodów, aby uszczęśliwić prokuratora.

– Jeśli się zabił, bo poczuł na plecach oddech organów sprawiedliwości, to w swej ostatniej myśli musiał żałować, że nie zabrał ze sobą Rockefellera. - Poglaskała Bella po policzku. - Isaac, wracam do domu. Muszę się tym zająć... Ty zapewne też.

* * *

Do budynku Yale Club przy Czterdziestej Czwartej ulicy, gdzie Bell zatrzymywał się podczas pobytu w Nowym Jorku, wpuścił go nocny portier o imieniu Matthew.

– Pan Forrer uprzedził mnie telefonicznie o swojej wizycie i poprosił, abym go dyskretnie wpuścił wejściem służbowym. Czeka na pana w salonie.

Bell wbiegł po schodach.

Główny salon, wysoko sklepienie pomieszczenie wypełnione kanapami i fotelami, byłby zupełnie pusty o tej później godzinie, gdyby nie to, że większą część jednej z kanap zajmował Grady Forrer, szef sekcji analitycznej Agencji Van Dorn. Forrer nosił okulary w drucianej oprawce, potwierdzające jego status człowieka nauki. Można powiedzieć, że był wielkim naukowcem. Dorównywał wzrostem Bellowi, natomiast tuszą przewyższał go co najmniej dwukrotnie. Bell widział na własne oczy, jak sam rozpędził demonstrację, przechadzając się pomiędzy jej uczestnikami.

– Moja ożywiona korespondencja z szefem mogła spowodować przegrzanie drutów telegraficznych. W sprawie dochodzenia dla Komisji Korporacyjnej rozpętało się piekło.

– Właśnie przeczytałem w gazecie o Laphamie. Czy wiemy na pewno, że to było samobójstwo?

– Nie. Wiemy tylko to, czego zdołał dowiedzieć się Archie Abbott, który wkręcił się między wojskowych, prowadzących oficjalne śledztwo. Van Dorn bardzo go chwalił, co w przypadku Archiego nie zdarzało mu się zbyt często.

– Czego dowiedział się Archie?

– Najwyraźniej ktoś, jeśli nie Lapham, to przypuszczalnie nasz zabójca, w wyjątkowo przemyślny sposób wystrychnął na dudka wojsko, które sprawuje kontrolę nad pomnikiem. Podstęp był tak wyrafinowany, że można go określić jako barokowy.

– Barokowy? Co przez to rozumiesz? Że niby tak bardzo skomplikowany?

– Skomplikowany to mało powiedziane. Raczej dziwaczny. Wręcz figlarny, jak starannie przygotowany psikus, gdyby nie to, że w jego wyniku zginął człowiek. Trudno sobie wyobrazić, że udało się to przeprowadzić, a jeszcze trudniej wyjaśnić, dlaczego zadano sobie tyle trudu, by wykończyć jednego starca.

– Jak Lapham wydostał się przez to okno? - dziwił się Bell. - Wszystkie okna zostały zakratowane po tym, kiedy ten wariat z Ligi Antysalonowej próbował wyskoczyć, ciągnąc za sobą transparent.

– Pręty zostały rozgięte za pomocą podnośnika.

– Kręcenie śrubą podnośnika musiało chwilę potrwać. Dlaczego nikt go nie powstrzymał?

– Nikt niczego nie zauważył. Okno wychodzące na zachód zostało odgrodzone od pozostałej części punktu obserwacyjnego brezentowymi płachtami, by zapewnić twórczą atmosferę artyście, malującemu widoczny stamtąd pejzaż.

– Gdzie był ten artysta malarz?

– Tak naprawdę to nikt go nie widział. Została po nim paleta i sztalugi, ale nie znaleziono dzieła. Według Archiego malarz nie zrobił nic poza rozstawieniem sztalug. Zanim zapytasz o nazwisko tego malarza, powiem ci tylko tyle, że najprawdopodobniej było fałszywe.

– Jak się nazywał?

– W tym miejscu sprawy zaczynają się komplikować. Za chwilę wrócimy do kwestii nazwiska.

– Mam za sobą bardzo długi dzień, Grady. O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że malarz otrzymał od wojska, a konkretnie od pewnego pułkownika armii Stanów Zjednoczonych odpowiedzialnego za pomnik Waszyngtona, zgodę na tworzenie obrazu w kameralnych warunkach za brezentową kurtyną w drodze wyjątku, na osobistą prośbę słynnego wojskowego Strzelca wyborowego.

15.

– Zdobył Medal Prezydenta w tysiąc dziewięćset drugim.

Bell zagłębił się w fotelu i zastanowił nad tym.

– Innymi słowy, jest najlepszy.

– Najprecyzyjniejszy snajper tysiąc dziewięćset drugiego roku.

– Strzela z dziewięćset czternastu metrów - powiedział Bell. - Jak on się nazywa?

– Szeregowiec Billy Jones.

– Ludzie, którzy rzeczywiście nazywają się Jones i Smith, powinni dostawać specjalne identyfikatory na dowód, że sobie nie zmyślili nazwiska.

– Szeregowiec Billy Jones zdezerterował z Pierwszego Pułku Gwardii Narodowej New Jersey w Newark krótko po zdobyciu medalu.

– Dlaczego armia pozwoliła malować komuś w środku pomnika? Dlaczego po prostu go nie aresztowali?

– Nie zapytał całej armii, tylko idiotę pułkownika, który dowodził pracami w pomniku, również malowaniem. Wysłał pułkownikowi list. Cholerny dureń nie słyszał wiadomości, że ich mistrzowski snajper zdezerterował. Minęły trzy lata i armia prawdopodobnie zatuszowała ze wstydu tę dezercję.

– Nie mówiąc o tym, że bali się poinformować prezydenta - dodał Bell.

Poważna mina Forrera zmieniła się w uśmiech.

– Nie bądź ponurakiem, Isaac. Żaden zawodowy oficer nie chciałby rozczarować takiego prezydenta jak Teddy.

– Więc nikt nie zobaczył uszkodzonej kraty za płótnem dla artysty, którego nikt nie widział, toteż nikt nie wie, czy stary Lapham skoczył, czy został zepchnięty.

– Dwaj ludzie zanieśli go tam. Lekarze.

– Więc zaczniemy od nich.

– Niestety, nie.

– Co znowu? - zapytał Bell.

– Armia nie zawiadomiła jeszcze policji, więc dziennikarze nic nie wiedzą, ale zaprzyjaźniony z Archiem pułkownik półgłówek przyznał, że lekarze zniknęli i nikt nie ma pojęcia, czy naprawdę nimi byli, czy tylko nosili torby lekarskie.

– Co tym bardziej sugeruje zabójstwo - zauważył Bell.

Forrer powtórzył to, co Bell często słyszał od niego:

– Zadaniem szefa działu badań Van Dorna jest oddzielać fakty od przypuszczeń.

– Prowokujesz mnie do sarkazmu, Grady. Jeśli to nie było zabójstwo, to ludzie, którzy udawali lekarzy i wnieśli Laphama na szczyt pomnika, mieli w swoich torbach lekarskich podnośnik i zostawili mu go, a on podniósł nim kratę, żeby móc wyskoczyć przez okno.

– Takie spojrzenie na to sugeruje zabójstwo - przyznał Forrer.

– Ale jak sam powiedziałaś, po co zadawać sobie tyle trudu, żeby zabić jednego starego faceta? Można było dać mu w łeb i mówić, że spadł z krzesła... To mniej skomplikowane, ale i mniej efektowne.

– Czy zabójca posłużył się nazwiskiem sławnego snajpera, ryzykując, że pułkownik wie o jego dezercji?

– A może zabójca jest dezercerem? Dowiódł, że jest mistrzem w strzelaniu. - Bell pokręcił głową. - To nie ma sensu. Po co ściągałby na siebie uwagę, skoro bezpiecznie zniknął na trzy lata?

Bellowi przyszło do głowy, że wyjątkowe umiejętności strzeleckie zabójcy są tylko środkiem. Uważał go za snajpera. Teraz musiał go uznać za mordercę, który zabija różnymi sposobami.

– Musisz mi podać nazwisko artysty, którego używa.

Forrer skinął głową.

– To jakieś kuriozum. Nazywa siebie Isaakiem Bellem.

– Co?!

– Wie, że prowadzisz to śledztwo, Isaac.

Bell wstał z fotela i podszedł przez pusty salon do wysokich okien z widokiem na Czterdziestą Czwartą Zachodnią. Uśmiechnął się lekko.

– On cię wzywa do walki! - stwierdził Forrer. Dorastał na głębokim południu, gdzie wezwanie kogoś do walki oznaczało ustawienie się na jego frontowym trawniku z bronią w ręku i czekanie, aż wyjdzie i otworzy ogień.

– Na to wygląda - zgodził się Bell i popatrzył w dół na Czterdziestą Czwartą. Samochody i powozy wracały na noc do wielu garaży i stajni w kwartale ulic.

Nagle przestał to widzieć przez okno.

– Wreszcie.

– Co? - zapytał Forrer.

– Popęłnił błąd.

– Myśląc, że może cię pokonać?

– To też.

Wysoki detektyw odwrócił się gwałtownie i przeciął duży pokój kilkoma długimi krokami z energicznym wyrazem twarzy.

– W końcu coś mamy. Dowiedzmy się, kim naprawdę jest ten mistrz.

Forrer wstał z fotela i się wyprostował.

– Wracam do biura.

Miał tam łóżko polowe i Bell wiedział, że po krótkiej drzemce zagłębi się w swoich aktach. Asystenci i praktykanci przyjdą rano do pracy i zastaną swojego szefa nad gazetami, magazynami ilustrowanymi i depeszami z prywatnych telegrafów agencji.

Bell odprowadził go na dół do drzwi frontowych.

– Chciałbym, żebyś się zajął jeszcze czymś.

– To znaczy?

– Edna Matters ma interesującą teorię.

Powiedział mu o jej teorii na temat szyfru gazetowego Johna D. Rockefellera.

Forrera zaintrygował pomysł, że wysłannicy Rockefellera czytają gazety na polecenie szefa.

– Nie wspominając o setkach „korespondentów”, którzy szpiegują dla Standard Oil na całym świecie, czytając gazety i uświadamiając sobie, jakich informacji on potrzebuje.

– Możesz złamać ten szyfr?

– Nie chodzi tylko o to, co on mówi - wyjaśnił Forrer - ale kiedy to mówi. Odnosi się do tego, co oni już wiedzą. Mówi im: „Teraz czekamy, teraz się przygotowujemy, teraz ruszamy”.

– Przejrzyj swoje akta ze stycznia, kiedy Rockefeller był w Cannes.

– Zacznę wcześniej.

– Zdanie o obserwowaniu dzieci, które kopią w piasku, pojawia się dopiero w ostatnich tygodniach.

– Zwrócę na to szczególną uwagę. Co mam powiedzieć panu Van Dornowi?

– Że zabójca niezupełnie jest takim profesjonalistą, jak myśli.

– Zapyta mnie, co przez to rozumiesz. Chciałbym mieć gotową odpowiedź.

– Powiedz mu, że zabójca to pozer.

– I co on z tego wywnioskuje według ciebie?

– To, czego mnie uczył: pozerzy się potykają, kiedy zapominają patrzeć pod nogi.

– A ty dokąd się wybierasz, Isaac?

– Do Westchester.

– Zobaczyć się z wielkim człowiekiem?

– Zobaczyć, co go motywuje... To następna rzecz do przemyślenia dla pana Van Dorna. Jeśli nasz zabójca chce wyrzucać ludzi przez okna, zamiast do nich strzelać, to jest jeszcze mniej przewidywalny niż zawodowy snajper.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Zaczekaj chwilę! Wiemy, dlaczego Clyde Lapham był w Waszyngtonie?

– Przypuszczam... - zaczął Forrer.

– Myślałem, że dział badań nie przypuszcza.

– Zaraz się do tego wezmę... Hej, dokąd idziesz?

Isaac Bell wymaszerował na ulicę i pomachał garścią pieniędzy do szofera, który właśnie zamierzał wjechać do garażu Autem Acme Opera Limousine.

– Grady! - zawołał przez ramię. - Wyświadczyć mi przysługę i wyślij w moim imieniu telegramy do Nellie Matters i Johna D. Rockefellera. Przepraszam, że nie spotkam się z nimi jutro, i zapytaj, czy odpowiadałoby im pojutrze.

– A dokąd się teraz wybierasz?

– Wracam do Waszyngtonu.

– Jest środek nocy.

– Złapię Congressional Express.

Zapłacił ziewającemu szoferowi za szybki kurs do przystani promu kolejowego przy Czterdziestej Drugiej.

Ekspres o pierwszej nad ranem okazał się pełny. Nawet z przepustką kolejową nie mógł dostać kuszетки. Wyciągnął odznakę vandornowca i popędził do kurierskiego wagonu opancerzonego na początku składu. Tam też nie mógł liczyć na kuszетkę ze świeżo wyprasowaną pościelą ani nawet na wygodny fotel. Ale kurier odpowiedzialny za klejnoty, złoto, obligacje na okaziciela i banknoty ucieszył się z towarzystwa drugiego uzbrojonego strażnika. Bell czekał, aż pociąg rozpędzi się do stu kilometrów na godzinę, i zrobił sobie posłanie z worków ze stoma tysiącami dolarów. Budził się i pełnił wartę z wyciągniętym pistoletem na stacjach w Filadelfii, Wilmington i Baltimore.

* * *

– Ogień grecki uratował Konstantynopol przed arabskimi flotami, pani McCloud - usłyszała owdowiała właścicielka stoiska kawowego na Fulton Street.

Była przywiązana do kuchennego krzesła i miała w ustach knebel. Bill Matters przyglądał się jej od drzwi.

Knebel został poluzowany przez zabójcę. Widziała, że zabójca siedzi na brzegu wanny. Znajdowali się w małym pomieszczeniu z krzesłem, stołem i piecykiem kuchennym.

– Komu jeszcze pani powiedziała? - padło pytanie zabójcy.

Pani McCloud była kobietą odważną.

– Nie dowiesz się.

– O, dowiem się... Ogień grecki płonął na wodzie. Płonie nawet wtedy, kiedy ochlapie się go wodą. Atakujący Arabowie przekonali się o tym, gdy pożar ogarnął ich okręty. Jego skład był tak pilnie strzeżoną tajemnicą, jak działania Standard Oil Company. Wzór chemiczny dawno zaginął. Ale przypuszczalnie zawierał ropę naftową.

Ręce zabójcy uniosły czterolitrową bańkę nafty, znanego rozpuszczalnika sprzedawanego w sklepach żelaznych, i podziurawiły ją na wierzchu szczytykiem.

– Znajdzie pani naftę w Biblii, pani McCloud. To słowo opisuje płonący płyn. Jest w Starym Testamencie. Oznacza „oczyszczenie”. Asyryjczycy zanurzali strzały w nafcie, żeby walczyć ogniem z wrogami.

– Myślisz, że mnie przestraszysz?

Knebel znów został zaciśnięty.

– Dziś, we współczesnych, łagodniejszych czasach, używamy nafty do czyszczenia ubrań i rozpuszczania tłuszczu i farby. Ale odkąd auta stały się popularne, jest ona szczególnie ważna jako składnik benzyny. Widziała pani kiedyś płonącą benzynę? Niech pani sobie wyobrazi płomienie, jakie powstają z nafty. Komu jeszcze pani powiedziała, że dostała ode mnie proszek, który dała tamtemu staremu człowiekowi?

Pokręciła głową. Obserwowała bańkę, ale w oczach wciąż miała więcej pogardy niż strachu.

Z bańki odwróconej przez zabójcę do góry dnem, wylała się nafta na jej głowę i podniszczoną domową sukienkę. Potem knebel został poluzowany i ponownie padło pytanie, zadane tym samym cichym, natarczywym głosem:

– Komu jeszcze powiedziała pani, że dostała ode mnie proszek, który dodała do kawy pana Comstocka?

Matters, otrzymawszy znak od zabójcy, że teraz jego kolej, przygotował się do działania i potarł kuchenną zapalną o ruszt piecyka. Zapłonęła w obłoczku gryzącego dymu.

– Komu jeszcze?

– Nikomu. Przysięgam.

– Nikomu poza posłańcem, którego pani przysłała, żeby mnie szantażować - stwierdził Matters.

– Nie powiedziałam mu wszystkiego. Tylko tyle, żeby pana nastraszyć i zmusić do zapłacenia.

– Zrobiła to pani.

– Gdzie on jest? - zapytała ze wzrokiem utkwionym w płomieniu.

– Kto? Posłaniec szantażysta? Umarł. Po tym, jak nam powiedział, gdzie panią znaleźć. - Matters odwrócił się do zabójcy. - Ona mi wierzy i teraz ja wierzę jej.

Pani McCloud zapadła się w sobie z rozpacz.

– Mój syn - szepnęła.

– Zapytaj ją, jak przeze mnie dotarła do ciebie - padła propozycja zabójcy.

– Słyszała pani pytanie - zwrócił się do kobiety Bill Matters. - Skąd pomysł, że można mnie szantażować?

Wdowa nagle jakby się postarzała o dwadzieścia lat.

– Mój syn poszedł za tamtym starym człowiekiem do jego biura - wyszeptała ze łzami w oczach. - Zobaczył was razem. Widział, że spotykacie się co dzień w herbaciarni. Jakbyście mieli tajemnice poza biurem.

– Pani syn dobrze się domyślał. Wierzę jej, a ty? - Matters zwrócił się do zabójcy.

Zabójca podszedł bliżej i spojrzał pani McCloud w oczy.

- Niech pani powtórzy: „Nikommu innemu”.
- Nikomu innemu. Przysięgam.
- Wierysz jej? - zapytał znów Matters.
- Słyszałeś przecież, że tak, wierzę.
- W porządku.
- Ale ona nie zostawi cię w spokoju, dopóki będzie żyła.

Bill Matters rozważał to zastrzeżenie w milczeniu. Nagle usłyszał, jak sam bełkocze głupstwa.

- A co ona mogłaby powiedzieć? Kto by jej uwierzył?
- Wykopią Comstocka i wykonają próbę Marsha. I jak myślisz, co znajdą w jego szczątkach?

Matters pokręcił głową, choć oczywiście wiedział.

– *Poudre de succession!* To po francusku, biedaku, a znaczy „proszek dziedziczenia”, co jest eufemizmem arszeniku. Innymi słowy, powiesz cię za otrucie Averella Comstocka.

- Nikomu nie powiem - przyrzekła pani McCloud. - Obiecuję.

Bill Matters kręcił głową. Nie mógł znieść strachu kobiety. Pogarda okazana przez Mary McCloud zapowiadała śmiertelne zagrożenie szantażem. Ale jej strach budził w nim litość. Nie wątpił, że większość mężczyzn jest jego wrogami. Ale nie kobiety. Dwa razy owdowiał i miał córki z kobietami, które kochał. Usłyszał swój tchórzliwy szept:

- Nie wiem, czy potrafię to zrobić.
- Po to masz mnie - usłyszał zapewnienie zabójcy.

16.

Po powrocie z Waszyngtonu Bell pożyczył stanleya steamera od bliskiego znajomego Archiego Abbotta, bogatego nowojorczyka, który według słów Archiego „prowadził spokojne, przykładowe życie towarzyskie”. Z Manhattanu pojechał na północ do Westchester przez Spuyten Duyvil, Yonkers i Dobbs Ferry. Droga była miejscami wybetonowana, gdzie indziej wyasfaltowana, tu i tam żwirowa, a na niektórych odcinkach wciąż gruntowa. Biegła obok wiejskich klubów, prosperujących farm i zajazdów dla automobilistów z miasta. Dotarł do

North Tarrytown w korku wypełnionych robotnikami wozów farmerskich, ciężarówek i aut.

Lokalny posterunkowy wyjaśnił, że jest dzień wyborów. Wszystkie pojazdy wiozły trzystu ogrodników, murarzy, drogowców i służących Johna D. Rockefellera do urn w North Tarrytown, żeby zagłosowali na jego powierników.

– Wygra? - zapytał Bell.

– Jak zawsze - odrzekł posterunkowy, który z pewnością zawdzięczał swoją pracę obecnym rządzącym. - Ale w tym roku rzeźnik prowadzi potężną kampanię.

Skierował Bella w stronę posiadłości Rockefellera. Ruchliwe miasto wkrótce zostało z tyłu, zastąpione przez wielkie inwestycje - nowe drogi, tamy na rzekach, sztuczne jeziora, stajnie, zajazdy i pole golfowe - na terenach okolicznych farm i całych wiosek. Bell pokonał ślepy zakręt i zobaczył starą gospodę w morzu błota. Szyld na dachu głosił:

ZAJAZD SENNA KOTLINA

Domalowany ręcznie napis uprzedzał:

Nie do sprzedania

nawet panu, panie prezydencie

Bell zjechał z drogi i zatrzymał się przed wejściem z mocnym przecuciem, że właściciel zajazdu chętnie powie mu to i owo o lokalnej działalności Rockefellera. Zamówił piwo i słuchał.

– Ten emeryt jest niebezpieczny - oznajmił wściekły właściciel zajazdu. - Jeśli ludzie uważają Standard Oil za ośmiornicę, to powinni zobaczyć, co on wyrabia w Pocantico Hills, gdzie moja rodzina przez dwieście lat ścinała drzewa, łowiła ryby i uprawiała tamte pola po drugiej stronie drogi, zanim ten świętoszkowaty pirat zwinął manatki w Cleveland, żeby się wepchnąć do Nowego Jorku, a potem do naszej małej osady.

Kiedy oberżysta przerwał, żeby złapać oddech, Bell zapytał:

– Dlaczego świętoszkowaty?

– Bo nie pije. Szlag go trafia, że sprzedaje drinki na wprost jego frontowej bramy. Wyłączył z branży mojego konkurenta, bo wykupił w osadzie wszystkie domy, z których przychodzili jego klienci. Ale mnie tego nie może zrobić, bo moi klienci przyjeżdżają autami z miasta, tak jak pan.

– Więc jest impas.

– Na tyle, na ile jeden człowiek może się przeciwstawić ośmiornicy. Kto wie, jak on mnie jeszcze podejdzie?

– Często tu bywa?

– Za często. Odkąd zbudował sobie własne pole golfowe, jest tu cały czas.

– Jak duża jest ta posiadłość? - spytał Bell.

– Tysiąc dwieście hektarów i stale się powiększa. On może tam jeździć całymi dniami po własnych drogach i nigdy dwa razy tą samą.

Isaac Bell zastał bramę otwartą i niestrzeżoną. Podjazd biegł przez gęsty las, łąkę i skoszone trawniki, zielone jak w Anglii. Ścieżki konne i tłuczniowe drogi dla powozów przecinały podjazd i znikwały pod cienistymi drzewami. Na zakrętach pojawiały się nagle polany z zapierającą dech panoramą rzeki Hudson.

Bell minął stajnie i powozownię, domki gościnne, ogrody w otoczonych murem zagłębieniach, herbaciarnię i cieplarnię w budowie, której zgrabny szkielec czekał na oszklenie. Komin ukrytej za skalnym wypiętrzeniem elektrowni zasłaniała kępa wysokich cedrów. Podjazd prowadził łagodnym zboczem na płaskowyż z widokiem na rzekę i okrążał wielką rezydencję we wczesnym stadium budowy. Na rusztowaniach roіło się od murarzy, którzy wzmacniali kamieniarką głębokie wykopy pod piwnicę.

Bell się zastanawiał, w którym ze starszych lub nowo zbudowanych mniejszych domów mieszka teraz Rockefeller, gdy zauważył poniżej płaskowyżu jakby kanion przecinający skaliste wzgórze. Wjechał tam po płaskim podłożu drogi. Na porośniętych pnąciami bokach kamieni widniały ślady wierceń, podsypka chrzęściła pod oponami i bryły węgla lśniły w słońcu, co wskazywało, że to nieużywany od dziesiątek lat odcinek starej linii kolejowej. Bell wyłonił się na przeciwległym końcu wzgórza obok skupiska podniszczonych obór, które pozostało po włączonej do posiadłości farmie mlecznej.

Przewody telegraficzne, telefoniczne i elektryczne biegły po mocnych słupach do największej obory. Bell zaparkował steamera i nacisnął przycisk przy drzwiach. W środku rozległ się brzęczyk.

Drzwi otworzył sam John D. Rockefeller. Był ubrany tak samo jak ostatnim razem w biurze Josepha Van Dorna - w elegancki sukienny surdut, koszulę z łamanym kołnierzykiem i krawat z prostym węzłem. W kieszonce na piersi miał jedwabną chusteczkę, w mankietach złote spinki. Patrzył posepnie.

– Co się właściwie stało z Clyde'em Laphamem?

– Pan zna odpowiedź lepiej niż ja - odrzekł Bell.

– Co to znaczy?

– Po co wysłał pan Laphama do Waszyngtonu?

– A skąd ten pomysł, że to zrobiłem?

– Wiem, że tak. Chcę się dowiedzieć po co.

– Skąd pan wie, że go wysłałem do Waszyngtonu?

– Detektywi Van Dorna przyjaźnią się z lokalnymi gliniarzami.

– Myślałem, że pan odszedł ze swojego stanowiska.

– Wiadomość o mojej rezygnacji nie dotarła do moich znajomych w waszyngtońskiej policji. Po co wysłał pan Laphama do Waszyngtonu?

– Żeby dać biedakowi jakieś zajęcie.

– Biedakowi?

– Clyde Lapham był najinteligentniejszym, najpryтомniejszym i najbardziej postępowym biznesmenem. Ale zaczynało być z nim coraz gorzej. W końcu stało się jasne, że ma demencję.

– Po co pan go wysłał?

– Chyba już pan wie. Po co ta zabawa?

– Nie wiem, czy mogę panu ufać. Chcę to usłyszeć od pana.

Staremu człowiekowi nie spodobało się to i Bell już się spodziewał, że go usuną z posiadłości. Ale zamiast tego, Rockefeller wyjaśnił:

– Poprosiłem Clyde'a Laphama, żeby omówił sprawę datku z pastorem, który zbiera fundusze na budowę pomnika prezydenta Abrahama Lincolna.

– Dziękuję - odparł Bell.

Rozważał przez chwilę, czy zapytać, dlaczego Rockefeller potajemnie odwiedził perską ambasadę, ale wtedy na pewno by go wyrzucili. Nie

dowiedział się niczego więcej na ten temat podczas szybkiego powrotu do Waszyngtonu i polecił Archiemu Abbottowi wybadać jego znajomych w Departamencie Stanu.

– A odpowiedź na pańskie pytanie jest taka - powiedział - że Clyde Lapham został zamordowany.

Mina Rockefellera się nie zmieniła, ale ramiona wyraźnie mu opadły. Cofnął się. Pokazał gestem Bellowi, żeby wszedł, i bez słowa poprowadził go przez hol do kreślarni z wysokim sufitem. Kreślarze w kamizelkach na koszulach pochylali się nad stołami kreślarskimi w świetle wychodzących na północ świetlików. Bell zobaczył plany budynków i krajobrazu. Gotowe projekty leżały na stołach roboczych, gdzie inżynierowie budownictwa i architekci tłumaczyli majstrom ich zadania. Rockefeller przystanął obok stołu, przy którym kreślarz rysował stalowy szkielet kamiennego mostu, powiódł palcem po szkicu i uprzejmie zalecił poprawkę.

Ruszył dalej korytarzem z szeregiem zamkniętych drzwi. Skręcili za róg, gdzie były drzwi z szybą z mrożonego szkła w ich górnej części. Bell wszedł za nim do środka i natychmiast się zorientował, że pozornie emerytowany prezes Standard Oil prowadzi podwójne życie w Pocantico Hills. Tu aktywnie kieruje rozległą modernizacją swojej nowej posiadłości i jednocześnie nadal zarządza swoim przemysłowym imperium.

Za drzwiami z szybą z mrożonego szkła mieściło się nowoczesne niczym na Wall Street biuro z sekretarkami, księgowymi, prywatnym telegrafem z kablem transatlantyckim, liniami telefonicznymi i dalekopisami. Rockefeller poprowadził Bella przez zgiełk do swojego gabinetu, zamknął drzwi i stanął za biurkiem.

– Pana obecność tutaj - powiedział - mówi mi, że przyjechał pan zrobić to, o co prosiłem: powstrzymać zabójcę i położyć kres szkalowaniu Standard Oil.

– Skoncentruję się na zabójcy - odparł Bell - a szkalowanie zostawię panu.

– Skąd pan wie, że Clyde Lapham został zamordowany?

Bell zrelacjonował mu krok po kroku wydarzenia na pomniku Waszyngtona.

– Skomplikowane - stwierdził Rockefeller. - Spotkał się pan kiedyś z tak wymyślnym zabójstwem?

– Trzema zabójstwami - poprawił Bell.

Rockefeller zamrugął.

– Trzema?

– I usiłowaniami zabójstwa. Oraz wymyślnym podpaleniem.

– O czym pan mówi?

– „Skomplikowane”, jak pan je nazwał, morderstwo Laphama było po prostu przesadzoną wersją wcześniejszych zbrodni zabójcy.

Opisał Rockefellerowi śmierć niezależnych kansaskich rafinerów, Reeda Riggsa i Alberta Hilla, wymyślną i bardzo skuteczną eksplozję z kaczką celem, spalenie rafinerii Spike’a Hopewella oraz próbę zastrzelenia jego, Walta Teksasa i Archiego Abbotta. Na koniec przypomniał Rockefellerowi o upozorowanym samobójstwie Wielkiego Pete’a Strauba.

– Na tle tamtych, zastrzelenie z ukrycia Hopewella i C.C. Gustafsona to jego jedyne „normalne” zbrodnie.

– Co jest motywem takiego komplikowania?

– Jeszcze nie wiem - odrzekł Bell. - Efektem tamtych prostych zabójstw jest to szkalowanie, które chce pan powstrzymać, obwinianie Standard Oil. Morderstwa upozorowane na wypadki nie należą do tej kategorii. Być może tamci ludzie zostali zabici z innych przyczyn.

Jakaś sekretarka zapukała, weszła i zamamrotała Rockefellerowi do ucha. Podniósł słuchawkę telefonu, posłuchał, rozłączył się i pokręcił głową. Siedział przez chwilę w milczeniu, potem zwrócił się do Bella:

– Mój ojciec czytał nam na głos. Lubił Kominkowych Poetów. Zna ich pan? Bell przytaknął.

– Mój dziadek ich czytał. Longfellowa, Whittiera, Lowella.

– Ojciec najbardziej lubił Lowella... - Znów pokręcił głową. - Właśnie się dowiedziałem, że Averell Comstock, jeden z moich najstarszych wspólników, umiera... „O, Śmierci, ty stale grasujący rekinie...”

Rockefeller spojrzał na Bella z wyrazem bólu w oczach.

Bell dokończył za niego:

– „Otocz mnie wieczną ciemnością!”

Zastanawiał się, czy stary człowiek pamięta, że to z humorystycznego wiersza o okoniu z bólem zęba oszukany przez homara.

– Averell stał się moim serdecznym przyjacielem w trakcie prowadzenia interesów. Będzie mi go brakowało.

– Bardzo mi przykro - powiedział Bell. - Chorował?

– Krótko. Taka jest cena starzenia się, panie Bell. Moi współpracownicy umierają na prawo i lewo. Większość była starsza ode mnie... Szybko odchodzą. Tydzień temu Comstock tryskał energią.

Wstał, położył wielką dłoń na słuchawce telefonu i popatrzył nad biurkiem w przestrzeń, jakby pokój nie miał ścian i mógł sięgnąć wzrokiem aż do Nowego Jorku.

– Kiedy biedny Lapham zaczął tracić rozum, był czas, żeby się przyzwyczaić do myśli, że odejdzie. Ale Averell był tytanem. Myślałem, że pożyje jeszcze dwadzieścia lat.

Boi się śmierci, pomyślał Bell i nagle ogarnęło go współczucie dla starego człowieka. Ale nie mógł przepuścić okazji przeprowadzenia dogłębniejszego śledztwa w samym sercu Standard Oil.

– Obawia się pan, że zabójca zaatakuje również pana?

– Większość ludzi mnie nienawidzi - odrzekł rzeczowo Rockefeller - więc on pewnie też.

– Sprawia na mnie wrażenie profesjonalisty bez uczuć.

Potwierdza to jego strzelanie i staranne przygotowania, pomyślał Bell, ale nie jego skłonność do popisywania się.

– W takim razie jest opłacany przez kogoś, kto mnie nienawidzi - odparł Rockefeller.

– Jeśli palec na spuście nie drży mu z nienawiści, to tym bardziej jest niebezpieczny.

Rockefeller nagle zmienił temat.

– Czy mogę przyjąć, że po zerwaniu z Agencją Van Dorn jest pan wolny i może wyjechać w krótkim czasie?

– Dokąd? - zapytał Bell.

– Dokądkolwiek powiem.

Bell rzucił śmiało wyzwanie potentatowi naftowemu, żeby mu zaimponować. Gdyby się udało, zrozumiąłby Rockefeller mógłby się przed nim otworzyć jak przed kimś sobie równym, a nie przed podrzędnym detektywem.

– Tam, gdzie „dzieci kopią w piasku”?

Rockefeller posłał mu niezgłębione spojrzenie. Bell zrobił minę pokerzysty, gdy Rockefeller ponownie go oceniał. Milczenie się przeciągało.

– Wygląda na to, że poznał pan moje zwyczaje - odezwał się w końcu stary człowiek.

– Tak jak zrobiłby to zabójca.

– Być może wyjadę za granicę.

– Do Baku? - spytał Bell.

Gniew błysnął w oczach pod grubymi opadniętymi powiekami.

– Za dużo pan wie, panie Bell. Jest pan szpiegiem?

– Wyobrażam sobie, jak zabójca śledzi człowieka, który ma wiele tajemnic - taką ofiarę jak pan. Baku to oczywistość. W gazetach jest pełno opisów problemów Rosji, a w *Historii monopolu naftowego* E.M. Hock są wymienione europejskie i azjatyckie terytoria, które pan stracił na rzecz Rothschilda, Noblów i sir Marcusa Samuela.

– Jest pan szpiegiem? - powtórzył Rockefeller.

Bell się domyślił, że ocenia go wnikliwie i starał się odpowiedzieć tak, żeby zyskać zaufanie i stworzyć obraz cennego człowieka z doświadczeniem w swoim fachu, czujnego, spostrzegawczego i śmiertelnie niebezpiecznego dla przeciwników. Takiego, któremu John D. Rockefeller mógłby powierzyć ochronę swojego życia.

– Nie muszę być szpiegiem, żeby wiedzieć, że „słońce wschodzące nad pięknym Morzem Śródziemnym” to rosyjska ropa w Baku oraz chiński i indyjski rynek produktów naftowych, które zamierza pan zdominować. Gdybym był szpiegiem, znałbym tajemnicze znaczenie zdania o dzieciach kopiących w piasku. Ale nie znam. Natomiast zabójca miał więcej czasu na dociekania i zapewne wie wszystko o dzieciach, które kopią w piasku. Czułby się pan bezpieczniejszy, gdybym towarzyszył panu jako pański ochroniarz?

– Niech pan poda pensję.

– Nie będę pracował za pensję. Postanowiłem założyć własną agencję detektywistyczną - odparł Bell, upiększając kłamstwo, które wymyślił z Josephem Van Dornem.

– Popieram pańską inicjatywę - powiedział Rockefeller. - Przyślemy panu kontrakt.

Bell wyciągnął cienką kopertę z kieszeni marynarki.

– Przywiozłem własny.

– To bezczelność.

– Wcale nie. Wzoruję swój biznes na pańskim.

– Jestem stary i pochlebstwa nie działają na mnie. Ale jestem ciekaw, jak pan by porównał tajniaka do nafcjarza?

– E.M. Hock napisała, że odniósł pan wielki sukces w branży naftowej, bo jest pan bezwzględny. Słyszałem na własne uszy, jak chwalił się pan swoją skutecznością panu Van Dornowi. Żeby być najlepszym tajniakiem w branży detektywistycznej, też muszę być skuteczny.

Rockefeller odpowiedział z nieprzeniknioną miną i Bell nie mógł się zorientować, czy nafcjarz ma poczucie humoru.

– Będzie pan wiedział, że jest skuteczny, detektywie Bell, kiedy nazwą pana potworem.

– Zajmę się przygotowaniem do podróży - zaproponował Bell.

– Zrobi to mój człowiek.

– Nie tym razem. Wybiorę najbezpieczniejszą drogę.

Rockefeller skinął głową na znak zgody.

– Oczywiście wszystko musi pozostać między nami. Nikt nie może wiedzieć, że mam interes w Baku. Będziemy podróżowali w całkowitej tajemnicy.

– To mi bardzo ułatwi zadanie - odrzekł Bell. - Kiedy chce pan wyruszyć?

* * *

Na dworcu Grand Central Station, który jednocześnie burzono i przebudowywano w większy, zelektryfikowany Grand Central Terminal, bocznicę dla prywatnych wagonów kolejowych miały połączenia z miejskimi sieciami telefonicznymi.

– Jest mi potrzebny następny karabin - powiedział zabójca.

– Też dziewięćdziesiątkadziwiątko? - zapytał rusznikarz.

– A ma pan coś lepszego?

– Dla takiego klienta zawsze robię najlepsze.

– Więc kolejny najlepszy! Dziewięćdziesiątkadziwiątko.

– Z lunetą?

– Tylko z mocowaniem. Ale chcę mieć inne pociski.

– Jest jakiś problem z moją amunicją?

Zabójca wyobraził sobie sprawność rąk rusznikarza i chęć wykazania się w oczach geniusza, który nie wierzy, że jest geniuszem.

– Jest doskonała - zapewnił. - Mam do niej całkowite zaufanie. Ale zastanawiałem się, czy zrobił pan kiedyś wybuchający pocisk?

– Dum-dum?

– Nie. Nie z wgłębieniem wierzchołkowym. Taki, który wybucha przy uderzeniu w cel.

– Jak pocisk artyleryjski?

– Dokładnie. Tylko miniaturowy.

– Trudno jest mi sobie wyobrazić umieszczenie zapalnika uderzeniowego i materiału wybuchowego w tak małym pocisku.

– Ale pan ma wspaniałą wyobraźnię.

– Jestem zaintrygowany - przyznał rusznikarz. - Taki klient pobudza mnie do działania, jak zawsze.

17.

Po powrocie z Pocantico Hills Bell zadepeszował do Josepha Van Dorna szyfrem agencji:

BAKU VIA CLEVELAND

A ponieważ miał bardzo mało czasu na podkręcenie tempa śledztw w sprawie morderstw i dochodzeń Komisji Korporacyjnej, zanim utknie na pełnym morzu bez łączności, wysłał jeszcze trzy telegramy.

Do detektywa Archiego Abbotta w Waszyngtonie:

DLACZEGO PERSJA? MIGIEM.

Do detektywów Wally'ego Kisleya i Macka Fultona nadal w Kansas:

TAJNE PLANY HOPEWELLA? MIGIEM.

Do detektywa Aloysiusa Marzyciela Clarke'a, który właśnie miał dostać najlepszy przydział w swojej burzliwej karierze:

DO NOWEGO JORKU. MIGIEM.

Potem wybrał się do Sage Gun Company na Czterdziestej Trzeciej Zachodniej.

Wszedł tam z torbą podróżną i uściskał dłoń Dave'a McCoarta, muskularnego rusznikarza o długich cienkich palcach i rumianej irlandzkiej cerze.

– Myślałem o tobie - powitał go McCoart. - Znasz sprzęt belgijskiej firmy FN?

– Fabrique Nationale. Producent broni palnej z okolic Liege.

– Pan Browning podpisał z nimi kontrakt na produkcję dziewięćmilimetrowej wersji nowej konstrukcji. Podobno to piękny pistolet. Chyba mógłbym go przerobić na amerykańską amunicję kaliber trzysta osiemdziesiąt - wstawiłbym tuleję do komory. Byłby znacznie lżejszy niż ta cegła w twojej kaburze pod pachą.

– Podoba mi się moc obalająca mojej broni. Ona mi dobrze służy.

– Masz rację, że się niepokoisz o brak mocy obalającej numeru dwa, ale będzie to nadrabiał doskonałą celnością.

– Jak doskonałą?

– W porównaniu z twoim koltem? Karabinową.

– Dobra, zrób mi taki. A teraz mam pytanie. Widziałeś kiedyś rozkładany model savage'a 99?

– Nie.

– A mógłbyś przerobić fabryczny egzemplarz na rozkładany?

– Mógłbym.

– Ilu rusznikarzy potrafiłoby to zrobić?

McCoart uśmiechnął się szeroko.

– To zależy, jak ważna jest dla ciebie celność broni.

– Najważniejsza.

– W takim razie wybierałbym bardzo starannie właściwego człowieka. Szukaj takiego, co ma warsztat najwyższej klasy i duszę artysty.

– Ilu takich znasz?

– Z warsztatem najwyższej klasy?

– Albo dostępem do takiego.

– Chyba kilku.

– A ilu może być takich, których nie znasz osobiście?

– W całym kraju? Niewielu.

– A ilu mogą znać rusznikarze, których ty znasz?

– Są miasta, gdzie mieszkają najlepsi. Osiedlają się blisko miejsc, gdzie nauczyli się fachu, i mogą być ze sobą w kontakcie, żeby wykonywać specjalne zamówienia. Wokół zakładów Winchestera w New Haven w Connecticut, fabryki Savage'a w Utica, Springfielda w Springfield w Massachusetts, Remingtona w Bridgeport czy Colta w Hartford. Mogę spytać, do czego jest używany ten karabin?

– Właśnie miałem cię ostrzec. Do zabójstw.

– Tak myślałem.

– Więc pytaj ostrożnie. Uważaj na tego faceta.

– Twoim zdaniem ten rusznikarz wie, co kombinuje jego klient? - zapytał McCoart.

Bell pomyślał, że to dobre pytanie, i zastanowił się nad tym, zanim odpowiedział.

– Mógł być przekonany, że jego klient strzela do tarczy.

Dave McCoart znalazł lukę w tej teorii.

– Tylko wtedy, gdyby facet brał czynny udział w zawodach. Chciałby wiedzieć, jak się spisuje jego broń.

Bell otworzył torbę podróżną.

– Co myślisz o tym?

McCoart zważył części w swoich wielkich dłoniach, obejrzał je pod światło i skrzył razem.

- Bardzo dobra robota. Świetna. Lufa i komora są jak zespawane.
 - Poznajesz to wykonanie?
 - Nie. Ale ono znacznie zawęża zakres poszukiwań. Niewielu rusznikarzy potrafi tak zrobić. Jak powiedziałem, to artysta. Strzelałeś z tego?
 - Dwa razy trafiłem w słup ogrodzeniowy z czterystu metrów i dwa razy chybiłem.
 - Mógł być wiatr, zła amunicja, przestawiony celownik. Chcesz, żebym go wyregulował?
 - I załaduj mi jakieś naboje.
 - A gdzie jest luneta?
 - Nie było.
 - Jak myślisz, dlaczego zostawił taką piękną broń?
 - Żeby mnie skierować na fałszywy trop.
 - Zaoszczędził pieniądze na lunetę. Dobrze nie są tanie.
- Bell dostrzegł inny sposób na wytropienie zabójcy.
- Albo może ta luneta jest jeszcze rzadsza niż ten karabin - powiedział.

* * *

– Jakie pan ma perspektywy, panie Bell? - zapytał wprost Bill Matters, kiedy Bell zjawił się w jego miejskim domu w Gramercy Park.

Bell pomyślał, że nie powinien być zaskoczony młodym wiekiem, energią i twardym charakterem ojca Edny i Nellie. Spike Hopewell mówił o nim: „Twardy jak diament. Branża naftowa nie jest dla mięczaków”.

Mimo to spodziewał się kogoś łagodniejszego niż Hopewell. Tymczasem zastał faceta piętnaście lat młodszego od Spike’a. Matters miał surową minę, groźne spojrzenie i wydawał się za bardzo opiekuńczy wobec swoich utalentowanych, niezależnych córek.

– Tato - wtrąciła się Nellie, zanim Bell zdążył odpowiedzieć - pan Bell dopiero wszedł.

Edna, która zeszła z nią po schodach i usiadła obok niej na kanapie pokrytej zielonym jedwabiem w kolorze jej oczu, dodała:

– Ta rola czujnego ojca nie pasuje do ciebie, tato.

Matters się nie uśmiechnął ani nie dał zbić z tropu.

– Chcę wiedzieć, jakie on ma perspektywy, skoro odwiedza moje córki. Bo przyszedł pan do nich, tak?

Edna zaczęła protestować, ale Bell jej przerwał.

– Dziękuję paniom. Poradzę sobie. Odpowiadając na pańskie pytanie, w Agencji Detektywistycznej Van Dorn stale awansowałem. Teraz działam na własną rękę. Zamierzam założyć własną firmę i będę ciężko pracował, żeby odnieść sukces.

– Ile będzie pan zarabiał?

– Wystarczy mi na moje potrzeby.

– A na utrzymanie rodziny?

– O ciąży nie ma mowy - odezwała się Nellie. - Jeszcze.

Matters zerknął na nią gniewnie.

– Zdaje się, że pan Bell jest z bostońskich Bellów, tato - powiedziała Edna. - Bankierów. Nie musi się „dobrze ożenić”.

– American States Bank? To prawda, Bell?

Bell przeniósł wzrok z Edny na Nellie i skierował do nich odpowiedź na pytania ich ojca.

– Wolałbym się ożenić szczęśliwie niż „dobrze”.

Bill Matters się roześmiał, ale jego spojrzenie nie złagodniało.

– Słusznie! Dobrze powiedziane! Okej, detektywem nie będzie pan długo. Przejmie pan bank, kiedy pański ojciec przejdzie na emeryturę.

– Pozostanę detektywem - odparł Bell.

Przemilczał ostry spór ze swoim ojcem z powodu tej decyzji i to, że dziadek wstawił się za nim i zapisał mu spadek, który uczynił go niezależnym finansowo. Matters nie musiał o tym wiedzieć, mimo że miał piękne córki.

– Zrobi pan po swojemu. Niech pan siada. Dziewczynki, dajmy panu Bellowi coś do picia.

Kamerdyner Mattersa pojawił się w drzwiach. Nosił frak i białe rękawiczki i miał niezwykle gładką twarz, ale Bell poznał po jego postawie i lekkim kroku, że to były zawodowy bokser, który się wycofał, zanim przegrał jakąkolwiek walkę.

– O co chodzi, Rivers?

– Telefon do pana.

Matters wyszedł szybko bez słowa. Edna wstała.

– Zostawię was samych.

– Dokąd idziesz? - zapytała Nellie.

– Pan Bell przyszedł do ciebie, nie do mnie.

– Nie bądź śmieszna. Przyszedł do nas obu, prawda?

– Zważywszy, że razem jedliśmy - odrzekł Bell - podróżowaliśmy, zostaliśmy napadnięci przez pijaków i ostrzelani, czuję się bardziej jak zdomowiony przyjaciel niż gość.

– Chcecie, żebym została? - spytała Edna.

– Oczywiście - odpowiedzieli chórem.

Edna jeszcze się wahała, gdy Bill Matters wrócił do salonu z ponurą miną.

Usiadła z powrotem.

– Co się stało?

– Stary Comstock nie żyje.

– Następny gryzie ziemię - stwierdziła Nellie. - Drugi w ciągu tygodnia.

– Nie będziesz go opłakiwał, prawda? - zapytała Edna.

– Nie chcę mówić źle o zmarłym, ale wiesz, że miałem go dosyć - odrzekł Matters i wyjaśnił Bellowi: - Averell Comstock traktował mnie jak intruza. Utrudniał mi robienie interesów i awansowanie w firmie.

– Na co umarł?

– Bóg raczy wiedzieć. W jego wieku nawet zwykłe przeziębienie może być śmiertelne... Rezultat jest taki, panie Bell, że będziemy się stale widywać w najbliższych tygodniach.

– Jak to?

– Tamten telefon był od pana Rockefellera. Comstock oszczędł, więc prezes poprosił mnie, żebym mu towarzyszył w jego podróżach. Wspomniał, że będzie pan jego ochroniarzem.

– Biedacy - powiedziała Nellie. - Wolałabym umrzeć niż tkwić całe lato w Cleveland. Upał! Wilgotność! Sąsiedzi!

– Pan Rockefeller zawsze spędza lato w swojej posiadłości w Cleveland - wytłumaczyła Bellowi Edna.

Matters spojrział znacząco na Bella.

– Przypuszczam, że tylko stworzymy wrażenie, że on jest w Cleveland, a nie gdzieś daleko od domu, prawda?

– Nie wiem - odparł sztywno Bell. - Mam go ochraniać. Jeśli pan Rockefeller zdradzi mi, dokąd jedziemy, to powtórzenie tego komuś byłoby niedyskretne, nie mówiąc o tym, że lekkomyślne.

* * *

Pierwszy Pułk Newark kwaterował w solidnej zbrojowni Gwardii Narodowej, trzypiętrowym budynku o płaskich ceglanych ścianach z okrągłymi wieżyczkami i parapetem na szczycie. Wartownicy przy łukowym portalu od Jay Street ciepło wspominali Billy'ego Jonesa, ale zrobili skonsternowane miny, kiedy Bell zapytał, dlaczego mistrzowski snajper zdezerterował zaraz po zdobyciu Medalu Prezydenta.

– Zadowoleni faceci nie dają nogi - powiedział kapral.

– Duży gość? - spytał Bell.

– Mały chudzielec - odrzekł szeregowiec.

– Jakiś pomysł, dokąd mógł prysnąć?

– Żadnego. Nikt nie przypuszczał, że ucieknie. Trzymał się na uboczu i kumplował tylko z niejakim Nate'em Wildwoodem.

– Nate jest tutaj? - zapytał Bell.

– Zginął - odparł szeregowiec.

– Na wojnie hiszpańskiej?

– Nie dotarł na front - zaprzeczył kapral. - Biedak wpadł pod pociąg, zanim Billy prysnął.

– Naprawdę? Ile wzrostu miał Billy?

– Nie wiem. Jakiś metr sześćdziesiąt.

– Mały facet - dodał szeregowiec. - Niski.

– Jakiego koloru miał włosy?

– Brązowe.

– A oczy?

– Zielone.

– Niezupełnie - poprawił kapral. - Szarozielone.

Szeregowiec się zastanowił.

– Racja. Można powiedzieć, że szarozielone. Czasami jakby martwe.

– Martwe? - zadrwił kapral. - Jak to, martwe?

– No, martwe. Nieraz byłem obok niego na linii ognia. Jak zaczynał strzelać, to jego oczy wyglądały jak martwe. - Młody żołnierz odwrócił się do Bella i wyjaśnił poważnie: - Chodzi mi o to, że jak to zobaczyłem, to przestałem się dziwić, że Billy Jones tak dobrze strzela. To było tak, jakby potrafił się całkowicie wyłączyć, kiedy naciskał spust.

Szeregowiec zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Jakby nic innego się nie liczyło. Jakby nic go nie obchodziło. Tylko trafienie w cel.

* * *

Bell wrócił pociągiem do promu. Zanim wszedł na pokład, wysłał następny telegram do Archiego Abbotta:

ZAPRZYJAŹNIJ SIĘ Z ARMIĄ.

WYTROP DEZERTERA BILLY’EGO JONESA.

DROBNY, 160 CM WZROSTU.

BRAŹOWE WŁOSY, SZAROZIELONE OCZY.

18.

Kiedy Walter L. Hawley, główny reporter polityczny „Evening Sun”, zauważył, że do jego biurka idzie Isaac Bell, przestał pisać na maszynie, żeby uścisnąć dłoń detektywa.

– Dobrze wyglądasz.

– A ty jesteś ubrudzony atramentem.

– Co u wielkiego faceta?

Hawley i Joseph Van Dorn poznali się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy reporter relacjonował pracę policji, a Van Dorn dopadł chicagowskiego podpalacza w Nowym Jorku.

– Wywalił mnie - odparł Bell. - Albo sam oszedłem. Zależy, kto strzelił pierwszy.

– Witaj w Alei Gazet. Mnóstwo tych, którym się nie powiodło w innych zawodach, zajęło się dziennikarstwem w poszukiwaniu czegoś tymczasowego między przeciętnością a zawodowym żebractwem.

– Przyszedłem właśnie w sprawie pracy.

Hawley się zaniepokoił.

– Bez obaw - uspokoił go Bell - nie dla mnie. Co sądzisz o sytuacji w Rosji?

– Wygląda na zamęt wywołany przez niekontrolowane ludzkie emocje. Moja działka to ratusz, więc może nie mam takich kwalifikacji, żeby przewidywać ponurą przyszłość cara. Ale mają zły rok, a jest dopiero czerwiec.

– To mogłoby kompletnie zniszczyć branżę naftową w Baku.

– Nie będę pytał prywatnego detektywa, jeśli nadal nim jesteś, co to ma wspólnego z tobą. Ale zapytam, co to ma wspólnego ze mną? Kiedy potrzebuję ropy, dostaję ją od Johna D. Rockefellera.

– E.M. Hock chętnie przyjąłaby zlecenie na relacjonowanie zagrożenia dla przemysłu naftowego w Baku.

– Mówisz poważnie?

– Całkowicie.

– To wspaniale! Tyle że... zawsze uważałem pogłoski za prawdę. Ona jest kobietą, czyż nie?

– Jak najbardziej.

Hawley pokręcił głową.

– Chętnie skorzystałbym z okazji zatrudnienia takiej dobrej pisarki. Mój wydawca też. Zgodziłby się natychmiast. Ale wahałoby się wysłać kobietę między bezbożników. Tam są Rosjanie, muzułmanie i chyba nawet Persowie, bo to ich sąsiedzi, prawda?

– Kiedy poznałem Ednę Matters w Kansas - odrzekł Bell - właśnie przyjechała bryczką z Terytorium Indiańskiego w towarzystwie swojej siostry. Wyobrażam sobie, że Nellie Matters też wybrałaby się do Rosji.

– Nellie Matters? Ta nieznośna sufrażystka?

– Nie uważam jej za nieznośną.

– Nie chciałem jej ubliżyć - zastrzegł szybko dziennikarz. - Jest piękna i płomiennie przemawia. Na pewno zostawi po sobie ślad tym Przelotem Nowej Kobiety.

– Więc jak będzie? - zapytał Bell. - Zatrudnisz E.M. Hock?

– Ale teraz sugerujesz wysłanie dwóch kobiet między bezbożników. Gdyby coś im się stało w tamtym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu - gdzie to jest, nad Morzem Kaspijskim? - to Joe Pulitzer, Bill Hearst i Preston Whiteway wpędziliby nas do grobów swoim żółtym dziennikarstwem. Podburzyliby motłoch do rozszarpania nas na kawałki. Gazeciarze próbujący sprzedać „Sun” zawisłiby na latarniach.

– Załatwię najlepszego prywatnego detektywa w branży do ich ochrony.

– To mogłoby być drogie.

– Ja zapłacę detektywowi, a ty pannie Matters.

– Wygląda na to, że masz jakiegoś bogatego klienta, Isaac, skoro już nie pracujesz dla Van Dorna.

– Zapłacę detektywowi - powtórzył Bell.

– W porządku - odparł Hawley. - Zapomniałem, że jesteś bogaty. Okej. Umowa stoi! I dzięki, Isaac. Jeśli ona weźmie tę robotę, to wyznaczy nowy standard dla naszych przepłacanych pismaków.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Ale nie mów jej - ani nikomu - że mam z tym coś wspólnego - powiedział Bell. - Nikomu!

Walter Hawley mrugnął do niego.

– Mogę spytać, do której z sióstr czujesz miętę?

Isaac Bell uśmiechnął się tak, jak żonaty mężczyzna spodziewał się po kawalerze.

– Powiedzmy po prostu, że dzięki temu układowi mogę mieć oko na obie.

* * *

Archie Abbott przysłał telegram do Yale Club. Jego znajomi w Departamencie Stanu informowali o pogłoskach, że szach Persji negocjuje

ogromną pożyczkę od rosyjskiego cara. Archie spekulował, że może to wyjaśnia potajemną wizytę Rockefellera w perskiej ambasadzie.

Być może.

Bell się spakował i właśnie wychodził z klubu na dworzec Grand Central, żeby wsiąść do pociągu przed Rockefellerem, gdy dzienny portier oznajmił:

– Jakiś ulicznik pyta o pana.

– Gdzie?

– Wkradł się przez kuchnię.

– Powiedział, czego chce?

– Twierdzi, że jest na próbnej praktyce u Van Dorna. Pomyślałem, że gdyby tak było, to wiedziałby, że pan już tam nie pracuje.

Bell zbiegł po schodach do kuchni. Nastolatek o wyglądzie umytego, wystrojonego bezdomnego stał spokojnie w rogu. Miał czujne spojrzenie i zachowywał się tak nieśmiało, że był prawie niewidoczny.

– Jak się nazywasz, synu?

– Tobin, psze pana. Eddie Tobin.

– U kogo praktykujesz?

– U pana Warrena.

Jasne. U eksperta od gangów ulicznych. Bell pomyślał, że jeśli Eddie Tobin jest wystarczająco dobry dla Harry'ego Warrena, to również dla niego.

– Ile masz lat?

– Za mało na praktykanta. Jestem dopiero na próbę.

– Pytałem ile? - warknął Bell.

– Piętnaście.

– A naprawdę?

– Czternaście.

– Jak miałem czternaście lat, uciekłem do cyrku. Pan Warren cię przysłał?

– Pan Forrer. Pan Warren się zgodził.

– Co tam masz?

Chłopak trzymał kopertę z wycinkami prasowymi.

Bell zdążył już przeczytać ten na wierzchu:

„Averell Comstock, dyrektor Standard Oil, i swego czasu prezes tej korporacji, zmarł po krótkiej chorobie. Był jednym z wielkich krajowych kapitalistów w branży naftowej i wraz z Johnem D. Rockefellerem, Clyde'em Laphamem i Henrym M. Flaglerem założył Standard Oil Company. Pełnił też funkcję dyrektora Western Union Telegraph Company, Pennsylvania Railroad i Pittsburgh National Bank. Jego majątek ocenia się na 75 000 000 do 100 000 000 \$”.

Drugi wycinek informował, że Averell Comstock zostawił dziesięć tysięcy dolarów pani Mary McCloud, właścicielce stoiska kawowego na Fulton Street, które potentat naftowy często odwiedzał.

Ostatni wycinek donosił, że pani Mary McCloud zginęła w pożarze kamienicy na Chatham Square.

Forrer dołączył notkę na maszynie:

TA SAMA PANI MCCLOUD. KAMIENICA TYLKO
KAWALEK DROGI PIESZO OD FULTON.

– Chodź ze mną, Tobin.

Pociąg Johna D. Rockefellera odjeżdżał za trzy godziny. Gdyby Bellowi zabrakło czasu, chłopak mógłby go zastąpić i zaczekać na wsparcie.

– Tak jest, panie Bell!

Pomknęli do śródmieścia koleją nadziemną.

Przed zejściem na ulicę Bell zlustrował wzrokiem nędzną dzielnicę z wysokości stacji kolei nadziemnej na Chatham Square. Walt Hawley, „Evening Sun” i większość dużych nowojorskich dzienników zajmowała czystą, nowoczesną część Park Row nazywaną Aleją Gazet, niecały kilometr dalej w kierunku śródmieścia. Ta część Park Row była dzielnicą slumsów przez większość długiej historii miasta.

Zauważył wypaloną kamienicę i poprowadził Tobina na dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Chodnik blokowały kozły do piłowania drewna. Budynki po obu stronach kamienicy też spłonęły. Potem spadł deszcz i odór mokrego zwęglonego drewna

wisiał w powietrzu. Pracownicy opieki społecznej pomagali rodzinom, które straciły swoje domy, ładować ocalałe z pożaru meble i pościel.

– Może to się przyda.

Bell wcisnął do rąk zaskoczonej kobiety, która kierowała akcją, dwie złote dwudziestodolarówki, dwie miesięczne pensje wyzyskiwanego robotnika.

– Niech Bóg pana błogosławi.

– Czy ktoś tutaj znał panią McCloud? - zapytał.

Nikt nie znał, ale jakaś kobieta powiedziała, że pani McCloud chyba pracowała na Fulton Street. Bell i Tobin pobiegli do śródmieścia i w poprzek Fulton ku East River. Nad rzeką stały wozy i stragany z jedzeniem i picciem.

– Mam nadzieję, że to nie są ostrygi z Jamaica Bay - odezwał się Tobin.

– Dlaczego?

– Bo zatoka jest skażona tyfusem.

– Szukamy stoisk kawowych - powiedział Bell.

Znaleźli cały rząd z kawą, ciastkami i ciastami. Jedno miejsce było puste. Bell kupił kawę i ciastko dla praktykanta. Chłopak pochłonął je żarłocznie, ale przyglądał się uważnie, jak Bell przesłuchuje kawiarkę.

– Gdzie jest pani McCloud?

– Odeszła.

– A kiedy wróci?

– Nie wróci. Nie żyje. Zginęła w pożarze.

– To straszne - odrzekł Bell. - Dobrze ją pani znała?

– Nie tak dobrze, jak pani Campbell. Po drugiej stronie ulicy. Kate! - zawołała przez pusty stragan. - Ten pan pyta o panią McCloud.

Bell podszedł i zamówił grubą pajdę babki piaskowej.

– Pani Campbell? Nazywam się Jethro Smith. Właśnie usłyszałem. Nie wiedziałem. Nie znałem jej dobrze, ale przychodzę tutaj, kiedy jestem w śródmieściu. Co się stało?

– Biedna pani McCloud. Młodo owdowiała. Miała tylko syna, który zginął. A teraz to. Jest pan dziennikarzem?

– Nie. Pracuję w ubezpieczeniach. Dlaczego pani pyta?

– Byli tu dziennikarze. Powiedzieli, że Mary odziedziczyła dziesięć tysięcy dolarów. I nie wiedziała o tym! Zginęła, nie mając o tym pojęcia.

– Powiedziała pani, że jej syn też zginął? - upewnił się Bell.

– Utonął w rzece.

– Kiedy?

– W czasie pożaru - nie, żeby kogoś to zaskoczyło. Anthony należał do gangu Fivepointerów. Modłę się, żeby nie wiedziała, że utonął.

– Miejmy nadzieję - odrzekł Bell. - Dziesięć tysięcy! To mnóstwo pieniędzy. Kto jej tyle zostawił?

– Jeden starszy gość. Przychodził tu co dzień. Droczyłam się z nią. Czuł do niej miętę. Co dzień jak w zegarku. Najpierw zjadał ostrygi na pirsie, a potem wychodził zza rogu i pił kawę Mary. Mówiłam jej, żeby mu tyle nie słodziła, bo straci apetyt i nie zamówi ciasta. Chyba się myliłam. Dziesięć tysięcy!

Bell spojrział na zegarek, przywołał gestem Tobina i dał mu ciasto.

– Muszę zdążyć na pociąg. Zorientuj się, do którego straganu z ostrygami przychodził tamten starszy gość.

– Tak jest, panie Bell. Mam się dowiedzieć jeszcze czegoś?

Bell przystanął na chwilę. Mądre pytanie jak na początkującego, pomyślał. Nic dziwnego, że Harry Warren go wybrał. Chłopak może być stworzony do tej roboty.

– Zaczynaj od tego, skąd tamten stragan bierze ostrygi. Upewnijmy się, że pan Comstock nie zmarł na tamten tyfus z Jamaica Bay, o którym wspomniałeś. Jak tylko to ustalisz, zamelduj się panu Forrerowi. Potem przekaz panu Warrenowi moją prośbę, żeby pomógł ci zbadać sprawę utonięcia Fivepointera nazwiskiem Anthony McCloud w East River.

CZEŚĆ 3: BENZYNA

Czerwiec-wrzesień 1905
Baku, Czarne Miasto

19.

– Dziękuję, że zechcieliście pożegnać mnie przed wyjazdem - John D. Rockefeller zwrócił się do nowojorskich dziennikarzy, którzy uformowali pokaźny tłum na peronie linii Lake Shore Limited na stacji Grand Central. - Domyślam się, że moglibyście w tym czasie zajmować się czymś dużo bardziej pożytecznym, więc tym bardziej doceniam ten gest.

Miał na sobie płaszcz odpowiedni dla starszego człowieka i mocno trzymał się krzepkiego ramienia Billa Mattersa. Isaac Bell rozglądał się czujnie wokoło, stojąc tuż poza zasięgiem aparatów fotograficznych.

– Co zamierzam robić w Cleveland? Rozgrzać stare kości i spróbować swoich sił w grze w golfa.

Wszystkie gazety z Cleveland wysłały już swoich dziennikarzy na stację Union Depot, by wyczekiwali jego przyjazdu, i jeszcze więcej do Forest Hill, jego letniej rezydencji na obrzeżach miasta. Reporterzy wrócili do swoich redakcji tydzień później, po tym jak Chłopięca Orkiestra Włoska dała koncert na cześć bogacza, a ten postanowił popisać się przed wszystkimi i przejął batutę dyrygenta, by poprowadzić zespół do odegrania hymnu USA. Miało to być jego ostatnie publiczne wystąpienie aż do października.

Tej samej nocy Isaac Bell przemycił Rockefellera i Mattersa do zmierzającego na stację New York Central pociągu Lake Shore Limited. Po dziesięciu godzinach jazdy wagony zostały rozdzielone w Albany. Część kontynuowała podróż na wschód, do Bostonu, a reszta ruszyła na południe do Nowego Jorku. Bill Matters przesiadł się na tę drugą trasę, by w Nowym Jorku wejść na pokład niemieckiego liniowca „Kaiser Wilhelm der Grosse”. Tymczasem Bell i Rockefeller pojechali dalej na wschód.

W bostońskim porcie czekał już przygotowany do rejsu ogromny jacht „Sandra” o niezwykle wysokim kominie i zarysie kadłuba przypominającym pędzącego charta. Rockefeller wypożyczył statek za namową Bella, po tym jak detektyw przekonał go, że nie sposób utrzymać w tajemnicy podróży transatlantykiem. Właściciel jachtu, Judge James Congdon, zgodził się go wypożyczyć od ręki, co dało Isaacowi do myślenia: być może słynny potentat z Wall Street i założyciel spółki U.S. Steel również miał swój udział w tajnych planach Rockefellera, czegokolwiek by one dotyczyły? Jak do tej pory nie udało mu się przekonać swojego nowego przełożonego do uchylenia choćby rąbka tej tajemnicy.

Potrójnie sprzężone maszyny „Sandry” przewiozły ich przez Atlantyk w dwanaście dni. Zawinęli do portu w Cherbourg, skąd pojechali prywatnym pociągiem do Paryża. Tam Bell zwrócił się o pomoc do pewnej aktorki, którą poznał jeszcze w San Francisco. Kobieta wezwała swojego ulubionego charakteryzatora i perukarza z Comedie-Française, by złożyli Rockefellerowi wizytę w jego pokoju hotelowym.

Bell kupił bilety na pociąg do Konstantynopola. Następnie odwiedził szefa Compagnie Internationale des Wagons-Lits, który miał niespłacony dług wdzięczności wobec detektywów Agencji Van Dorn, po tym jak odkupili drogocenną biżuterię jego żony od złodzieja Rosanii. Na poczet tego długu dyrektor spółki kolejowej przekazał Bellowi kopię listy pasażerów Orient Expressu. Bell oddał listę Rockefellerowi, by magnat naftowy mógł się upewnić, czy nie wpadnie czasem na któregoś ze swoich znajomych potentatów.

Złotawobrazowy wagon gwarantował majątnym pasażerom rzadki komfort wylegiwania się w łóżku bez konieczności zrywania się do odprawy paszportowej przy przekraczaniu granic, toteż jazda przez Monachium, Strasbourg, Wiedeń i Budapeszt przebiegała bardzo sprawnie. Sześćdziesiąt cztery godziny po opuszczeniu Paryża przywitało ich balsamiczne powietrze i oszałamiające słońce Konstantynopola. W tej starodawnej, wielonarodowościowej metropolii, oprócz meczetów i minaretów, znajdował się przeogromny bazar, stada wyliniających psów i ruchliwy port nad granatowym morzem.

W dalszą drogę wyruszyli na pokładzie parowca pocztowego. Pokonali Bosfor i ponad czterysta mil Morza Czarnego i dotarli do Batumi, leżącego w

cieniu oprószonych śniegiem szczytów Kaukazu największego portu naftowego na świecie, w którym kończył się blisko tysięczny rurociąg z Baku.

Dziesiątki tankowców stały na kotwicach, czekając na swoją turę w kolejce do nabrzeży. Jednak ulice miasta były wyludnione, a domy pozamykane na głucho.

– Muzułmanie i chrześcijanie strzelają do siebie nawzajem w dzień i w nocy - wyjaśnił Bill Matters, który przyjechał po nich rolls-royce'em. - Dochodzi do najprawdziwszych pogromów. Tatarzy napadają na Ormian.

– A co na to Rosjanie? - spytał Bell.

– Policja i wojsko przymykają na wszystko oko.

Wyjechali niecałe dziesięć kilometrów poza miasto do Manziadjani, gdzie znajdowała się rezydencja amerykańskiego wicekonsula, a zarazem świetnie prosperującego i ustosunkowanego maklera okrętowego, z którym Rockefeller umówił się na spotkanie. Gdy wjeżdżali przez główną bramę na teren posiadłości, z pobliskiego lasu padły strzały. Bell miał już w ręku pistolet i sięgał właśnie do swojej torby podróżnej, gdy sekundę później w stronę samochodu zatoczył się wicekonsul Abrams, plując krwią.

Zawieźli go błyskawicznie do pobliskiego fortu armii rosyjskiej, ale mężczyzna zmarł chwilę po wprowadzeniu go do środka. Isaac Bell, nie zwlekając, zabrał Rockefellera i Mattersa z powrotem do Batumi, gdzie wsiedli do pierwszego pociągu do Baku. Szybko doszły ich słuchy o rozruchach w Tyflisie, stolicy Gruzji, znajdującej się w połowie drogi do Morza Kaspijskiego. Niedaleko stacji wybuchła bomba. Bell przekonał swoich podopiecznych do pozostania w pociągu i tę noc spędzili na niezwykle twardych kolejowych ławkach.

Następnego ranka władze zwlekały z reakcją. Dopiero w okolicach południa pociąg ponownie ruszył w trasę, poprzedzany przez dodatkową lokomotywę, na wypadek gdyby bandyci postanowili wykorzystać sytuację polityczną i zaminować tory, by okraść pasażerów. Posuwali się naprzód powoli, przez niekończącą się, suchą i odludną dolinę pomiędzy ośnieżonymi górami na północy i mglistymi wyżynami na południu.

Jakąś godzinę przed nastaniem mroku, kiedy znajdowali się jeszcze około osiemdziesięciu kilometrów przed Baku, lokomotywa pilotująca trafiła na minę.

Siła wybuchu strąciła ją wraz ochraniającymi pociąg żołnierzami do wąwozu ciągnącego się obok szlaku. Po drugiej stronie, na wzgórzu wznoszącym się nad torem, pojawili się jeźdźcy w czarnych pelerynach.

Isaac Bell otworzył swoją torbę podróżną i sprawnym ruchem złożył obie części savage'a 99. Kolejny wybuch zniszczył tor za pociągiem. Po korytarzu przebiegł konduktor, krzycząc z przerażeniem:

– Bandydzi!

Jeźdźcy ruszyli do ataku, zjeżdżając po zboczu z pistoletami i szablami w dłoniach.

– Oslaniaj pana Rockefellera - polecił Bell Mattersowi. - Zasłoń go tymi tobołami.

Matters natychmiast zaczął działać. Pomógł starszemu mężczyźnie zejść na podłogę i ściągał z półek kolejne torby. Rockefeller zachowywał całkowity spokój i najwyraźniej miał na tyle rozsądku, by scedować przywództwo grupy osobie, którą właśnie na taką okoliczność wynajął. O ile C.C. Gustafson potrafił w prawdziwie filozoficzny sposób podchodzić do zamachu na swoje życie, o tyle John D. Rockefeller okazał się najbardziej opanowanym, nienoszącym broni uczestnikiem strzelaniny, jakiego Bell do tej pory spotkał.

Bell naliczył dziesięciu wytrawnych jeźdźców na rączych koniach. Bez lunety strzelanie z odległości niemal czterystu metrów służyłoby wyłącznie marnowaniu amunicji, więc na razie pozostawał tylko w gotowości. Z kolei w momencie znalezienia się jeźdźców w zasięgu skutecznego strzału, zostałoby mu zaledwie czterdzieści sekund na powstrzymanie ich, zanim dotarliby do pociągu. Rozejrzał się po wnętrzu wagonu. Część mężczyzn ścisnęła w dłoniach rewolwery. Bill Matters składał się do strzału z pamiętającym jeszcze czasy wojny secesyjnej remingtonem. Jedyne karabin z prawdziwego zdarzenia spoczywał w rękach Bella.

20.

– Kiedy zamierzasz zacząć strzelać?! - zawołał Rockefeller w kierunku Bella.

– Kiedy będę miał choć cień szansy kogoś trafić.

Obrał sobie za wyznacznik dystansu pokazny, stojący na skraju zbocza głąz. Przywódca jeźdźców kierował się prosto w jego stronę. W pewnym momencie bandyta uniósł w rękę bicz, by skłonić swojego wierzchowca do skoku - w tej samej chwili Bell docisnął kolbę karabinu do ramienia. Bicz opadł, zwierzę podkuliło nogi i odbiło się od ziemi. Isaac Bell wyczekał, aż pierś przywódcy znajdzie się na muszce, po czym niezwykle delikatnym ruchem palca ściągnął spust.

Dave McCoart zaopatrzył go w pudełko ręcznie wykonanych pocisków niestandardowego kalibru i w tej właśnie chwili Bell doszedł do wniosku, że rusznikarzowi należy się za to pudełko najlepszych hawańskich cygar. Bandyta zsunął się z konia równie gładko, jakby akurat w tym momencie postanowił z niego zsiąść. Stopa zaplątała mu się w strzemię, a spanikowane zwierzę szarpnęło mocno, ciągnąc za sobą ciało jeźdźcy w poprzek linii nadciągającej szarzy. Dwóch bandytów wpadło na spłoszonego wierzchowca i zniknęło momentalnie w wirze wierzgających kopyt.

Bell przeładował, wprowadzając kolejny nabój do komory.

Wycelował w jeźdźca, który wywijał swoim karabinem nad głową zupełnie jak mieczem. I znów, dzięki idealnie wyważonemu spustowi, broń Bella nawet nie drgnęła podczas oddawania strzału, a jeździec padł martwy na ziemię. Reszta znajdowała się już jednak niecałe dwieście metrów od pociągu. Trafienie kolejnego było dziecinnie proste, a następnii nadjechali już tak blisko, że mógłby ich strącać nawet rzutem kamienia.

– Strzelać! - krzyknął do gapiących się przez okna pasażerów.

Mężczyźni pociągnęli za spusty swoich rewolwerów, ale nie trafili nikogo. Pośród huku wystrzałów jeźdźcy kontynuowali atak. Według licznika na magazynku savage'a Bellowi pozostał już tylko jeden nabój. Zużył go na rabusia znajdującego się już tak blisko, że można było rozróżnić pojedyncze włosy w jego brodzie.

Właśnie ten strzał, wraz z gradem kul z broni pozostałych pasażerów, okazał się wystarczający, by załamać bandycką szarżę. Ledwie kilkanaście metrów przed pociągiem ocalali jeźdźcy zawrócili i pędem odjechali w górę zbocza. Bell krzyknął do pozostałych pasażerów, ładując zapasowe naboje:

– Nie przestawajcie strzelać, żeby nagle nie zmienili zdania!

Sam posłał jeszcze dwa pociski nad głowami uciekinierów, którzy popędzali konie uderzeniami biczu, nie myśląc nawet o próbie ponownego ataku. Ludzie w

pociągu przestali już strzelać lub po prostu skończyła im się amunicja. Nieśmiałe okrzyki radości szybko zgasły, gdy każdego z pasażerów naszła nagła refleksja, jak blisko otarli się przed momentem o okrutną śmierć. W rozgrzanym i zakurczonym wnętrzu wagonu zapanowała absolutna cisza.

Isaac Bell pomógł postawić Rockefellera na równe nogi.

- Co teraz? - zapytał magnat naftowy.
- Czekamy na pociąg naprawczy, by zreperował tory.
- Oni wracają! - zawołał nagle jeden z pasażerów.

Wszyscy wyciągnęli na powrót rewolwery. Ale tym razem stukot kopyt zwiastował przybycie patrolu uzbrojonych w karabiny i szaszki Kozaków, pełniących funkcje porządkowe.

Bell rozłożył karabin.

– Świetny z pana strzelec - pochwalił go Matters. - Skąd pan wytrzasnął taką niezwykłą broń?

– Jaką broń? - spytał Bell, schowawszy karabin z powrotem do torby.

Jeśli Dave McCoart zasłużył na pudełko cygar za swoje naboje, to drugie takie samo wypadałoby wysłać zabójcy za jego broń. Ponieważ Bell na razie nie znał jego nazwiska ani adresu, postanowił poczekać z tym do chwili zamknięcia go w celi śmierci.

* * *

Gdy wjechali na stację w Baku, Isaac Bell wyprowadził z wagonu już o wiele bardziej dziarskiego Rockefellera niż ten staruszek, który w przydużym płaszczu wsiadał do pociągu Lake Shore Limited do Cleveland. Przyjaciele znajomej aktorki z Comedie-Française zakamuflowali charakterystyczne cechy wyglądu potentata za pomocą siwej peruki i doklejonych brwi, zastępujących naturalne owłosienie, utracone na skutek chorobliwego łysienia. Przyciemnione okulary skrywały jego przeszywające spojrzenie. Biała, letnia marynarka z flaneli, pleciona panama i laska z połączoną gałką dopełniały wizerunku dostojnie starzejącego się eleganta, który postanowił spędzić wakacje w południowych rejonach Rosji.

Rockefeller pozwolił sobie nawet na żartobliwą uwagę:

– Funkcjonariusze Komisji Korporacyjnej nie mają szans rozpoznać mnie w tym przebraniu.

Maszerował przez stację ramię w ramię z Bellem, niczym jeszcze jeden zuchwały Amerykanin, który mógł być turystą lub misjonarzem, choć w istocie grał rolę dyplomaty. Waszyngtońscy „korespondenci” Rockefellera dostarczyli mu spreparowane dokumenty, legitymujące go jako specjalnego wysłannika fikcyjnej Amerykańskiej Rady do spraw Handlu Zagranicznego z Rosją i Persją, szanownego pana Josepha D. Stone’a.

Na polecenie Bella Bill Matters wysiadł z pociągu na wcześniejszej, podmiejskiej stacji. Matters podróżował pod swoim nazwiskiem jako przedstawiciel amerykańskiej firmy budującej rafinerie Purest Incorporated z New Jersey. Była ona nieoficjalnie jedną ze spółek podporządkowanych Standard Oil. Jego listy uwierzytelniające, przeznaczone dla burmistrza, prefekta, gubernatora oraz lokalnego przedstawiciela przemysłu naftowego, poświadczały, że przybył do Baku, by nakłonić rosyjski rząd do udzielenia firmie Purest Incorporated zezwolenia na budowę nowoczesnych rafinerii. Miały zastąpić stare, Rothschilda i Nobla. Podczas rzekomo przypadkowego spotkania ze specjalnym wysłannikiem Josephem D. Stone’em obaj panowie mieli uznać, że ich interesy w Baku się pokrywają.

Isaac Bell również pozostał przy własnym nazwisku, ale posługiwał się fałszywymi dokumentami, według których był osobistym sekretarzem i ochroniarzem specjalnego wysłannika Stone’a, urlopowanym w tym celu ze służby w Secret Service.

W porównaniu z Tyflisem i Batumi, w o wiele większym Baku panował spokój. Nie widać było żadnych oznak napięcia w związku z krwawymi rozruchami, do których doszło w zimie. Miasto ewidentnie przeżywało okres burzliwego rozkwitu jako prężna stolica bogatego w ropę regionu, pokrywającego połowę światowego zapotrzebowania na produkty naftowe. Ogromny dworzec kolejowy, zawsze pełen podróżnych mówiących po persku, rosyjsku i ormiańsku, nie różnił się niczym od swoich odpowiedników w Paryżu czy Londynie.

Pierwsze, co rzucało się w oczy po wyjściu z dworca, to kobiety z osłoniętymi twarzami, zaprężone do wozów konie, uginające się pod ciężkimi rosyjskimi jarzmami, oraz widoczne na pobliskim wzgórzu ruiny dawnej perskiej cytadeli. Jednocześnie po szerokich, brukowanych ulicach jeździły szybkie, nowoczesne tramwaje, a ratusz i budynki w dzielnicy ambasad prezentowały się równie okazale jak w każdej innej metropolii. Pretensjonalne

prywatne pałace magnatów przemysłu naftowego stanowiły dowód gigantycznych fortun, zbudowanych równie błyskawicznie jak na Wall Street, i były tak samo kiczowate jak te stojące przy nowojorskiej Piątej Alei.

Po godzinie spędzonej w barze Hotelu de l'Europe na fundowaniu drinków rozmówcom i pilnym nadstawianiu ucha Bell utwierdził się w przekonaniu, że decyzja o wyborze fałszywej tożsamości dla Rockefellera, podjęta na podstawie informacji dostarczonych im przez Archiego z Waszyngtonu, była słuszna. Najczęściej powtarzaną pogłoską była ta o sekretnej pożyczce w wysokości piętnastu milionów rubli, którą szach perski zaciągnął rzekomo u cara Mikołaja. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone obawiały się mocno, że w ramach spłaty tego długu rosyjska flota wojenna może uzyskać pełny dostęp do Zatoki Perskiej.

John D. Rockefeller nie posiadał się ze szczęścia. Z szerokim uśmiechem zwrócił się familiarnie do Bella, pierwszy raz, odkąd wyruszyli z Cleveland:

– Mniej niż jeden człowiek na stu potrafi dostrzec, co tak naprawdę tu się dzieje.

Wszystko wskazywało na to, że nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony doniesieniami o carskiej pożyczce i Bell doszedł do wniosku, że musiał wiedzieć o niej na długo przed wejściem do pociągu w Nowym Jorku.

21.

Początkowo zabójca chciał podszyć się pod jednego z Kozaków. Widowiskowy ryzsztunek nieokiełznanych wojowników był niezwykle pociągający, a ponadto odgrywanie postaci napędzającej strachu szarej gawiedzi samo w sobie stanowiło znaczący atut. Jednak Kozacy byli ze sobą blisko powiązani pokrewieństwem krwi lub przez stosunki klanowe, a to sprawiało, że wszyscy znali się między sobą niemal od dziecka i dobrze wiedzieli, kto zajmuje jakie miejsce w wielowiekowej, plemiennej hierarchii.

Równie nęcący był pomysł ucharakteryzowania się na arystokratę. Uprzywilejowani przedstawiciele rosyjskiej elity posługiwali się językiem francuskim, który zabójca znał dość dobrze, a wszyscy miejscowi notable, a także policjanci i wojskowi, nadskakowali im na wyścigi. Ale i wśród

arystokracji funkcjonowały skomplikowane wewnętrzne podziały. Zabójca nie mógł ryzykować, że przypadkowo znieważy kogoś z ważniejszym tytułem.

Na szczęście w społeczeństwie rosyjskim było jeszcze coś, czego bali się absolutnie wszyscy.

Najprostszy chłop, najszlachetniejszy arystokrata, najdzikszy Tatar, najlichszy Ormianin, najbutniejszy żołnierz, najbrutalniejszy policjant czy nawet najbardziej skorumpowany urzędnik - wszyscy drżeli ze strachu przed carską Ochroną, tajną policją polityczną.

Kamuflaż tajnych agentów przybierały najróżniejsze formy, od nowobogackich turystów po prostych robotników. Zabójca szybko zauważył jednak, że bez względu na przebranie wielu z nich szybko zdradzało swoją prawdziwą tożsamość, gdyż odnosili się do innych z przesadną wyższością. Taka postawa nie gwarantowała im większych sukcesów w wykrywaniu spiskujących rewolucjonistów. Ich strata. Zabójcy natomiast zapewniało to idealną fałszywą tożsamość, gwarantującą postrach wśród wszystkich mieszkańców miasta i zabezpieczenie przed zbyt ciekawością lokalnych władz.

Niedawne rozruchy i obawa przed ich jeszcze krwawszym powrotem nadawały przebraniu dodatkowej pikanterii. Rząd rosyjski wprowadził w regionie stan wyjątkowy, zwany „czerezwyczajną ochroną”. Ludzie na każdym kroku obawiali się wtrącenia do więzienia czy wygnania bez żadnych sądów, toteż tym bardziej starali trzymać się jak najdalej od potencjalnych agentów Ochrany.

Z wysoko uniesioną głową i pogardliwym spojrzeniem zabójca ruszył w stronę bramy wjazdowej do rafinerii Nobla. Niósł w ręce skrzynkę z typowymi narzędziami tutejszego robotnika. Strażnicy wypatrywali przede wszystkim uzbrojonych Tatarów i nie mieli najmniejszej ochoty zatrzymywać zachowującego incognito przedstawiciela tajnej policji w wyraźnie świeżo kupionym i zdecydowanie zbyt czystym kombinezonie.

Wieże wiertnicze na polach roponośnych wokół Baku były zabezpieczone przed ogniem metalowo-gipsowymi okrywkami, stały też o wiele bliżej siebie niż w Kansas. Były rozsiane równie gęsto jak na zatłoczonych polach naftowych Los Angeles wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca i wytwarzały tyle samo dymu, oparów, smrodu i hałasu. Poza tym jednak wszystko wyglądało zgodnie z tym, co zabójca dowiedział się podczas planowania akcji. Maszyny parowe

napędzały świdry, liny przesuwwały się po wielokrążkach, po bokach wież biegle drabiny prowadzące na górne platformy, będące idealnymi stanowiskami strzeleckimi.

Doglądający maszyn i pomp robotnicy na widok zabójcy pośpiesznie spuszczały oczy, nie chcąc narazić się na serię niewygodnych pytań. Nawet operatorzy świdrów drążących szyby - zwykle najwięksi twardziele wśród załogi rafinerii - odwracali się bez słowa w inną stronę. Nic nie stało na przeszkodzie przed wybraniem nieobsługiwanej akurat wieży, oferującej czystą linię strzału, a zarazem na tyle oddalonej, by umożliwić szybką ucieczkę.

Idealna okazała się wieża, stojąca tuż nad brzegiem Zatoki Bakijskiej, w której zaciszu chroniły się liczne tankowce, barki i holowniki z akwenu Morza Kaspijskiego. Z platformy u szczytu wieży rozciągał się idealny widok na biegnącą z miasta drogę i bramę prowadzącą na teren rafinerii. Dym nieco ograniczał widoczność, ale co jakiś czas przeganiała go morska bryza. W Hopewell Field to samo czynił wiatr znad równin Kansas.

Znalazłszy się bezpiecznie na pozycji strzeleckiej, pozostawało tylko złożyć karabin, zamontować lunetę, załadować naboje i czekać cierpliwie na przyjazd rzekomego specjalnego wysłannika Josepha D. Stone'a, jednego z dyrektorów Standard Oil Billa Mattersa i oficjalnie byłego już detektywa Agencji Van Dorn, Isaaca Bella.

* * *

Po wielomiesięcznych prowokacjach, polegających na mordowaniu przypadkowych ludzi na ulicach, podpalaniu domów i rabowaniu dobytku, które miały na celu odciągnięcie rozgoryczonej ludności od rewolucyjnych zapędów - co w dużej mierze się udało - rząd carski zrozumiał w końcu, że wciąż padające ze strony europejskich inwestorów żądania ustabilizowania sytuacji w regionie są uzasadnione. Tatarskie pogromy ludności ormiańskiej groziły rychłym załamaniem się najbardziej intratnej gałęzi rosyjskiego przemysłu. Dlatego też, gdy przedstawiciel firmy Purest Incorporated, Bill Matters, oraz specjalny wysłannik Amerykańskiej Rady do spraw Handlu Zagranicznego z Rosją i Persją, Joseph D. Stone, wyrazili chęć odwiedzenia rafinerii Nobla w Czarnym Mieście, zarówno prefekt, jak i gubernator regionu zadbali o to, by zapewnić im jak najpotężniejszą eskortę.

Auto zagranicznych gości - peerless tonneau z dwudziestoczerokonnym silnikiem wyprodukowany w Cleveland - otaczał kordon kozackich jeźdźców w błyszczących świeżością czerwonych mundurach i wysokich papachach z owczej skóry. W takich warunkach Isaac Bell musiał wysilać wszystkie swoje zmysły do granic możliwości, by zachować jakąkolwiek zdolność percepcji.

Pośród grupy uzbrojonych w szable jeźdźców prędkość samochodu była ograniczona do energicznego kłusu. Zarazem na tle barwnie odzianych Kozaków jaskrawoczerwone auto z błyszczącymi chromami stanowiło łatwy cel dla każdego, czy to rewolucjonisty z rewolwerem, czy wyszkolonego snajpera.

Bell nie obawiał się zbytnio, że jakikolwiek rewolucjonista zdołałby przebić się przez kozacki szpaler, a nawet gdyby tak się stało, w wywołanym takim wyczynem zamieszaniu miałby dość czasu, by odstrzelić amatorskiemu strzelcowi głowę swoim automatycznym koltem. Snajper stanowił jednak o wiele większe zagrożenie, tak więc Bell rozglądał się z najwyższą uwagą po okolicy, wypatrując nikłych refleksów słońca, odbitego od lufy karabinu. Zabójca mógłby się ukryć na którymś z okolicznych dachów albo w jednym z okien, na dowolnej wysokości, która pozwalałaby mu na strzał ponad głowami wysokich jeźdźców.

Wyjechali z dzielnicy hoteli i ambasad, mijając ormiańską część miasta i tatarskie slumsy, których mieszkańcy, wyróżniający się niebieskimi szatami, ciemniejszą karnacją i owalnym kształtem twarzy, gapili się posepnie na kawalkadę. Twarze Kozaków wyraźnie stężały, a narastające wśród nich napięcie zdradzała w pełni wyprostowana postawa i nerwowe spojrzenia.

Bell szybko nawiązał kontakt z kierowcą o imieniu Josef, Gruzinem z grzywą kręconych, czarnych włosów i tajemniczym błyskiem w czarnych jak smoła oczach. Detektyw podejrzewał, że był szpiegiem podstawionym przez policję z zadaniem poznania prawdziwych planów amerykańskich gości. Josef zdradził mu, że Kozacy otrzymali niedawno wyraźny rozkaz aktywnego powstrzymywania kolejnych pogromów, na które do tej pory permanentnie przyzymkali oczy. W efekcie stali się wrogami Tatarów.

- Tatar strzela do Kozaka - rzucił wesoło przez ramię do Bella. - Kozak strzela do Tatara. Tak się robi pokój.

Bell spojrział na siedzącego obok Rockefellera. Spojrzenie starca ani na moment nie pozostawało w jednym miejscu.

- Jakie wspaniałe wierzchowce!

Sprawił wrażenie rozbawionego, może nawet szczęśliwego. Bell sądził, że dzięki fałszywej tożsamości po raz pierwszy od dziesiątek lat Rockefeller miał okazję pokazywać się publicznie. Tatarzy gapili się na jego eskortę, nie na niego samego - „najbardziej znieawidzonego człowieka w Ameryce”.

Tymczasem Bill Matters siedział sztywno na przednim siedzeniu obok kierowcy, wyraźnie czując się niezręcznie, jak zawsze w obecności Rockefellera. Nie wyglądał na zdenerwowanego, ale nie zachowywał się swobodnie.

Bell nie wiedział, co o nim sądzić. Podczas ich pierwszego spotkania ojciec Edny i Nellie Matters wydał mu się po prostu dość szorstki i obcesowy. Jak dotąd nie wykazał się niczym, co potwierdzałoby słowa Spike'a Hopewella, który twierdził, że był „twardy jak kamień”. Choć podczas ataku na pociąg potrafił zachować zimną krew. Wyraźnie był przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Wszystko wskazywało na to, że dawny niezależny nafcjarz dokonał udanej transformacji w, jak to określał Rockefeller, „wartościowego menedżera”. Jednak bez względu na miejsce, jakie Matters zajmował w hierarchii Standard Oil, Bell był przekonany, że wciąż nie należał do kręgu „zaufanych”, którzy mieli rzeczywisty wpływ na zarządzanie trustem.

Na przedmieściach dym stał się o wiele gęstszy, a niebo wyraźnie poszarzało.

Skierowali się na południowy wschód, w stronę pól naftowych Bibi Hejbat i rafinerii Czarnego Miasta.

Jadące ślamazarnym tempem auto i stąpające z nim w takt konie wkroczyły na bezkresną równinę, zastawioną zbiornikami z ropą naftową. Za zbiornikami stały niezliczone kolumny rektyfikacyjne, każda zaopatrzona w komin, emitujący czarne obłoki dymu. Strzelec wyborowy mógłby się wspiąć na jeden z tych kominów, choć wystawiałby się tym samym na przedwczesne wykrycie. O wiele bardziej prawdopodobnym miejscem zasadzki, podobnie jak podczas zabójstwa w Kansas, byłaby jedna z tysiąca wież wiertniczych, stojących gęsto jedna przy drugiej aż do samego brzegu Morza Kaspijskiego.

Tatarski hydraulik pracujący na dachu jednego ze zbiorników upuścił nagle klucz francuski. Narzędzie odbiło się od metalu z donośnym hukiem. Jeden z koni, spłoszony hałasem, przysiadł na zadzie tak gwałtownie, że dosiadający go Kozak niemal zleciał z siodła. Na kilka chwil zapanował rozgardiasz, słychać było zgiełk rozdrażnionych okrzyków i rzenie koni. W pewnym momencie

kierowca gwałtownie zahamował i poleciał na kierownicę, Matters na przednią szybę, zaś Rockefeller zapewne by spadł z tylnego siedzenia, gdyby Isaac Bell nie chwycił go błyskawicznie, pewnym ruchem.

Kiedy detektyw pochylił się, by przytrzymać potentata, usłyszał świst przelatującego tuż obok pocisku. Pociągnął Rockefellera za ramię w dół, by usunąć go z linii strzału. Sekundę później druga kula trafiła Bella niczym grom z jasnego nieba.

22.

Uderzenie pocisku rzuciło Bella na drzwiczki samochodu. Zamek nie wytrzymał, drzwiczki otworzyły się na oścież i detektyw wypadł na zewnątrz. Odbił się od stopnia samochodu i wylądował na uwalanej ropą drodze. Cały czas czuł pod palcami ramię Rockefellera i nagle zdał sobie sprawę, że leży pod stukilogramowym ciałem milionera. Padł kolejny strzał i przednia szyba rozpadła się na tysiąc krystalicznych odłamków. Bill Matters i kierowca wyskoczyli z pojazdu, szukając osłony.

Do uszu Bella dobiegł dźwięk własnego głosu. Brzmiało to tak, jakby wołał Rockefellera z pokładu pędzącego pociągu:

– Czy jest pan cały?

Starzec poprawił perukę na głowie.

– A niech to! Panie Bell, pańskie ubranie jest we krwi!

Istotnie, biała marynarka Bella od kołnierza do łokcia ociekała lepką czerwienią.

Czuł, że ramię mu płonie.

Ostrzał ustał. Teraz największe niebezpieczeństwo stanowiły podkute kopyta drepczących w miejscu spanikowanych koni. Jeźdźcy rozglądali się na wszystkie strony, wypatrując źródła ataku.

Słowa Bella ponownie dobiegły jakby z dna głębokiej studni:

– Musimy wstać, panie Stone, zanim nas stratuja.

Bell stanął na nogi, zdrową ręką pomógł podnieść się Rockefellerowi i stwierdził, że musi opierać się na starszym mężczyźnie, by zachować równowagę.

– Tam! - krzyknął, wskazując wieże wiertnicze, najbardziej prawdopodobną kryjówkę snajpera.

Kozacy obnażyli szable i pogalopowali w przeciwnym kierunku, szarżując na grupkę tatarskich robotników. Jeźdźcy zaczęli bez ostrzeżenia wywijać szablami i strzelać, a muzułmanie rzucili się do ucieczki, zostawiając za sobą ciała zabitych i rannych oraz kilka sztuk porzuconej broni.

Isaac Bell z niemałym zdziwieniem zauważył pochylającego się nad nim Rockefellera, przypatrującego mu się z wyraźnym przejęciem.

– Znowu się pan przewrócił, panie Bell. Jest pan ranny.

Bell zaczął się podnosić, ale Rockefeller powstrzymał go bezapelacyjnym gestem dłoni.

– Proszę się nie ruszać! Miałem rację, jest pan ranny - powiedział, po czym zawołał głośno. - Lekarza! Wezwać lekarza!

Bell zaczynał wreszcie pojmować, że wstawanie nie jest w tej chwili najlepszym pomysłem, położył się więc na ziemi i próbował odtworzyć w możliwie najdrobniejszych szczegółach moment ataku. Nie miał wątpliwości, że była to sprawka zabójcy. Był też prawie pewien, że kulę przeznaczono właśnie dla niego, a nie dla Rockefellera. Nagłe hamowanie przeszkodziło snajperowi i pierwsza kula przeleciała Bellowi nad głową. Druga trafiła już bez pudła. Nagle naszała go prawdziwie przerażająca myśl - czyżby bezwiednie wystawiał na niebezpieczeństwo człowieka, którego podjął się ochraniać?

Spośród przewijających mu się nad głową twarzy Bell przywołał gestem tę należącą do Billa Mattersa.

– Proszę dopilnować, by pan Rock... pan Stone znalazł się w bezpiecznym miejscu. Ja dołączę później.

– Co z panem, panie Bell?

Detektyw dokonał szybkiej analizy. Stracił sporo krwi, ale najwyraźniej nie doszło do uszkodzenia żadnej głównej arterii, inaczej do tej pory już by się wykrwawił. Spróbował poruszyć postrzeloną ręką. Ból ramienia nasilił się znacznie, ale Bell nie stracił władzy w kończynie. Kula nie złamała żadnej z kości. Zawroty głowy i ogólne rozkojarzenie były najprawdopodobniej objawami szoku po postrzale pociskiem o wysokiej prędkości wylotowej.

– Raz dwa stanę na nogi - odpowiedział na pytanie Mattersa. - Tymczasem proszę zadbać o bezpieczeństwo pana Stone'a, natychmiast!

Matters przyklęknął i odpowiedział mu przyciszonym głosem:

– On twierdzi, że nie może zostawić tu pana samego.

– Przekaż mu pan, że każę mu się natychmiast ukryć, póki jest jeszcze cały i zdrowy, bo nie chcę stracić mojego jedyne go klienta. Nie wiem, co się dzieje, i w obecnej chwili nie jestem w stanie chronić go osobiście.

Reszta zebranych przy Bellu ludzi nadal wzywała lekarza.

Wreszcie zjawił się postawny młody człowiek w wytartym płaszczu. Klęknął przy Isaacu, otworzył torbę i wyciągnął z niej nożyczki. Rozciął jego zakrwawione ubranie i ukazała się poszarpana rana na powierzchni bicepsa. Sięgnął ponownie do torby po butelkę karbolu i wymamrotał coś po rosyjsku.

– Co? - zainteresował się Bell.

– Zaboli. Ale trzeba.

– Lepsze to niż zakażenie - zgodził się Bell, napinając mięśnie, by zmniejszyć pieczenie środka dezynfekującego. Na dłuższą chwilę niebo pociemniało mu przed oczami. Kiedy było już po wszystkim, lekarz zabandażował ranę i wyciągnął strzykawkę z pudełeczka wyściełanego czerwonym jedwabiem.

– A to co? - zapytał pacjent.

– Morfina. Nie będzie nic czuć.

– Niech pan to zatrzyma dla kogoś w większej potrzebie... Co ci Kozacy tak wykrzykują?

– Co?

– Panie doktorze, przecież mówi pan po angielsku.

– Ja studiowałem w Edynburgu.

– Zapłacę panu dwadzieścia rubli dziennie, jeśli zgodzi się pan dla mnie tłumaczyć. Co krzyczą ci Kozacy?

Lekarz zrobił wielkie oczy. Robotnicy, których w styczniową krwawą niedzielę zastrzelono pod Pałacem Zimowym, domagali się podniesienia ich zarobków do jednego rubla dziennie.

– Jak się pan nazywa? - spytał Bell.

– Aleksy Iriniejewicz Wirawjec.

– Doktorze Wirawjec, czy może mi pan powiedzieć, co takiego krzyczą ci Kozacy?

– Zdali sobie właśnie sprawę z tego, że broń, którą porzucili Tatarzy, została zrabowana z miejscowej zbrojowni.

Bell przekręcił się na bok, opierając się na zdrowym łokciu. Zobaczył złożony na końskiej derce stos pistoletów. Pośród broni nie znajdował się żaden karabin, z którego mógłby strzelać snajper.

– A co mówi ten tam? - zapytał znowu, wskazując oficera, który głośno meldował coś cywilowi w surducie i cylindrze na głowie. Bell domyślał się, że musiał to być człowiek gubernatora albo agent Ochrony.

– Twierdzi, że za zamach odpowiadają rewolucjoniści - przetłumaczył Wirawjec.

– Proszę pomóc mi się podnieść. Musimy się przejść kawałek.

– Nie radzę panu...

– Pański sprzeciw został przyjęty do wiadomości.

Dwadzieścia minut później, z ręką ułożoną już w temblaku, prowadzony pod ramię przez doktora Wirawjeca i z grupą zaaferowanych nafciarzy maszerujących krok w krok za nim, Isaac Bell szedł tuż nad brzegiem, na którym załamywały się fale Morza Kaspijskiego. Uważnie obserwował wieże wiertnicze, aż w końcu znalazł jedną nieczynną. Chciał natychmiast wspiąć się na platformę i zbadać wszystko z bliska, ale wiedział, że z jedną niesprawną ręką i zawrotami głowy byłoby to karkołomne przedsięwzięcie.

Zamiast niego na platformę wdrapał się lekarz i po kilkunastu minutach przekazał mu, że widział z góry, jak Kozacy w dalszym ciągu kręcili się wokół miejsca, w którym pociski zasypały samochód. Bell nie był tym zaskoczony. Dotarłszy na plażę jako pierwszy, zanim dziesiątki lekkomyślnych gapiów i nierozsądnych przedstawicieli władz zdążyły zatrzeć ślady, zauważył kilka odcisków stóp podchodzących do drabiny przy wieży z jednej strony i opuszczających ją po stronie przeciwnej.

W dalszym ciągu jednak nie wszystko rozumiał. Wieża znajdowała się mniej niż pięćset metrów od trasy przejazdu samochodu. Dlaczego więc zabójca spudłował aż dwa razy? Nagłe hamowanie mogło zniweczyć pierwszy strzał, ale dlaczego drugi albo trzeci nie trafił go prosto w głowę czy też w ulubiony cel zabójcy - szyję?

23.

Kiedy następnego ranka Isaac Bell obudził się zdrętwiały i obolały, czekał już na niego cały zestaw telegramów z Nowego Jorku. Pierwszy, po który sięgnął, został nadany przez Grady'ego Forrera, pod nieobecność Bella pełniącego obowiązki głównego śledczego w sprawie:

FIVEPOINTERSI OSKARŻAJĄ GOPHERSÓW.

Bell wywnioskował z tego, że ludziom z agencji udało się ustalić, że kumple Anthony'ego McClouda z gangu Five Points nie wierzyli, jakoby ten wpadł po pijaku do rzeki, i podejrzewali morderstwo. Z oczywistych powodów podejrzewali rywalizujący z nimi gang Gophersów. Bez względu na to, kto go zabił i z jakich powodów, trudno było nie zwrócić uwagi na niezwykle zbieg okoliczności, że do morderstwa doszło tego samego dnia, w którym matka Anthony'ego zginęła w pożarze domu.

Bell nadał odpowiedź:

POWIADOMIĆ NOWOJORSKIEGO KORONERA.

Miał ulotną nadzieję, że miejski patolog da się przekonać do wykopania zwłok Averella Comstocka, by sprawdzić, czy na pewno do jego śmierci doszło z przyczyn naturalnych.

Kolejny telegram:

HOPEWELL CZĘSTO W NOWYM JORKU.

Najwyraźniej Wally Kisley i Mack Fulton nie zdołali ustalić niczego więcej na temat tajemniczych „asów w rękawie” Spike'a Hopewella. Było oczywiste, że każdy niezależny inwestor, starający się postawić rafinerię i założyć sieć rurociągów, musiał regularnie odwiedzać swoich bankierów na nowojorskiej Wall Street.

Z kolei wiadomość nadana przez Forrera od Dave'a McCoarta budziła nadzieję, że niebawem uda im się dokonać przełomu w kwestii rusznikarza, który mógł udoskonalić broń zabójcy:

TRZY MOŻLIWOŚCI.

DWIE W HARTFORD.

JEDNA W BRIDGEPORT.

SZEF ZATWIERDZIŁ WIĘCEJ DETEKTYWÓW.

Tymczasem Archie Abbott w dalszym ciągu nie miał nic konkretnego do powiedzenia na temat Strzelca wyborowego Billy'ego Jonesa:

ARMIA NIE WSPÓŁPRACUJE.

PRÓBUJĘ DOTRZEĆ DO GENERAŁA PRZEZ CÓRKĘ.

ZGODA NA NAJWYŻSZE POŚWIĘCENIE?

Bell napisał od razu zaszyfowaną odpowiedź:

ZGODA. PIORUNEM.

W tym samym momencie do pokoju wszedł doktor Wirawjec, by zmienić mu opatrunek. Rana była czysta, bez żadnych oznak infekcji, ale wspólnie zgodzili się na potraktowanie jej dla pewności jeszcze jedną dawką karbolu. By odwrócić uwagę od pieczenia, Bell zaczął wypytywać lekarza o niezwykłą różnorodność języków, które słyszał zeszłego dnia na ulicy.

– Tatarski - wymienił lekarz - gruziński i rosyjski.

– Czy mogę pożyczyć na jakiś czas pański stetoskop? - spytał detektyw, kiedy doktor zabierał się już do wyjścia.

Chwilę później do pokoju wkroczył John D. Rockefeller, niosąc na tacy szklankę mleka i talerzyk tradycyjnych rosyjskich pierniczków z lukrem, które wyjątkowo przypadły Isaacowi do gustu.

– Jestem wielce zdziwiony, że zastałem pana w ubraniu, panie Bell. Już myślałem, że będę musiał obyc się dzisiaj bez pańskiego towarzystwa.

– Trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

Pod hotelem czekała już na nich limuzyna Renault z zasłoniętymi szybami. Na wyraźne polecenie Bella zastąpiono Kozaków pieszymi funkcjonariuszami policji w cywilnych ubraniach. Gdy ruszyli ulicą, część z nich potruchtała po bokach pojazdu, część jechała z tyłu identyczną limuzyną, co również było pomysłem Bella, by zmylić snajpera.

Zaciągnięte zasłony sprawiały, że siedzieli razem z Rockefellerem w niemal zupełnej ciemności. Bell wyglądał na ulicę przez niewielką szparę między płatami materiału, dumając, czy w obliczu wspólnego, realnego niebezpieczeństwa Rockefeller zechce się choć odrobinę przed nim otworzyć. Postanowił wypróbować tę teorię i zaczął od niewinnego żartu:

– Nie możemy już chyba podejrzewać zabójcy o próbę zszargania reputacji Standard Oil, skoro teraz próbuje zabić samego prezesa.

– On nie strzelał do mnie, tylko do pana - zauważył krótko Rockefeller.

– Skąd ta pewność?

– To pan ma rękę na temblaku, a nie ja.

– Może po prostu spudłował i dostałem przypadkiem?

– W swoim pierwszym raporcie, jaki złożył pan po przyjęciu mojej oferty pracy, stwierdził pan, że ten zbrodniarz pudłuje niezwykle rzadko. A jeśli nawet, to tylko nieznacznie. Zatem musiał strzelać do pana.

– W takim razie chyba nie potrzebuje pan już ochroniarza.

– Proszę się nie martwić, pańskiej posadzie nic nie grozi. W Baku są całe hordy rozwścieczonych ludzi, gotowych kogoś zabić z byle powodu. Cieszę się, że mam tu pana przy sobie.

– Czy może mi pan zdradzić, z kim mamy się spotkać?

– Tylko w najwyższej tajemnicy. Nie może pan powtórzyć tego absolutnie nikomu. Jedziemy na spotkanie z szachem Persji.

– Czy pan Matters wyruszył przed nami?

– Pan Matters zajmuje się teraz innymi sprawami.

– Czy wolno mi spytać...

Oczy Rockefellera zaiskrzyły w przyciemnionej kabinie równie groźnie, jak reflektory pędzącej lokomotywy.

– Ma pan dziś wiele pytań, panie Bell.

– Zwykle, gdy zostaję postrzelony, jestem szczególnie ciekawy, czego mogę spodziewać się w najbliższej przyszłości. Chciałem zapytać, czy jedzie pan na to spotkanie jako specjalny wysłannik Stone, czy też jako prezes Standard Oil.

– Przeszedłem na emeryturę - podkreślił Rockefeller.

– Przepraszam, wciąż o tym zapominam.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była niemal grobowa. Ale po kilku minutach Rockefeller odezwał się znowu, tym razem ledwie słyszalnym szeptem:

– Nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie, gdyż sam jeszcze nie podjąłem decyzji w tej kwestii. W Baku popularne jest pewne powiedzenie, być może pan też je już słyszał: „W Persji nikt nikomu nie wierzy”.

– Uwielbiają się tutaj obrażać nawzajem - stwierdził Bell. - Ormianie to kanciarze, Gruzini - pijacy, Tatarzy są jednocześnie agresywni, głupi i potulni, Niemcy nudni, Kozacy żądni krwi, a Rosjanie małostkowi. Wszyscy zgadzają się natomiast, że Persowie to kłamcy. Trudno się zresztą dziwić tym opiniom, po kilkuset latach ucisku i karygodnych rządów.

Rockefeller nagrodził spostrzeżenie Bella ledwie dostrzegalnym uśmiechem i kolejną dawką wyczekiwanej przez detektywa szczerości:

– Na razie nie wiem jeszcze, czy spotkam się z kłamcami. Na pewno przedstawię się jako Stone. To, czy zdemaskuję swoją prawdziwą tożsamość, będzie zależało od tego, jak głośno będą się wyklócać i jak bardzo będą się starali zamydlić mi oczy.

Samochód zatrzymał się przy bocznym wejściu do Astorii, jednego z najnowszych i najbardziej luksusowych hoteli, postawionych niedaleko miejskiego ratusza. Weszli niezauważeni do środka i ruszyli korytarzem do windy służbowej, prowadzeni przez pracownika hotelu. Po chwili znajdowali się już w kuchni ogromnego apartamentu, gdzie przywitał ich perski sekretarz, mówiący po angielsku bez cienia akcentu.

– Z ogromną przyjemnością informuję, że nikt nie zauważył pańskiego przybycia. Jesteśmy przygotowani na prywatne spotkanie, o które pan zabiegał.

– To wy prosiście o spotkanie - poprawił go Rockefeller, grzecznie, acz stanowczo. - Ja nalegałem jedynie na zachowanie prywatności.

– W takim razie obie strony powinny być zadowolone z efektu. - Pers miał iście koci refleks i równie wiele gracji. Patrzył na nich uprzejmie wielkimi oczami, osadzonymi w wąskiej twarzy.

– Proszę tu na mnie zaczekać - zwrócił się Rockefeller do Bella.

– Muszę najpierw zbadać pomieszczenie, w którym odbędzie się spotkanie - poinformował Bell.

– Zapewniam, że nic tam panu nie grozi - powiedział sekretarz.

– Wolałbym przekonać się o tym osobiście - nalegał Bell.

– Nie ma takiej potrzeby - wtrącił się Rockefeller. - Ufam naszym gospodarzom.

– Skoro nie wolno mi będzie sprawdzić pomieszczenia, w którym będzie się pan znajdował, nalegam, by czekać na pana tuż pod drzwiami, w pokoju obok.

– Nalega pan? - Sekretarz uśmiechnął się drwiąco, wysoko unosząc brwi.

Bell nie zareagował. Zwrócił się ponownie do Rockefellera.

– Zgodnie z warunkami naszej umowy, wszelkie moje obowiązki zostają odwołane z chwilą, gdy stawia mnie pan w sytuacji, w której nie jestem w stanie skutecznie pana ochraniać. Naturalnie należy mi się w takim wypadku rekompensata pieniężna, równa kosztom, jakie poniosę podczas podróży powrotnej do Nowego Jorku. Ten zapis przygotowano specjalnie po to, by uniemożliwić panu lekkomyślną rezygnację z mojej opieki.

– Tak, pamiętam o tym - przyznał Rockefeller, po czym powiedział do sekretarza: - Proszę nas zaprowadzić na spotkanie. Pan Bell poczeka na mnie pod drzwiami.

Kazali mu zostać w korytarzu przed gabinetem, czyli dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć. Odczekał, aż zostanie zupełnie sam w pomieszczeniu, zamknął drzwi prowadzące w głąb apartamentu i zablokował je wyjętym z kieszeni gumowym stoperem. Następnie rozwinął pożyczony od doktora Wirawjeca stetoskop i przyłożył słuchawkę do najcieńszego miejsca w drewnianych drzwiach.

Sekretarz pełnił również funkcję tłumacza dla kogoś bardzo wysoko postawionego, sądząc po służalczym tonie jego głosu. Bell wysłuchał serii niezwykle grzecznych powitań, po których Rockefeller natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Proszę powiedzieć Jego Ekscelencji, że w stajniach mojego hotelu mam przygotowany prezent dla szacha.

Sekretarz przetłumaczył słowa Amerykanina, a po chwili również odpowiedź swego przełożonego.

– Szach jest wielkim miłośnikiem koni.

– Proszę przekazać szachowi, że ten podarunek zawiera bardzo wiele koni.

Niepewna odpowiedź Persa w tłumaczeniu brzmiała:

– Jak wiele koni?

– Proszę mu powiedzieć, że wiele, bardzo wiele soczyście czerwonych i z błyszczącą karoserią - odparł Rockefeller, wyraźnie ciesząc się z efektu swojej enigmatycznej wypowiedzi.

– Samochody?

– Najlepsze maszyny, jakie wyprodukowano w Cleveland - doprecyzował Rockefeller. - Rolls-royce nawet się do nich nie umywa. A teraz, młody człowieku, proszę przekazać, że powinniśmy przejść do rzeczy, to znaczy - do interesów. Proszę powiedzieć, że rurociąg nie będzie kosztował szacha ani centa. Sam sfinansuję całą konstrukcję, od Rasztu do Zatoki Perskiej. Zbuduję też nabrzeża dla tankowców i falochron osłaniający port.

Perska odpowiedź była niezwykle długa, a po niej tłumacz musiał poświęcić jeszcze sporo czasu, by z potoku słów skonstruować mętną interpretację w języku angielskim.

– W związku z... pewnymi... porozumieniami... W imieniu najmiłościwszego i najwyższego Boga Jego Wysokość szach... preferuje... przyjąć propozycję od innych... Boże, przebacz... sąsiadów.

Krótką i zwięzłą odpowiedź Rockefellera dała Bellowi jasno do zrozumienia, że „korespondenci” naftowego magnata musieli wykonać tytaniczną pracę, przygotowując to spotkanie z kimś, kto miał bezpośredni dostęp do samego szacha. W głosie starca nie było słyhać cienia zdziwienia ani tym bardziej wahania.

– Proszę mu powiedzieć, by zapewnił szacha, że jestem gotowy spłacić pożyczkę u jego sąsiada.

Po przekazaniu tłumaczenia nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu Pers zaczął odpowiadać.

– Jaką część pożyczki? - brzmiało tłumaczenie.

– Całość, co do ostatniego rubla.

* * *

Po zakończeniu spotkania i powrocie na parter hotelu Isaac Bell nagle pchnął Rockefellera w boczny korytarz w połowie drogi do wyjścia.

– Co się dzieje? - zapytał Rockefeller, opierając się całym swoim potężnym ciałem przed nagłym naporem detektywa, co wywołało u Bella tępy ból zranionego ramienia.

– Proszę iść dalej i zwrócić twarz w moją stronę.

Bell poprowadził bogacza dalej korytarzem. Weszli do pierwszego napotkanego sklepienia - kwaciarni, zastawionej ogromnymi kreacjami z pozasezonowych tulipanów i przeróżnymi odmianami róż. Nim jeszcze zamknęły się za nimi drzwi, jego uszu dobiegł znajomy śmiech.

– Na miły Bóg! Przy takich dziwactwach nawet Pittsburgh zaczyna wyglądać przyzwoicie.

Bell przysunął twarz do szyby sklepu, by obserwować główny korytarz hotelu.

– No i o co chodzi? - Rockefeller zaczynał już okazywać zniecierpliwienie.

– Są tu dwie damy, które nie dadzą się nabrać na specjalnego wysłannika Stone'a.

* * *

John D. Rockefeller był wyraźnie wzburzony, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, dopóki nie wrócili do hotelu, gdzie mógł od razu wezwać na dywanik Billa Mattersa.

– Jest tu ta dziennikarka - wycodził przez zęby do podwładnego. - Pańska córka. Skąd ona się tu wzięła?

Bill Matters był skrajnie zdziwiony i szczerze skruszony.

– Nie wiedziałem nic o tym, by którakolwiek z moich córek zamierzała przyjeżdżać do Baku.

– To ona napisała *Historię szwindli i wymuszeń monopolu naftowego*.

– Oczywiście zdaję sobie z tego sprawę, ale...

Nie dając mu skończyć, Rockefeller obrócił się do Bella.

– Czy pan wiedział, że te panie zamierzają się tu zjawić?

– Dowiedziałem się o tym - skłamał gładko Bell - dopiero gdy zobaczyłem je w Astorii, razem z panem.

– Musi pan ustalić, co ona wie. Fakt, że tu jestem, musi pozostać w tajemnicy.

– Ja się tym zajmę - zaoferował się Matters. - Proszę. To moja córka, ufa mi.

Rockefeller obejrzał się na Bella, chcąc najwyraźniej poznać jego zdanie w tej kwestii.

– E.M. Hock nie ma żadnego powodu, by chcieć mi cokolwiek zdradzić - stwierdził detektyw. - Oczywiście, mogę z nią porozmawiać, bo zdążyliśmy nawiązać ze sobą przyjacielskie stosunki. Z jej siostrą zresztą też. Ale przyznaję, że nie jestem najlepszym kandydatem do badania jej faktycznej wiedzy. W tym przypadku to pan Matters trzyma w ręku wszystkie atuty.

* * *

Połowa słabo oświetlonej przestrzeni z wysoko zawieszonym sufitem, niegdyś stanowiącej stajnie Hotelu de l'Europe, nadal służyła za stajnię dla koni i przechowalnię konnych powozów. Druga połowa jednak została przebudowana na nowoczesny garaż samochodowy, z dystrybutorami paliwa i stanowiskami serwisowymi.

Bell poszedł do garażu wraz z Aleksym Iriniejewiczem Wirawiejcem, na wypadek gdyby musiał skorzystać z pomocy tłumacza. Tam od razu rozpoznał ostrzelanego peerlessa, w którym do tej pory nie wstawiono nowej szyby przedniej. Pojazd zaparkowano na uboczu, w kącie garażu. Obok stały dwie wielkie skrzynie, zakryte płachtą. Bell uniósł materiał i zajrzał do środka. Stały w nich dwa identyczne peerlessy, o których Rockefeller mówił na spotkaniu z Persami.

Wirawjec przetłumaczył dla Bella listy przewozowe, naklejone na skrzyniach. Samochody zostały nadane początkowo do Moskwy, skąd pociągiem przewieziono je do Baku. Bell dziwił się, że podczas omawiania szczegółów wyprawy z Billem Mattersem ten ani słowem nie zająknął się na temat tego niezwykłego daru. Czy uważał, że ochroniarzowi taka wiedza nie była do niczego potrzebna? A może sam o tym nie wiedział? Pomysł, że Rockefeller mógłby ukrywać coś takiego przed swoim współpracownikiem,

wydał się Isaacowi jeszcze bardziej dziwny. Bez względu jednak na intencje, jakimi kierował się magnat, samochody z pewnością stanowiły kolejny dowód, że cała podróż została przygotowana z dużym wyprzedzeniem.

* * *

– Jesteśmy więc, ojcze, znów we trójkę i popijamy herbatę, zupełnie jakbyśmy szykowali się do wyjścia na spektakl w nowojorskiego teatrze.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem zaskoczony, że was tu spotkałem.

– Jak to możliwe? - zdziwiła się z kolei Nellie. - Przecież dobrze wiesz, że Edna pisze o przemyśle naftowym.

Edna do tej pory przyglądała się ojcu bez słowa, pozwalając, by siostra wypowiadała się za nie obie.

– Nie sądziłem, że budżet „Oil City Derrick” pozwala na tak dalekie podróże - odparł Matters.

– To prawda, oni mieliby zapewne trudności z opłaceniem wyjazdu do Cleveland - przyznała Nellie. - Aktualnie Edna pisze do... czy pozwolisz mi to zdradzić, siostrzyczko?

– To żadna tajemnica.

– Do „New York Sun”! I co ty na to, ojcze? Twoja córka została redaktorką w jednej z największych gazet w kraju!

– „Sun” nie darzy szczególnym poważaniem Standard Oil.

– Tym lepiej dla Standardu - skwitowała Edna. - Ten moloch rzadko kiedy może liczyć na wsparcie swoich rzekomych przyjaciół.

– A ponadto - kontynuowała Nellie, już tak rozochociona, że na jej twarzy wykwitły wyraźne rumieńce - wszystko wskazuje na to, że w Baku może dojść do największego przełomu na rynku naftowym od czasu Spindletop.

– Tylko że dokładnie na odwrót - wtrąciła sucho Edna. - Zamiast nagłego wzrostu wydobycia, połowa światowej produkcji ropy zostanie zablokowana.

– Nie sądzę, by było aż tak źle - odparł automatycznie Matters. - Zdaje się, że lokalne władze odzyskały kontrolę nad sytuacją.

– Czyżby? - spytała Edna. - Po mieście krążą plotki, że niedawno ktoś ostrzelał samochód jakiegoś ważnego amerykańskiego biznesmena.

– To jakiś pojedynczy wypadek, bez znaczenia. - Matters wzruszył ramionami.

– Podobno - mówiła dalej Edna - w powstałym zamieszaniu Kozacy zamordowali kilkunastu pracowników tutejszej rafinerii. Ich towarzysze szykują się teraz do zbrojnego odwetu.

Matters ponownie wykonał lekceważący gest.

– Jesteśmy w Rosji. Jestem przekonany, że władze dadzą sobie radę.

– A właściwie co ty tutaj robisz, ojcze? Miałeś przecież być w Cleveland. Dopiero co wysyłałam ci tam pocztówkę. Gdybym wiedziała, dokąd naprawdę się wybierasz, wręczyłabym ci ją osobiście, żeby oszczędzić na znaczku.

– Pan Rockefeller przysłał mnie tutaj w interesach. I bardzo proszę, ani słowa o tym na papierze.

– Na pewno nie bez autoryzacji - zgodziła się Edna.

Nellie roześmiała się tak głośno, aż ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli zerkać na nią.

– Szkoda, że nie możesz zobaczyć swojej twarzy, ojcze. Przecież dobrze wiesz, że Edna nie wysłała do gazety nic na twój temat. Pewne rzeczy są święte.

– Ojciec na pewno jest święty - potwierdziła Edna i mrugnęła porozumiewawczo okiem, co znacznie podniosło Mattersa na duchu.

Oparł się wygodniej na krześle i uśmiechnął pogodnie do swoich córek. Najwyraźniej uwierzyły mu bez zastrzeżeń.

– Jak za starych, dobrych czasów - powiedział głośno.

Dziewczyny wymieniły między sobą krótkie spojrzenie.

– A co też to miałyby znaczyć? - spytała Nellie, a Edna zawtórowała jej:

– Czemu się tak uśmiechasz, ojcze?

– Miałem na myśli, że czuję się tak samo jak wtedy, gdy nosiłyście jeszcze warkoczyki i zabierałem was do Nowego Jorku do teatru.

– Warkoczyki? - powtórzyła grobowym głosem Nellie. - Gdy zabierałeś nas do teatru, zawsze byliśmy ubrane jak prawdziwe małe damy.

– Nawet jak już urosłyśmy - dodała Edna.

– Po prostu czuję się w tej chwili bardzo szczęśliwy.

* * *

– Kim jest ten mężczyzna, który prowadzi się z E.M. Hock i Nellie Matters?
- Rockefeller zapytał Isaaca Bella. - Widziałem go już w Astorii i przed chwilą na korytarzu, kiedy przyszły spotkać się z ojcem.

– To ich ochroniarz.

– Muszę przyznać, że istotnie na takiego wygląda. Ale skąd ta pewność?

– Dobrze go znam - odparł Bell. - Nazywa się Aloysius Clarke. Też pracował dla Van Dorna.

– Ach tak? I co tu robi detektyw Van Dorna?

– Były detektyw. Został zwolniony.

– Za co?

– Za pijaństwo.

– Pijaństwo? Sądziłem, że w tym zawodzie to dość powszechna przypadłość.

– Pan Van Dorn kilkakrotnie dawał mu szansę.

– Więc dla kogo obecnie pracuje?

– Pewnie zaczął działać na własną rękę. Porozmawiam z nim i spróbuję dowiedzieć czegoś więcej.

– A skąd ten uśmiech na pańskiej twarzy, panie Bell? - Rockefeller nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. - Coś tu się dzieje i nie do końca rozumiem jeszcze co.

– Po prostu ucieszyłem się na jego widok. Wish Clarke to porządny człowiek. Być może zaproponuję mu współpracę.

– Wolnego! Na pewno nie, dopóki pracuje na zlecenie E.M. Hock!

– Oczywiście. Ale może w niedalekiej przyszłości, gdy wszyscy wrócimy już bezpiecznie do domu.

24.

– Moja córka pracuje dla „New York Sun” - chwalił się przed Rockefellerem rozpromieniony Bill Matters. - To niezwykle osiągnięcie! Ogromny krok naprzód w jej karierze!

– Czy ona wie, że tu jestem?

– Absolutnie nie.

– Skąd ta pewność? Skąd pan wie, że nie przyjechała tu właśnie w ślad za mną?

– Przysłali ją tutaj, by relacjonowała narastanie niepokojów w mieście.

– Ale przecież nic się nie dzieje.

– I w każdej chwili może się to zmienić, panie Rockefeller. Powietrze jest aż ciężkie od spisków i agresji. A córka wyznała mi, że przedstawiciele władz, z którymi udało jej się już porozmawiać, sprawiają wrażenie mocno podenerwowanych... Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że nie cierpi pan tej gazety, ja zresztą też, ale...

Rockefeller przerwał mu uniesieniem dłoni.

– Wystarczy! „Sun” to błażostka. Tak jak i cała reszta tych szmatławców. Zależy mi tylko na tym, by ich redaktorzy wiedzieli jak najmniej na temat moich interesów.

– Ona nie wie, że pan tu jest.

– W porządku. - Rockefeller nie spuszczał z niego oczu. - Muszę wierzyć panu na słowo.

– To nie są tylko moje słowa, panie Rockefeller, ale też i moja szczerą opinią. I zapewniam pana, że gdyby córka wyjawiała mi, że przyjechała tu w związku z pańskim wyjazdem, natychmiast bym to panu przekazał.

Rockefeller pokręcił tylko głową i mruknął pod nosem:

– W życiu by ci tego nie wyjawiała.

– Słucham?

– Już dobrze! Pojedzie pan do Moskwy.

– Do Moskwy? - Matters aż zeszywniał. Jak mógłby pracować nad przygotowaniem perskiego rurociągu, siedząc w stolicy Rosji? - Dlaczego?

– Musimy mieć umowy na rafinerie. Tutaj i tak zrobił pan już wszystko, co było w pańskiej mocy. Teraz pańskim zadaniem będzie przekonanie Rosjan, że nowoczesna i prężna administracja Standard Oil lepiej przysłuży się ich przemysłowi naftowemu niż te stare, wyeksploatowane rafinerie. A jeśli w Moskwie nie zdoła pan dotrzeć do odpowiednich ludzi, pojedzie pan do Petersburga.

- A co z rurociągiem?
- Rafinerie mają pierwszeństwo.

* * *

Isaac Bell spotkał się z Aloysiusem Clarkiem na podmiejskiej plaży. Przesycone ropą i dymem powietrze rozrzedzały silne powiewy wiatru znad Morza Kaspijskiego. W oddali widać było światła wielkiego portu i dopiero tutaj, od chwili przyjazdu do Baku, Bell po raz pierwszy ujrzał gwiazdy na wieczornym niebie.

Jego stary przyjaciel wyglądał całkiem nieźle, biorąc pod uwagę jego przeszłość. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, a mimo to poruszał się z niezaprzeczną gracją. Twarz nieco mu napuchła od nadmiaru alkoholu, usta stały się miękkie, jak u ludzi folgujących sobie w jedzeniu i piciu, a nos nabrał specyficznego, różowego odcienia, dobrze znanego malarzom portretującym pijaków. W oczach pozostał mu jednak ten sam co dawniej błysk skupienia i niezachwianej pewności siebie. Trudno było wyczytać z tej twarzy, co Clarke myśli i czy w ogóle myśli coś konkretnego, jeśli tylko udało się przyłapać go w chwilach nieuwagi, które zdarzały mu się niezwykle rzadko. Poza tym Bell był przekonany, że wygląd tępego pijaka stanowił dla doświadczonego detektywa jedynie dodatkowy atut, pozwalający uspić czujność ewentualnych podejrzanych.

Wish posługiwał się językiem angielskim z tą szczególną nutą rozkoszy, charakterystyczną dla czytelników samouków.

– Najlepsza robota, odkąd sięgam pamięcią. Każdą noc spędzam na jakimś wystawnym przyjęciu, przy najwyborniejszych winach, w towarzystwie dwóch ślicznotek. I jeszcze Joe Van Dorn mi za to płaci... A jak to twoje ramię?

– Szybko się goi - odparł Bell i rozchylił poły swojego płaszcza, ukazując rewolwer Colt Bisley w kaburze, w której zwykle trzymał swój pistolet. Wish pokiwał głową. Chwilowo Bell nie był w stanie posługiwać się drugą ręką, niezbędną do wprowadzenia pierwszego naboju do komory w jego samopowtarzalnym pistolecie, więc specjalna, wyczynowa wersja rewolweru Colt .45 stanowiła precyzyjną i skuteczną alternatywę.

- Skąd wytrzasnąłeś tego bisleya?
- Okazuje się, że w Baku można kupić wszystko.

W tym momencie omiół ich silniejszy podmuch wiatru.

– Gdzieś chyba czytałem, że „baku” znaczy po persku „smagany wiatrem”.

Szli wybrzeżem, dopóki nie natrafili na bar, przeznaczony dla zamożniejszych dowódców statków, których stać było na porządne jedzenie i prawdziwą whiskey. Usiedli, najedli się i wypili kilka głębszych, wspominając dawne przygody.

– Co myślisz o tych panienkach? - zapytał wreszcie Bell.

Wish towarzyszył mu przy kilku trudnych śledztwach. Połączyła ich szczególna więź zaufania, możliwa tylko u ludzi, którzy pomagali sobie nawzajem po pchnięciu nożem czy postrzale. Dokopali się do sedna każdej sprawy, nad którą pracowali wspólnie, i ufali nawzajem swojemu instynktowi. Jeden bywał dla drugiego najlepszym adwokatem diabła i często przychodziło im wymieniać się tymi rolami.

– Edna to niezwykle poważna, młoda dama - odparł Wish. - To, jak Rockefeller potraktował jej ojca, boli ją o wiele bardziej, niż z początku można by sądzić. Z kolei Nellie uwielbia skupiać na sobie uwagę innych. Byłaby świetną aktorką albo politykiem. Jeśli rzeczywiście zdoła zorganizować tę swoją Powietrzną Paradę Niezależnych Kobiet, to ma szansę mocno namieszać w świecie.

– To w której się zadurzyłeś? - zapytał jeszcze po chwili, spoglądając wyczekująco na Bella.

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Znaczą, że w obu. - Wish zarechotał.

– To dość skomplikowane... - przyznał Bell. - Edna ma w sobie coś. ..A z kolei Nellie ma coś zupełnie innego...

– Co masz na myśli?

– Edna jest tajemnicza i nieodgadniona niczym ocean. A Nellie cała skrzy się jak kryształ w kalejdoskopie.

– Żadnej nie widzę w roli dobrej żony, przynajmniej w najbliższym czasie.

– Nigdzie mi się nie śpieszy.

Budynkiem wstrząsnął podmuch o wiele silniejszy od dotychczasowych. Porwany wichrem piasek uderzył z trzaskiem w okna jak przy gradobiciu.

– Przejdźmy do istoty problemu - powiedział Wish. - Kogo twój zabójca ma na celowniku?

– Słyszałeś o tym, że Standard Oil przyrównuje się do ośmiornicy?

– I bardzo trafnie - przyznał Wish.

– Sądzę, że nasz zamachowiec bardziej przypomina rekina. Kręci się wokół tej wielkiej ośmiornicy z przekonaniem, że jeśli zatopi zęby w jednej czy dwóch mackach, to zapewni sobie ucztę całego życia. Stara się zrzucić na Standard winę za swoje zbrodnie. Pewnie zakłada, że jeśli mu się powiedzie, to będzie mógł przejąć sporą część tego, co pozostanie po rozbiciu molocha. Być może planuje wyjść z tego na czele drugiego co do wielkości trustu naftowego na świecie.

– To brzmi jak bardzo dobry strzał. - Wish pokiwał głową.

– To może być ktoś z wewnątrz firmy albo i spoza niej. Ktoś inwestujący w ropę, koleje, węgiel albo stal. Może nawet prawnik korporacji.

– Ktoś na wysokim stanowisku. - Wish ciągnął tę myśl dalej. - I starający się wspiąć jeszcze wyżej... Hola, a ty dokąd? Wypijmy jeszcze po jednym.

Bell był już na nogach i sięgał po portfel.

– Mój szef, pan Rockefeller, czeka na raport, w którym potwierdzę, że detektyw Aloysius Clarke nie współpracuje już z Agencją Van Dorn i został wynajęty bezpośrednio przez panny Nellie Matters i E.M. Hock, by zadbać o ich bezpieczeństwo. Zaznaczę w nim również, że z toku rozmowy z panem Clarkiem nie wynikało, by którakolwiek z pań wiedziała cokolwiek o obecności pana Rockefellera w Baku.

– Rockefeller? Pierwsze słyszę. - Wish wyszczerzył zęby, po czym popatrzył tęsknym wzrokiem na napoczętą butelkę. Po chwili jego spojrzenie przeniosło się na opartą na temblaku rękę Bella.

– Poczekaj - powiedział. - Odprowadzę cię.

– Zostań, poradzę sobie.

– Jeśli, wracając, nadziejesz się na strzelaninę trwającą dłużej niż trzydzieści sekund, to nigdy nie darowałbym sobie, że nie podałem ci pomocnej dłoni przy przeładowywaniu.

Na zewnątrz ostry wiatr, rozwiewający przed kilkoma godzinami chmury wiszącego nad brzegiem dymu, zdążył przeistoczyć się w regularną wichurę. Gwiazdy ponownie stały się niewidoczne, tym razem zakryte przez porywane w gwałtownych podmuchach drobiny piasku. Nawet światła portu były ledwie

widoczne pośród zawieruchy. Co chwila słyhać było stukot drobnych kamyków o ściany baru.

– Spójrz tam!

Do kei dobijał właśnie dostojnie wyglądający, trójmasztowy szkuner z gaflowym ożaglowaniem. Na pokładzie aż mrowiło się od ludzi. Gdy tylko statek zbliżył się do pomostu, na deski zaczęli wyskakiwać uzbrojeni w karabiny Tatarzy, biegnący tłumnie w stronę miasta.

– Co robimy, jeśli w mieście wybuchną rozruchy?

– Uciekamy.

Na niebie ponad spowitymi tumanami piasku wieżami wiertniczymi pojawiła się czerwona łuna. Od strony miasta dobiegł odgłos wystrzałów.

Pobiegli ulicą Wokzalną w stronę dworca kolejowego. Huk wystrzałów stawał się coraz głośniejszy, a po chwili odgłosy palby z karabinów i pistoletów zagłuszył dominujący łoskot wojskowych karabinów maszynowych. Oglądając się za siebie, Bell zauważył, że łuna nad zatoką staje się coraz bardziej intensywna. Z kolei przed sobą widział wzrastający blask, zwiastujący płomienie, podłożone pod pierwsze domy w dzielnicy ormiańskiej.

Ruszyli sprintem do centrum.

– Najpierw zabierzemy dziewczyny, potem Rockefellera - zarządził Bell.

– I co dalej? Łądem czy morzem?

– Zobaczymy, czy w ogóle pozostanie nam jakiś wybór - odparł Isaac.

25.

Isaac Bell zatelefonował do Johna D. Rockefellera z holu hotelu Astoria.

– Proszę spakować się w jedną torbę i włożyć najcieplejsze ubranie. Uciekamy z miasta.

– Czy to rozsądne?

– To konieczne - odparł Bell.

– Muszę nadać kilka telegramów.

– Proszę się pośpieszyć.

Gdy razem z Wishem weszli do pokoju kobiet, ujrzeni spakowane już pod drzwiami torby podróżne i maszynę do pisania oraz rozłożoną na łóżku dużą

mapę terenów między morzami Kaspijskim i Czarnym, uważnie studiowaną przez Ednę Matters.

– Gdzie Nellie?

– Na dachu.

– A co ona tam, u licha, wyprawia? - zapytał Wish.

– Bez balonu to jedyne, co jej pozostało - odparła Edna. - Obserwuje, co się dzieje, i sprawdza ewentualne drogi ucieczki.

– Leć po nią, Wish.

Bell skupił wzrok na mapie, którą podświadomie zaczął analizować już wcześniej. Jadąc pociągiem przez Tyflis do Batumi i dalej parowcem przez morze, dotarliby do Konstantynopola w cztery dni. Ale w kraju, w którym prawo stanowili bandyci, napad na pociąg stanowił zbyt prawdopodobne niebezpieczeństwo.

Edna przesuwiała palcem po trasie przez Morze Kaspijskie do Astrachania i dalej po Wołdze.

– Carskie parowce mają połączenie z koleją moskiewską.

– Wolałbym nie utknąć w samym środku rosyjskiej rewolucji, na którą najwyraźniej się zanosi - zauważył Bell.

– Nikt z tych, z którymi rozmawiałam, nie był w stanie przewidzieć, czego można się teraz spodziewać - poinformowała Edna.

– A Rosjanie wiedzą pewnie najmniej.

– Martwię się o ojca wygnanego do Moskwy.

Detektyw podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Na torach zatrzymał się właśnie tramwaj, z którego wylał się potok objuczonych tobołami ludzi, pędzących na dworzec. Próbował wychylić się na tyle, by móc spojrzeć na samą stację, ale z okna nie było jej widać. Niebo całkiem poczerwieniało. Po ścianach budynków przeskakiwały co rusz nowe cienie, rozświetlane błyskami wystrzałów. Mieszkańcy biegali we wszystkich kierunkach, pośród nieustających wybuchów. Bill Matters z pewnością miał szczęście, że wyjechał do Moskwy, bez względu na prawdziwe pobudki Rockefellera.

Do pokoju wpadła Nellie, z rumieńcami na policzkach i roziskrzonymi oczami. Tuż za nią pojawił się Wish Clarke z ponurym wyrazem twarzy.

– Na ulicy Millionnej trwa regularna bitwa, a na stacji panuje kompletny chaos - poinformował. - Nellie zauważyła, że Wokzalnaja jest ciągle w miarę pusta, jeśli chcemy dostać się do portu.

– Chcemy - zdecydował Bell. - W drogę!

Wejścia do Hotelu de l'Europe strzegło kilku wyraźnie podenerwowanych policjantów w cywilu. Goście kręcili się w kółko po holu, pokrzykując na przerażonych pracowników. Pianista zaczął grać serenadę Schuberta. Zupełnie jakby sądził, że zmobilizuje świat do autorefleksji, pomyślał przelotnie Bell, biegnąc po swoją torbę podróżną. W sąsiednim apartamencie Rockefellera nie zastał nikogo. Przeszukawszy go pośpiesznie, wrócił do holu. Wish stał na schodach, skąd mógł obserwować drzwi, z Edną i Nellie tuż za nim. Obie kobiety zachowywały nienaturalny spokój.

– Widzieliście Rockefellera?

– Nie.

– Tam jest. - Wskazała nagle Edna.

Magnat naftowy wychodził właśnie z gabinetu kierownika hotelu. W swoim stroju eleganta wyglądał, jakby wybierał się właśnie na popołudniową herbatkę w najwyższych sferach. Na szczęście Edna od razu przejrzała jego kamuflaż i wpatrywała się w niego teraz intensywnie z jawną wściekłością, mocno zaciskając usta i rumieniąc się ze zdenerwowania, co nie uszło uwagi Bella.

Detektyw rzucił też okiem na Nellie. Uśmiech, który do tej chwili zdawał się nigdy nie opuszczać jej ust, wyparował teraz jak kamfora. Z jej oczu, podobnie jak z oczu Edny, zniknął jakikolwiek ślad szmaragdowego odcienia, pozostała jedynie popielata szarość.

– W dalszym ciągu uważasz, że powinniśmy uciekać razem? - spytał Wish, gdy ruszyli pośpiesznie w kierunku milionera. - Te amazonki gotowe w mgnieniu oka wydrapać mu oczy.

– To nie jest najlepsze wyjście - przyznał Bell. - Ale innego nie mamy.

W końcu Rockefeller ich zauważył.

– Ach, tu jesteście. Właśnie regulowałem nasz rachunek.

– Rachunek? - powtórzył z niedowierzaniem Wish. - Lada moment całe miasto pójdzie z dymem!

– Zawsze spłacam swoje rachunki.

W tym momencie z gabinetu wybiegł kierownik hotelu.

– Panie Stone! Jeśli przyjdą odpowiedzi na pana telegramy, to dokąd mam je przekazywać? - zapytał, obnażając kłamstwo Rockefellera.

– Do Nowego Jorku.

– Panie Stone, idziemy! - odezwał się Isaac Bell, głosem twardym jak stal. - Proszę trzymać się blisko mnie.

* * *

Warunki na ulicy Wokzalnej zdążyły radykalnie się zmienić, nim znaleźli się jeszcze w połowie drogi do portu. Tu również zatrzymał się tramwaj. Nagle wokół zaroilo się od uzbrojonych Tatarów, strzelających z pistoletów do dobrze ubranych, kulących się po kątach Ormian.

Grupa rosyjskich żołnierzy przyciągnęła karabin maszynowy Maxim na ciężkiej kołowej podstawie Sokołowa. Nim rozstawiali broń, Tatarzy zdążyli zniknąć w jednej z pobliskich alejek, a ocalali Ormianie ruszyli pędem na stację. Matki ciągnęły za sobą dzieci, a młodzi ludzie pomagali starszym rodakom.

Nagle na Rosjan spadł z wysoka grad kul. Strzelec wycelował chłodzoną wodą lufę karabinu w górę. Broń ożyła i załała potokiem pocisków okoliczne okna na wysokości drugiego piętra.

Z jednego z okien wyfrunęła nagle kula wielkości piłki bejsbolowej, ciągnąc za sobą iskrzący się ogon lontu. Wybuchła jeszcze w powietrzu, z ogromnym hukiem, powalając pozostających na ulicy ludzi. Ci, którzy byli tylko ranni, próbowali przeczołgać się jak najdalej od miejsca walki, gdy tymczasem druga bomba wybuchła przedwcześnie jeszcze w oknie. W rejonie obu wybuchów nie pozostał nikt żywy, ani Tatar, ani Ormianin, ani też żaden z obsługujących karabin maszynowy Rosjan.

Isaac Bell i Aloysius Clarke rzucili się pędem do broni, dobrze wiedząc, że we wprawnych rękach maxim z zapasem amunicji stanowił najpewniejszy bilet na pokład dowolnego stojącego jeszcze w porcie statku. Wish zarzucił sobie siedemdziesięciokilogramowy karabin razem z podstawą na ramię, a Bell zebrał sprawną ręką cztery pasy amunicyjne i owinął je sobie wokół szyi.

– Dalej!

Wznowili bieg do portu. Nellie, Edna i Rockefeller nie zostawiali daleko z tyłu. Dotarłszy do końca ulicy, ujrzeli tłum tratujących się wzajemnie ludzi, starających się dostać na ostatni statek stojący jeszcze przy nabrzeżu

pasażerskim. Pozostałe, które zdążyły odpłynąć wcześniej, znajdowały się już daleko po drugiej stronie zatoki, uciekając na bezpieczne, szerokie wody. Ich światła były ledwie widoczne w pełnym piasku powietrza.

– Panie Bell! - zawołał Rockefeller. - Czy dobrze mi się wydaje, że rafineria Nobla stoi w płomieniach?

Prezes Standard Oil wpatrywał się w potężny pożar, szalejący kilka kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża, w Czarnym Mieście. Z samego środka rozpalonego do białości koszmaru strzelały w niebo gigantyczne płomienie.

– Na to wygląda - przyznał Bell, rozglądając się po nabrzeżach towarowych w poszukiwaniu odpowiedniego statku. Nie dalej jak wczoraj byli z wizytą w rafinerii. Rockefeller starał się ją wykupić, mimo że rezydujący w Moskwie przedstawiciele spółki Nobla nie mieli najmniejszej ochoty jej sprzedawać. Teraz wszystko i tak spłonie do szczytu.

– Patrzcie na tego trampa! - krzyknął Wish i wskazał spoczywającym mu na ramieniu karabinem parowiec tak starej daty, że miał jeszcze maszty pod żagle. - Nikt nie będzie się bił o miejsce na tej krypie.

Bell zauważył dym wydobywający się z pojedynczego komina.

– Podnoszą ciśnienie pary.

Popędzili swoich podopiecznych w stronę statku, ale znalazłszy się bliżej, spostrzegli, że nadzieje Wisha okazały się płonne. Zebrany na pomoście tłum wdarł się siłą na pokład parowca. Tramp był wyraźnie przeciążony i zaczynał nabierać niebezpiecznego przechyłu.

– Zdaje się, że coś tu płynie.

Z ciemności istotnie wynurzył się niewielki, nieoświetlony statek. W pierwszej chwili sądzili, że przybyło po nich ocalenie. W następnej zauważyli stłoczonych na pokładzie Tatarów. Podobnie jak w przypadku wcześniejszego szkunera, który zapoczątkował całą tragedię, byli uzbrojeni i żądni krwi.

– Gdzie jest pan Rockefeller?

Nigdzie nie było widać starszego mężczyzny.

– Stał tutaj jeszcze przed momentem.

Bell ruszył biegiem wzdłuż rzędu pozamykanych sklepów, na co dzień oferujących pasażerom parowców takie towary, jak pocztówki, świeże owoce, modne kapelusze, pamiątki czy aparaty fotograficzne, i bez zastanowienia wpadł do punktu telegraficznego. W środku kompletnie przerażony operator stał tuż

przy drzwiach w płaszczu i kapeluszu i nadawał pośpiesznie wiadomość, wyraźnie żałując, że nie zdecydował się uciec pięć minut wcześniej.

– Zaraz do was dołączę, panie Bell - powiedział Rockefeller, nie obdarzywszy go nawet spojrzeniem. - Muszę wysłać pilną depezę.

– Myślałem, że już uzgodniliśmy, że nasze życie jest ważniejsze. Idziemy! - To mówiąc, Bell złapał milionera za ramię. Ten zaczął się wrywać, na co detektyw zareagował jedynie silniejszym uściskiem i jeszcze groźniejszym tonem: - Co, do cholery, może być ważniejsze od bezpieczeństwa dwóch kobiet, które pozostają pod naszą opieką?

– Fabryka olejów smarowych Nobla została zniszczona. Ze względu na wyjątkowo niską gęstość ropy wydobywanej w Baku, rosyjskie oleje smarowe są najlepsze na świecie, dzięki czemu interes Noblów kręcił się w ostatnich latach wyśmienicie. W Stanach najlepszy olej produkuje się w zakładzie Winfield w Humble, w Teksasie. Nie może się równać z rosyjskim, ale jest z pewnością lepszy niż nic.

Najwyraźniej John D. Rockefeller potrafił zachować głowę na karku nawet wtedy, gdy inni tracili ją od uderzeń szabli. Manewrując z finezją wokół dwóch projektów - rafinerii w Baku i rurociągu perskiego - bez większych trudności skupił się natychmiast na nowej, niespodziewanej okazji, sprezentowanej mu przez szalejące w mieście płomienie. Tyle tylko, że z czasem przestał się kierować jakimikolwiek zasadami. Stało się z nim to samo, o czym mówił Spike Hopewell, mając na myśli Billa Mattersa.

Isaac Bell potrząsnął magnatem jak rozwydrzonym szczeniakiem.

– Narażasz nas wszystkich na śmierć, żeby kazać swoim pomagierom z Nowego Jorku kupić zakłady Winfield?

– Już nigdy nie pozwolę Rosji wrócić na ten rynek.

– Skończone, proszę pana - oznajmił telegrafista, odskakując od klucza jak oparzony.

W drzwiach minął się z Wisem i towarzyszącymi mu kobietami, na których widok Rockefeller natychmiast zamilkł. Clarke zrzucił maxima na biurko telegrafisty, a panie postawiły swoje torby. Choć nadal zachowywały spokój, w ich oczach widać było strach, co, zdaniem Bella, w tej sytuacji dowodziło tylko zdrowego rozsądku.

Wish skierował lufę karabinu w stronę drzwi i wyciągnął rewolwer.

– Potrzebujemy dobrego planu, stary druhu.

– Po pierwsze załatwmy to raz na zawsze. - Bell zwrócił się do Rockefellera.
- Od teraz kieruję tym przedsięwzięciem na zasadach wojskowych. Jest tylko jeden dowódca - ja. Wish jest moim zastępcą. Cokolwiek któryś z nas rozkaże, ma zostać wykonane natychmiast. Czy wyrażam się wystarczająco jasno, panie Rockefeller? Od tej chwili żadnego znikania bez słowa. Chyba że naprawdę chce pan zabrać nas wszystkich do piekła.

– Zgoda - powiedział najbogatszy obywatel Stanów Zjednoczonych. - Przyjmuję pańskie warunki. Ale teraz musimy wyjaśnić sobie jeszcze jedną istotną kwestię. - Wskazał palcem Ednę. - Nie pozwolę, by ta kobieta dziennikarz napisała w swojej gazecie choć jedno słowo na temat moich interesów.

Edna Matters odpowiedziała mu stanowczo lodowatym tonem:

– John D. Rockefeller kontroluje połowę światowego wydobycia ropy naftowej. Właśnie został uwięziony w płonącym Baku, mieście, w którym wydobywana jest ta druga połowa. To sensacyjna wiadomość. A ta „kobieta dziennikarz” zarabia na chleb dostarczaniem wiadomości.

– W tej chwili to ja mam wiadomość dla was obojga - przerwał im Isaac Bell.

26.

– Tylko jeśli będziemy działać razem i jednomyślnie, mamy cię szansę wydostać się z tej kabały każdy w jednym kawałku. Zrozumcie, że ja nie proszę was o współpracę, a tylko informuję o zasadach dalszego postępowania. Zasada numer jeden brzmi: pana Rockefellera tutaj nie ma.

– Nie ma? - Edna wyszczerzyła się na niego, wyraźnie zdenerwowana. - Jak to „nie ma”?

– Możesz opisać wszystko, co się tutaj wydarzy, o ile w ogóle uda nam się przeżyć. Oprócz jego obecności.

– Nie zgadzam się.

– Musisz. Żeby przetrwać, musimy pracować wspólnie.

– Jak zamierzasz mnie powstrzymać?

– Zamierzam poprosić, byś dała mi swoje słowo.

– A jeśli ci go nie dam?

– Większość sklepów została już rozbita przez bandy złodziei - zaczął odpowiadać Bell bez cienia uśmiechu. - Dołączę do tych złodziei, wykradnę perski dywan i zawinę cię w niego. Wypuszczę cię dopiero wtedy, gdy znajdziemy się już w Alei Gazet.

– Jak Kleopatra! - ucieszyła się Nellie.

Edna również uśmiechnęła się na tę myśl, ku ogromnej uldze detektywa. Popatrzyła po wszystkich zebranych z napięciem wyczekujących jej ostatecznej decyzji.

– Dobrze. Jeśli pan Rockefeller obieca nie spowalniać naszej ucieczki kolejnymi postojami przy stacjach telegraficznych, to ja przyrzekam nie napisać o nim ani słowa.

– Umowa stoi - zgodził się milioner.

– Ale kiedy tylko złamię swoją przysięgę, a złamię ją bez dwóch zdań, będzie musiał zdradzić mi treść swoich telegramów. - Wyciągnęła do mężczyzny otwartą dłoń. - Daję swoje słowo. Zgoda?

– Ma pani talent do negocjacji, młoda damo. Zgoda!

Edna obróciła się w stronę Bella.

– A pan będzie musiał wymyślić coś wyjątkowego, żeby mi to wynagrodzić.

– W porządku.

Kula, odbita rykoszetem od przydrożnej latarni, wpadła do pomieszczenia, tłukąc szybę w oknie.

– Pozostaje tylko pytanie, jak niby mamy się stąd wydostać, skoro nie możemy liczyć na statek ani pociąg - odezwał się milczący do tej pory Wish Clarke.

– Do Batumi możemy dojechać samochodem - zaproponował Rockefeller. - A stamtąd przeplniemy Morze Czarne do Konstantynopola.

– Jakim samochodem? - zapytał Bell, chcąc zmusić Rockefellera do wyjawienia, jaką rolę w jego machinacjach odgrywały ukryte w garażu hotelu pojazdy.

– Moim, model Peerless Tonneau.

– Niewykonalne. Do Batumi mamy ponad tysiąc kilometrów jazdy po bezdrożach.

– W połowie drogi jest Tyflis, a w Gruzji nie powinno być już problemu z przesiadką na pociąg.

Bell pokręcił głową.

– W piątkę ledwie zmieścimy się do jednego samochodu, a musimy przecież wziąć ze sobą jeszcze zapasy benzyny, oleju, jedzenia, wody, zestaw narzędzi i kilka kół zapasowych.

– Nie zapominaj o panu Maximie - dodał Wish, poklepując dłonią lufę karabinu. - Bez niego tylko najgorszy wariat odważyłby się wyjechać na tak zwaną drogę do Tyflisu.

– Potrzebowalibyśmy trzech samochodów, równie niezawodnych jak pański peerless - stwierdził Bell.

– I mamy trzy - przyznał Rockefeller.

– Trzy?

– Na moje polecenie trzy peerlessy przyjechały tu jeszcze przed naszym przybyciem.

– Po co?

Rockefeller zawahał się na moment, ale w końcu odpowiedział:

– Jako prezent.

– Dla kogo? - nie ustępował Bell.

Tym razem magnat naftowy nie dał się podpuścić.

– Panie Rockefeller - powiedział Bell. - Pani Matters zgodziła się nie relacjonować pańskich interesów. W zamian za to pan zgodził się, przy nas wszystkich, współpracować z resztą bez dyskusji.

Mięśnie szczęki Rockefellera zadrżały niepewnie, a w oczach, z których rzadko dało się wyczytać cokolwiek, pojawił się cień wahania.

Gdzieś niedaleko padły kolejne strzały. To przeważało szalę.

– Dobrze! Anglicy ofiarowali szachowi Persji w prezencie samochody. Postanowiłem przebić ich dar najlepszymi pojazdami z Cleveland, żeby pokazać szachowi, że nie potrzebuje rolls-royce'ów, ani Anglików, ani Rosjan.

Isaac Bell uśmiechnął się ukradkiem do Edny i Nellie Matters - po raz kolejny okazywało się, że John D. Rockefeller o wszystkim dowiadywał się

pierwszy. Podstępny bogacz naprawdę dobrze się przygotował do podróży, by ujrzeć „słońce wstające nad pięknym Morzem Śródziemnym”, tam gdzie „mijają kolejne przyjemne i owocne dni”.

- Gdzie są te samochody?
- W garażu naszego hotelu.
- Przekonajmy się więc, czy jeszcze nie spłonęły.

* * *

Szli szybko, jedno za drugim, do hotelu.

Pierwszy w kolumnie był Bell z taśmami amunicyjnymi do karabinu maszynowego na szyi i bisleyem w sprawnej ręce. Rockefeller maszerował między Edną a Nellie, by rezolutne panie mogły mieć oko na nieobliczalnego staruszka. Pochód zamykał Wish z maximem na ramieniu i rewolwerem w pogotowiu.

Ludzie, którzy potencjalnie mogliby chcieć ich skrzywdzić, omijali ich szerokim łukiem, być może nie zdając sobie sprawy z tego, że karabin maszynowy, standardowo obsługiwany przez cztery osoby, byłby niezwykle mało wydajną bronią w rękach dwóch detektywów. A może po prostu nie chcieli tego sprawdzać. Ogień nie dotarł jeszcze do hotelu, bo Tatarzy skupili swoje mordercze wysiłki w dzielnicy ormiańskiej, której płonące teraz wieżowce rozświetlały nocne niebo.

Mijając główne wejście budynku, Bell poprowadził grupę wzdłuż wjazdu do stajni. Uzbrojeni w przestarzałe rosyjskie karabiny strażnicy od razu rozpoznali detektywa i „specjalnego wysłannika Stone’a”. Bell wręczył im sowity napiwek i zamknął za wszystkimi drzwiami stajni. Nie było tu wiele ciszej. Pomimo grubych, kamiennych murów i otaczających hotel innych budynków odgłosy wystrzałów były dalej bardzo wyraźne, a ponadto w środku panował jeszcze rwetes wzbudzany przez zdenerwowane konie, uderzające kopytami o ściany swoich boksów.

Niewiele mniej zdenerwowani kierowcy przyglądali się nowym przybyszom z uwagą. Kilku majstrowało coś przy swoich samochodach, a reszta siedziała za kierownicami poszczególnych limuzyn, wyczekując z przerażeniem polecenia wjazdu do willi swoich bogatych przełożonych przez panujące na ulicach pandemonium.

Bell rozejrzał się w poszukiwaniu Josefa, znajomego angielski szofera, który wioził ich peerlessem do rafinerii i mógłby się przydać podczas ucieczki jako dodatkowy kierowca, mechanik i tłumacz. Nigdzie go nie znalazłszy, zapytał o niego pozostałych mężczyzn.

– Nie, proszę pana.

– Nie, proszę pana.

Kierowcy wymienili między sobą kilka niesłyszalnych słów. Jeden z tych, którzy znali trochę język, odezwał się po chwili:

– Rewolucjonista.

– Josef?

– Może rewolucjonista. Może glina.

– Glina?

Kierowca pokręcił głową i poprawił się:

– Agent.

– Prowokator?

– Donosiciel.

Bell sam już podejrzewał, że Josef był tajniakiem. Ale żeby jeszcze buntownikiem? Bell zarzucił pomysł skorzystania z jego pomocy na czas ucieczki i postanowił nie ufać nikomu spoza ich wąskiej grupy. Będę musieli poradzić sobie z tym, co mają.

* * *

Rozbita podczas zamachu szyba w pierwszym peerlesie do tej pory nie została wymieniona. Brak szklanej tafli dawał świetne pole ostrzału, więc Wish Clarke bez zwłoki usadowił karabin maszynowy na tylnym siedzeniu pojazdu.

Pozostałe dwa wozy stały dalej w drewnianych skrzyniach, w których Bell widział je ostatnio.

– Potrzebujemy młotków i łomów - powiedział Bell.

Po chwili Edna Matters przyniosła młot kowalski, a Rockefeller wynalazł skądś łom, który natychmiast przejęła Nellie Matters i bardzo sprawnie zaczęła zdejmować kolejne deski.

– I na co się pan tak gapi? - zwróciła się do Bella. - Myśli pan, że mój balon sam się naprawia?

Rockefeller również wywijał potężnym młotem jak ktoś, kto całe życie zajmował się rąbaniem drewna.

– Ja nie znam się na takich rzeczach - stwierdziła Edna. - Co innego mogę zrobić?

Bell polecił jej poszukać zapasów benzyny i oleju oraz kanistrów, w których będzie je można przewozić. Dał jej też pieniądze, by to, co się da, kupiła od pozostałych kierowców. Po kilkunastu minutach dziewczyna wróciła z pojemnikami, niezbędnymi w podróży narzędziami i kilkoma mapami.

Kiedy skrzynie stanęły już otworem, Bell z niemałą ulgą przekonał się, że samochody zostały wyposażone w nowoczesne opony typu straight-side na rozkładanych obręczach. Na skalistych, nierównych drogach z pewnością wielokrotnie złapią gumę. Tego typu opony bardzo łatwo zdejmowało się z obręczy, dzięki czemu czas potrzebny na naprawę zredukowany był z godziny do kilku minut.

Edna Matters uzbierała w kanistry ponad sto pięćdziesiąt galonów benzyny i odpowiedni zapas oleju. Po uporaniu się ze skrzyniami Bell kazał jej, Nellie i Rockefellerowi kupić jak najwięcej jedzenia w puszkach i wodę pitną z hotelowej kuchni. Następnie sam upewnił się, czy w skrzyniach korbowych samochodów jest olej, i nalał benzyny do baków.

Tymczasem Wish Clarke uporał się już z karabinem, załadował jedną z taśm amunicyjnych i wypełnił chłodnicę lufy wodą dla koni. Zdjął jeszcze bezużyteczną ramę rozbitej szyby samochodu, by nie zawadzała na linii strzału, po czym pomógł Bellowi uruchomić silniki samochodów. Pierwszy z tych wypakowanych zaskoczył z łatwością, drugi początkowo trochę się opierał, ale po odpowiedniej liczbie obrotów korby Bellowi udało się obudzić go do życia. Z kolei samochód z zamontowanym karabinem wydawał z siebie jedynie niewyraźne rżenie i chmury dymu. Detektywi wykręcili świece zapłonowe, przeczyścili je i spiłowali nagar z elektrod.

Odgłosy walki na ulicach stawały się coraz głośniejsze. Nagle usłyszeli świdrujący krzyk kobiety. Kierowcy wpatrywali się ze strachem w drzwi. Któryś zaczął płakać. Z wnętrza hotelu dobiegały dźwięki muzyki. Pianista trwał na swym stanowisku.

Do pierwszej w nocy mieli już wszystkie niezbędne zapasy i samochody przygotowane do drogi. Bell rozłożył na masce jednego z peerlessów mapę, by pokazać reszcie ich trasę znad Morza Kaspijskiego do Morza Czarnego. Mieli

jechać na zachód przez Zakaukazie, obejmujące tereny pomiędzy rosyjskim Wielkim Kaukazem na północy i perskim Kaukazem Małym na południu.

Sto kilometrów ich trasy przebiegało przez leżące między oboma łańcuchami górskimi rzeczne doliny na terytoriach Azerbejdżanu, Armenii i Gruzji.

– Wszyscy tam próbują się nawzajem pozabijać - ostrzegł Bell. - Pierwszy przystanek to Szemacha, jakieś sto dwadzieścia kilometrów. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy tam dotrzeć przed jutrzejszym zachodem słońca. Wish jedzie pierwszy z maximem. Ja będę na końcu. Panie Rockefeller, pan pojedzie w środku.

– Nie umiem prowadzić - powiedział Rockefeller.

– Nie umie pan?

– Dopiero niedawno zamówiłem sobie samochód. Razem z szoferem.

– Ja umiem prowadzić - zgłosiła się Nellie.

– Naprawdę? - zdziwiła się Edna. - Kiedy się nauczyłaś?

– W Kalifornii. Razem z kilkoma dziewczynami doszliśmy do wniosku, że sufrażystki powinny podróżować samodzielnie. Poza tym to dużo łatwiejsze niż powożenie, nie mówiąc już o lataniu balonem.

Bell miał spore wątpliwości, ale nie miał wyboru, więc nie pozostawało mu nic innego, jak uwierzyć w zapewnienia Nellie. Potrzebowali wszystkich trzech samochodów, żeby zabrać ze sobą cały niezbędny sprzęt i na wypadek awarii jednego z aut, której nie mogliby z Wishem naprawić w terenie.

– A więc Nellie poprowadzi środkowy wóz - zdecydował. - Edna usiądzie z przodu, a pan Rockefeller z tyłu. Wish, nie masz czasem prezentu dla pana Rockefellera?

Wish wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza mały pistolet i wręczył go magnatowi. Ten sprawdził od razu, czy broń jest naładowana.

W tym czasie, gdy akurat nikt nie zwracał na niego uwagi, Bell wyjął z kapelusza swojego derringera i przekazał go Ednie.

– Strzelałaś już kiedyś z takiej broni?

– Ojciec uczył nas tego.

Na te słowa Bell zaczął mocno żałować, że nie ma z nimi Billa Mattersa i jego potężnego remingtona, którego widział w akcji podczas napadu na pociąg. Bogu dzięki, że zesłał im tego maxima. I chwala mu również za karabin

zabójcy, który leżał teraz w torbie na podłodze jego samochodu, obok kierownicy.

– A co ze mną? - spytała Nellie. - Ja nie dostanę broni?

– Będziesz miała obie ręce zajęte kierownicą. A teraz słuchajcie uważnie: będziemy jechać bardzo blisko siebie. Nikt oprócz Wisha nie włącza świateł. Jeśli coś się stanie z samochodem albo wam, zatrąbcie klaksonem.

– Isaac?

– Tak, Edna?

– Czy nie byłoby rozsądniej, gdyby Rockefeller siedział obok Nellie, a ja pojechałabym z Wisem, by obsługiwać karabin?

– A umiesz strzelać z takiego karabinu?

– Widziałam, jak łamistrajki pana Rockefellera straszyły nim robotników. Każdy, kto chciałby nas napaść, dobrze się zastanowi, widząc człowieka z gotowym do strzału maximem. A z daleka nie będzie przecież widać, że jestem kobietą.

Bell musiał przyznać, że miała sporo racji, mimo że sam pomysł wcale mu się nie podobał. Obie panie miały na głowach czapki, zakrywające ich krótkie włosy, a gdy zdecydowali się uciekać, zamieniły spódnice na o wiele bardziej wygodne spodnie. Jednak jakiś zawzięty bandyta może zastrzelić ją w pierwszej kolejności, by unieruchomić niebezpieczną broń. Z drugiej strony nie dało się ukryć, że karabin maszynowy z obsługującym go człowiekiem stanowił o wiele skuteczniejszy środek odstraszenia i powinien skutecznie zniechęcić większość zwykłych rabusiów i zabijaków.

– A co ty o tym sądzisz, Wish? Masz coś przeciwko temu, by Edna przejęła twój karabin?

Wish też nie był zachwycony tą perspektywą, wyraźnie było to po nim widać. Mimo to powiedział w końcu:

– Obawiam się, że Edna ma rację.

Zmienił plan. Edna przekazała derringera Nellie i przesiadła się na tył pierwszego pojazdu.

– Postaraj się nie odstrzelić mi łba - rzucił przez ramię Wish.

– Schyl się, jak usłyszysz strzały.

John D. Rockefeller usiadł z przodu środkowego samochodu.

- To będzie ciekawe przeżycie - powiedziała Nellie.
- Co proszę?
- Siedzieć ramię w ramię z diabłem wcielonym.
- Bez przesady, nie jest pani taka straszna - odparł milioner.

Nellie uwielbiała żarty tego rodzaju i Bell spodziewał się, że wybuchnie zwyczajową salwą gromkiego śmiechu, ale dla tego konkretnego człowieka dziewczyna miała w tej chwili wyłącznie jadowite spojrzenie. Spojrzał na jej siostrę, wciśniętą za potężny karabin maszynowy. Ona również się nie uśmiechnęła.

- W pewnym sensie mamy szczęście - stwierdził Wish Clarke. - Jedziemy mocnymi jak ze stali, clevelandzkimi samochodami, prosto z fabryki.

- Na głównej drodze skręcamy w lewo - polecił Bell, próbując złożyć mapę jedną ręką. Nie szło mu zbyt sprawnie, więc zdjął temblak i schował go do kieszeni. - Ruszajmy.

Otworzył wrota stajni.

Trzy czerwone samochody wytoczyły się po brukowanym podjeździe na ulicę, rozświetloną niemal tak, jakby był środek dnia. Niebo rozświetlały płomienie z palących się domów, rafinerii i pól naftowych. Ruszyli na zachód, oddalając się od pożarów, przez ulice zatamowane setkami uciekinierów, zmierzających w tym samym kierunku w wozach konnych, samochodach czy też pieszo.

Isaac Bell doszedł do wniosku, że jego oczekiwania dotarcia do Szemacha w ciągu jednego dnia były przesadnie optymistyczne. W tych warunkach dojechanie tam za dwa dni wymagałoby sporo szczęścia. A dalej czekało na nich jeszcze kolejne siedem lub osiem miast i siedemset siedemdziesiąt kilometrów.

27.

„Po sześciu najgorętszych dniach i najmroźniejszych nocach mojego życia dzień dzisiejszy ma szansę okazać się z kolei najdłuższym, bo wszystko wskazuje na to, że długo się jeszcze nie skończy” - pisała Edna Matters, aktualizując swoje notatki jak każdej nocy po zatrzymaniu samochodów.

Dzisiejsza strzelanina, czyli trzecia już, odkąd wyjechaliśmy z Baku, skończyła się bez rozstrzygnięcia. Ci, którzy nas zaatakowali, dalej kręcą się gdzieś w okolicy. IB i WC cały czas wymieniają się na wartach, żaden nie położył się na dłużej niż na krótką drzemkę. Samochody są ustawione wkoło, na tyle przynajmniej, na ile pozwala wąski wąwóz, w którym się znaleźliśmy, co upodabnia nasze obozowisko do kręgów wozów pionierskich, obleganych przez Indian. Wszyscy wpatrujemy się uważnie w strome zbocza skał pomimo szybko zapadającego mroku.

Rozejrzała się dookoła. Kiedy wyjeżdżali ze stajni hotelu, opony samochodów były białe jak śnieg. Zanim jeszcze opuścili Półwysep Apszeroński, stały się całkiem czarne od uwalanych olejem ulic, a teraz pokrywała je jeszcze gruba skorupa błota i masa zadrapań od lewarów, za pomocą których ściągano je do łatania dziur. Właśnie w tej chwili Wish Clarke reperował jedną z nich z pomocą Nellie. JDR leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu, śpiąc w najlepsze. Tego zazdrościła mu reszta ekipy - plutokrata potrafił spać w absolutnie każdych warunkach. Isaac siedział przy maximie, nieruchomy i czujny jak przyczajony kot. Pod ręką, jak zwykle, miał torbę ze swoim karabinem.

Wróciła do pisania.

Drogi są w tak oplakany stan, że momentami nie wiem, czemu w ogóle jeszcze nazywa się je drogami. Z rzadka trafiamy na solidniejsze odcinki trasy, które zdaniem IB stanowią część czterdziestoletniej rosyjskiej drogi wojskowej, wybudowanej po to, by ułatwić ujarzmienie tutejszych ludów. Co jakiś czas mijamy jakąś fortecę lub koszary, czasem opuszczone, a czasem w dalszym ciągu zajmowane przez żołnierzy, którzy nie mają najmniejszego zamiaru wyściubić nosów na zewnątrz. Czasem przejeżdżamy przez solidne, żelazne mosty, które wybudowało wojsko na co bardziej rwących rzekach. Droga biegnie zwykle równoległe do torów kolejowych, na których, jak do tej pory, nie widzieliśmy ani jednego pociągu. Napotkaliśmy za to porzucony ciąg spalonych wagonów cystern.

IB, czytający EMH przez ramię, został właśnie uświadomiony, że żadna część naszej umowy nie zabrania mi przedstawienia specjalnego wysłannika Stonea jako gnidy, jaką w istocie jest JDR, dopóki nie ujawniam, że w

rzeczywistości jest to jedna i ta sama osoba. Poza tym, gdyby IB nie był tak wyraźnie wykończony pilnowaniem naszego zdrowia i życia, co jak do tej pory wychodzi mu zachwycająco dobrze, to być może miałby dość sił, by doczytać dalej i przekonać się, że przyznają Stone'owi jedno, choć nie bez oporów - on rzeczywiście zupełnie szczerze wierzy, że wszystko, co robi, odbywa się „uczciwie, sprawiedliwie i zgodnie z zasadami”, jak lubi powtarzać. Zawdzięczam te informacje mojej siostrze Nellie, która została zmuszona prowadzić samochód ze Stoneem na pokładzie i większość czasu poświęca na pełne pasji, choć w praktyce bezowocne dyskusje z nim. Siostra Nellie uważa, i zgadzam się z nią w tej kwestii, że przyczyną sporów między nami a Stone'em jest różnica w opiniach na temat tego, jakie konkretnie zasady są przez tego ostatniego przestrzegane.

Dla przykładu, podczas dzisiejszej wymiany ognia na trasie - wpierv ze zbuntowanymi Kozakami, którzy chcieli pozbawić nas naszych pojazdów, potem z rewolucjonistami, którym bardziej zależało chyba na naszym karabinie maszynowym - „specjalny wysłannik” odszedł nagle do stojącej przy torach stacji telegraficznej. I bynajmniej nie zrobił tego, by się schować ze strachu przed walką, ale po to, by wysłać kolejną depeszę służbową do Stanów. O nie, odwagi z pewnością odmówić mu nie można - przed wyskoczeniem z samochodu oddał swój pistolet siostrze Nellie, a następnie potruchtał do celu pośród gradu kul padających z kilku stron jednocześnie.

Elastyczne podejście do zasad etyki jest dla niego równie naturalne, jak oddychanie. Po całym skandalicznym zajściu oświadczył mi wprost, bez mrugnięcia okiem, że nie złamał warunków naszej umowy, ponieważ i tak nie był w stanie nadać swojego telegramu, bo druty zostały zerwane i w związku z tym nie musi wyjawiać mi treści tej wiadomości. Dziesięciu najlepszych prawników miałoby problem z obejściem tego argumentu. A przecież właśnie dzięki tego typu kruczkom zyskał cały swój majątek. Przy okazji poinformował nas, że zanim jeszcze doszło do zerwania drutów, telegrafista otrzymał raport z Baku, gdzie nadal panują rozruchy, płoną domy i liczba zabitych wzrosła do kilkuset osób.

W tym momencie Edna usłyszała huk przypominający uderzenie gromu i poczuła silny wstrząs. Oderwała wzrok od maszyny i popatrzyła w kierunku, z którego dobiegł niepokojący odgłos, a potem rzuciła się z powrotem do pisania,

przebierając palcami po klawiszach z taką prędkością, jakby od tego zależało jej życie.

Z jednego ze wzgórz stoczył się właśnie ogromny głaz... a teraz leci kolejny. Znowu do nas strzelają. IB nie jest w stanie dostrzec napastników. Zostawił maxima i biegnie wzdłuż drogi ze swoim karabinem...

IB z krzykiem każe EMH zamknąć maszynę i schować się za naszym „mocnym jak ze stali, clevelandzkim samochodem”. EMH pisze jednak dalej, bo to z pewnością lepsze niż kulenie się ze strachu. IB wygląda, jakby był gotowy zastrzelić EMH, jeśli natychmiast nie odstawi maszyny. Ale EMH nie może przestać. Musi pisać dalej. Nie chodzi o to, że jest przerażona. Właściwie to ani trochę. Píše dalej, bo dzięki temu czuje się, wbrew jakiegokolwiek logice, kuloodporna.

Isaac wraca znad zakrętu, za którym próbował wypatrzeć atakujących nas ludzi. Biegnie w stronę maxima. Pociski rozrywają rękaw jego marynarki.

Isaac Bell uniknął kuli karabinowej i garści kamieni, odłupanych jej uderzeniem w skałę, i wskoczył do samochodu Wisha Clarke'a, by załadować świeżą taśmę amunicyjną do karabinu maszynowego. Niestety, sam Wish krył się przed strzałami za innym samochodem, raz po raz odpowiadając ogniem z własnego pistoletu. Bell sam usiadł za karabinem, przeładował i pociągnął za spust, oddając dziesięć strzałów, zanim taśma zaklinowała się o podstawę.

Bell uwolnił taśmę i wystrzelił kolejnych dziesięć pocisków w stronę zamazanego ruchu na szczycie jednego ze wzgórz. Po chwili dostrzegł tam trzech mężczyzn, podnoszących się i szykujących do strzału. Ponownie uruchomił spust, licząc na to, że zdoła ich zastrzelić, nim taśma znowu się zaklinuje. Osiem strzałów, następne dziesięć, a taśma cały czas przesuwiała się bez oporu. Udało mu się powalić napastników nieprzerwanym ogniem i dopiero gdy było już po wszystkim, przekonał się, komu to zawdzięcza. Edna Matters doskoczyła do niego kilka chwil wcześniej i podawała taśmę do karabinu równie sprawnie, jak weteran wojen z Zulusami.

– Robiąc to, narażasz życie - powiedział.

– Lepsze to, niż dać się zabić, nie robiąc nic - odparła, po czym wstała, przekonana, że potyczka dobiegła końca. Podawanie amunicji czyniło ją jeszcze bardziej kuloodporną niż pisanie. Prawie nie słyszała cichego głosiku,

podszepującego jej gdzieś z tyłu głowy, że jedyna skuteczna metoda na kuloodporność to znajdowanie się jak najdalej od miejsca, w którym strzelano.

– Uważaj! - Nagle tuż przy uchu usłyszała okrzyk detektywa. - Na ziemię! Padnij!

28.

Ogromny głaz, trzy razy większy od wcześniejszych, spadał prosto na ich samochód.

Isaac ściągnął Ednę w dół. Kamień przeleciał im tuż nad głowami i uderzył w murek zabezpieczający drogę nad urwiskiem. Rozbił mur na kawałki i poturlał się dalej po stromym zboczu. Triumfalne okrzyki rozlegające się nad nimi oznaczały, że stacza się na nich kolejny głaz.

Zeszłej nocy IB zarazem miał rację i mylił się - pisała nad ranem Edna Matters.

W powietrzu panował nieprzyjemny chłód. Wiał silny wiatr, a na niebie kłębiły się ogromne chmury kurzu. Wish Clarke siedział na stanowisku przy karabinie maszynowym, celując w szczyt rozciągającej się nad nimi skarpy. Isaac Bell wspinał się na nią, z zawieszoną u szyi lornetką i rewolwerem w dłoni. Miał nadzieję dojrzeć ze szczytu Tyflis i drogę, po której mogliby się dostać do stolicy Gruzji.

WC, pan Stone i Nellie uniknęli zmiżdżenia przez głazy, ukrywając się pod nawisem skalnym. IB i ja mieliśmy ogromne szczęście, że trzęsąc się z zimna, przetrwaliśmy tę długą, mroźną noc. Niestety, ostatni głaz zrzucony przez napastników przed nastaniem zupełnych ciemności, które uniemożliwiły im wycelowanie następnych pocisków, uderzył bezpośrednio w nasz samochód.

Zostały nam dwa peerlessy. Zdolaliśmy uratować tylko trochę wody, zanim wrak osunął się ze skarpy i zniknął, porwany przez burzliwy nurt. Razem z nim przepadła jednak cała żywność i zapas benzyny, bez której najprawdopodobniej nie zdołamy dotrzeć do Tyflisu, choć wydaje się nam, że miasto jest już bardzo

blisko, tuż za pasmem wzgórz. Niestety, pobłądziwszy wczoraj, znaleźliśmy się po niewłaściwej jego stronie.

W pewnym sensie mamy jednak szczęście, jak mawia detektyw WC, bo wygląda na to, że zbuntowani Kozacy czy też socjaldemokratyczni rewolucjoniści zostali ostatecznie rozgromieni. Nie mamy co do tego całkowitej pewności, bo gdy przestały spadać na nas ogromne kamienie i ustały strzały, zapadła noc i zrobiło się ciemno jak w kopalni węgla. Mam natomiast absolutną pewność, że nie jestem pierwszym przedstawicielem cywilizowanego świata, który może z przekonaniem powiedzieć: „Bogu dzięki za maxima”.

Dziękuję też IB, WC i Nellie, która nie zgodziła się oddać panu Stoneowi pistoletu. Podczas przygotowywania pozostałych nam samochodów do dalszej drogi IB przeczytał mi przez ramię ten tekst i zażądał wprowadzenia zmian. Kazał również dopisać to, co następuje, a co wprawia mnie, osobę bardzo skromną, w ogromne zakłopotanie. Jego zdaniem EMH jest niezawodnym ładowniczym, dzięki któremu mógł wykorzystać pełne możliwości naszego karabinu maszynowego.

Następnie IB kazał zmienić słowo „niezawodny” na „wyśmienity”. Czyżby zamierzał przekwalifikować się na redaktora? Na jego usprawiedliwienie muszę jednak dodać, że po ostatnich wydarzeniach biedak ledwie trzyma się na nogach.

Moja siostra Nellie jest w nim zakochana po uszy.

Edna Matters wpatrywała się w ostatnią stronę.

Kto to napisał? Wydawało jej się, że sama maszyna.

Obejrzała się za siebie. Isaac wspinał się już na szczyt wzgórza. Nagle zatrzymał się, widocznie coś przykuło jego uwagę. Wróciła do tekstu i zaczęła stukać powoli w klawisze.

Niełatwo jest odgadnąć myśli Nellie. Zwykle ukrywa wszystko za promiennym uśmiechem i roziskrzonymi oczami. Ale w tym przypadku nie mam wątpliwości, że kocha się na zabój w IB.

W związku z tym jestem w rozterce, bo ja też się w nim zakochałam. Zaczęło się tej nocy w Nowym Jorku, kiedy pomagał mi w rozwiązaniu innego dylematu. To by chyba znaczyło, że zakochałam się pierwsza... Ale kwestia pierwszeństwa

nie ma tu żadnego znaczenia. Mój drogi Isaac też coś do niej czuje. Sam chyba jeszcze o tym nie wie, lecz ja to widzę. Może to nie miłość, może tylko zauroczenie, ale jak większość mężczyzn zapewne nie potrafi dostrzec różnicy...

Przerwała pisanie i nadstawiła uszu. Ktoś coś krzychał ze szczytu łamaną angielszczyzną.

– Machają białą flagą! - zawołał Isaac Bell z góry do Wisha Clarke'a.

Wyglądało to jak brudna koszula, przywiązana rękawami do lufy karabinu. Wymachujący nią człowiek wychynął ostrożnie zza osłony, a Bell natychmiast rozpoznał falę czarnych, zaczesanych do góry włosów. To był Josef, gruziński kierowca, z którym zapoznał się w Baku, uważany przez pozostałych kolegów po fachu za szpicla na usługach tajnej policji.

– Co on krzyczy? - zapytał Wish.

Isaac Bell wysilił słuch.

– Dajcie karabin, to was puścimy.

Wysoki detektyw zbiegł na dół do Wisha, siedzącego w pierwszym samochodzie.

– Chcą naszego maxima.

– Na ich miejscu też bym chciał. - Drugi z detektywów nie okazał zdziwienia.

– Niech go sobie biorą - stwierdził Bell.

– Co takiego?

– W zamian za to zagwarantujemy sobie rozejm i wskazówki, jak dotrzeć do Tyflisu.

– Zabiją nas - powiedział Rockefeller.

– Nie można tego wykluczyć - przyznał Bell, spoglądając na Wisha.

– Spróbuj z nimi porozmawiać - zaproponował Clarke. - Ja przygotuję karabin do drogi.

Bell przyłożył dłonie do ust i krzyknął, powoli i wyraźnie wypowiadając słowa.

– Niech twoi towarzysze wyjdą z ukrycia, byśmy mogli ich zobaczyć. Wszystkich.

Josef zawołał coś przez ramię.

Dwunastu ludzi pojawiło się krawędzi skarpy i zaczęło schodzić w dół. Mieli na sobie robocze ubrania, a na twarzach wyraz zaciętej pewności siebie. Bell dostrzegł tylko trzy karabiny, reszta była uzbrojona w pistolety. Po zejściu na drogę rozsypali się w tyralierę, jak dobrze wyszkolone wojsko, i szerokim łukiem zaczęli iść w stronę samochodów.

– Wystarczy, bliżej nie podchodźcie - zakomenderował Bell, gdy zostało im jeszcze piętnaście metrów.

– Zachowujesz się podejrzanie - zauważył Josef.

– Zwykle tak reaguję wobec ludzi, którzy rzucają we mnie ogromnymi głazami.

– Nie my. To Kozacy. Przegналиśmy ich.

– My wcześniej też.

Z nabytego doświadczenia wiedział już, że odparcie ataku dobrze uzbrojonych Kozaków nie było łatwym zadaniem. Jeśli podejrzania innych kierowców co do Josefa były słuszne, to jako agent Ochrony z pewnością byłby w stanie nakazać Kozakom opuszczenie rejonu lub, jeśli byli to buntownicy, wezwać okoliczne oddziały wojskowe do ich odparcia. Poza tym jakim cudem akurat on znalazł ich na tym pustkowiu? I skąd wiedział, że mają karabin maszynowy?

– Kim jesteś, Josef? Kim są ci ludzie?

– Socjalistami.

– Czy ta partia nie jest aby nielegalna?

Josef uśmiechnął się równie radośnie jak podczas jazdy do rafinerii.

– Dlatego potrzebny nam karabin.

– Jesteś ich dowódcą?

– Nie, nie. Chcą, żebym tłumaczył.

– Ale przed momentem mówiłeś w imieniu wszystkich.

– Pomyłka w tłumaczeniu.

– Przetłumacz im to: poprowadzicie nas do Tyflisu. Kiedy zobaczymy miasto na własne oczy, oddamy wam karabin.

– Tyflis niebezpieczne. Duże rozruchy.

– Pogromy?

– Polityczne. Generał książę Amilachwari nie żyje. Okropny Rosjanin. Uciskał cały Kaukaz. Rosjanie przysyłają popów, by się modlili. Ludzie protestują. Demokraci protestują. Policja strzela do demokratów.

– Chcesz nasz karabin, żeby walczyć z policją?

– Nie wasza sprawa. - Josef przestał się uśmiechać.

– Jeśli on jest tylko tłumaczem - mruknął John D. Rockefeller - to ja jestem ciotka Olimpia.

* * *

Socjaliści szli pieszo na czele. Bell prowadził pierwszy samochód, a Wish siedział przy karabinie, nie spuszczać przewodników z oka. Rockefeller, Edna i Nellie jechali z tyłu drugim samochodem. Cały czas wiał silny wiatr, szarpiąc nimi i wzbijając tumany kurzu, a słońce prażyło coraz mocniej.

Wspinali się stromą drogą pod górę. Gdy dotarli w końcu na rozległy płaskowyż - brunatny, spieczony słońcem step bez śladu roślinności - napotkali porzucone najwyraźniej przez bojowników dwa lekkie powozy, zaprzężone w konie. Piechurzy załadowali się na nie i ruszyli w dalszą drogę po równej, piaszczystej ścieżce.

Gdy ujechali około sześciu kilometrów, natknęli się na pozostałości jakichś prac drogowych: sprzęt geodezyjny i wstępne wykopy pod ulice, jakby ten teren był przygotowywany do rozbudowy.

Nagle płaskowyż skończył się stromym urwiskiem.

W dole, trzysta metrów pod nimi, leżało miasto Tyflis.

Bell od razu dostrzegł, że było to starożytne miasto, rozbudowane w czasach współczesnych. Tuż nad rzeką znajdowała się starówka, z kościelnymi wieżami, kopułami katedry i wąskimi, krętymi uliczkami. Na niewielkim wzniesieniu stała zrujnowana, niestrzeżona już przez nikogo forteca ze zdezelowanymi przybudówkami. W korycie rzeki pracowały młyny wodne.

Wokół centrum rozciągało się nowe miasto, o prostopadłych, precyzyjnie wymierzonych ulicach. Uwagę Bella przykuły kłęby dymu, rozchodzące się ponad sporym, odkrytym placem w centrum starówki. Tam właśnie znajdował się dworzec kolejowy, na którym nocowali dwa tygodnie temu, gdy jechali do Baku.

Za dworcem rozgałęziały się liczne bocznicę, a na każdej z nich stał długi pociąg z czarnymi cysternami. Bell przyjrzał się im przez lornetkę. Nie dostrzegł żadnych zniszczeń, niczego, co przypominałoby koszmar, jaki zostawili za sobą na wschodzie. Unoszący się nad stacją dym pochodził wyłącznie z kominów lokomotyw.

– Cały czas jeżdżą tu pociągi.

– Jak zejdziemy na dół?

– Dobre pytanie.

Odpowiedź zauważyli równie szybko i niespodziewanie, jak nagły kres płaskowyzu. Nellie była zachwycona panoramą miasta. Taki widok normalnie mogłaby ujrzeć wyłącznie z gondoli balonu. Jej śliczna twarz rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy dostrzegła drogę do miasta.

– Kolej linowa! - zawołała radośnie.

Dwa stanowiące dla siebie przeciwwagę wagony, na tyle obszerne, by pomieścić aż pięćdziesiąt osób, i zamocowane na mocnej linii, posuwały się w górę i w dół stromo opadających torów, ciągnących się ze szczytu góry, którą właśnie minęli, do miasta. W połowie trasy tory rozchodziły się, tworząc mijankę.

– Kilka stopni nachylenia więcej i byłyby to raczej winda niż kolejka linowa - stwierdził Wish Clarke.

Josef zeskoczył z powozu i podszedł do nich różnym krokiem, wpatrując się chciwie w maxima. Wish nie zdejmował palca ze spustu.

– Josef, każ swoim ludziom ułożyć swoją broń przy tym kamieniu - polecił mu Isaac Bell.

Mężczyzna zaczął protestować, ale Bell przerwał mu w pół słowa:

– Maxim zostaje z nami, dopóki nie odłożycie broni, a my nie odjedziemy kolejką.

Wish Clarke uniósł w lewej ręce pojemnik z wodą i dodał przyjaznym tonem:

– Napełniliśmy chłodnicę świeżą wodą, a tu macie trochę na zapas. - Pociągnął łyk z pojemnika i otarł usta wierzchem dłoni. - Pamiętajcie, żeby dolewać wody co kilkaset strzałów, by uniknąć przegrzania i stopienia lufy.

– My znający broń.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Wish wyszedł na drogę, wyciągnął ciężki karabin z samochodu i ułożył go na ziemi. Owinął wokół lufy ostatnią taśmę amunicyjną, a następnie wrócił za kółko i ruszył w ślad za samochodem Nellie.

Bell obserwował rewolucjonistów z savage'em gotowym do strzału. Nim dojechali do kolejki, ludzie Josefa dorwali maxima, załadowali go na jeden z wozów i popędzili konie.

* * *

– Co za luksus! - zachwycał się Wish. - Można będzie po prostu kupić bilet, zamiast przedzierać się przez dzikie rejony Azerbejdżanu i wschodniej Gruzji czy błąkać się po bezdrożach Armenii.

Isaac Bell liczył już na zakup kolejnych biletów: na pociąg do Batumi, parowiec do Konstantynopola i Orient Express do Paryża. A na samym końcu - liniowiec do domu.

Na górną stację wdrapał się wagon kolejki linowo-terenowej. Wysiadła z niego garstka turystów. Przyglądali się szeroko otwartymi oczami wymęczonym podróżnikom w zakurzonych, wymiętych ubraniach, wsiadającym do wagonu, by zjechać do miasta. Bell rozsadził towarzyszy w wagonie i zamknął za nimi drzwi. Siedzenia ustawione były pod kątem, by zachować poziom w stosunku do stromizny zbocza.

Wagon ruszył w dół skarpy.

– Isaac! - krzyknęła Nellie, chwytając detektywa za rękę i wskazując przez okno na jałowy krajobraz. Jej młode oczy wypatrzyły powozy Josefa, zjeżdżające ostrożnie w dół po wyboistej drodze, niecały kilometr od nich.

– Pożałujecie jeszcze, że oddaliście im karabin - stwierdził Rockefeller.

– Nie oddaliśmy go, tylko przehandlowaliśmy - poprawił go Wish.

W sześć minut pokonali niecałe trzysta metrów do dolnej stacji.

Przy stacji zatrzymywał się tramwaj elektryczny, którym przejechali przez stare miasto do leżącego w samym centrum ogromnego placu Erywańskiego, który Bell oglądał wcześniej ze skrajów płaskowyzu. Gdy tylko wysiedli, detektyw wyczuł wyraźną atmosferę napięcia, wiszącą pośród tutejszych nowoczesnych sklepów, budynków rządowych i wielkiego rosyjskiego banku. Mieszkańcy chodzili szybkim krokiem, trzymając głowy nisko i unikając

kontaktu wzrokowego z innymi. Zauważało się również wielu policjantów i żołnierzy.

– Im szybciej się stąd zabierzemy, tym lepiej - powiedział Wish.

Rockefeller natychmiast skierował się do pobliskiej stacji telegraficznej.

– Muszę nadać depeszę.

– Może pan to zrobić z dworca.

Znaleźli inny tramwaj, którym przejechali na drugi brzeg rzeki do nowszej części miasta i wysiedli przy głównej stacji kolejowej.

* * *

Halę dworcową wypełniał tłum przyjeżdżających i odjeżdżających Gruzinów, Ormian i Rosjan.

Rockefeller wypatrzył punkt telegraficzny i ruszył w jego stronę, przedzierając się pośród podróżnych z łatwością, z jaką krążownik przepływał przez morskie fale.

– Miej na niego oko, Wish - polecił Bell. - My pójdziemy do kasy biletowej.

Kolejka była niezwykle długa. Ludzie chcący kupić bilety mówili podniesionymi głosami i gestykulowali żywo. Sprzedawcy biletów odpowiadali im równie głośno, potrząsając pięściami.

– Pięć biletów w jedną stronę do Batumi.

– Brak pociągów.

– Jak to brak pociągów? Na bocznicach stoi kilkanaście lokomotyw!

– Brak pociągów pasażerskich.

Bell trzymał już przygotowaną kwotę w ręce. Położył pieniądze na ladzie. Sprzedawca obliznął usta na widok równowartości swojej miesięcznej pensji.

– Idźcie do biura rezerwacji i poproście o Dmitrija Jermakowa. Powiedźcie mu, że to ja was przysłałem. Ale będziecie musieli zapłacić.

Biuro rezerwacji znajdowało się obok punktu telegraficznego, przy którym stał sumienny Wish.

– Jeszcze nadaje - poinformował Bella.

– Będziemy tuż obok.

Dmitrij Jermakow kazał im czekać dwadzieścia minut, w ciągu których przez jego gabinet przewinęły się dziesiątki osób. Wreszcie poproszono do środka Bella. W wyciągniętej na powitanie dłoni miał trzy razy większą kwotę niż ta zaoferowana sprzedawcy biletów.

– Potrzebuję pięciu biletów do Batumi.

– Niestety, proszę pana, aktualnie na tej trasie nie kursują żadne pociągi pasażerskie. Tylko pociągi naftowe - odparł mężczyzna, chowając pieniądze skrzętnie do kieszeni.

– Chyba jednak jakiś się znajdzie. Inaczej nie marnowałby pan mojego czasu.

– Gdy zaczęto obawiać się wybuchu rozruchów w Baku, wysłano stamtąd wiele pociągów z ropą.

W efekcie, jak wyjaśnił kierownik sprzedaży Jermakow, do Batumi wyruszyło o wiele więcej ropy niż rafinerie w Batumi były w stanie przechować, przez co większa część pociągów została zatrzymana w Tyflis. Niedługo później rewolucjoniści zablokowali rurociąg i nagle w rafineriach i portach zaczęło brakować ropy.

– Od tej pory na zachód jeżdżą wyłącznie pociągi naftowe. Ale akurat jutro odjeżdża pociąg specjalny. Przyjdźcie jutro. Z papierami.

– Jakimi papierami?

– Potrzebna specjalna przepustka. Rządowa wiza kolejowa.

– Gdzie mogę ją otrzymać?

– U mojego wysoko postawionego przyjaciela, Feltsmana. To Rosjanin. Trzeba mu będzie zapłacić.

– Gdzie znajdę tego Feltsmana?

– W budynku rządowym przy placu Erywańskim.

– W którym budynku?

– Tym obok Państwowego Banku Imperium Rosyjskiego.

Isaac Bell wstał, wyprostował się na całą swoją onieśmiałającą wysokość i popatrzył na rosyjskiego kolejarza z góry. Odchylił też nieznacznie poły marynarki, by ukazać zawieszony pod pachą rewolwer.

– Jeśli nie znajdę tego budynku... albo pana Feltsmana... to nie zapomnę raczej, gdzie mogę znaleźć pana. Czy nie ma mi pan zatem jeszcze czegoś do powiedzenia, nim odjadę na plac Erywański?

– Tak sobie myślę - powiedział pośpiesznie mężczyzna, sięgając do stojącego na biurku telefonu - że najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do Feltsmana i zapowiem pana przybycie. Dzięki temu nie miną się panowie, gdyby akurat zachciało mu się wyjść na obiad.

– Bardzo roztropnie z pana strony - pochwalił Bell. Począł, aż Jermakow skończy mówić do słuchawki, po czym wyszedł z jego gabinetu o wiele bardziej pewny, że uda mu się zdobyć dokumenty. Pewność ta nie rozciągała się jednak na sam pociąg specjalny z uwagi na narastający w regionie chaos.

* * *

– Stójcie! - zawołał nagle Bell.

Przed momentem wysiedli z tramwaju i zmierzali właśnie przez tłumny plac Erywański do budynku obok Państwowego Banku Imperium Rosyjskiego, kiedy wśród dziesiątków ludzi wysoki detektyw wypatrzył czarne, zaczesane do tyłu włosy rewolucjonisty Josefa.

– Czy facet czający się na przystanku to ten, co myślę? - spytał Wish.

– To Josef.

Mężczyzna rzucił ukradkowe spojrzenie przez ramię, dzięki czemu mogli się ostatecznie przekonać, że dobrze go rozpoznali, po czym wbiegł do tramwaju odjeżdżającego w kierunku dworca.

– Co on knuje? - zastanawiał się głośno Wish.

Rockefeller maszerował już prosto do punktu telegraficznego.

– Zatrzymaj go, Wish!

Wish chwycił milionera za ramię.

– Co się dzieje? Co to ma znaczyć?

– Niech pan zaczeka moment - powiedział Wish. - Dzieje się tu coś niedobrego... Co jest, Isaac?

Bell dostrzegł w tłumie trzech czy czterech robotników, których chyba widział już wcześniej w oddziale Josefa. W pełni świadomy, że opiera się w tej chwili bardziej na przecuciu niż zmyśle wzroku, popatrzył na dachy

otaczających plac budynków. Przeczuwał, że za moment stanie się coś bardzo niedobrego, jakby każdy na placu miał za moment przestać oddychać.

Nagle na plac wjechały z łośkotem dwa ogromne powozy, otoczone z obu stron przez uzbrojonych w lance i karabiny Kozaków na koniach. Wozy były wielkie, ale poruszały się niezwykle szybko na wysokich kołach, każdy ciągnięty przez dziesięć koni. Powożący nimi potężni mężczyźni, ważący na oko po sto pięćdziesiąt kilo każdy, ściągnęli ostro lejce i kawalkada zatrzymała się z łośkotem tuż przed misternie dekorowaną, kamienną fasadą Państwowego Banku Imperium Rosyjskiego.

Bell przywołał Wisha bliżej błyskawicznym gestem. Obaj zaczęli przesuwać się do tyłu, osłaniając pozostałą trójkę.

Kozacy wyglądali niezwykle groźnie, dlatego pozostali ludzie na placu również zaczęli się oddalać. Ale robotnicy, których Bell zauważył wcześniej, kierowali się właśnie w stronę powozów. Było ich więcej, niż sądził, wszyscy w strojach roboczych. Znow popatrzył w górę. Teraz widać już było ludzi przyczajonych na dachach.

– Isaac! - syknął Wish.

– Tak, widzę ich - potwierdził Bell. - To napad na bank.

29.

– Redystrybucja to podstawowe pojęcie w słowniku każdego szanującego się rewolucjonisty - stwierdził Wish Clarke.

– Chcą obrabować bank! - uniósł się Rockefeller. - Musimy zawiadomić policję... panie władzo! - Skierował się w stronę stojącego najbliżej Kozaka.

– Nie! - warknął Bell, zastawiając mu drogę i łapiąc go za uniesioną dłoń. - Jest ich ponad dwudziestu, otoczyli plac i siedzą też na dachach. Policja nic tu nie wskóra, co najwyżej spowoduje tylko prawdziwą masakrę.

– Trzeba było nie oddawać im tego karabinu.

– To chyba rzeczywiście nie był najlepszy pomysł - przyznał szczerze Wish.

– O wilku mowa... - mruknął Bell.

Bell wyciągnął zza pazuchy broń i pokierował Ednę, Nellie i Rockefellera w najbliższą wychodzącą z placu uliczkę. Wish pobiegł przodem, torując im drogę pośród uciekających tłumnie ludzi.

– Oto i on.

Na plac wjechał zaprzężony w dwa konie powóz.

Przy karabinie siedział strzelec i ładowniczy. Ustawili ciężką podstawę sokołowa na wysokim siedzisku z tyłu, zwykle zajmowanym przez woźnicę, który w tym przypadku przesiadł się na przód.

Strzelec pociągnął za spust, czemu towarzyszył ogłuszający wręcz huk.

Strzelając nad głowami powożącego i koni, starał się celować w wóz bankowy. Na dźwięk wystrzałów, odbijany ze zwielokrotnieniem od ścian pobliskich budynków, postronni obserwatorzy rzucili się do tym bardziej panicznej ucieczki. Konie Kozaków popędziły galopem, krzesząc na bruku iskry spod podkutych kopyt.

Powóz zakręcił ostro, zewnętrznymi kołami odrywając się od ziemi. Bell liczył w duchu na to, że pod wpływem ciężkiego karabinu i tak niezbyt stabilny z natury pojazd wywróci się, ale w mgnieniu oka koła wróciły na grunt i powóz popędził dalej.

Z jednego z dachów rzucono bombę z płonącym lontem. Wybuchła w powietrzu z oślepiającym błyskiem i przeraźliwym wizgiem, co ostatecznie wyprowadziło z równowagi kozackie konie. Rozbiegły się na wszystkie strony, unosząc jeźdźców ze sobą i nie zwracając uwagi na żadne komendy czy manewry. Z góry spadła kolejna bomba. Dotarła do brukowanej ulicy i potoczyła się dokładnie pod pierwszy wóz z pieniędzmi. Eksplozja rozerwała drzwi pojazdu.

Kobiety, mężczyźni i zwierzęta przekrzykiwali się wzajemnie.

Rewolucjoniści skoczyli w sam środek tego chaosu. Strzelając przed siebie, biegli do powozu. Najszybszy wskoczył do środka i rzucił pierwszą torbę z pieniędzmi kolegom. Karabin maszynowy nie przestawał pluć amunicją.

Powóz podskakiwał i chybotał się, a obsługujący maxima bojownicy zachowywali jako taką równowagę wyłącznie dzięki trzymaniu się kurczowo potężnej broni. Pociski przeznaczone dla wozów bankowych poleciały w stronę dachów. W końcu woźnica zdołał zapanować nad końmi i skłonił je do zatrzymania się. Nie przerywając strzelania - karabin strzelał bezustannie, odkąd

tylko pojawił się na placu - celowniczy skierował lufę niżej. Pędzący ołów pokieroszował kamienną ścianę budynku.

W następnej chwili maxim eksplodował z powalającym hukiem. Cały powóz obrócił się w wielką kulę ognia.

– O cholera - powiedział z uśmiechem Wish Clarke.

Płomienie błyskawicznie oplotły Strzelca, ładowniczego, woźnicę i sam powóz. Konie rzuciły się do ucieczki. Płonący powóz przejechał pędem po placu, nim nareszcie przewrócił się na bok. Zwierzęta zerwały zaprzęg i odbiegły galopem w siną dal.

– Co to było? - zapytał Rockefeller, przekrzykując panującą wokół kakofonię.

– Karabin wybuchł - poinformował rzeczowo Wish Clarke i pokręcił głową z udawanym niedowierzaniem. - Lekarze uprzedzali mnie, że nadmiar gorzałki może powodować problemy z pamięcią. Z przykrością muszę przyznać im rację, bo najwyraźniej uzupełniając zapas wody w chłodnicy maxima, pomyliłem pojemniki z wodą i z benzyną.

– Na stację! - zawołał Bell. - Natychmiast!

– Ale przecież pociąg pasażerski będzie dopiero jutro - zdziwił się Rockefeller.

Bell chwycił go za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy.

– Rewolucjoniści przed momentem napadli na rosyjski bank. Ranili rosyjskich żołnierzy i uciekli bez większego szwanku. Lada moment władze otoczą miasto kordonem i nie wypuszczą stąd nikogo, dopóki zbrodniarze nie zostaną schwytani.

– Ale nasz pociąg...

– Pojedziemy innym pociągiem.

* * *

– Nigdy, ale to absolutnie nigdy nie skaczcie na tył odjeżdżającego wagonu - poinstruował Isaac Bell. - Wyłącznie na przednią część.

– Dlaczego?

Leżeli na nasypie kolejowym tuż przy torach, około dwóch kilometrów od stacji w Tyflisie, czekając na najbliższy pociąg naftowy. Bell wybrał to miejsce,

bo tory skręcały tu dość ostro, dzięki czemu mogli liczyć na to, że przez kilka chwil będą poza zasięgiem wzroku zarówno maszynisty i palacza z lokomotywy, jak i hamulcowego z brankardu. Za nimi w morderczym słońcu prażyło się niewielkie osiedle z kilkoma fabrykami i domostwami robotników. Jak do tej pory nikt z okolicznych mieszkańców się nimi nie zainteresował. Ale na pewno w końcu się to zmieni, w miarę rozwoju akcji policji, otaczającej kordonem coraz szerszy obszar wokół placu Erywańskiego.

– Jeśli powinie ci się noga przy skoku na przód wagonu, to uderzysz tylko w jego bok - wyjaśnił Bell. - Jeśli natomiast pomylisz się przy skoku na tył, wpadniesz prosto pod koła następnego wagonu i zostaniesz przejechany.

– Będę miała to na uwadze - zapewniła Nellie.

– Nellie i Edna, wy skaczecie pierwsze. Będziecie musiały poradzić sobie same, bo my z Wishem musimy przypilnować najstarszego członka drużyny. Jeśli któryś z was się nie uda, druga ma wyskoczyć z wagonu z powrotem. Musimy trzymać się razem. Nie będziemy nawet próbować skakać, dopóki nie upewnimy się, że jesteście całe i zdrowe na pokładzie. Masz jeszcze pistolet Wisha, Nellie?

– Tak.

– A ty Edna masz mojego derringera?

Edna dla potwierdzenia poklepała się po kieszeni.

– Ta trasa wygląda na dobrze utrzymaną, więc hamulcowi będą pewnie robili obchód przy każdym postoju, by sprawdzić wagony i węże ciśnieniowe. Lokomotywy, z tego co widziałem, to nowoczesne, dziesięciokołowe baldwiny opalane ropą. Muszą uzupełniać wodę co sto sześćdziesiąt kilometrów, a paliwo co trzysta. Będą też musieli zatrzymać się w górach, by doczepić lokomotywy pchające. Przy każdym postoju musicie się dobrze ukryć.

Znad krawędzi zakrętu podbiegł do nich Wish.

– Jedzie pociąg!

* * *

Lokomotywa ciągnąca dostawę ropy naftowej do Batumi weszła w zakręt, roztaczając nad sobą gęstą chmurę czarnego dymu. Widać było, że jest opalana ropą - żaden szanujący się palacz nie dopuściłby, by z jego komina wydobywał się podobnie paskudny swąd. Najnowszy, dziesięciokołowy model,

wyprodukowany w Pensylwanii, okazał się do tego stopnia niezawodny, że zbliżał się w ich stronę o wiele szybciej, niż przewidywał Bell, i o wiele za szybko jak na pierwszą próbę skoku dla skrajnie nieprzygotowanych do tego nowicjuszy, o których życie i zdrowie przyszło mu się teraz troszczyć. Nie mogli jednak liczyć na to, że zdążą złapać kolejny pociąg, nim służby porządkowe zaczną przeczesywać nawet pociągi naftowe w poszukiwaniu zbiegłych rabusiów.

Masywna lokomotywa mijала już ich kryjówkę na nasypie, przyśpieszając jeszcze na moment, dzięki chwilowej bezwładności trzydziestu wyładowanych po brzegi ropą wagonów, ważących blisko osiemset ton. Zaraz po niej pojawił się pierwszy wagon, na którym spoczywał poziomo długi, cylindryczny zbiornik o pojemności sześciu tysięcy galonów. Bell wskazał pozostałym wnętrki w miejscach, gdzie zbiornik był przymocowany do platformy, i krzyknął poprzez zgrzyt kół:

– Schowajcie się za tymi podporami, żeby nikt was nie wypatrzył.

Popatrzył w oczy Edny, które wyrażały rozsądną mieszankę strachu i zdecydowania. Po Nellie z kolei nie było widać cienia strachu. Gdy przeniósł uwagę na Rockefellera, chcąc ocenić w myślach szanse leciwego już milionera przy skoku, ten odezwał się pewnym głosem:

– Mam nadzieję, panie Bell, że zadba pan o to, bym mógł kiedyś opowiedzieć tę historię niedowierzającym prawnikom.

Lokomotywa zniknęła im z oczu za zakrętem.

– Teraz! - krzyknął Bell do Edny.

30.

Edna Matters zaczęła wspinać się na skraj nasypu. Nellie ruszyła za nią, wyprzedziła siostrę i pomogła jej wejść na górę. Chwyciły się za ręce i zaczęły biec wzdłuż podkładów obok jadącego pociągu.

Isaac Bell złapał Rockefellera za rękę.

– Wish i ja będziemy pana pilnować. Proszę robić dokładnie to, co panu powiemy.

Obaj detektywi unieśli wspólnie stukilogramowego milionera i wciągnęli go na szczyt nasypu.

Nellie Matters wskoczyła na platformę zwinnie i bez większych trudności. Chwyciła się podpórki osłaniającej zbiornik i drugą rękę wyciągnęła w stronę skaczącej za nią Edny. Druga z nich potknęła się i zawisła na ręce siostry, rozpaczliwie starając się odbić od torowiska. W końcu oparła się na jednej nodze i odbiła ponownie. Bell dostrzegł wypadający jej w tym momencie z kieszeni pistolet, który poszybował prosto pod koła pociągu.

Nellie krzyknęła z wysiłku i wciągnęła Ednę na platformę. Obie wcisnęły się pod zawieszenie zbiornika, znikając detektywom z oczu, co stanowiło dla nich sygnał, że mogą zaczynać.

Wish miał obie ręce w pełni sprawne, więc skoczył pierwszy.

* * *

Kiedy pociąg zjechał z ostatniej górskiej przełęczy do stacji serwisowej, gdzie odcepiono wagon pchający, Bell zaczynał już dochodzić do wniosku, że los będzie im sprzyjał aż do samego Batumi, ale właśnie w tym momencie hamulcowy zaczął okrążyć ich wagon powoli, z jasno świecącą latarnią. Wszyscy przenieśli się do tego samego wagonu, przedostatniego przed wagonem serwisowym. Nagle kolejarz zatrzymał się z krzykiem i zaczął deptać w panice ziemię. Gdy przestał, pochylił się zasapany i uniósł w okrytej rękawiczką dłoni martwego węża. Kiedy odrzucał go z odrazą, jego latarnia zaświeciła prosto w twarz Johna D. Rockefellera.

Dłonie Isaaca Bella i Wisha Clarka wystrzeliły w kierunku mężczyzny jednocześnie. Obaj trzymali w nich na przemian pistolet i pieniądze.

Hamulcowy zamrugął z niedowierzaniem. Sekundę później ściągał już swoją rękawiczkę, by porwać pieniądze, po czym zniknął gdzieś w mroku.

Wish nie wypuszczał broni z rąk.

– Myślisz, że tu wróci?

– Jeśli jest uczciwy, to nie - odpowiedział Bell, również trzymając rewolwer w pogotowiu. Czekali, nasłuchując odgłosu kroków hamulcowego, prowadzącego za sobą strażników kolei, i modląc się w duchu, by pociąg już ruszył. Lokomotywa zagwizdała, po czym zaczęła parskać. Ruszyli. Łączniki zastukały o siebie, w miarę jak kolejne wagony nabierały prędkości. Nagle usłyszeli, że ktoś zbliża się do nich pomimo odjazdu.

Obok ich wagonu truchtał hamulcowy, szukając ich wzrokiem. Kiedy ich dostrzegł, na jego ustach pojawił się uśmiech pełen satysfakcji. Miał coś pod pachą i rzucił to w ich kierunku. Pakunek podrygiwał, jakby było w nim coś żywego. Przez chwilę Bell bał się, że podrzucił im jakieś zwierzę albo dziecko. Wish Clarke od razu poznał, co to jest, i przytulił zawiniątko do piersi.

– *Gracias, amigo!*- zawołał w ślad za Gruzinem, po czym wyciągnął tajemniczy przedmiot w stronę pozostałych. - To bukłak.

Zostawiwszy w tyle góry, pociąg pędził na zachód. Zatrzymał się już tylko raz po wodę i paliwo. Niebawem obudził ich nowy, słoneczny dzień. W powietrzu pojawiła się wilgoć, zwiastująca rychły przyjazd do delty rzeki, wokół której wybudowano port batumski. Wish podał bukłak, który zdążył już w lwiej części samodzielnie opróżnić, Rockefellerowi.

– Siorbnie pan?

– Nie piję.

– A zasmakowałyby panu - stwierdził Wish. - Zaimpregnowali je naftą. Wino nabrało smaku ropy.

Bell wychylił się z wagonu, by rozejrzeć się po okolicy. Przed jego oczami rozciągało się Morze Czarne.

* * *

Parowiec do Konstantynopola zagwizdał właśnie, gdy Bell popędzał resztę swoich towarzyszy, wysiadających z powozów.

– Ojciec! - zawołała Nellie.

Istotnie, na pomoście stał Bill Matters i kierował się na pokład. Na widok córek jego ponura twarz rozpromieniła się momentalnie. Porwał je obie w swoje szerokie ramiona, w których znów wyglądały jak małe dziewczynki.

– Jak panu poszło w Moskwie? - powitał go pytaniem Rockefeller.

Matters natychmiast spoważniał.

– Radziłem sobie całkiem nieźle aż do momentu, kiedy nagle przestali ze mną rozmawiać. Pewnego dnia po prostu odmówili mi dalszych spotkań. Nacisnąłem na jednego z wyższych urzędników, który dobrze już się na mnie dorobił. Powiedział, że się zdenerwowali. Stwierdzili, że zostali zdradzeni - przez pana, panie Rockefeller.

- W jaki sposób?
- Tego się już nie dowiedziałem. A pan nic nie podejrzewa?
- Ani trochę.
- Co pan zrobił?
- Nic. Naprawdę nie rozumiesz? Zwyczajnie powiedzieli cokolwiek, żebyś dał im spokój.
- Rzeczywiście, nie rozumiem.
- Poddałeś się. Zbyt szybko wyjechałeś z Moskwy.
- Czy chce pan, żebym tam wrócił?
- Poczekamy, aż uporają się z aktualnymi kłopotami. Teraz wracajmy do domu.

31.

W Budapeszcie Isaac Bell zrobił niespodziankę swym towarzyszom i, jak miał nadzieję, zabójcy, o ile w dalszym ciągu podążał ich tropem. Kupił potajemnie bilety na świeżo uruchomioną trasę Orient Expressu do Berlina.

– Berlin? Nadłożymy sporo drogi do Paryża - poskarżył się Rockefeller, który ponownie postanowił nieść swoje bagaże, by oszczędzić na europejskich taryfach przewozowych.

Bell odebrał od niego najcięższe torby.

– Nie jedziemy do Paryża. Z Berlina przesiądziemy się na pociąg do Bremy, skąd odpłyniemy na pokładzie statku „Kaiser Wilhelm II”.

– To brzmi już o wiele bardziej rozsądnie - przyznał udobruchany milioner. Niemiecki liniowiec otrzymał Błękitną Wstęgę Atlantyku za pokonanie trasy do Ameryki w najkrótszym czasie.

* * *

Pociąg do Bremy wyruszył z niemieckiej stolicy w poniedziałek w nocy. Rozpędzał się na przedmieściach i gnał do celu z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Isaac Bell, Wish Clarke, Edna i Nellie Matters oraz John D. Rockefeller usiedli wspólnie w jadalni, która zajmowała przednią połowę wagonu widokowego. Przeglądali karty dań i gawędzili z nutą tęsknoty o czekającym ich już niebawem powrocie do amerykańskiej kuchni, gdy do sali wpadł nagle Bill Matters. Przymaszerował ciężkim krokiem pośród foteli dla gości i stanął tuż przy ich stole. W jego oczach płonął ogień, szczęki ścisnęły się kurczowo.

Bell zauważył, że w dłoni mnie żółty telegram.

– Ojcie! - ucieszyła się Nellie. - Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie zniknąłeś.

– Wszystko w porządku? - zapytała Edna.

Matters zignorował je obie.

– Musimy porozmawiać, panie Rockefeller - powiedział, po czym dodał trochę ciszej: - Na osobności.

– Już trochę za późno na rozmowy o pracy. Czy nie wolałby pan dosiąść się do nas i zjeść kolację?

– Jest jeszcze dość wcześnie, by porozmawiać o samochodach, które przywiózł pan dla szacha.

Rockefeller wstał od stołu, nie mówiąc już nic więcej, i przepuścił Mattersa przed sobą. Wyszli.

Isaac Bell obserwował ich, znikających za drzwiami. Jego podejrzenia, że Matters nie wiedział nic o łapówce dla Persów, okazały się słuszne. Ponadto Rockefeller oddelegował go do „innych spraw” na czas bardzo ważnego spotkania, którego przebieg Bell podsłuchiwał w hotelu Astoria. Matters nie wiedział, że Rockefeller obiecał spłacić pożyczkę szacha, zaciągniętą u Rosjan. I bez tej wiedzy pojechał do Moskwy.

Jasne było, że John D. Rockefeller wybrał się do Baku w jednym tylko celu - by uzyskać od Persów licencję na wybudowanie zaproponowanego przez Mattersa rurociągu przez Persję. Depesze, które z takim poświęceniem rozsyłał podczas ich desperackiej ucieczki, musiały przypieczętować umowę, z której Matters został definitywnie wykluczony.

Bell odszedł od stołu i wyszedł za obu mężczyznami. Podszedł do łącznika pomiędzy wagonami obserwacyjnym i sypialnym. Niewielka przestrzeń pomiędzy wagonami była otoczona elastyczną powłoką z płótna i skóry, która

częściowo niwelowała rwetes pędzącego pociągu, choć na pewno nie w takim stopniu jak ściany wagonu.

Matters krzyczał, ekspresyjnie gestykulował i wymachiwał telegramem.

– Wiedział pan! Z góry wszystko pan wiedział!

Rockefeller stał nieruchomo niczym żerujący bocian, z lekko pochyloną głową, starając się dosłyszeć swego pracownika pośród huku kół i gwizdu wiatru.

– Co wiedziałem, panie Matters?

– Wiedział pan i dlatego wysłał mnie pan do Moskwy. Żeby się mnie pozbyć.

– Co wiedziałem? - powtórzył Rockefeller, dużo ostrzej. Żaden z nich zdawał się nie dostrzegać Bella, balansującego lekko na chyboczącej się spodniej powłoce łącznika i przyglądającego się uważnie Mattersowi, który był tak bardzo wzburzony, że mógłby może nawet zamachnąć się na potentata.

– Wiedział pan, że będzie zawierał tajną umowę na budowę rurociągu! - krzyknął Matters.

– To, w jaki sposób prowadzę negocjacje w imieniu Standard Oil, to moja prywatna sprawa, panie Matters - odpowiedział Rockefeller pewnym głosem, wyraźnie przebijającym się przez hałas. - Uznałem, że jeden człowiek, wypowiadający się w imieniu spółki, poradzi sobie sprawniej w starciu z fałszywymi innowiercami niż dwóch ludzi.

– Mieliśmy umowę! - Matters nie przestawał krzyzczeć. - Rurociąg perski nie miał być przedsięwzięciem Standard Oil, tylko naszym. Po ukończeniu budowy sprzedalibyśmy go Standard Oil.

– Nie podpisałem się pod żadną taką umową.

– Dał mi pan do zrozumienia...

– Po prostu uwierzył pan w to, co było dla pana wygodne.

Na twarzy Mattersa pojawił się paskudny grymas. Mężczyzna nabierał głęboko powietrza i wydmuchiwał je z wysiłkiem. W końcu wykrzyczał:

– Zniszczył pan mój rurociąg!

Bell z zaskoczeniem przyznał, że Rockefeller dobrze wiedział, o czym mówi Matters.

– Czy dlatego jest pan taki zdenerwowany? Obwinia mnie pan, zupełnie niesprawiedliwie zresztą, o coś, co stało się w roku 1899?

– Ukradł mi pan Hook.

Rockefeller spojrzał na Bella i wyjaśnił mu szybko, tonem golfisty, czekającego na kolejne uderzenie:

– Constable Hook. Rafineria, którą otworzyliśmy niedawno obok Bayonne. To nasz największy zakład i zarazem najnowocześniejszy na świecie.

– Ukradł ją pan, mnie i Spike'owi.

– Zapłaciłem wam.

– Marne grosze!

– Zapłaciłem w akcjach Standard Oil. Zrobiłem z was bogaczy. Od tamtej pory wozi się pan drogimi, prywatnymi samochodami. Nawet ja nie pozwalam sobie na taką rozrzutność. - Ponownie obrócił się do Bella, najwyraźniej akceptując go jako trzeciego uczestnika dyskusji. - W zupełności wystarczy mi wynajmowanie samochodów, gdy zachodzi taka potrzeba.

– Zniszczył pan moje przedsięwzięcie! - krzyknął Matters.

– Stop! - Rockefeller przeniósł uwagę z powrotem na niego. - Sądziłem, że nie jest pan jednym z tych furiatów, którzy chcą za wszelką cenę rozbić Standard Oil. Najwyraźniej myliłem się. Jest pan żalonym nieudacznikiem, który pozostanie nieszczęśliwy aż do końca swoich dni.

Matters rzucił się na starca z szybkością i siłą warana z Komodo.

Bell chwycił go za nadgarstki, ale Matters zdążył już zacisnąć palce na gardle Rockefellera. Uniósł stukilogramowe ciało milionera w górę i przyparł do poszycia łącznika. Nie będąc w stanie oderwać rąk napastnika od swojego pracodawcy, Bell puścił jego nadgarstki i posłał dwa silne ciosy prosto w nerki.

Matters na moment stracił dech w piersiach. Odruchowo rozluźnił ręce, wypuszczając szamoczącego się Rockefellera. Ale potężne uderzenia nie powstrzymały rozjuszonego olbrzyma, a tylko rozkojarzyły go na moment. Mężczyzna rzucił się do tyłu, przygniatając detektywa plecami do przeciwległej ściany łącznika. Bell odbił się od elastycznego materiału i skoczył na Mattersa, który już zamierzał się z powrotem na swojego szefa.

Dopiero w tym momencie zauważył, że nagły atak Mattersa nie był wcale wynikiem przyływu szału. Zanim jeszcze Matters wmaszerował do sali

obiadowej, usunął wpierw zawlecзки łączące ze sobą obie części harmonijki łącznika. Potem zwabił tu milionera, by wyrzucić go z pociągu.

Poszycie rozeszło się w połowie jak kurtyna w teatrze. Za nią znajdowało się nocne powietrze. Pociąg pędził z prędkością stu kilometrów na godzinę. John D. Rockefeller zachwiał się i wyleciał tyłem przez powstały otwór.

Isaac Bell przemknął obok Mattersa i skoczył za nim.

32.

Isaac Bell miał tylko ułamek sekundy, by zastanowić się, czy jego zraniona ręka jest na tyle silna, by zawierzyć jej dwa ludzkie życia. W następnej chwili wykonywał już błyskawiczny ruch, sprawną ręką złapał pasek od spodni Rockefellera, a drugą przytrzymał się stalowego obramowania łącznika. Wisiał teraz na krawędzi wagonu. Ból przeszywał całe ramię aż po czubki palców. Jeśli nie wytrzyma i puści stalową ramę, obaj z potentatem naftowym spadną pod koła wagonu sypialnego.

Wiatr zawiewający w bok pociągu pchał ich w stronę łącznika. Bell spróbował wykorzystać pęd powietrza i nadludzkim wysiłkiem obrócił całe ciało. Napinając wszystkie mięśnie ciała i z pomocą wiatru, przyciągnął Rockefellera bliżej i wrzucił z powrotem przez wąską szparę do środka pociągu.

Ale nadal był tu również Bill Matters.

Isaac Bell dostrzegł błysk wahania w oczach rozwścieczonego mężczyzny. Kogo miał zaatakować pierwszego? Swojego wieloletniego wroga, starca leżącego teraz u jego stóp? Czy jego ochroniarza, który z najwyższym trudem wisiał na skraju pędzącego pociągu? Wybrał Bella, zarzucił obiema rękoma do tyłu i uniósł nogę, by kopnąć palce, które zaciskały się na obramowaniu łącznika. Ale Bell zdążył go wyprzedzić.

Pośród świstu wiatru i zgrzytu kół rozległ się nagle huk wystrzału - czysty, ostry wybuch. Matters odskoczył. Nie mógł uwierzyć, że Bell zdołał jakimś cudem wyciągnąć broń i strzelić. Zachowując równowagę wyłącznie na jednej ręce, Bell naturalnie spudłował. Wystrzelił ponownie i również nie trafił. To jednak wystarczyło, by Matters obrócił się na pięcie i uciekł na drugi koniec pociągu.

* * *

Bill Matters popędził przez korytarz pierwszego wagonu sypialnego i wpadł do następnego, na którego końcu znajdował się jego nieduży przedział. Zamknął za sobą drzwi, zarzucił płaszcz na grzbiet i chwycił już wcześniej przygotowaną torbę z kilkoma tysiącami dolarów w złocie, brytyjskimi banknotami dziesięciofuntowymi i niemieckimi markami oraz z remingtonem. Następnie otworzył okno, wpuszczając do przedziału spaliny i hałas lokomotywy, sięgnął ręką w kierunku hamulca bezpieczeństwa i pociągnął za czerwoną dźwignię.

Sygnal hamowania awaryjnego uruchomił hamulce pneumatyczne pociągu. Od lokomotywy po ostatni wagon do wszystkich kół dociśnięte zostały stalowe klocki hamulcowe. Efekt był natychmiastowy i niezwykle gwałtowny.

Matters utrzymał się na nogach, oparty ramieniem mocno o ścianę przedziału na moment przed uruchomieniem hamulca. Ale z pozostałych przedziałów dobiegał łoskot. To inni pasażerowie uderzali o ściany, z półek spadały bagaże, a chwilę później odezwały się okrzyki bólu i przerażenia. Wszystko to mieszało się z jękiem stali szorującej po stali, gdy koła zablokowane przez mocne blokady nadal sunęły z rozpędu po torach.

Pociąg szarpnął nagle, niczym gigantyczny koń. Łączniki wagonów objęły się jeden o drugi. Prędkość w ciągu sekundy spadła ze stu kilometrów na godzinę do osiemdziesięciu pięciu i równie szybko do siedemdziesięciu. Matters precyzyjnie się przez okno wraz z walizką i postarał się wynaleźć w świetle reflektorów lokomotywy odpowiednie miejsce na skok. Widział, że w oddali, za czterema wagonami, światła rozświetlają mijany właśnie las. Ucieczka w tym momencie gwarantowała rozbicie się o jedno z drzew.

Nagle światła reflektorów zgasły.

W pierwszej chwili Matters całkiem zdębiał. W następnej z lokomotywy odezwał się gwizd, ale tym razem nienaturalnie przytłumiony, co uświadomiło mu, że pociąg wjeżdża właśnie do tunelu. Za kilka sekund jego wagon również znajdzie się w tunelu, rozplaszczając go na otaczającej wjazd kamiennej ścianie. Usłyszał trzask za plecami. Drzwi przedziału stanęły otworem i ukazał się w nich Isaac Bell, z rewolwerem w ręku, wpatrujący się prosto w okno.

W najbardziej krytycznym momencie swojego życia Bill Matters podjął szybką decyzję i skoczył w ciemność.

* * *

Isaac Bell wychylił się przez okno pociągu, nie wypuszczając broni z ręki, i spojrzął na tył pociągu. Noc była czarna jak smoła, a światło padające z okna w najmniejszym stopniu nie poprawiało widoczności, więc nie miał żadnych szans dojrzeć, gdzie wylądował Matters. Gwizd lokomotywy brzmiał dziwnie głucho. Bell zaczął obracać głowę w drugą stronę, gdy nagle poczuł coś zbliżającego się w jego kierunku z ogromną prędkością. Rzucił się na tył przedziału i dostrzegł tuż za oknem osmalone ściany wnętrza tunelu, kilka centymetrów od okna.

Pociąg zatrzymał się ostatecznie wewnątrz tunelu.

Bell wyskoczył z przedziału i pobiegł na tył wagonu sypialnego, mijając wyrwanych ze snu pasażerów w piżamach i koszulach nocnych, po czym wyskoczył z ostatniego wagonu pociągu. Zdenerwowany hamulcowy biegł co sił w nogach wzdłuż torów z czerwoną latarnią, by ostrzec następnego pociąg, że tory zostały zablokowane.

Bell ruszył za nim. Wypatrywał Mattersa, spodziewając się, że pod jednym z drzew znajdzie jego zwłoki z połamanymi kośćmi. Zamiast tego jakieś sto metrów przed tunelem ujrzał przerwę w ścianie drzew. Początkowo myślał, że to łąka, ale księżyc wynurzył się moment później zza chmur i jego światło odbiło się na powierzchni wody.

* * *

– Do widzenia - powiedziała Edna. - Zobaczymy się w Nowym Jorku.

– Do widzenia? - zdziwił się Bell. - Przecież płyniemy tym samym statkiem.

– My płyniemy w drugiej klasie, a ty w pierwszej.

– Nie. Zostańcie ze mną. Zapłacę za droższy bilet.

– Nie zamierzamy siedzieć w jednym przedziale z tym człowiekiem - stwierdziła Nellie, po czym nic już nie dodając, odwróciła się i odeszła na trap dla pasażerów drugiej klasy.

– Z trudem przychodzi nam pozostawanie z nim na jednym statku - powiedziała Edna. - Ale to najszybsza droga do domu. Obiecałam w „Sun”, że przekażę im mój reportaż jak najszybciej, a Nellie musi się zabrać za przygotowania do Przelotu Nowych Kobiet, nim pewna sufrażystka zdąży

wykraść jej tę inicjatywę - dodała jeszcze cichym głosem, mimo że jej siostra odeszła już daleko. - Nellie jest załamana tym, co spotkało ojca. Muszę czym prędzej zabrać ją do domu, gdzie będzie miała się czym zająć.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z tego, jak bardzo jest mi przykro z powodu waszego ojca - powiedział Bell.

- Na pewno nie tak bardzo jak nam - uznała Edna. - Od lat wyczekiwałyśmy z przerażeniem tego dnia i oto nadszedł.

- Wyczekiwałyście, aż spróbuje zabić Rockefellera?

- Wyczekiwałyśmy dnia, w którym zrobi sobie krzywdę. Odkąd Rockefeller zniszczył jego przedsiębiorstwo i wykradł owoce jego pracy. Już wtedy myślałyśmy, że się zabije. To, co ty nazywasz próbą zabójstwa, miało w istocie dokładnie taki sam skutek.

- Jest bardzo prawdopodobne, że wasz ojciec nadal żyje.

Niemiecka policja przeszukała sadzawkę przy torach i przeczesała las z pomocą psów tropiących, ale nie znaleziono żadnych zwłok. Sprawdzili też wszystkie osiedla oraz szpitale i praktyki lekarskie w promieniu trzydziestu kilometrów, również bez skutku. Bill Matters przepadł jak kamień w wodę.

- Do widzenia - powtórzyła Edna, obracając się w ślad za siostrą, ale szybko zwróciła się ponownie do Bella i pocałowała go w policzek. - Dziękuję, Isaac.

- Za co?

- Za załatwienie mi pracy w „Sun”.

- Mieli ci nic nie mówić.

- I nikt mi nic nie powiedział. Sama się domyśliłam. To niezwykle miło z twojej strony.

- „Sun” miało szczęście, że mogło wysłać właśnie ciebie do Baku.

- Miałam na myśli, że to miłe, że chciałeś, bym za tobą pojechała.

- Ostatni przystanek - zaanonsował Isaac Bell.

Holowniki wyrzucające z kominów chmury węglowego dymu podprowadzały statek „Kaiser Wilhelm” do nabrzeża Norddeutscher Lloyd w porcie Hoboken.

- Nie do końca - stwierdził John D. Rockefeller. - Czeka nas jeszcze pociąg do Cleveland.

– Ostatni przystanek dla mnie - doprecyzował Bell, podając mu wyjęty z kieszeni marynarki list. - Oto moje wymówienie.

– Wymówienie? Jestem wstrząśnięty! Dlaczego pan odchodzi?

– Nie miał pan żadnego powodu, by okradać Billa Mattersa. W żadnym stopniu nie usprawiedliwiam jego postępuku, ale pan potraktował go wyjątkowo podle, i to tylko po to, by pokazać, że jest pan silniejszy.

Usta Rockefellera zacisnęły się mocno, tworząc cienką, poziomą linię. Odwrócił wzrok, spoglądając przez jakiś czas gdzieś na port, po czym przeniósł spojrzenie prosto na detektywa.

– Kiedy byłem mały, ojciec szkolił nas, jak być twardym w życiu. Dzień po dniu ćwiczył z nami handel i negocjacje. Za każdym razem, gdy okazywałem się zbyt miękki, wykorzystywał to do granic możliwości i zostawiał mnie z niczym, dopóki nie nauczyłem się, jak go ogrywać. Stałem się ostry.

– Stał się pan podły.

– To nawyk - powiedział Rockefeller. - Nawyk, który zapewnił mi wiele sukcesów.

– Z tego, co wiem, pański ojciec jeszcze żyje? - Bell nagle zmienił temat. Na wyrachowanej twarzy Rockefellera pojawił się wyraz nieudawanej czułości.

– Ma już dziewięćdziesiąt lat i dalej świetnie się trzyma.

– W pańskiej rodzinie mężczyźni żyją długo.

– Istotnie, Bóg uraczył nas obfitością czasu na tej ziemi.

– Czasu, który można poświęcić na porzucanie złych nawyków.

– Co proszę?

– Ma pan do dyspozycji o wiele więcej lat niż większość z nas i mógłby pan przeznaczyć ten czas na wyzbywanie się niedobrych przyzwyczajień.

– Wiele z tego czasu przeznaczam na działalność charytatywną, choć niewiele to zmienia - zachnął się Rockefeller. - Wszyscy i tak mają mnie za potwora.

– Mają pana za człowieka podłego. I słusznie. Ale moim zdaniem działalność charytatywna to świetny początek. Radzę jej nie zarzucać.

– Ach tak? Nie ma pan zbyt wielkiego pojęcia o świecie interesów, co, panie Bell? Jest pan taki sam jak większość pisarzy, teoretyków, socjalistów i anarchistów. Najlepiej wiecie, jak dysponować cudzą własnością.

– Do widzenia, panie Rockefeller.

– Nie może mnie pan zostawić bez ochrony. Przyjmując tę posadę, zobowiązał się pan dbać o moje bezpieczeństwo. Co, jeśli Matters powróci z ukrycia i znów spróbuje mnie zabić?

– Ustaliłem, że pan Wish Clarke odeskortuje pana do Cleveland. Tam stałych ochroniarzy wyznaczą już panu z Agencji Ochroniarskiej Van Dorn.

– Van Dorn? Wraca pan do tej firmy?

– Nigdy z niej nie wyszedłem.

– Jak to? Nie rozwiązał pan współpracy z Van Dornem?

– Nie.

– Czyli cały ten czas pracował pan nadal dla Komisji Korporacyjnej! Oszukał mnie pan!

– Najwyraźniej nie ma pan zbyt wielkiego pojęcia o świecie detektywów, panie Rockefeller. - Ostre rysy twarzy Bella rozjaśnił na moment cień triumfującego uśmiechu. - Moim zadaniem jest oszukiwanie podejrzanych. Można by to nawet nazwać... nawykiem.

Rockefeller przymknął na moment oczy, jakby próbował ocenić w myślach, jak wiele informacji ujawnił przed detektywem. Gdy w końcu się odezwał, ograniczył się tylko do krótkiego pytania:

– Jak długo będę pozostawał pod ochroną agentów Van Dorna?

– Dopóki nie poczuje się pan całkowicie bezpieczny.

– A kiedy niby będę mógł się poczuć bezpieczny w obliczu tego mordercy?

– Kiedy zawiśnie na szubienicy.

– Skąd ta pewność, że w ogóle do tego dojdzie?

– Kolejny nawyk detektywów z Agencji Van Dorn. Nigdy nie dajemy za wygraną.

Na te słowa John D. Rockefeller zareagował tak, jak na niego przystało, czyli zupełnie niespodziewanie roześmiał się.

– Cięta riposta - przyznał, wyciągając dłoń do detektywa. - Najwyżej cenę przyjaźnie nawiązane podczas robienia interesów. Cieszę się, że ten jeden mogłem zrobić z panem, panie Bell.

* * *

Panująca w nowojorskim biurze Agencji Van Dorn grobowy nastrój przywodził Bellowi na myśl atmosferę w nocy tuż przed wybuchem rozruchów w Baku. Sam szef, Joseph Van Dorn, też był na miejscu i spoglądał teraz gniewnie na swoich podwładnych niczym rozwścieczony sfinks. Przechadzał się w tę i z powrotem przy drzwiach do pokoju, w którym Isaac natychmiast po przyjeździe z portu zebrał cały zespół pracujący nad sprawą poszukiwanego zabójcy.

Archie Abbott miał podbite oko i wyglądał wyjątkowo żałośnie. Strachliwe spojrzenia, jakie raz po raz rzucał w kierunku szefa, dawały jasno do zrozumienia, że nie udało mu się nic ustalić na temat dezentera, który zdobył Medal Prezydenta.

Z kolei Grady Forrer, zajmujący się poszukiwaniem rusznikarza zaopatrującego snajpera w broń, nie spuszczał oka z Van Dorna, jakby ten był odrobinę przerośniętą kobrą.

Wally i Mack jak zawsze pozostawali w dobrych nastrojach. Znali Van Dorna tak długo, że nie obawiali się jego gniewu ani trochę, a z ich ust nie zniknęły wesołe uśmiechy, które dawały Bellowi skrawek nadziei. Byli o wiele bardziej pewni siebie, niż powinni, sądząc po ich lakonicznym i niewnoszącym niczego telegramie na temat domniemyanych asów w rękawie Spike'a Hopewella. Może tym razem rzeczywiście mieli dla niego dobre wieści.

Bell popatrzył na Van Dorna, po czym wyszedł do niego na zewnątrz. Szef zbliżył się ociężale.

– Co się dzieje?

– Straszysz mi ludzi.

– Jak do tej pory twoi ludzie niczego nie zdziałali.

– To może umówmy się, że jak tylko skończę suszyć im głowy, spotkamy się w Normandii na szybkiego drinka?

Gdy szef zniknął, powrócił do pokoju.

– Kiedy wyjeżdżałem do Baku, mieliście zająć się kilkoma tropami w sprawie zabójcy: zaginionym strzelcem wyborowym z armii, rusznikarzem, który dokonał niezwykłych modyfikacji karabinu Savage 99, odkopaniem zwłok Averella Comstocka w celu przeprowadzenia pełnej sekcji oraz tajemnicą

Spike'a Hopewella, która miała zagwarantować mu przewagę w starciu ze Standard Oil. Ani w Konstantynopolu, ani w Berlinie, ani też w Bremerhaven nie czekały na mnie żadne wieści, więc zakładam, że wasze starania nie przyniosły żadnych konkretnych rezultatów. Czy coś się w tej sprawie zmieniło przez czas, jaki zajęło mi przepłynięcie oceanu?

Wally i Mack wyszczerzyli się bezczelnie. Reszta zachowała całkowitą ciszę.

– Archie, jak ci poszło z córką generała?

– Do lotu.

– Kto udekorował ci buźkę?

– Ona, uderzyła mnie pięścią.

– Za co?

– Młoda dama poczuła się niezwykle urażona, gdy okazało się, że pan Princeton udawał jedynie zainteresowanie jej kobiecymi wdziękami. - Wally Kisley zaśmiał się. - W momencie, w którym miało dojść do konsumpcji świeżo zawartej znajomości, hrabiątko wypaliło wprost, że chciałby się widzieć z jej ojcem.

– Omyłkowo zrozumiałem jej zaproszenie mnie do siebie akurat w chwili, gdy jej ojca nie będzie w domu - dokończył Archie.

– I bum! - Wally uwieńczył opowieść donośną onomatopieją. - Prawy sierpowy prosto w oko.

– Kiedy poszedłem tam znowu, by spróbować jeszcze raz, lokaj poinformował mnie, że „pani nie ma w domu”. Dlatego myślę sobie, Isaac, że chyba najwyższa pora, bym wrócił do Chicago. Rosania jest...

– Zapisz mi imię, nazwisko i adres jej domu - przerwał mu krótkim poleceniem Bell, po czym zwrócił się do szefa działu badawczego agencji. - Jak ci poszło z Dave'em McCoartem, Grady?

– Wykluczyliśmy wszystkich rusznikarzy w kraju poza dwoma z Hartford i jednym z Bridgeport. Jak do tej pory na żadnego z tej trójki nie mamy nic pewnego.

– Żaden z nich nie pracował nigdy przy takim karabinie?

– Przynajmniej żaden się do tego nie przyznaje. Właściwie jestem prawie pewien, że faceci z Hartford są czyści. Prawie. Z kolei detektyw, którego wysłałem do Bridgeport, swoją drogą bardzo solidny facet, którego

wynajmowaliśmy już wcześniej w Connecticut, nabrał pewnych podejrzeń. Nie zdołał jednak przyłapać rusznikarza na żadnym jawnym kłamstwie, a ma na tyle rozumu, że wie, kiedy odpuścić, by nie odstraszyć ofiary. Warto byłoby posłać tam kogoś z większym doświadczeniem.

– Sam się tym zajmę - stwierdził Bell. - Jak poszła sprawa z nowojorskim koronerem?

– Nie podejmie się ekshumacji zwłok pana Comstocka bez nakazu sądowego. Sędzia z kolei odmówił wydania nakazu, opierając swoją decyzję na dziesiątkach kruczków prawnych, maskujących jego nieodparte przekonanie, że ludzie po osiemdziesiątce powinni być martwi z zasady.

– A co ze śmiercią pani McCloud w pożarze i jej utopionym synem?

– Sędzia nie uznał za prawdopodobne istnienia powiązań między Fivepointersami i Gophersami a przedsiębiorstwem Standard Oil.

– Chyba trzeba się zwrócić do innego sędziego.

– Inny sędzia przyznał rację swojemu koledze.

Bell przeniósł uwagę na Wally'ego i Macka.

– Wy z kolei wyglądacie na wyjątkowo zadowolonych z siebie.

– Jak zawsze, Isaac - odparł Wally.

– I mamy po temu powody - dodał Mack, po czym obaj zaczęli odstawiać swój klasyczny popis zdolności kabaretowych.

– Pewna prześliczna dama otrzymała od nafcjarza Reeda Riggsa obietnicę, że wkrótce on...

– ...a w związku z tym i ona...

– ...jako narzeczona...

– Panowie, zaczynają mnie już drażnić te wasze wygłupy. Czego się dowiedzieliście?

– ...będą bogaci.

– Riggs był niezależnym nafcjarzem - powiedział Bell. - Oni wszyscy są przekonani, że lada moment rozbiją bank.

– W tym przypadku było inaczej. Wyjawiał dziewczynie, że pewien wysoko postawiony pracownik Standard Oil będzie musiał, pozwolił sobie zacytować, „wyskoczyć z forsy”. Spodziewał się nie tylko sporej ilości gotówki, ale również sprzedaży swojej rafinerii w zamian za akcje Standard Oil.

- Co to za wysoko postawiony pracownik?
 - Tego nie powiedziała.
 - Nie powiedziała czy nie wiedziała?
 - Nie powiedziała.
 - Czemu spodziewał się pieniędzy od tego kogoś?
 - Szantaż. Dziewczyna twierdzi, że Riggs miał na tego kogoś coś naprawdę brudnego.
 - To dlaczego jej o tym opowiadał? Co to za dziewczyna? Gdzie się poznali?
 - W lokalu panny Dee przy North Wichita Street w Wichita, w stanie Kansas. - Mack udzielił nad wyraz precyzyjnej odpowiedzi.
 - To podobno jeden z najwytworniejszych „pensjonatów z paniami” w stanie - dodał Wally.
 - A to sporo znaczy, kiedy mowa o regionie z takimi miastami jak Topeka czy Kansas City - zauważył Mack.
 - Bez porównania z tanimi przybytkami, na jakie mogą sobie pozwolić takie nieboraki jak Mack czy ja, o ile akurat pan Van Dorn nie zdecyduje się pokrywać naszych wydatków w terenie - mówił dalej Wally. - Ale za to ty, paniczku, mogłeś poznać to miejsce już wcześniej.
- Grady Forrer chrząknął głośno, prosto z głębi swojej potężnej piersi.
- Twierdzicie, że Riggs upił się i zaczął się przechwalać jakiejś panience z burdelu? Panience, która zarabia na życie, dbając o to, by tacy jak wy byli zadowoleni?
- Mack Fulton posłał w jego stronę spojrzenie przeszywające mrozem niczym lodowy sopel.
- Posłuchaj teraz uważnie, chłopaczku, to może, jak dorośniesz, też będzie z ciebie detektyw. - Obrócił się z powrotem do Bella. - Dziewczyna nie twierdziła, że Riggs się przechwalał. Bardziej starał się zrzucić z serca jakiś ciężar. Miał wyrzuty sumienia, zdaje się, że szantaż nie był czymś, do czego byłby skłonny się posunąć, gdyby nie miał noża na gardle. Zanim wpadł pod pociąg, miał poważne wątpliwości, czy aby na pewno powinien to zrobić.
 - Ufasz tej kobiecie?
 - Całkowicie. Każdą informację musieliśmy z niej wyciągać niemal siłą.
 - Chyba miała słabość do tego Riggsa - dodał Mack.

– Jak przekonaliście ją, by jednak zaczęła mówić?

– Musieliśmy spędzić cały tydzień w pensjonacie panny Dee - zdradził sekret Mack.

– Nie dawaliśmy za wygraną aż do końca - spuentował Wally.

Na te słowa Archie Abbott przewrócił oczami, a Grady Forrer poruszył nerwowo brwiami.

– Ale nawet po tym tygodniu nie byliście w stanie przekonać jej, by zdradziła wam nazwisko tego człowieka ze Standard Oil?

– Niestety, ta informacja wymagałaby wytrwałości kogoś o wiele młodszego od nas - posmutniał Mack.

– Archie, jedziesz do Wichita - zarządził bez wahania Bell.

– Do Wichita? Nie wolisz załatwić tego osobiście?

– Łap najszybszy pociąg pocztowy i gdy tylko potwierdzisz, że człowiek, którego chciał szantażować Reed Riggs, to Bill Matters, przyślij mi depezę. Wally i Mack, wy odszukajcie prywatny pociąg Mattersa.

– To może zająć całe wieki!

– Macie to załatwić, zanim właściciel wróci z Europy.

Wydawszy dyspozycje, Bell włożył kapelusz, zsuwając rondo nisko na oczy, i ruszył do wyjścia.

– Gdyby ktoś mnie potrzebował, jestem w Normandii.

Nadszedł czas, by zasięgnąć wiedzy z bezkresnej studni informacji o zbrodniarzach i zbrodniach, jaką stanowiło bogate doświadczenie szefa.

* * *

Bar znajdujący się na parterze hotelu Normandii na rogu Broadwayu i Trzydziestej Ósmej był przeznaczony głównie dla przyjeżdżających do miasta komiwojażerów i hurtowników, prowadzących swoje magazyny w budynkach stojących przy bocznych uliczkach odchodzących od Trzydziestej Zachodniej, na skraju dzielnicy hotelowej. Stolik Josepha Van Dorna oferował rozległy widok na resztę sali, długą ladę przy barze i sprawnie obracające się drzwi wejściowe. Na stoliku stała butelka whiskey wraz z dwiema szklankami. Przybrawszy pozę dobrodusznego biznesmena, rozglądającego się bezcelowo po wnętrzu przybytku, szef agencji detektywistycznej mógłby z łatwością zostać

uznany za przodującego w swoim zawodzie sprzedawcę, człowieka żyjącego z prowizji, którego stać było na samodzielne pokrywanie wydatków podróży.

– Jeśli Riggs rzeczywiście zamierzał szantażować Mattersa, i to właśnie było mitycznym asem w rękawie Hopewella, to czy po próbie wyrzucenia Rockefellera z Orient Expressu nie możemy przyjąć, że naszym zabójcą jest właśnie sam Matters? - zapytał Bella.

– Matters siedział ze mną w tym samym samochodzie, dosłownie kilkadziesiąt centymetrów ode mnie, gdy doszło do zamachu w Baku.

– Mógł to ukartować. Opłacić jakiegoś chłopaczka z karabinem, by podszył się pod prawdziwego zabójcę, dla zmylenia tropu.

– To by tłumaczyło, dlaczego spudłował z tak rewelacyjnej pozycji - przyznał Bell. - Ale nie, to musi być ktoś inny. Matters jest mocodawcą zabójcy, ale to nie on sam pociąga za spust.

– Na twoim miejscu skupiłbym się na dorwaniu tego snajpera, a nie Mattersa - poradził Van Dorn.

– Bill Matters dał się ponieść morderczej pasji - odparł Bell. - Mogę się założyć, że niebawem wróci do Stanów i zaatakuje ponownie.

Szef pokręcił na to głową.

– Matters to biznesmen, który nagle musi nauczyć się ukrywać i unikać pogoni. Nie ma w tym żadnego doświadczenia. Zabójca jest profesjonalistą, który zajmuje się swoją robotą od lat. - Rozlał do szklanek porcję bursztynowego płynu. - Nie dziwi cię, że ciągle nie możemy go dorwać?

– Kwestia czasu.

– Z własnej woli naraził się na schwytanie na wszystkie chyba możliwe sposoby - kontynuował niezrażony Van Dorn. - Zabijał ofiary w środku dnia. W miejscach publicznych. Pozwolił sobie nawet na ukartowanie całej skomplikowanej maskarady - ten numer pod pomnikiem Waszyngtona był w iście bizantyjskim stylu.

– Zabójstwo Clyde'a Laphama.

– A nie był to jedyny taki jego wybryk, biorąc pod uwagę te wyglupy z kaczka z strzelnicy czy zabójstwa Reeda Riggsa i tego biedaka, który wylądował w zbiorniku z ropą.

– Albert Hill.

– Nie mówiąc już o kobiecie, która spłonęła w pożarze.

– Mary McCloud.

– I pomimo tego wszystkiego facet jest cały czas na wolności. Albo to on jest najszcześliwszym bydlakiem pod słońcem, albo my jesteśmy najmarniejszymi detektywami w kraju.

– Jest jeszcze jedna możliwość - stwierdził Bell.

– Jaka?

– Po prostu nie boi się zostać złapany.

– Jeśli rzeczywiście tak jest, to musiałby być chory na umyśle, a wtedy na pewno dawno już byśmy go mieli. Nie ma czegoś takiego jak „zbrodnia doskonała”. A już z pewnością nie cała seria. Bez względu na to, jak dokładnie planują swoje zbrodnie, zawsze dzieje się coś nieprzewidywalnego i sprawcy trafiają do paki.

– Ten zabójca nie zna strachu. Jest pod tym względem podobny do pijaka, który w kółko się przewraca, ale nigdy nic mu się nie dzieje, bo upada na ziemię całkiem rozluźniony.

– Może się nie boi, bo jest wariatem.

– Jeśli tak, to musiałby być wyjątkowo przebiegłym wariatem. Nigdy nie daje się zbić z tropu i nigdy nie ulega panice. Gdy sprawy przybierają nieoczekiwany obrót, po prostu podąża z prądem, jak kłoda unosząca się na powierzchni rzeki.

– Nie byłby to pierwszy przypadek mordercy nieodczuwającego wyrzutów sumienia. Może nie boi się właśnie dlatego, że wcale nie uważa się za winnego jakichkolwiek zbrodni?

– A może nie wyobraża sobie, by mógł zostać schwytany.

– Mania wielkości?

– Postępuje tak, jakby w jakimś sensie bawił się całym tym koszmarem.

Nagle Van Dorn utkwił spojrzenie spod przymrużonych powiek we wchodzącym właśnie do baru, gustownie ubranym mężczyźnie. Szybko przywołał wzrokiem kierownika sali, który natychmiast zainteresował się człowiekiem wskazanym ledwie widocznym skinieniem głowy. Dopiero teraz rozpoznał w nowo przybyłym tę charakterystyczną sylwetkę kanciarza, żerującego na niczego niespodziewających się przyjezdnych, i bezzwłocznie wyprosił go z budynku.

– Chcę wiedzieć, dlaczego zabójca pozwala sobie na takie ryzyko - wrócił do dyskusji Van Dorn. - Zostawił nam nawet swoją broń, zmodyfikowaną na prywatne polecenie. Udało wam się gdzieś dotrzeć po tym śladzie?

– Zamierzam niebawem przesłuchać pewnego obiecującego rusznikarza, którego moi koledzy namierzali w Bridgeport.

– Nie spieszyli się z tym.

Bell bez zastanowienia zaczął bronić współpracowników.

– Sprawdzili osiemdziesięciu czterech rusznikarzy w całym kraju.

– Nie wiedziałem, że mamy ich aż tylu. Chyba za bardzo zasiedziałem się w Waszyngtonie.

– Jeśli zabójca nie boi się schwytania, to może w głębi duszy chce zostać złapany?

– Masz na myśli podświadomie? Naczytałeś się tych wiedeńskich bredni... - Van Dorn pociągnął nosem, wydając odgłos przypominający ryk morsa, zanim zaczął mówić dalej: - Wiesz, jest też po prostu coś takiego jak szczęście. Każdy go trochę ma. Do pewnego momentu. On do tej pory miał już bardzo dużo szczęścia.

– Przy każdym kolejnym zabójstwie testuje to szczęście coraz bardziej.

– Ty miałeś go ostatnio niewiele mniej. Ten człowiek trafił dziesięciocentówkę z ponad pięciuset metrów, a celując do ciebie spudłował trzy razy z rzędu. Jak myślisz, czemu cię nie trafił?

– Może zwyczajnie mnie lubi? - Bell wyszczerzył zęby.

Van Dorn nawet się nie uśmiechnął. Odpowiedział bardzo poważnym tonem.

– Kiedy zagonisz go w kozi róg, już na pewno nie spudłuje.

– W takiej sytuacji ja raczej też nie będę miał z tym problemu.

Do baru wśliznął się niepełnoletni praktykant na okresie próbnym, Eddie Tobin. Van Dorn skinął mu głową i chłopak podszedł bliżej.

– Mam wiadomość od pana Warrena dla pana Bella.

Bell rozerwał kopertę i przeleciał wzrokiem pismo.

– Przekaż panu Warrenowi, że dobrze się spisał i jestem mu bardzo wdzięczny.

Tobin zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił.

– Bill Matters jest już w Nowym Jorku - poinformował szefa Bell.

– Co? Jakim cudem dotarł tu tak szybko?

– Z tego, co mi wiadomo, „Kaiser Wilhelm” jest zdobywcą Błękitnej Wstęgi Atlantyku.

– Przyłynął tym samym statkiem?

– O ile Harry Warren się nie pomylił - odparł ponuro Bell.

– Nie zauważyłeś go podczas rejsu? Gdzie się ukrył? Wśród pasażerów trzeciej klasy?

– Na moją prośbę Rockefeller przekonał głównego stewarda do udostępnienia nam listy pasażerów. Uważnie obserwowałem okręt każdego dnia i każdej nocy. Sprawdziłem każdego człowieka z pierwszej i drugiej klasy, a tych z trzeciej po dwa razy.

– A więc co, popłynął na gapę?

– Zdaniem Warrena wpadł na lepszy pomysł. Załatwił sobie robotę w czarnej brygadzie. Przyłynął tu jako palacz w kotłowni, pięć pokładów pod moimi nogami.

– Bardzo sprytnie.

W umyśle Bella obudziły się nagle bardzo nieprzyjemne wątpliwości. Czy Edna i Nellie wiedziały, co się działo z ich ojcem, i zanosily mu potajemnie jedzenie, a może nawet wpuszczały go na czas snu do swojej kabiny? Nie, na niemieckim liniowcu, gdzie dyscypliny przestrzegano co do joty, było to raczej mało prawdopodobne. Niemcy nie dopuszczali nawet do kontaktów między pasażerami z różnych klas, więc co dopiero między pasażerami a członkami załogi.

– Po twojej minie wnoszę, że Harry Warren nie zdołał aresztować Mattersa. - Van Dorn wyrwał go z zamyślenia.

– Matters znokautował celnika, który zauważył, jak próbuje wymknąć się z pokładu. Harry Warren dowiedział się o zajściu i idąc tym tropem, dotarł do ludzi z kotłowni, którzy potwierdzili rysopis brakującego pracownika.

– A więc już teraz czai się gdzieś w Nowym Jorku.

– Albo właśnie wsiada do pociągu na drugi koniec kraju - rzucił Bell, wstając od stołu. - Muszę ostrzec Wisha, na wypadek gdyby nie postanowił udać się prosto do Cleveland.

– Naprawdę sądzisz, że Matters znowu spróbuje zabić Rockefellera?

– W ostatnim tygodniu dodatkowo podgrzewał swoją nienawiść do tego człowieka w czterdziestostopniowym upale kotłowni. I pewnie zdaje sobie sprawę, że wcześniej czy później go dopadniemy. Nie, sędzę, że będzie chciał zrobić coś o wiele gorszego niż jedno pospolite morderstwo.

– Chcieć a móc to dwie różne rzeczy. Jak już mówiłem, Matters to biznesmen, niemający zielonego pojęcia o życiu człowieka wyjętego spod prawa. Nawet jeśli do tej pory był mózgiem całego spisku, to w chwili, gdy stał się ścigany, znalazł się na zupełnie nieznanym mu gruncie.

– Dopóki nie przyjdzie mu z pomocą wynajęty przez niego zabójca.

33.

Isaac Bell dobrze znał wielkie przemysłowe miasto Bridgeport, bo uczył się w college'u w pobliskim New Haven. Studenci Yale hulali w Bridgeport poza kontrolą kapelana. A niedawno Bell kupił swojego locomobile'a w tutejszej fabryce tych samochodów.

Zaparkował duże czerwone auto przed rusznikarnią Zimmermana i Brassarda. Wspólnicy Zimmerman i Brassard zbili majątek podczas wojny secesyjnej i dawno przeszli na emeryturę, firmę zaś zostawili zdolnemu praktykantowi. Miał dryg do interesów, więc zachował słynną nazwę ze spizowych liter nad drzwiami. Był teraz szczupłym, pedantycznym mężczyzną w średnim wieku, z cienkim wąsikiem i w okularach w drucianej oprawce.

– Pan Beitel? - zapytał Bell.

Beitel odwrócił się od pracującej elektrycznej tokarki i przytaknął. Na rękawach koszuli miał opaski, które przytrzymywały mankiety powyżej nadgarstków, i nosił krawat z prostym węzłem wetknięty za roboczy fartuch. Był fizycznym przeciwieństwem potężnego Dave'a McCoarta, ale z jednym wyjątkiem: podobnie jak McCoart, swobodnie operował ostrzem, co świadczyło, że jest artystą - że już widzi kształt tego, co zrobi na tokarce z kawałka metalu.

Jego warsztat wyglądał tak pedantycznie jak on sam. Miał w nim mocny stół z szufladami i podwyższonymi krawędziami blatu, żeby nic się z niego nie staczało, kilka imadeł, skrzynkę na małe narzędzia i części oraz przerobioną komodę z dużymi szufladami. Właśnie otworzył jedną i Bell zobaczył pistolety do naprawy, papier ścierny, szorstką szmatę i wełnę stalową. Była też szlifierka

z kamieniami, szczotka druciana, wiertarka pionowa, imadło kątowe do montowania celowników teleskopowych, elektryczna szlifierka i długa tokarka stołowa z obracającym się kawałkiem metalu.

– Dzień dobry - powiedział Bell. - Byłem w fabryce Locomobile, bo miałem mały problem w drodze do Hartford i polecili mi pana jako wyjątkowo dobrego rusznikarza. Więc pomyślałem, że wstąpię tutaj. Oto moja wizytówka. Jethro Smith.

– Z Hartford?

– Tam jest centrala. Mój rejon to Oregon.

– Kto panu mnie polecił?

– Jeden z mechaników.

– Naprawdę? A mogę wiedzieć który?

– W fabryce jest dom wariatów. Wszyscy są podnieceni, że wystawiają auto numer siedem w Pucharze Vanderbilta. To już niedługo, w przyszłym miesiącu.

– Tak, wiem. Wszyscy w Bridgeport planują wyprawę promem na Long Island... Który mechanik wspomniał panu o mnie?

– Zaraz... Mam jego nazwisko na końcu języka. - Warto było jechać sześć godzin przez zatłoczone miasta, żeby przygotować tę historyjkę w fabryce samochodów. Strzelił palcami. - Gary! Gary... Crisci. Zna go pan?

– Gary'ego Crisci? Jasne. To znaczy, słyszałem o nim. Podobno będzie mechanikiem „siódemki”. Jest najlepszy. Jestem zaszczycony, że wie o mnie. Jaka broń pana interesuje, panie Smith?

– Karabiny.

– Jest pan strzelcem wyborowym?

– Biorę czasami udział w zawodach - odrzekł skromnie Bell.

– Gdzie?

– Na zachodzie. W Oregonie. Na moim terenie.

– Chce pan kupić karabin?

– Potrzebuję zamontować lunetę.

Bell postawił torbę podróżną na ladzie i otworzył ją. Obserwował minę rusznikarza, gdy wyjmował savage'a 99 zabójcy i metodycznie wsuwał lufę do komory.

Rusznikarz nie był aktorem. Ale nawet wielki artysta Edwin Booth nie potrafiłby ukryć, co czuje, gdyby twarz mu zbladła tak, jak teraz Beitelowi. Isaac Bell już wiedział, że wreszcie trafił w dziesiątkę.

* * *

- Dobrze się pan czuje? - zapytał troskliwie Bell. - Zbladł pan.
- Gorąco tutaj - wymamrotał Beitel.
- Gorący temat - odrzekł Bell.

Rusznikarz zdjął fartuch i złożył go starannie na krześle. Bell wyciągnął przed siebie karabin. Beitel zdawał się kurczyć pod jego spojrzeniem. Ale wziął broń, potrzymał ją chwilę i położył na ladzie. Potem się odwrócił, jakby był sam, i stanął przodem do tokarki. Wybrał ostrze, umocował je i przycisnął do obracającego się w maszynie kawałka metalu. Ręce mu się trzęsły. Krawędź tnąca zaczęła żłobić metal wśród snopa iskier.

Beitel przestawił dźwignię przełącznika, silnik zawył i stopniowo rozkręcił się do dwustu obrotów na minutę.

Rusznikarz podniósł wzrok i rozejrzał się wolno po warsztacie.

- Kocham to - odezwał się przez ramię do Bella.
- Nie mogę tego obiecać - powiedział łagodnie Bell - ale być może nie straci pan swojego warsztatu. Jeśli pomoże mi pan znaleźć zabójcę, dla którego przerobił pan tę broń.
- Zabójcę?

Beitel pochylił się niżej nad swoją robotą, jakby szukał schronienia w znajomym zajęciu. Wydawał się zbyt roztrzęsiony, żeby zauważyć, że jego luźny krawat dynda tuż nad wirującym metalem.

- Niech pan uważa na krawat - ostrzegł Bell.
- Kocham j... - wyszeptał rusznikarz.
- Słucham?
- Idź do diabła!

Bell przeskoczył przez ladę. Dzieliło go trzydzieści centymetrów od mężczyzny, gdy ten celowo dotknął krawatem obracającego się szybko kawałka metalu. Materiał w mgnieniu oka owinał się wokół niego i szarpnął Beitelą mocno w dół ku tokarce. Kark rusznikarza pękł z głośnym, suchym trzaskiem.

Bell wyłączył maszynę. Powiesił w oknie tabliczkę „Zamknięte”, opuścił rolety od frontu i przeszukał dokładnie warsztat. Kiedy skończył, zatelefonował na policję.

– Wygląda na to, że zdarzył się wypadek.

* * *

– Mam dla ciebie trudne zadanie, Grady - oznajmił Bell, kiedy zatelefonował do Forrera z dworca kolejowego w Bridgeport.

– Jak trudne?

– Numer telefonu zabójcy.

Śmierć Beitela to nie był wypadek, a zabójca, wobec którego rusznikarz był tak lojalny, że wolał się zabić niż go zdradzić, nie zostawił żadnego śladu swojej tożsamości u Zimmermana i Brassarda. Ale Beitel nie ufał własnej pamięci i zapisał z tyłu arkusza papieru ściernego numer telefonu tak drobnym maczkiem, że Bell potrzebował szkła powiększającego, żeby go odczytać.

Podał numer Forrerowi.

– Telefonistki w Bridgeport nie znają go. Nie chcę tam telefonować, dopóki nie wiem, kto odbierze i gdzie jest.

– To może trochę potrwać.

– Za dwie godziny będę w firmie Sage Gun Company. Jeśli do tej pory nic nie ustalisz, zadeszuj do mnie na waszyngtoński adres, jak czegoś się dowiesz. I przekaz to od razu Archiemu, Weberowi i Fieldsowi, Wish Clarke'owi i Teksasowi Waltowi.

Bell wysłał swojego locomobile'a z powrotem do Nowego Jorku wagonem towarowym i zabukował miejsce w pierwszym pociągu do Grand Central. Gdy jechał przez Manhattan na prom płynący do New Jersey, wstąpił po drodze do Sage Gun Company na Czterdziestej Trzeciej Zachodniej. Tam otworzył swoją torbę podróżną i wręczył Dave'owi McCoartowi savage'a 99 i wąską, wyłożoną filcem skrzynkę. McCoart wyjął długą, precyzyjnie obrobioną metalową rurę i gwizdnął.

– Skąd to wzięłeś?

– Od rusznikarza zabójcy.

– Nie można kupić lepszej lunety niż Warner & Swasey.

Bell wskazał savage'a 99.

– Zamontuj ją na nim.

– Zaraz to zrobię.

– Znalazłem notes Beitela.

Był oprawiony w czarną skórę. Kartki wypełniały rysunki i wzory matematyczne napisane precyzyjną ręką artysty.

– Zobacz cztery ostatnie strony.

McCoart przeczytał je wolno i uważnie, wodząc grubym palcem po rysunkach.

– Co on kombinuje? - spytał Bell.

– Chyba projektuje wybuchający pocisk.

– Jak artyleryjski?

– Zasadniczo tak. Tylko o wiele mniejszy. Można by go załadować do komory trzystatrójki. - Zerknął na Bella. - Takiej jak ten savage...

– Myślisz, że to będzie działało?

– Jeśli uda mu się wykonać to, co narysował, to tak. Sądząc po jakości jego pracy... - McCoart połączył lufę z komorą savage'a jednym ruchem nadgarstka i równie szybko ją odłączył - to facet jest bardzo dobry.

Znów przyjrzał się rysunkom.

– Przerazająca wyobraźnia. Minimalnie chybiony strzał i tak byłby celny. Wystarczyłaby powierzchowna rana, żeby grabarze mieli zajęcie.

– Bardziej przeraża mnie wyobraźnia zabójcy.

– Powiedział może, jak dalece to jest zaawansowane?

– Nie żyje. Jego krawat wkręcił się w tokarkę. Kark mu pękł.

– Musiał być cholernym idiotą, żeby pracować w krawacie na tokarce.

– Popelnił samobójstwo.

– To dopiero jest lojalność - odrzekł McCoart i oddał Bellowi notes. - Cóż, przynajmniej nie dokończy tej strasznej rzeczy.

– Przypuszczam, że już to zrobił.

– Znalazłeś piorunian rtęci?

– Mnóstwo.

– A jakieś naboje?

- W warsztacie nie ma żadnych.
- Miejmy nadzieję, że dopiero eksperymentował.
- Nie liczę na to - odparł Bell.
- Powiedział coś?
- Że jest zakochany.
- I zabił się? Porozmawiasz z nią?
- Nie dosłyszałem jej imienia.

* * *

Jak większość luksusowych burdeli, dom uciech panny Dee na North Wichita Street był miejscem, gdzie za dziesięć dolarów chętnie spędzali czas politycy i dobrze prosperujący biznesmeni. W porównaniu do nowojorskich lub chicagowskich znajdował się w mniej eleganckim otoczeniu, na ulicy ze składem drewna, kuźnią, odlewnią, zbiornikami gazu i czynszówkami.

Wichita, pomyślał Archie, gdzie ma się skromne wymagania.

- Zapraszam - powitała go serdecznie burdelmama. Szykownie ubrani mężczyźni byli dobrymi klientami. Przystojnych bogatych klientów o wytwornych manierach należało cenić. Napomknęła, że nie widziała go wcześniej. Archie odrzekł, że nie jest z Kansas. Powiedziała, że nie jest tym zaskoczona, i zapytała, czym konkretnie może mu służyć.

- Czy mógłbym zawrzeć znajomość z pewną młodą damą o imieniu Jane?
- Naturalnie, mamy kilka Jane.

Archie powtórzył jej rysopis przekazany przez Macka i Wally'ego.

- Jane o włosach tak rudych jak moje, i oczach jak lazuryt.
- Ta Jane.
- Jest tu jeszcze?
- Jeszcze jest - odparła ponuro kobieta.
- Nie wydaje się pani zadowolona - zauważył Archie.
- Z nią jest trudna sprawa. Stare pryki zabijają się o nią. Któregoś dnia rękoczynny skończą się czymś atakiem serca.
- Mam nadzieję, że nic mi się nie stanie.

– Szczerze mówiąc - odrzekła burdelmama - liczę na to, że pan się w niej zakocha i zabierze ją stąd.

* * *

Archie wyłożył sprawę w pociągu do Chicago, które krągła jasnooka Jane zawsze chciała zobaczyć. Archie obiecał jej płatne wakacje i zakupy (na koszt Van Dorna). Gdyby Van Dorn się sprzeciwił, Archie poprosiłby o kasę Isaaca. Przy odrobinie szczęścia Jane odwdzięczyłaby się nazwiskiem ofiary szantażu jej nieżyjącego adoratora. A najlepsze, że w Chicago mógłby się z powrotem zająć sprawą Rosanii.

Archie zaczekał, aż będą poza St. Louis i rozpędzą się do maksymalnej szybkości, zanim zapytał o Reeda Riggsa. Niebieskie oczy Jane pociemniały ze smutku.

– Reed był porządnym człowiekiem. Dżentelmenem jak ty, Archie. Nie tej klasy co ty, ale dżentelmenem w każdym calu. Dlatego nie dał rady. Nie był szantażystą. To po prostu wydawało się dobrym sposobem na uratowanie jego rafinerii, ale jak przyszło co do czego, nie potrafił tego zrobić.

– Czy w ogóle kiedykolwiek spotkał się z ofiarą?

– Powiedział mi, że pojechał do Nowego Jorku i rozmawiał z nim.

– Na Broadway 26?

Jane położyła pulchną dłoń na rękę Archiego.

– Pozostań dżentelmenem, Archie. Nie próbuj mnie wykiwać.

– Rozumiem, że przez szacunek dla pamięci o Reedzie Riggsie nie zdradzisz mi nazwiska człowieka, którego postanowił nie szantażować - odrzekł Archie. - Ale gdybym ci powiedział, że naszym zdaniem tamten człowiek usiłował zabić Johna D. Rockefellera?

– Większość ludzi uznałaby, że miał całkiem dobry pomysł - odparła Jane.

– A gdybym ci powiedział, że podejrzewamy go o zabójstwo Riggsa?

– Reed zginął w wypadku.

– Możliwe, że to nie był wypadek.

– Możesz tego dowieść?

– Nie mogę udowodnić, że to było morderstwo - przyznał Archie - choć orientujemy się, jak zabójca to zrobił.

Jane wyjrzała przez okno. Jej piękne oczy odzyskały swój naturalny kolor i poczuła się podniesiona na duchu. Archie się domyślał, że staruchów pociągały nie tylko jej krągłości, lecz również pogoda ducha.

– To, co mówisz, brzmi prawdziwie, Archie. Kiedy Reed zginął, została mi po nim jedyna rzecz, jaką posiadał. Jego przyzwoitość. Nie cierpię myśleć, że biedak umierał w strachu. Kiedy się dowiedziałam, że wpadł pod pociąg, uznałam, że zemdłał.

– Jeśli zamordowano go tak, jak sądzimy - odparł Archie - to kompletnie zaskoczenia. Zginął w jednym momencie.

– Skąd wiesz?

Archie opisał jej szczegółowo stanowisko strzeleckie zabójcy, które on i Bell odkryli w depu w Fort Scott.

Jane odwróciła się od okna i dotknęła policzka Archiego. Przechodzący przez wagon konduktor zauważył ich rude włosy i uśmiechnął się na myśl, że to matka z synem jadą do Chicago. Albo raczej niezamężna ciotka i jej ulubiony siostrzeniec lub bratanek.

– Podam ci jedno nazwisko - powiedział Archie. - Tylko jedno. Możesz skinąć głową, jeśli to jego Reed postanowił nie szantażować?

– Mam ochotę zasłonić uszy.

– Nie ma potrzeby - odrzekł Archie. - Nie wymówię jego nazwiska, dopóki się nie zgodzisz.

– Nadal wolę nie słuchać.

– Powiem tak. Jeśli to jest ten, o kim myślę, to zapewniam cię, że Reed zginął tak, jak to opisałem, czyli nic nie poczuł.

Spojrzała na niego i uwierzyła mu. Archie zatriumfował, jakby rozbił bank.

34.

– Założę się o kaczkę, że trafię cztery z rzędu.

– O kaczkę? O czym ty mówisz?

– Jeśli trafię cztery kaczki - odrzekł zabójca - da mi pan jedną.

Było za gorąco na przechadzkę po jarmarku w hrabstwie Hudson - trzydzieści pięć stopni po zmroku. Połowa terenu świeciła pustkami, z

wyjatkami straganów z lodami i przedsiębiorczych dzieciaków, które sprzedawały kawałki lodu do chłodzenia spoconych czoł. Upał irytował ludzi i właściciel strzelnicy z ruchomym szeregiem kaczek, które od wielu godzin nie przyciągały chętnych, nie był w nastroju do żartów.

– Jak trafisz w kaczkę, wygrasz nagrodę. Cygaro, jeśli nie jesteś za młody, żeby je palić. - Spojrzał z powątpiewaniem na drobną chłopięcą postać opartą o ladę. - Albo psa. - Wskazał niebieskiego gipsowego buldoga. - Jak trafisz cztery razy, wygrasz pluszowego misia dla swojej dziewczyny - jeśli masz jakąś. Kaczka jest celem. Kaczki się nie dostaje.

– Boi się pan, że trafię cztery?

– Nie trafisz nawet trzech.

– Zakład o kaczkę.

Zabójca rzucił na ladę pięciocentówkę za pięć strzałów i oddał trzy tak szybko, że zamek karabinu stał się niewyraźną plamą. Trzy ruchome kaczki padły i wstały. Właściciel przestawił ukrytą dźwignię i szereg przyśpieszył.

Zabójca się uśmiechnął.

– To pana nie uratuje.

Strzelił jeszcze raz, trafił czwartą i przesunął lekko karabin tak, że lufa wycelowała w kierunku właściciela straganu.

– Został mi jeszcze jakiś?

– Jeden.

– Niech pan mi da moją kaczkę.

* * *

Ordynans w mundurze armii Stanów Zjednoczonych wprowadził Bella do recepcji obok frontowego holu rezydencji Millsa na Dupont Circle. Córka brygadiera Millsa, Helen, była w każdym calu taką „ślicznotką”, jak ją opisał Archie - wysoką szczupłą brunetką o długich ramionach, władczym spojrzeniu brązowych oczu i intrygująco niskim głosem.

Bell podszedł prosto do niej.

– Miło jest mi poznać damę o sławnym lewym sierpowym.

Zaskoczona Helen Mills uniosła brwi.

– Mam zrobić unik? - zapytał Bell. - Jestem przyjacielem Archiego Abbotta.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Jeśli ta gnida przysłała pana z przeprosinami.

– Przyszedłem na własną rękę.

– Bierze pan udział w akcji pana Abbotta?

– Pan Abbott brał udział w mojej akcji. I powiem wprost, że to z pani ojcem, brygadierem Millsem, muszę się spotkać.

– Co z wami jest, nowojorczycy? Dlaczego nie pójdzie pan po prostu do biura mojego ojca? Nie jest taki groźny, na jakiego wygląda. Właściwie jest całkiem przystępny.

– Nie z tą sprawą. Jest bardzo osobista.

– Pan przynajmniej jest szczery. Archie kręcił.

– Żeby być fair wobec mojego starego przyjaciela - odrzekł Bell - musimy przyjąć, że na pani widok stracił głowę.

Nie wyglądała na taką, co nie lubi komplementów. Przyjrzała się Bellowi jeszcze raz i uśmiechnęła, jakby spodobało jej się to, co zobaczyła.

– Coś panu proponuję, detektywie Bell. Niech pan zostanie na lunch. Jeśli jeszcze pan tu będzie, kiedy mój ojciec wróci do domu, przedstawię pana.

– O której przychodzi?

– Późno jadamy obiad.

– Stawia pani twarde warunki - stwierdził Bell - ale czy mogę się temu oprzeć?

Przyszło mu do głowy, że gdyby nie zaprzątały mu myśli Edna i Nellie Matters, z pewną nadzieją czekałby na to, że armia wyśle ojca Helen na Terytorium Indiańskie w najbliższy weekend.

Alt Helen sprawiał, że wydawała się starsza, niż mówił Archie. Dużo starsza. Okazała się dziewczyną, która zaczyna drugi rok w Bryn Mawr College. Przy lunchu wyznała, że nie wie, co będzie robiła w przyszłości. Ale powiedziała Bellowi, że jednego jest pewna: nie wystarczy jej małżeństwo i wychowywanie dzieci.

Bell się dowiedział, że bohaterkami Helen i jej koleżanek ze studiów są dziennikarka E.M. Hock i sufrażystka Nellie Matters. To, że znał obie kobiety, czyniło go w jej oczach prawie takim samym bohaterem jak one. Zanim wrócił

ojciec Helen, przekonał ją, żeby ukierunkowała swoje studia na jeszcze śmielszą karierę niż Edny i Nellie.

Generał brygady G. Tannenbaum Mills, niski barczysty sztywniak, spłodził Helen w późnym wieku. Wyglądał na jej dziadka, ale był silny jak teksaska krowa długoroga i tak samo uparty. Helen zrobiła mu koktajl i przynagliła go, żeby zaprosił Bella do swojego gabinetu. Na ścianach wisiały szable, pistolety pojedynkowe i noże myśliwskie.

Bell miał trudności z przekonaniem starego konserwatysty, że doprowadzenie mordercy na szubienicę jest ważniejsze niż ochrona armii przed kłopotem z powodu dezercji żołnierza ileś lat temu. Mills powtarzał swój argument głosem wyćwiczonym do przekrzykiwania huku szarżującej kawalerii.

– Armii jest łatwiej zaszkodzić, niż przypuszczają cywile. Reputacja jest wszystkim. Skaza na naszym honorze byłaby dla prezydenta...

– Porucznik K.K.V. Casey - przerwał mu Bell.

– Co?

– Szeregowiec Howard H. Gensch... Sierżant Clarence Orr.

– O czym pan...?

– To strzelcy wyborowi.

– Wiem o tym!

– Porucznik Casey zdobył Medal Prezydenta w tysiąc dziewięćset trzecim, szeregowiec Gensch w zeszłym roku, a sierżant Orr w tym.

– Po co pan wymienia ich nazwiska?

– Armia Stanów Zjednoczonych chyba nie wstydzi się takich snajperów?

– A co oni mają wspólnego z szeregowcem Jonesem?

– Właśnie tego chcę się od pana dowiedzieć. Ani porucznik Casey, ani szeregowiec Gensch, ani sierżant Orr nie są szeregowcem Billym Jonesem. Niech pan będzie w porządku wobec swoich żołnierzy i pomoże mi powiesić zabójcę.

– Jak? - warknął Mills.

– Słyszał pan kiedykolwiek o dyrektorze Standard Oil nazwiskiem Bill Matters?

Mills odstawił szklanę.

– Byłem ciekaw, czy pan zapyta.

– Zna go pan?

– O, tak.

Bell przysunął się bliżej i weteranowi przysłała na myśl puma, która zaraz przygniecie go czterema łapami.

– Skąd?

– Gdy prowadziliśmy śledztwo w sprawie dezercji Billy’ego Jonesa - odrzekł Mills - znaleźliśmy pozostawione przez chłopaka rzeczy, które wskazały nam trop, a przynajmniej tak myśleliśmy. Pojechałem osobiście do człowieka, który według nas był prawdopodobnie ojcem Billy’ego Jonesa. To, że jego syn zniknął mniej więcej w tym samym czasie, kiedy szeregowiec Jones wstąpił do armii, wydawało się to potwierdzać.

– Co on zostawił?

– Wykorzystane bilety do teatru. Na sztuki Szekspira. Doprowadziły nas do Oil City w Pensylwanii.

– Bill Matters mieszkał w Oil City. Wychowywał tam swoje córki, zanim się przeniósł do Nowego Jorku.

– Nadal utrzymywał dom w tysiąc dziewięćset drugim. I, jak wiem, wciąż utrzymuje. W każdym razie znalazłem go w Oil City.

– Dlaczego pojechał pan tam osobiście?

– Woląłem nie ryzykować, że podlegli mi oficerowie obrażą ważnego człowieka, który może nie mieć nic wspólnego z dezserterem, poza tym, że rozpacza po stracie syna, który uciekł w dziewięćdziesiątym ósmym, żeby walczyć na wojnie.

– Czy snajper był synem Billa Mattersa?

Brygadier Mills spojrział Bellowi w oczy i Isaac łatwo wyobraził go sobie jako młodego oficera, który prowadził swoich ludzi prosto pod grad ołowiu.

– Nie jestem z tego dumny - wyznał - ale musiałem zatuszować sprawę. Poszedłem do domu Mattersa. Porozmawiałem z nim w cztery oczy. Był sam. Zastąłem go siedzącego po ciemku. Oplakiwał chłopaka.

– W tysiąc dziewięćset drugim? Przecież to było lata po jego zniknięciu.

– Mimo to wciąż go oplakiwał. Obiecałem, że nasza rozmowa pozostanie tajemnicą. Przedstawiłem mu swoje zdanie. Uparty sukinsyn nie chciał mi wierzyć. Był pewny - absolutnie pewny - że snajper to nie jego zaginiony syn.

– Detektywi spotykają się z podobnymi zaprzeczeniami rodziców przestępców - odrzekł Bell.

Generał odpowiedział w nietypowo okrężny sposób.

– Dowodzę ludźmi przez całe życie, Bell. Gettysburg. Zachód. Kuba. Filipiny. Potrafię czytać w ludziach. Wiem, co myślą, wcześniej niż oni sami. Bill Matters mówił prawdę! Snajper Billy Jones to nie jego syn.

– A jednak? - zagadnął Bell.

– A jednak co? - odparował Mills.

– A jednak wyczuwam pański... powiedzmy... niepokój? Jeśli nie wątpliwości?

Rozzłoszczony Mills odwrócił wzrok. Popatrzył na swoją kolekcję broni. Zawahał się. Jego twarz przybrała wyraz, jakby się zastanawiał, czy lepiej zastrzelić Bella, czy zadać mu śmierć szablą. W końcu się odezwał.

– Może pan też czyta w ludziach. Ma pan rację. Coś tam było nie tak. Nie wiem co, ale zdecydowanie nie tak. Coś się nie zgadzało.

– Co?

– Bill Matters wiedział, że jego chłopak to nie snajper. Ale nie zaskoczyła go moja wizyta.

– To znaczy?

– Nie był zaskoczony, że powiązałem go ze strzelcem wyborowym, który zdobył Medal Prezydenta w tysiąc dziewięćset drugim. Nawet kiedy siedział tam po ciemku i zaprzeczał, że bilety do teatru są jego.

– Może nie były.

– Zastałem go w salonie z tyłu domu. Nie chciał stamtąd wyjść ani zapalić światła. Więc rozmawialiśmy w ciemności. Kiedy mój wzrok przyzwyczaiał się do mroku, zobaczyłem, że pokój jest pełen zabawkowych teatrzyków. Wie pan, o co mi chodzi?

– O papierowe dekoracje sceniczne. Można je kupić w nowojorskich teatrach.

– Salon był ich pełen. Ale on kategorycznie zaprzeczał, że bilety do teatru są jego.

– Pan, zdaje się, sugeruje, że Matters wie, kim jest dezertor - zauważył Bell.

– Ja nie sugeruję, tylko mówię panu, że Matters ponad wszelką wątpliwość wiedział, że snajper, który zdezerterował, to nie jego zaginiony syn.

– Jak to? - zapytał Bell. - Skąd mógł wiedzieć?

– Albo dokładnie wiedział, gdzie był jego zaginiony chłopak w tysiąc dziewięćset drugim tego dnia, kiedy Billy Jones zdobył Medal Prezydenta, albo...

– Albo zna snajpera - dokończył Bell.

– Moim zdaniem dezertor to nie jego syn - odparł brygadier. - To ktoś inny.

Bell rozważał w głowie ewentualności, gdy usłyszał słowa starego generała:

– A jakie pan ma zamiary wobec mojej córki?

– Wobec Helen? Złożyłem jej już propozycję.

– Propozycję? Ona ma dopiero osiemnaście lat. Musi ukończyć college.

– Staralem się ją przekonać i zgodziła się zgłosić na praktykę do Agencji Detektywistycznej Van Dorn, jak tylko uzyska dyplom.

– Ki diabeł podsunął panu pomysł, że moja córka mogłaby być detektywem?

– Helen ma zabójczy lewy sierpowy... Ale czy moglibyśmy wrócić do czytania w ludziach? Odnoszę wrażenie, że czegoś pan jeszcze nie powiedział o snajperze.

Mills przytaknął.

– Ale to tylko spekulacje, nie mogę tego dowieść.

– Chętnie posłucham.

– Założę się, że Matters go chroni.

35.

– Jesteś pewien, że chcesz to wszystko rozwalić na drobne kawałki? - padło pytanie z ust zabójcy.

– Tak pewien, jak znam swoje nazwisko - odrzekł Bill Matters.

Stali niewidoczni z ulicy na oszklonym tarasie na dachu saloonu Hook, cztery piętra nad frontową bramą rafinerii Standard Oil na przylądku Constable Hook. Taras, zbudowany kiedyś przez pewnego kapitana, który zbił majątek na tranie, zdobiły drewniane iglice i wymyślne brązowe piorunochrony w kształcie

harpunów. Mimo że Bell był coraz bliżej, Matters czuł się tu chwilowo bezpieczny, bo cały saloon należał do niego.

Widział z przykrością, że rafineria prosperuje tak jak on i Spike Hopewell marzyli, kiedy zaczęli ją budować na cyplu, który wrzynał się w Zatokę Nowojorską na północ od Staten Island. Po jej przejęciu Standard Oil stale ją powiększał według własnych planów. Równe rzędy zbiorników i destylarni pokrywały pagórkowaty przylądek. Parowe tankowce pełnomorskie stały w basenach portu paliwowego. Miejscowość przeistoczyła się w ciągu ostatnich sześciu lat z przeżywającej boom hałaśliwej wioski w zatłoczone miasto z kamienicami, fabrykami, sklepami, kościołami i szkołami dla dwudziestu tysięcy robotników, ich żon i dzieci.

Lornetka zabójcy przesuwiała się od największego zbiornika ropy przez miasto i pokryte zbiornikami wzgórze do szczytu najwyższej wieży strażackiej Standard Oil, a potem w dół zbrocza ponad dachami z powrotem do zbiornika ropy z czerwoną kaczką jako dziesiątką.

Upał się wzmógł i wilgotność wzrosła. Starzy ludzie porównywali to z zabójczym skwarem w 1896, a nawet z falą gorąca w 1892, kiedy w nadmorskich miastach zmarły tysiące osób. Na oszklonym tarasie było duszno, rozgrzane powietrze wokół zbiorników drgało tak gwałtownie, że wszystko zdawało się ruszać. Zadaniem zabójcy było wykorzystanie wszystkich swoich umiejętności, żeby wykalkulować, jak to zmieni tor lotu pocisku.

– Nie wolałbyś zniknąć zamiast tego?

– Zniknąłem. Nie podoba mi się to.

– A może zastrzelę Rockefellera?

– Nie! Nie zabijaj go. Chcę, żeby zobaczył zniszczenie tego.

– Odbuduje to.

– Spóźni się. Zainwestowałem w rafinerie w Filadelfii, Delaware, Bostonie i w Teksasie. Jak zetrę z mapy Constable Hook, będę kontrolował nadmorską produkcję. Chcę, żeby to też zobaczył.

Informacja była zdumiewająca i jednocześnie mocno niepokojąca, bo okazanie zaskoczenia oznaczałoby przyznanie się do poważnego braku wiedzy, która czyniła myśliwego myśliwym zamiast zwierzyną. Bill Matters doskonalił się. Nie od wczoraj; robił to cały czas.

– Jesteś jak Rockefeller. - W głosie zabójcy brzmiał podziw.

Matters się roześmiał.

– Mistrz niespodzianek.

– Więc znikniesz?

– W Europie... z klasą.

– Mogę pojechać z tobą?

– Oczywiście - odrzekł bez wahania Matters. - Dostarczę ci zajęcia. Nie wycofuję się, tylko zaczynam od nowa.

* * *

Uwagę zabójcy zwrócił ruch na ulicy w dole. Silny mężczyzna w kombinezonie toczył drewnianą szpulę z miedzianym kablem. Zniknął pod okapem, gdy skręcił w zaułek, który prowadził na tyły saloonu.

– Ki diabeł? - zapytał Matters.

– Miedziany drut.

– Widzę. Dokąd on go toczy?

– Do piwnicy.

– Skąd wiesz?

– Bo jest dla mnie.

Bill Matters spojrzał twardo na zabójcę.

– Co ty teraz kombinujesz?

– Niespodziankę. Jak Rockefeller. Albo lepiej, jak ty.

– Jaką niespodziankę?

– Niemiłą.

– Dla kogo?

– Dla Isaaca Bella.

* * *

Błyskawice bez grzmotów rozświetlały raz po raz ponure nocne niebo.

Isaac Bell podchodził z bronią w ręku do prywatnego wagonu kolejowego Billa Mattersa. Salonka stała na odległej boczniczy linii Putnam Division w dolinie Saw Mill River trzydzieści dwa kilometry od Nowego Jorku i niecałe szesnaście od posiadłości Johna D. Rockefellera w Pocantico Hills.

Bell ignorował szczypiący go w oczy pot i bzyzące wokół jego uszu komary. Stąpał po drewnianych podkładach, żeby podsypka nie chrzęściła. Ale błyski burzy w oddali mogły go zdradzić.

Dział badań Van Dorna ustalił, że właściciel numeru telefonu, który Bell znalazł u rusznikarza zabójcy, ma peron dla prywatnych wagonów kolejowych na dworcu Union Station w Pittsburghu. Biuro terenowe w tym mieście dowiedziało się, że w ciągu ostatniego pół roku były dwa połączenia telefoniczne między wagonem Billa Mattersa a tamtym peronem. Wally Kisley i Mack Fulton wiedzieli, których dyspozytorów kolei New York Central Railroad przekupić, żeby zlokalizować salonkę w hrabstwie Westchester.

Detektywi przydzieleni do pilnowania wagonu z daleka zameldowali, że jedna osoba weszła do niego tuż po zmroku. Nie widzieli, żeby ktoś wychodził. Dział badań zdobył plany wagonu produkcji Pullman Palace Car Company. Bell je zapamiętał, kazał detektywom zniknąć z widoku i poszedł sam.

Kiedy się zbliżył, zobaczył światło między zasłonami. Równą linię dachu zakłócał komin, który wskazywał kuchnię i jadalnię z przodu salonki. W tych oknach było ciemno, z tyłu wagonu też.

Piętnaście metrów dalej usłyszał muzykę. Z odległości pięciu rozróżnił słowa przebojowej piosenki *Come Take a Trip in my Airship* z fonografu.

Tenor Billy Murray zaczynał ostatni refren. Bell popędził naprzód, żeby wykorzystać okazję, zanim cylinder się zatrzyma.

Wybierzmy się w podróż moim statkiem powietrznym.

Wybierzmy się w rejs wśród gwiazd.

Polećmy wokół Wenus.

Okrążmy Marsa.

Wspiął się na tylną platformę.

Nikt nie wypatrzy, że się całujemy.

Nikt nie zobaczy, jak się obejmujemy.

Otworzył drzwi. Muzyka stała się głośniejsza.

*Wyberzmy się w podróż moim statkiem powietrznym,
A odwiedzimy człowieka na Księżycu.*

W środku przywarł plecami do drzwi i zamknął je cicho. Był w tylnym salonie, gdzie rozkładane pluszowe siedzenia mogły służyć do spania. Ruszył przed siebie w kierunku światła za zasłoną. Muzyka dochodziła ze środkowej części, gdzie firma Pullman urządziła Mattersowi biuro.

Nagle jakaś postać wyszła zza zasłony.

Bell opasał ją oburącz stalowym chwytem.

36.

Edna Matters usłyszała wrzask i wpadła do salonu ze swoją strzelbą kaliber 410.

Zobaczyła Bella i opuściła broń.

– Dzięki Bogu, że to ty.

Bell trzymał w ramionach Nellie. Czuł, jak serce jej wali z przerażenia. Puścił ją. Uspokoiła się po kilku głębokich oddechach.

– Cześć, Isaac. Spodziewaliśmy się ciebie. Mogłeś zapukać.

– Naszego ojca tu nie ma i nie wiemy, gdzie jest - oznajmiła Edna.

– Powiedziałybyście mi, gdybyście wiedziały?

– Nie, Isaac.

– Zrozum, że wszystko, co zrobił, było wybuchem gniewu. Dzięki tobie nie zabił Rockefellera. Uratowałeś go od popełnienia strasznej zbrodni z wściekłości. Nic się nie stało. Jesteśmy ci za to wdzięczni. Ale czy on zasługuje na więzienie po tym, co wycierpiał?

– A co się stanie następnym razem, kiedy mnie nie będzie, żeby go powstrzymać?

– To się nie powtórzy.

– Uspokoi się? Wątpię.

– Przejdzie mu. Nie jest zimnokrwistym zabójcą.

– Przygotował zabójstwo - odrzekł Bell. - Otworzył złącza pomostu. Zwabił tam Rockefellera. Zaplanował z wyprzedzeniem, jak go zabije. Każdy sąd uzna to za zabójstwo z premedytacją.

– To wina Rockefellera - odparowała Nellie. - Oszukał biedaka.

– Ojciec musiał mieć załamanie nerwowe - dodała Edna. - Wszystko przez Rockefellera. Doprowadził go do szaleństwa.

– Przykro mi, siostry, ale to, co zrobił w Niemczech, było duże gorsze niż „wybuch gniewu”.

– Zgodziłbyś się na umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym?

– Na zamknięcie go w szpitalu psychiatrycznym.

– Gdzie by go leczyli - powiedziała z zapalem Nellie.

– Może adwokaci zdołaliby przekonać do tego sędziego i ławę przysięgłych - odparł Bell - zwłaszcza gdyby sam się zgłosił. Wiecie, gdzie on jest?

Pokręciły głowami.

– Nie - zaprzeczyła Nellie. - Naprawdę.

– Był tutaj?

– Nie wydaje nam się - odrzekła Nellie.

– Co to znaczy?

– Nie ma tu nic z jego rzeczy. Przeszukałyśmy wszystkie szafy i szafki.

– A jak się tu znalazłyście?

– Wykorzystujemy wagon ojca jako kwaterę główną - wyjaśniła Nellie.

– Kwaterę główną?

– Przelotu Nowej Kobiety. Nie pamiętasz? Wyczarterowałam lokomotywę, żeby dojechać rano do North Tarrytown.

Nagle zaczęła mówić z szybkością karabinu maszynowego. Powiedziała, że balony przylatywały z bliska i daleka. Zbierały się na łące, którą wynajęła od właściciela zajazdu Senna Kotlina.

– Za dolara, Isaac, dasz wiarę?

Bell przytaknął.

– Wierzę. Poznałem go.

Ledwo go usłyszała.

– Tuż obok Pocantico Hills! On nienawidzi Rockefellera. I jest zachwycony naszymi przelotami nad jego posiadłością. Namówił nawet nowych zarządców wioski, żeby doprowadzili na miejsce gaz, więc nie musimy wytwarzać własnego, co jest wspaniałe, bo pompowanie z sieci jest o wiele szybsze, i zachęcił kobiety, żeby ustawiły namioty, i udostępnił nam łazienki w zajezdzie. To jest zachwycająco przyzwoite pole kempingowe. Gdyby jeszcze nie ten piekielny upał. Ale jesteście ponad to, prawda?

To zrozumiałe i pozytywne, pomyślał Bell, że Nellie zaangażowała się w program Przelot, żeby nie mierzyć się z ponurą przyszłością jej ojca.

– A ty, Edna? Też latasz balonem?

– Edna relacjonuje Przelot dla „Sun” - odpowiedziała za nią Nellie. - Wydawca był podekscytowany jej artykułem o Baku.

– Jak znalazłyście ten wagon?

– Bez problemu - odrzekła Nellie. - Ta bocznica jest jedną z ulubionych ojca. W dzień jest tu bardzo ładnie i cicho. Nie ma dużego ruchu kolejowego. On nazywa to swoim wiejskim domkiem.

– I nie natrafiłyście na żaden ślad ojca?

– Nie. Rozejrzyj się, jeśli chcesz. Ale zobacz, co znalazłyśmy.

– Pamiętasz naszą rozmowę o wstąpieniu mojego brata do armii? - spytała Edna.

– Oczywiście.

– To zobacz, co znalazłyśmy - powtórzyła Nellie.

– Byłam zaskoczona, kiedy Nellie mi to pokazała - powiedziała Edna.

Wyjęła z szuflady skórzaną sakiewkę i położyła ją na biurku.

– Mogę? - zapytał Bell.

– Proszę bardzo.

Bell uniósł sakiewkę do nosa.

– Czy wasz ojciec pali kubańskie cygara?

– Nie - zaprzeczyła Edna.

– Woli takie za dwa centy - dodała Nellie. - Otwórz to, Isaac. Zajrzyj do środka.

W środku był jakiś medal, banknot pięćdziesięciodolarowy i kartka eleganckiego papieru papeteryjnego złożona na czworo, żeby zmieściła się w

sakiewce. Okrągły złoty medal okazał się wyjątkowo ciężki. Miał wygrawerowaną tarczę strzelniczą i wisiał na czerwonej wstążce ze złotą spinką z napisem „Strzelec wyborowy”. Pięćdziesiątka była biletem skarbowym.

– Odwróć to - poleciła Nellie. - Zobacz, co jest z tyłu.

Bell zobaczył podpis prezydenta Roosevelta nad drukowaną sygnaturą skarbnika.

– Przeczytaj list.

Bell ostrożnie rozłożył kartkę, bo papier wydawał się nadwyreżony przez wielokrotne rozkładanie. Zobaczył nagłówek Białego Domu. Rzucił okiem na adresata poniżej z lewej strony.

Szeregowiec Billy Jones

Siódmy Pułk Newark

New Jersey

Przeczytał:

Drogi Żołnierzu,

przed chwilą dowiedziałem się, że wygrałeś Prezydenckie Zawody Strzeleckie w ramach Mistrzostw Armii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pragnę osobiście pogratulować...

Prezydent zakończył:

Z wyrazami szacunku

I podpisał się pogrubionymi literami:

Theodore Roosevelt

– To musi być nasz brat, nie sądzisz? - zapytała Nellie. - Jeszcze żył w tysiąc dziewięćset drugim.

- Skąd to się wzięło w wagonie waszego ojca?
- Billy mógł się tu ukrywać, kiedy zdezerterował. Znał różne miejsca postoju wagonu ojca.
- Mógł się zwrócić do ojca o pomoc - powiedziała Edna.
- Czy wasz ojciec chroniłby go? - zapytał Bell, celowo powtarzając słowo, którego użył brygadier Mills, kiedy spekulował o Billu Mattersie i dezercerze.
- Oczywiście - przytaknęła Edna, Nellie zaś pokiwała energicznie głową.
- A próbowałby namówić go do powrotu?
- Ojciec zrobiłby to, co uznaliby za najlepsze dla przyszłości Billy'ego - odparła Nellie.
- Jak przypuszczacie, gdzie jest teraz Billy? - spytał Bell.
- Podejrzewam - odrzekła Edna - że ponownie zaciągnął się do wojska pod innym nazwiskiem. Ale jeśli tak zrobił, to może dlatego nie mamy od niego żadnej wiadomości, że zginął w walce z filipińskimi partyzantami.
- Wątpię, że zginął na Filipinach - powiedział Bell. Wyglądało mu na to, że brygadier Mills nie rozgryzł swojego człowieka... - Mógłbym o coś zapytać?
- Którą z nas? - spytała Nellie.
- Obie. Jeśli ten snajper Billy Jones jest waszym bratem, Billym Hockiem, to czy możecie sobie wyobrazić, że wykorzystuje swoje umiejętności do zabijania?
- Pytasz, czy nasz brat jest tym zabójcą?
- Pytam, czy wyobrażacie sobie, że mógłby być?
- Nie widziałyśmy go od lat - odparła Edna. - Kto wie, kim się stał?
- Czy chłopak, którego pamiętacie, mógłby się stać mordercą?
- Nie - zaprzeczyła Edna.
- Tak - potwierdziła Nellie.
- Dlaczego przytaknęłaś, Nellie?
- Bo znałam go lepiej niż Edna. Prawda, Edno?
- Tak, byliście blisko ze sobą - przyznała Edna i zwróciła się do Bella: - Tak blisko, że czasami byłam zazdrosna.
- Dlaczego przytaknęłaś, Nellie? - powtórzył Bell.
- Bo zawsze się bał. Więc skoro pytasz, czy mogę sobie wyobrazić, że wykorzystuje swoje umiejętności do zabijania, to muszę sobie wyobrazić, że

atakuję - najpierw ze strachu, potem dlatego, że atakowanie tłumi strach, i w końcu...

– W końcu co? - spytał Bell.

– W końcu co, Nellie? - zawtórowała mu Edna. - Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. Po prostu spekuluję.

– Ale właśnie powiedziałaś, że dobrze go znałaś - naciskał Bell, przekonany, że na coś wpadła.

Nellie wzruszyła ramionami.

– A co, jeśli atakowanie w końcu stłumiło strach? Może potem stało się... czym? Przyjemnością? Pokusą? Czymś, do czego się dąży.

– Mówimy o mordowaniu - przypomniała Edna.

– Mówimy o naszym bracie - odparowała Nellie.

– Ale kto może znajdować przyjemność w mordowaniu?

– Szaleniec - powiedział Bell.

– Mówimy o naszym bracie - powtórzyła z naciskiem Nellie. - I tylko spekulujemy o mordowaniu... - Urwała, a kiedy znów się odezwała, miała łagodniejszy ton, jakby pytanie zadane z pełnym nadziei uśmiechem mogło wyeliminować najgorszą ewentualność. - Jak uważasz, Isaac? Jesteś detektywem. Czy nasz brat jest zabójcą?

– Nie mogę tego dla was upiększać - odparł Bell.

Jego poważny ton zakończył rozmowę. Pogrążeni w myślach, słuchali dźwięków szarańczy w nocnym upale. Po chwili, gdy Bell sformułował w głowie pytania, na które nie mógł tu dostać odpowiedzi, wstał nagle. Znalazł swój kapelusz i pożegnał się.

– Dokąd się wybierasz? - zapytała Nellie.

– Muszę złapać pociąg.

– Zdążysz wrócić na mój przelot?

– Postaram się.

– Co rozumiesz przez „szaleniec”?! - zawołała za nim Edna.

Bell przystanął w drzwiach.

– Człowieka bez sumienia. Bez strachu.

– Kogoś, kto „stłumił strach”, jak mówi Nellie?

– O szaleńcach wiemy naprawdę tylko to - odpowiedział Bell - że są nieprzewidywalni.

– Jeśli to prawda, to jak łapiesz takich ludzi?

– Nigdy się nie poddaję - odrzekł Bell, ale wyszedł w ciemność skoncentrowany na bardziej skutecznym sposobie. Też będzie nieprzewidywalny.

* * *

Domy po obu stronach rezydencji Billa Mattersa w Oil City wyglądały na opuszczone. Ich ogrody były zarośnięte, okna puste. Ogród przed domem Mattersa zbrązowiał od palącego słońca. Zaciągnięte zasłony przypomniały Bellowi słowa brygadiera Millsa, że Matters rozpacza w ciemności. Okna mogły być zasłonięte dla ochrony przed upałem. W zachodniej Pensylwanii panował jeszcze większy skwar niż w Nowym Jorku. Konduktor w pociągu powiedział Bellowi z ponurą satysfakcją, że ponieważ fala gorąca przesuwa się z zachodu na wschód, w Nowym Jorku będzie niedługo „żar jak w piekle”.

Nikt nie zareagował, kiedy Bell nacisnął przycisk brzęczyka przy furtce od frontu. Otworzył zamek wytrychem.

Nikt nie zareagował na jego pukanie do drzwi frontowych, więc ten zamek też otworzył wytrychem.

– Jest tu ktoś?! - zawołał w górę schodów i w głąb holu.

Wydało mu się, że poczuł lekki zapach gotowanego jedzenia, więc ruszył do kuchni. Nikogo tam nie zastał, ale na kuchence stała patelnia z zastygłym tłuszczem z boczku. Sprawdził pokoje i znalazł salon z papierowymi teatrzykami, o którym wspominał Mills. Zasłony były zaciągnięte jak w pozostałych pokojach. W ciemności nie siedział Bill Matters.

Drzwi kuchenne prowadziły do ogrodu z tyłu, dużego jak w wiejskich domach. Od ulic i sąsiadów odgradzały go wysokie drewniane płoty i gęste jodły. Bell uświadomił sobie, że domy po obu stronach są puste, bo Matters je kupił i zamknął, a potem ogrodził i połączył ich ogrody ze swoim. Słyszał odgłosy miasta wokół, ale go nie widział.

Miejsce robiło wrażenie ruiny. Porzucona drewniana wieża wiertnicza leżała na boku wśród pnączy obok kawałków drewnianych rur, jakby Matters chciał założyć muzeum początków przemysłu naftowego w Pensylwanii. Bell okrążył

wieżę i natrafił na zarośnięty algami staw. Obok leżała marmurowa płyta nagrobkowa bez nazwiska, a jedynie z epitafium, które rozpoznał jako szekspirowskie.

*Mój przyjacielu, na Chrystusa,
Kości leżących tu nie ruszaj.
Chwała mu, kto ten głaz oszczędzi,
Kto ruszy mnie, przeklętym będzie¹.*

Za plecami usłyszał:

– W rzeczywistości Szekspir nie jest tu pochowany. Córki zrobiły mi niespodziankę na moje czterdzieste urodziny. Podnieś ręce, zanim się odwrócisz.

37.

Bell podniósł ręce i odwrócił się.

Matters celował w niego ze swojego starego remingtona i nie był sam. Rivers, sprawny fizycznie i wyjątkowo niepokieruszony stary zawodowy bokser, trzymał smith & wessona jak mechaniczne przedłużenie swojej pięści.

– Podobno dla kamerdynera nikt nie jest bohaterem - zwrócił się Bell do Mattersa. - Musisz być wyjątkiem, skoro Rivers zrezygnował z ciepłej posadki w hotelu Gramercy Park, żeby się do ciebie przyłączyć, kiedy się ukrywasz.

– Pan Matters dał mi ciepłą posadkę, kiedy ja się ukrywałem - odparł Rivers.
- Przysługa za przysługę.

– Ty też jesteś zabójcą?

– Tak uznała ława przysięgłych.

– Będę go trzymał na muszce - powiedział Matters. - Ma rewolwer w kaburze pod pachą. I jeśli się nie mylę, to chyba znajdziesz derringera w jego kapeluszu.

– Ręce wyżej i stój spokojnie - rozkazał Rivers.

¹ Przeł. Piotr Kamiński (przyp. tłum.).

Schował swoją broń do kieszeni i wyciągnął bisleya z kabury pod pachą Bella.

– Ładna sztuka!

– Zatrzymaj ją - odrzekł Matters. - Detektyw Bell nie potrzebuje jej.

Rivers wetknął pistolet za pas z szerokim uśmiechem.

– Jeśli ci się podoba - powiedział Bell - to zaczekaj, aż zobaczysz mojego derringera.

Rivers strącił mu kapelusz z głowy. Podniósł go z trawy, sięgnął do środka i wyjął miniaturowego jednostrzałowego derringera na zamówienie. Pożyczył go Bellowi Dave McCoart na czas, kiedy konstruował dla niego replikę dwustrzałowca, którego Isaac stracił w Rosji.

– A niech mnie! Jesteś chodzącym arsenałem wysokiej klasy. Proszę, proszę...

Rivers popełnił dwa błędy. Kiedy podnosił kapelusz detektywa, znalazł się częściowo między Bellem a Mattersem. I pozwolił, żeby Bell rozproszył jego uwagę. Ułamek sekundy wcześniej nim Matters zdążył się przesunąć, żeby mieć wolne pole ostrzału, Bell z całej siły kopnął boksera lewą nogą w krocze. Potem padł na trawę, jednym ruchem wyciągnął z prawego buta nóż i rzucił.

Bill Matters krzyknął z zaskoczenia i bólu. Wypuścił ciężkiego sześciostrzałowego remingtona z dygoczących palców i spojrzał z niedowierzaniem i przerażeniem na ostrze między kośćmi swojego nadgarstka. Płaska metalowa rękojeść drgała, wbita w wierzch jego ręki, dwa i pół centymetra lśniącej od krwi klingi wystawało ze spodu przedramienia.

Bell porwał z ziemi remingtona i walnął nim w głowę Riversa, kiedy ten, sapiąc, próbował się wyprostować. Potem detektyw obrócił się z powrotem i zdzielił Mattersa starym pistoletem. Cios zwałił nafcjarza z nóg.

Bell miał jedną parę kajdanek. Przykuł Mattersa do żelaznego kręgu w wieży wiertniczej, rozbroił nieprzytomnego Riversa, zabrał mu piersiówkę whisky i sznurowadła, zawlókł go dziesięć metrów dalej i przywiązał za kciuki do wieży. Wrócił do Mattersa.

– Co chcesz zrobić? - zapytał nafcjarz.

– Na początek odzyskać swój nóż - odrzekł Bell.

Wyszarpnął go z nadgarstka Mattersa, wytarł z krwi o jego koszulę i schował z powrotem do buta.

– Wykrwawię się na śmierć.

– Najpierw odpowiesz na masę pytań. - Odkręcił korek piersiówki Riversa i polał whisky ranę od noża. Matters wciągnął powietrze. - Zapobiega infekcji. A teraz, Bill, pogadajmy.

Bell zobaczył w oczach Mattersa taką samą wściekłość jak w pociągu do portu w Bremie.

– To koniec - oznajmił mu. - Złapałem cię na gorącym uczynku. Nie uciekniesz. Czas zacząć mówić. Gdzie jest zabójca?

Matters powoli się uspokoił.

– Gdzie? Gdzie jest zabójca? - naciskał Bell.

– Masz go przed sobą.

* * *

– Zastrzelełeś swojego dawnego wspólnika Spike'a Hopewella? A co z Albertem Hillem, Reedem Riggsem i C.C. Gustafsonem w Teksasie?

– Ich też.

– Gdzie się nauczyłeś tak strzelać?

– Polowałem. To przyszło samo. I przydało się. Krwiopijcy bankierzy wszystko przejęli po śmierci ojca. Szeryf przepędził nasze świnie i krowy, a moją matkę i mnie wyrzucił z domu. Jedliśmy to, co upolowałem. Później uciekłem do Cyrku Dzikiego Zachodu Buffalo Billa.

Bell przypomniał Mattersowi, że siedzieli w peerlessie razem z Rockefellerem, kiedy zabójca strzelał do nich w Baku.

– Zapłaciłem jednemu Kozakowi tysiąc rubli, żeby uwolnić się od podejrzeń.

– Zapłaciłeś mu, żeby mnie zranił czy zabił?

Matters spojrzał Bellowi w oczy.

– Zranił. Moje dziewczyny czuły do ciebie miętę. Liczyłem na to, że jednej z nich się powiedzie.

– Nikt nigdy nie zaprzeczył, że jesteś kochającym ojcem. Uzbroiłeś tamtego Kozaka w jeden ze swoich savage'ów?

– Nie miałem żadnego ze sobą. Użył własnego karabinu.

– Czyżby? - zapytał Bell. - Rosyjski mosin wzór tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden jest mniej więcej tak celny, jak pistolet kieszonkowy.

Krótkolufowa wersja kozacka jest jeszcze gorsza. Nigdy nie byłeś zabójcą. Dlaczego próbujesz chronić wynajętego człowieka za cenę własnego życia?

– Jakiego wynajętego człowieka?

– To do ciebie niepodobne, żeby chronić zabójcę. Nie jesteś honorowy. Spojrzysz mi w oczy i powiesz, że jesteś honorowy?

– Honorowy nigdy nie oszukuje.

– To dlaczego chronisz wynajętego zabójcę?

– Nie ma żadnego wynajętego zabójcy. Sam zabijałem.

– Otrułeś Averella Comstocka i zrzuciłeś Laphama z pomnika?

– Zrobiłem, co musiałem, żeby awansować w spółce.

– Starasz się chronić wynajętego zabójcę i nie wychodzi ci to.

– Po co miałbym to robić? - spytał Matters.

– Tylko jedna odpowiedź ma sens.

– Tak? Jaka?

– Zabójcą jest twój pasierb.

– Mój pasierb?

– Billy Hock.

– Mylisz się.

– Twój pasierb, który uciekł i wstąpił do armii.

– Nigdy nie uważałem Billy'ego za mojego pasierba. Był moim synem. Tak jak obie moje córki są moimi córkami.

– Nazywaj go, jak chcesz - odparł Bell - ale został najlepszym snajperem w armii, a ty zrobiłeś z niego mordercę.

Matters sposepniał. Gniew go opuścił.

– Mój syn nie żyje.

– Nie, twój syn jest mordercą, mordującym dla ciebie.

– Wiem, że nie żyje.

– Twoje córki nie wiedzą. Armia też nie. To skąd ty wiesz?

– Znalazłem jego ciało.

38.

Wysoki detektyw, pochylony nisko nad przesłuchiwanym przestępcą w kajdankach, zakołysał się do tyłu na piętach. Patrzył na niego zimno i myślał gorączkowo. Wreszcie zatoczył wokół Mattersa ciasny krąg, rzucił okiem na wciąż nieprzytomnego Riversa, spojrział na staw i z powrotem na Mattersa. Facet kłamał jak z nut, a jednak...

– Skoro Billy nie żył, to dlaczego Edna i Nellie powiedziały mi, że uciekł z domu i wstąpił do armii?

– Ja to wymyśliłem na ich użytek. Wołałem, żeby myślały, że zginął jako żołnierz.

– Jak stracił życie?

– Utopił się w tamtym stawie.

– Tutaj? W twoim ogrodzie? I nigdy nie zgłosiłeś jego śmierci?

– Sam go pochowałem.

– Dlaczego?

– Żeby chronić dziewczynki.

– Przed czym?

– Popęłnił samobójstwo. Biedny chłopak zawiązał sobie linę na szyi. Drugi koniec przywiązał do betonowego bloku. Potem podniósł blok i wszedł do stawu. Muł go wessał i beton wciągnął mu głowę pod wodę. Zobaczyłem jego stopę. W jego nogawce zostało powietrze i unosiła się na powierzchni. Nie rozumiesz, Bell? Dziewczynki go kochały. Gdyby się dowiedziały, że był tak nieszczęśliwy, że popęłnił samobójstwo, byłyby zdruzgotane. Wiem, bo co dzień zadaję sobie pytanie, co zrobiłem źle? Co mógłbym zrobić lepiej?

– Spike powiedział, że potem nigdy już nie byłeś sobą.

– Miał rację.

– Dlaczego kazałeś go zastrzelić?

– Bo nie był taki głupi, jak myślałem. Albo taki „honorowy”. Zorientował się, co kombinuję, i kiedy Standard zaczęło się dobierać do niego w Kansas, zagroził, że powie Rockefellerowi, że zamierzam go zniszczyć. Myślał, że mogę mu pomóc, że mogę powstrzymać Standard przed rozwaleniem jego firmy...

Zanim zaczniesz obwiniać jakiegoś innego niewinnego, powtarzam, że nie „kazałem zastrzelić” Spike’a. Sam go zabiłem.

– Nie - zaprzeczył Bell. - Byłeś półtora tysiąca kilometrów od niego, na Constable Hook, na jednym ze swoich regularnych spotkań z Averellem Comstockiem.

– Nie byłem na Constable Hook, tylko w Kansas.

– Detektywi Van Dorna przeczytali to w dzienniku Comstocka - odrzekł Bell. - Nie było cię w Kansas w dniu, kiedy zginął Spike. I nie wymyślaj nowego kłamstwa, bo sekretarka Comstocka potwierdziła, że przyszedłeś na tamto spotkanie punktualnie jak zwykle...

Matters szarpnął kajdanki.

– Kiedy zacząłeś mnie sprawdzać? - zapytał z goryczą.

– Sprawdzaliśmy wszystkich nowych, którzy mogli zaatakować Standard Oil od wewnątrz. Po twojej próbie zabicia Rockefellera naturalną kolejną rzeczą skupiliśmy się na tobie. Gdzie pochowałeś Billy’ego?

Matters wskazał nagrobek.

– Tam. W grobie szekspirowskim.

Bell spojrział na kamienną płytę i wyobraził sobie kolejność zdarzeń. Chłopak się zabił. Nagrobek już tu był. Matters wykopał dół. Płyta przykryła bezimienny grób.

– Zabawne - powiedział Matters - że on nigdy nie chciał chodzić do teatru. Nie cierpiał tego. Biedny chłopak nigdy nie mógł spokojnie usiedzieć. Wiercił się przez całą sztukę.

– Pochowałeś go właśnie tutaj, kiedy się utopił?

– Tak jak ci przed chwilą powiedziałem. Możesz odkopać kości biednego chłopaka, jeśli mi nie wierzysz.

– Wierzę, że go pochowałeś, ale nie wierzę, że sam się utopił.

– Utonął - powtórzył z uporem Matters.

– Utonięcie to najmniej prawdopodobny sposób, jaki Billy by wybrał, żeby się zabić. Jeśli utonął, to nie popełnił samobójstwa.

– Utonął.

– To ktoś go zamordował.

– Nigdy nie zrobiłbym mu krzywdy.

– Wierzę ci, ale to ty znalazłeś jego ciało.
– Mówiłem ci.
– Twoje dziewczyny wspomniały ci, że znałem trochę Billy’ego w college u?

– Powiedziały mi, że go broniłeś.
– Zabijaki odkryły powód jego największego strachu i wykorzystywały to przeciwko niemu. Pamiętasz, czego najbardziej się bał?

– Co masz na myśli? - zapytał ostrożnie Matters.

– Chłopaki z załogi wrzucali go do rzeki. Sztywniał ze strachu. Był dosłownie skamieniały, oczy wychodziły mu na wierzch z przerażenia. Wrzeszczał, że nie umie pływać. Wyciągali go natychmiast, ale tak się bał wody, że nie mógł zrozumieć, że to tylko studenckie wygłupy. Nie ma mowy, żeby ten chłopak popełnił samobójstwo, topiąc się.

Ale kiedy Bell to mówił, przypomniał sobie, jak Billy odważnie usiłował pozbyć się strachu i prosił załogę, żeby pozwoliła mu nauczyć się sterowania. Spróbował znowu i udało mu się to w ostatnim obłąkańczym akcie?

Bell popatrzył uważnie na nagrobek.

– Mówiłeś, że Billy nie lubił teatru?

– Nie cierpiał.

* * *

Bell usłyszał w głowie słowa starego brygadiera Millsa: „Wykorzystane bilety do teatru... Sztuki Szekspira... Doprowadziły nas do Oil City w Pensylwanii...” I nagle coś mu zaświtało. Po co chłopak trzymałby bilety na sztuki, których nie cierpiał?

– Pytałem cię, dlaczego nie zgłosiłeś śmierci Billy’ego.

– Mówiłem ci. Żeby chronić dziewczynki.

– Którą?

39.

- Którą? - powtórzył Matters jak echo.
- Chronisz jedną z twoich córek. Którą?
- Co to znaczy którą?
- Ednę albo Nellie. Tę, która zabiła Billy'ego.
- Zabiła Billy'ego? Jesteś szalony.

Nie szalony, pomyślał Bell. Nawet nie zaskoczony, gdy sięgnął pamięcią wstecz. Zauważył już w pociągu New York Limited, że dziwnym trafem wszyscy troje zawsze zjawiają się tam, gdzie została popełniona zbrodnia. A kiedy załatwił Ednie pracę korespondentki „Evening Sun” w Baku i wydawca zapytał, do której z sióstr czuje miętę, jakiś szósty zmysł sprawił, że stał się bystrzejszym detektywem, niż sam się spodziewał. Odpowiedział, że w tym układzie będzie mógł mieć na oku obie.

Nie szalony, nie zaskoczony, tylko zasmucony. Głęboko zasmucony.

- Kochały go! - krzyczał Bill Matters. - Dlaczego któraś z nich miałyby go zabić?!
- Bo, używając twojego określenia, „to przyszło samo”.
- Co?
- Zabijanie.

* * *

- Załamała się - powiedział cicho Matters. - To była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, kiedy ją zobaczyłem. Załamała się.

- Kto? - zapytał Bell. - Edna czy Nellie?

Matters nie wytrzymał przenikliwego spojrzenia Bella i popatrzył na staw.

- Kto? - powtórzył Bell. - Nellie czy Edna?

Matters pokręcił przecząco głową.

- Kogo zobaczyłeś?

- Była tam, w wodzie. Myślałem, że unosi się na jakiejś kłodzie. Dopóki nie zobaczyłem jego. Wskoczyłem tam, złapałem ją i oderwałem od niego.

Wyciągnąłem go, wywlokłem na trawę. Był niewiarygodnie ciężki. Taki mały facet, a tyle ważył.

– Nie żył?

– Trzymałem go w ramionach. Ona wyszła ze stawu i stanęła za mną. Pytałem ją w kółko dlaczego. Dlaczego to zrobiłaś? Nie wypierała się.

– Przyznała się, że go utopiła?

– Powiedziała, że to była jego wina, bo był tchórzem. Zmarnował okazję.

– Jaką?

– Żeby być mężczyzną. Mężczyznom wszystko wolno.

Bell stwierdził w duchu, że nie całkiem wierzy Mattersowi. Albo nie chce.

– Nikt tego nie widział? Nikt w tamtych domach?

– Była noc.

– Ty ich zobaczyłeś.

– W blasku księżyca w pełni. Świecił jak dla lunatyków.

– To była Nellie czy Edna?

Matters pokręcił głową.

– Która z twoich córek jest niewinna? - zapytał ostro Bell.

– Obie - odrzekł ponuro Matters.

– Jedna jest winna. Nellie, twoja rodzona córka, czy Edna, twoja pasierbica?

– Kocham je tak samo, całym sercem.

– Nie wątpię, ale która jest zabójczynią?

– Mogę tylko powiedzieć, że żadna - odparł Matters. - Nawet, żeby mieli mnie powiesić.

– Tego możesz być pewien - odrzekł Bell.

– Zabiorę odpowiedź na twoje pytanie do grobu.

Bell uświadomił sobie, że gdyby zabójczyni przestała zabijać i popełniać następne zbrodnie, to on mógłby przez resztę życia zastanawiać się i nigdy nie dowiedzieć, która z nich była taką kobietą, jaką się wydawała, a która morderczynią. Ale dlaczego miałyby przestać? Ile jeszcze będzie ofiar, zanim ją złapie?

Nagle wpadł na straszny pomysł. Dostrzegł okrutny, ale zapewne skuteczny sposób na zmuszenie Mattersa do wyznania prawdy.

- Nie ma wątpliwości, że będziesz wisiał, Bill.
- Nie dbam o to.
- Pozostaje tylko kwestia, czy dziewczyna, która zawisnie obok ciebie, będzie tą właściwą.
- Co masz na myśli? - zapytał Matters, ale Bell widział, że nafciarz dobrze wie. Zbladł, mięśnie szczęki mu stężały, ręce tak się trzęsły, że kajdanki grzechotały.
- Jediną prawdą, jaką kiedykolwiek powiedziałeś, jest to, że kochasz swoje córki.
- Bo tak jest.
- Zabójczym tak sprytnie zacierała za sobą ślady, że to mogła być tylko jedna z nich. Albo Edna, albo Nellie. Ale sprawiedliwości musi stać się zadość.
- Powieszenie niewłaściwej nie będzie sprawiedliwe.
- Niestety zdarzają się takie pomyłki. W tym wypadku lepszy kłamca będzie wolny.

40.

Ponurzy vandornowcy w ciemnych płaszczach i melonikach szli po obu stronach Bella przez trawiaste pole oddzielone drogą od zajazdu Senna Kotlina. Wiekową gospodę wciąż otaczało błoto. Twardą zieloną łąkę zajmowała wielobarwna flota balonów w różnych stadiach napełniania gazem.

Żółty balon Nellie Matters był najwyższy, jego cebulowata czasza górowała nad drzewami na skraju posiadłości w Pocantico. Został już całkowicie napełniony i dziewczyna szykowała się do lotu pod ogromnym transparentem sufrażystek.

Do hasła PRAWA WYBORCZE DLA KOBIET dodała słowa: PRZELOT NOWEJ KOBIETY NELLIE MATTERS, jakby pytała: „Gdy już uzyskacie prawo wyborcze, zagłosujecie na Nellie?”

Pozostałe balony były już prawie całkowicie lub do połowy napełnione, ich czasze o nieregularnych kształtach wisiały w stojącym powietrzu. Sufrażystki, które je pilotowały, dodały nazwy swoich stanów do napisu PRAWA WYBORCZE DLA KOBIET i apele skierowane do Rockefellera w nadziei, że

pod ich naciskiem tytan ze Standard Oil wpłynie na zmianę konstytucji i kobiety będą mogły głosować.

Dziennikarze i dziennikarki chodzili między nimi, zaproszeni za linię, która odgradzała balony od wielopoziomowej trybuny dla publiczności. Maszyny do pisania stukwały na piknikowych stołkach w otwartym namiocie. Fotografowie taszczyli trójnogi z aparatami na płyty szklane i wymachiwali mniejszymi kodakami, które umożliwiały robienie zdjęć w biegu.

Bell dostrzegł Ednę Matters w białej bawełnianej sukience i skierował się ku niej. Legitymację prasową „New York Sun” wetknęła beztrąsko za wstążkę słomkowego kapelusza i pisała w kieszonkowym notesie. Z kosmykami kasztanowych włosów na zgrabnym karku wyglądała z tyłu jak chłopiec. Odwróciła się do Bella i uśmiech rozjaśnił jej piękną twarz.

– Cześć, Isaac! Co za dzień urządziła Nellie! Są wszyscy. Nawet bojaźliwa Amanda. Jest w szkarłatnym balonie.

Bell wziął ją za ramię. Edna zobaczyła vandornowców.

– Cześć, Mack. Cześć, Wally. Miło was znów widzieć. Zdążyliście na start. Nellie leci pierwsza, reszta za nią.

– Chłopcy zawiozą cię do Nowego Jorku - powiedział Bell.

– A co się stało?

– Bardzo mi przykro, Edno, ale twój ojciec jest w naszym biurze.

– Czy on...

– Lekarz go opatruje. Nic mu nie jest. Nie przekażę go policji, dopóki się z nim nie zobaczysz.

– Lepiej pójde po Nellie.

– Ja to zrobię.

* * *

Nellie go obserwowała, kiedy nadchodził.

Uśmiechała się do niego ciepło i machała, jakby go zapraszała, żeby dołączył do niej.

Minęły lata, odkąd Bell raz leciał balonem, ale rozpoznał jego elementy dzięki jej żywiołowym opowieściom: kosz średnicy trzech metrów z mocno splecionego ratanu, baterię stalowych cylindrów z „awaryjnym gazem”,

sprężonym wodorem, który mogła wpuścić do wąskiego wylotu czaszy, mocny pierścień wokół jej otworu, czyli obręcz nośną kosza z podwieszoną do niej gondolą, i ogromną siatkę z lin na powłoce balonu.

Do sterowania służyły trzy dźwignie na krawędzi kosza, połączone drutami z piaskowym balastem do zrzucania, aby się wznieść, i zaworem do upuszczania gazu, żeby opaść. Lina wieczka do zmniejszania ciężaru i przerywania opadania leżała zwinięta na dnie gondoli. Czwarta, czerwona dźwignia była połączona z baterią cylindrów z awaryjnym gazem.

Nellie uśmiechała się w promieniu słońca, który przeświecał przez tkaninę czaszy dwadzieścia pięć metrów wyżej. Przypominała Bellowi kapitana statku tuż przed wyjściem w morze - opanowanego, pewnego siebie i czujnego. Stała z ręką za kamizelką w klasycznej pozie admirała lorda Nelsona. Albo Napoleona, pomyślał ponuro Bell. I uświadomił sobie, że nigdy nie wyglądała piękniej. Policzki miała zarumienione, oczy jej błyszczały z podniecenia.

Bell wskoczył do kosza. Liny łączące gondolę z czaszą drgały od naprężenia, które powodował ciąg gazu w górę.

– Cześć, pięto achillesowa - powitała go wesoło.

– Co?

– Jesteś moją piętą achillesową. Ilekroć próbuję cię zastrzelić, chybiam.

– Skoro używasz pojęć mitologicznych, Nellie, to przywitaj się ze swoją Nemezis.

– Nią też jesteś. Ale gdybyś nie był moją piętą achillesową, już byś nie żył. Jakoś nigdy nie mogłam się zdobyć na to, żeby cię zabić.

– Za późno, żeby zmienić zdanie - odparł Bell.

Nellie wyciągnęła rękę zza kamizelki. Jej derringer z perłową rękojeścią miał już odciągnięty kurek. Wycelowała w serce Bella.

– Nie zbliżaj się.

– To koniec - odrzekł Bell.

– Wyjdź z kosza, zanim cię zastrzelę. Wiesz, że to zrobię.

Bell ruszył ku niej.

– Nacisnę spust, jeśli w tej chwili nie usiądziesz na podłodze - ostrzegła Nellie. - Już! Zginiesz i niczego to nie zmieni, bo ucieknę.

– Jak daleko dolecisz balonem?

– Ostatnia szansa, Isaac. Jesteś większy i silniejszy. Nie mogę dopuścić cię bliżej.

Usiadł po turecku, gotowy do skoku, gdy tylko Nellie odwróci wzrok. Uwielbiała mówić. Nie było trudno nakłonić ją do tego.

– Nie ma wiatru - powiedział. - Polecisz prosto w górę. Kiedy gaz się skończy, wylądujesz kilka kilometrów stąd.

– Będę się wznosiła, dopóki nie natrafię na wiatr. Do troposfery. Stratosfery. Egzosfery! Tak wysoko, jak będzie trzeba.

– Nie będziesz mogła tam oddychać. Umrzesz.

– Wiatr zawsze wieje na zachód. Zdmuchnie moje ciało do morza.

– Chcesz umrzeć?

– A jak by ci się podobała śmierć w więzieniu lub na szubienicy, Isaac? Powiedz mi.

– Najpierw ty mi coś powiedz.

Wyglądała, jakby miała się roześmiać.

– Proszę bardzo, Isaac.

– Czyj to był pomysł, żeby zabijać za twojego ojca? Twój czy jego?

– Zgłosiłam się na ochotnika.

Bell pokręcił głową. Usiłował przekonać samego siebie, że ojciec jakoś ją zmusił.

– Dlaczego się zgodził? Pozwolił na to własnej córce?

– Wiedział, co potrafisz. Widział mnie w akcji.

– Kiedy mordowałaś swojego brata?

– Przestań zadawać głupie pytania, Isaac. Zapytaj o coś ważnego.

– Jak się nauczyłaś strzelać?

Nellie odpowiedziała tak, jakby powtarzała historię, którą przeczytała w jakiejś książce.

– Uciekłam z domu, kiedy miałam czternaście lat. Jak ty. Wstąpiłam do cyrku. Jak ty.

– Twój ojciec opowiedział mi tę samą historię. Szeryf przepędził świnie i krowy jego matki. Jak to wyjaśnisz?

Zignorowała pytanie.

– Zanim ojciec mnie znalazł, mistrzyni popisów strzeleckich nauczyła mnie wszystkiego, co umiała. Miałam talent do używania broni - pewną rękę i dobry wzrok. Widzę dalej niż ktokolwiek. I potrafię się skoncentrować, a większość ludzi nie potrafi.

– To przyszło samo?

– Jak oddychanie.

– A atakowanie, żeby stłumić strach?

– Ja się nigdy nie boję - zaprzeczyła Nellie. - A przy okazji, widzę, że się szykujesz do skoku. Nie rób tego!

Bell ostentacyjnie rozluźnił nogi.

– W torbie jest twój karabin?

– Jestem w absolutnie szczytowej formie strzeleckiej.

– Naładowany wybuchającymi pociskami?

– Przestań się popisywać, Isaac. Wszyscy wiedzą, że jesteś świetnym detektywem.

– Na kogo to jest?

– A jak myślisz?

– Na Rockefellera.

– Za to, co zrobił mojemu ojcu, John D. Rockefeller zapłaci dużo wyższą cenę niż życie.

– Co może być wyższą ceną niż życie, Nellie?

– To, co Rockefeller najbardziej kocha. Masz jeszcze jakieś pytania, Isaac?

Musiał się postarać, żeby mówiła dalej.

– Pewien młody żołnierz dostał od prezydenta Stanów Zjednoczonych pochwałę za zdobycie najwyższego amerykańskiego odznaczenia strzeleckiego. Dlaczego zdezerterował z armii?

– Zdezerterowała - poprawiła Nellie - bo nie widziała swojej przyszłości w armii.

– Służba wojskowa kobiet w męskim przebraniu ma długą i chlubną historię.

– Nie miałam wyboru - odparła z goryczą. - Jak inaczej dziewczyna mogła zdobyć Medal Prezydenta? Wiedziałam, że strzelam najlepiej, lepiej niż jakikolwiek mężczyzna. Jak inaczej mogłam to udowodnić?

– Ale musiało być trudne oszukiwać mężczyzn w koszarach. Jak to robiłaś, Nellie?

Gorycz zniknęła, bo za bardzo chciała się pochwalić. Ale nie spuszczała go z oka. Derringer w jej ręce nie zadrżał, kiedy rozstawiła nogi i zniżyła głos, żeby zadrwić z Bella i ludzi, których oszukiwała.

– Męski ton, teatralne sztuczki, takie jak peruka, spodnie, buty. Detektyw powinien wiedzieć, że ludzie wierzą w to, co uważają za prawdę.

– Ale dlaczego ta młoda snajperka zdezerterowała?

– Zdobyła medal. Po co miała zostawać? Musiała iść naprzód. Ja zawsze idę naprzód.

– A może się obawiała, że ją zdemaskują? Tak jak się bała, że zostanie zdemaskowana, kiedy jej brat został zamordowany, i wstąpiła do armii w przebraniu chłopaka?

– Ona się nigdy nie bała.

– Po tym, jak się dowiedziała, że ojciec kocha ją tak bardzo, że wszystko jej wybaczy...?

– Albo pozbędzie się swojego najgorszego strachu - odpowiedziała chłodno Nellie. - Mimo że widział to na własne oczy, potrafił tylko mówić, jak bardzo kochał moją matkę.

Derringer tkwił nieruchomo w jej dłoni, kiedy się podciągała i siadała na okrągłej krawędzi kosza z torbą podróżną pod pachą.

– Billy był tylko pasierbem ojca.

– I twoim przyrodnim bratem, dzieckiem twojej własnej matki.

– Nie znałam własnej matki. Umarła, kiedy byłam niemowlęciem.

– Ale dlaczego zabiłaś Billy'ego?

Nellie spojrzała Bellowi w oczy.

– Z wielu powodów, Isaac. Był strasznym tchórzem. Próbowałam go uwolnić od tego głupiego strachu przed utonięciem. Popełniłam błąd, że mu się zwierzyłam. Powiedziałam mu, że uciekam, żeby wstąpić do armii... Kochałam go, Isaac. Bardzo go kochałam. Ale wszystko by zniszczył, gdyby się wygadał. I nie mogłam znieść tego, że się boi.

Bell wciąż czekał, aż Nellie odwróci wzrok, ale wpatrywała się w niego.

– Jak go zabiłaś? - spytał.

Nagle kobiety w najbliższym balonie zawołały:

– Nellie! Jesteśmy prawie gotowe.

Przycisnęła pistolet do boku i pomachała do nich, nie odwracając głowy ani nie odrywając wzroku od Bella.

– Jak dziewczyna mogła utopić chłopaka jej wzrostu? Nie bronił się?

– Był półprzytomny.

– Otrułaś go.

– Nie otrułam - zaprzeczyła z oburzeniem. - Dałam mu trochę wodzianu chloralu.

– Wodzianu chloralu? To krople nasenne.

– Żeby go uspokoić. Nie otruć.

– Uspokoić go, żeby go zabić?

– Pomagałam mu pozbyć się strachu. Wiedziałam, że jak raz popłynie, to już będzie pływał. Ale się nie udało. Był beznadziejnym tchórzem.

– Zemdłał? Dlatego utonął?

– Nie słuchasz, Isaac? Był półprzytomny. Nie zemdłał.

– Utopiłaś go.

– Był beznadziejnym tchórzem.

– Utopiłaś go.

– Powiedzmy po prostu, że wodzian chloralu stworzył taką możliwość.

– W taki sposób zamroczyłaś tamtego starszego człowieka, który spadł z pomnika Waszyngtona? Użyłaś kropli nasennych?

– Chloroformu.

– A co dałaś Comstockowi?

– Arszenik.

– Gdzie się nauczyłaś...?

– Pracowałam kiedyś jako aptekarka. Robiłam mnóstwo rzeczy, Isaac. Lubię zmiany. Byłam krótko aktorką. Ilekroć uciekałam, znajdowałam fascynujące zajęcia. Wróciłam do cyrku i zostałam akrobatką. Na trochę. Studiowałam medycynę jako jedna z pierwszych dziewczyn na Uniwersytecie Johna Hopkinsa. Nie zostałam tam długo.

– Dość długo, by poznać trucizny.

– I anatomię - dodała z uśmiechem i dotknęła swojego karku.

Kapelusz spadł Bellowi z głowy. Zanim dotknął jego ramienia, Isaac już trzymał swojego derringera w prawej ręce i celował w twarz Nellie. Zobaczył w jej oczach szok, ale nie strach, choć wiedziała, że nie zdąży strzelić pierwsza. Mimo to była szybka jak błyskawica.

* * *

W najgłębszym przekonaniu Isaaca Bella człowiek niewinny był święty. Do tej chwili Bell nie wyobrażał sobie strzału do kobiety. Dobrze wiedział jednak, że Nellie Matters nie jest niewinna, że to pozbawiona emocji morderczyni, która z zimną krwią chce go zabić. Nacisnął spust. Nie był zbyt zaskoczony, gdy pocisk minął jej głowę o całe trzy centymetry i trafił w drut sterowniczy, który pękł z melodyjnym dźwiękiem.

Nellie się wzdrygnęła i pocisk z jej broni zagwizdał obok ucha Bella.

Przez ułamek sekundy, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność, patrzyli na siebie. Bell nie miał już amunicji, w jej dwustrzałowcu został jeden nabój. Isaac przygotował się do ataku. Przypuszczał, że jej strzał na chybił trafił raczej go zrani, niż zabije. Nellie wycelowała derringera prosto w jego twarz i uśmiechnęła się szeroko.

– Domyślam się, że chybiłeś, bo detektywi Van Dorna biorą podejrzanych żywcem. Czy po prostu jesteś kiepskim strzelcem?

– Ty też chybiłaś - zauważył Bell. - Znowu. Więc jeśli nie możesz mnie zastrzelić ani otuć, to jak mnie powstrzymasz przed zabraniem ci broni?

– Gazem!

Pociągnęła czerwoną dźwignię awaryjną i przytrzymała ją mocno. Sprężony wodór uszedł z hukiem z cylindrów w górę wylotu napelnionej już czaszy i balon szarpnął jak rozrywający łańcuchy słoń samotnik. Nellie złapała za dźwignię balastu, zrzuciła cały piasek jednocześnie i zrobiła salto w tył na trawę.

Bell zerwał się na nogi. Był do połowy poza koszem, gdy zobaczył, że łąka pod nim znika, jakby patrzył w niewłaściwy koniec lunety.

Balon był piętnaście metrów nad ziemią, na poziomie piątego piętra, zbyt wysoko na skok, i wznosił się ku chmurom.

CZEŚĆ 4: PIORUN

Październik 1905, Constable Hook

41.

Niekontrolowany balon gazowy Nellie Matters wystrzelił pod niebo, unosząc Isaaca Bella ku stratosferze, gdzie powietrze było za rzadkie do oddychania. Pozostałe kolorowe balony, przed momentem ogromne, nagle stały się maleńkie i zaczęły wyglądać jak kulki do gry na polu przy Sennej Kotlinie. Biały krąg na zielonej trawie oznaczał miejsce, gdzie Nellie zrzuciła piasek.

Bellowi wydało się, że widzi, jak dziewczyna biegnie do innego częściowo napełnionego balonu. Ale bez balastu do przeciwdziałania szybkiemu wznoszeniu, które powodował lżejszy od powietrza gaz, Bell znalazł się po sekundzie zbyt wysoko, żeby rozróżnić poszczególne postaci, tak wysoko, że zobaczył rozciągającą się do rzeki Hudson posiadłość Rockefellera. Usłyszał lokomotywę i uświadomił sobie, że jedyne odgłosy dochodzą z ziemi; po początkowym huku dodatkowego gazu balon wzbijał się bezdźwięcznie. Pociąg osobowy do Nowego Jorku, świetny Lakeshore Limited, jechał ku stacji kolejowej North Tarrytown, ciągnąc dwa czarne wagony. Wynajął je Rockefeller, który wracał z Cleveland z całą swoją rodziną, i Bell poczuł satysfakcję, że bez względu na to, czy wyjdzie cało z tej opresji, przynajmniej uniemożliwił Nellie Matters zastrzelenie starego człowieka tego ranka.

Jedynym sposobem na przerwanie wznoszenia było wypuszczenie gazu.

Bell przyjrzał się drutom dźwigni sterowniczych. Ciężno balastowe, które przechodziło przez dno kosza, było bezużyteczne, bo Nellie zrzuciła cały piasek. Z dwóch biegnących w górę do wylotu ogromnego worka gazowego, jedno łączyło się z „klapą spadochronową” na szczycie czaszy. Podczas swoich opowieści o balonie Nellie nieraz tłumaczyła, że pociągnięcie tej dźwigni rozrywa materiał poszycia i uwalnia cały gaz jednocześnie. Było to urządzenie awaryjne do natychmiastowego opróżniania balonu na ziemi, żeby silny wiatr

nie zwał go na drzewa lub druty telegraficzne. Po otwarciu klapy spadochronowej na tej wysokości balon runąłby w dół jak kamień.

Drut przecięty pociskiem, który przeleciał obok Nellie, okazał się połączony z zaworem gazu. Pękł centymetry nad dźwignią. Bell spojrzał w górę i zobaczył, że dwadzieścia pięć metrów wyżej koniec ciężna jest nadal przymocowany do klapy upustowej na szczycie czaszy balonu. Drut został rozerwany, kiedy był naprężony, i wystrzelił w górę wylotu. Kołysał się w pustym worku gazowym niezbyt wysoko, ale poza zasięgiem Bella. Balon nie miał szkieletu, po którym można by się wdrapać do środka - kształt nadawało powłoce ciśnienie gazu - ale nawet gdyby coś mogło posłużyć Bellowi za drabinę, udusiłby się gazem po niecałych trzech metrach wspinaczki.

Wskoczył na obrzeże ratanowego kosza i podciągnął się po linie do jego stalowej obręczy nośnej. Wisząc na jednej ręce, chwycił się lin, które tworzyły ogromną siatkę wokół pękatej powłoki balonu. Potem sięgnął w dół po nóż w bucie. Dotknął ostrzem naprężonego materiału, żeby go przeciąć i wypuścić gaz.

Po raz pierwszy od tygodnia poczuł podmuch chłodnego powietrza. Balon uniósł go ponad falę gorąca na wysokość zimnego prądu w górnej strefie atmosfery. Bell zorientował się, że nie ma chwili do stracenia. Szachownica pół uprawnych daleko w dole wydawała się ruchoma. Niebieska wstęga rzeki Hudson znikła z tyłu. Tak jak przewidziała Nellie, wiatr niósł go na wschód nad Connecticut.

Już miał nacisnąć na ostrze, gdy przyszło mu do głowy, że nie bez powodu upust gazu i kłapa spadochronowa są umieszczone na szczycie balonu. Wsunął rękę między linę i materiał, żeby pokonać ciśnienie w środku czaszy, podciągnął się wyżej po siatkę z lin i stanął na obręczy nośnej kosza.

Niczym pozaziemski olbrzym, które wspina się po globie od bieguna południowego do północnego, posuwał się w górę po krzywiznie kulistego balonu jakby ku równikowi, zwisając prawie poziomo z siatki.

Przebył jakieś dwanaście metrów po coraz szerszej powłoce i stopniowo przyjął pionową pozycję, gdy przekraczał obwód balonu w najszerszym miejscu.

Zerknął w dół i zobaczył srebrzyste wody Long Island Sound upstrzone białymi żaglami i zasnute smugami dymu z parowców. Dostrzegł piaszczyste urwiska North Shore na Long Island i uświadomił sobie, że balon dostał się w silniejszy prąd powietrza, przyspieszył i wciąż się wznosi. W miarę unoszenia

się coraz wyżej farmy wydawały się coraz mniejsze, a skupiska miast coraz bliżej siebie.

Powyżej „równika” balonu Bell mógł się poruszać szybciej. Wysiłek go męczył, ale parł w górę, mając w oczach przykuwający jego uwagę widok zielonego krańca szerokiej na trzydzieści kilometrów Long Island i niebieskich wód Atlantyku za nim. Wiedział, że jeśli się nie udusi w stratosferze, to spadnie do oceanu.

Dotarł do kopuły na szczycie wypełnionej gazem powłoki, wyciągnął z buta nóż i wbił go w materiał. W dziwnej ciszy syk sprężonego gazu, który uchodził przez małe rozcięcie, był ogłuszający. Ale Bell nie czuł żadnej zmiany, balon nie przestał się wznosić, a tym bardziej nie zaczął opadać. Omijając nożem siatkę, rozpruł ostrzem więcej tkaniny z nadzieją, że długość szczeliny będzie w sam raz, żeby balon szybko się zniżył, ale tak się nie stało.

Dostał zawrotów głowy. Stopy zsunęły mu się z linowej siatki. Trzymał się jej coraz słabiej. Nóż zaczął się wysuwać z jego palców. Gaz! Uzmysłowił sobie nagle, że gaz dmucha mu w twarz. Wdychał go, wciągał do płuc, co groziło mu utratą przytomności. Opuścił głowę pod rozcięcie i zacisnął ręce na siatce. Było coraz gorzej. Kręciło mu się w głowie. Zebrał się w sobie, zszedł po linach niżej i zaczerpnął powietrza. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, sięgnął w górę i podziurawił nożem materiał.

Tysiące metrów sześciennych lżejszego od powietrza gazu wciąż unosiły balon. Ile trzeba go spuścić, żeby opaść? Przypomniał sobie, jak Nellie opowiadała o obliczaniu równowagi między ciężarem do uniesienia a ilością gazu. Usłyszał odgłos rozdierania i spojrzał w górę. Materiał między dwoma rozcięciami pękał i gaz uchodził przez coraz większą dziurę.

Bellowi zrobiło się niedobrze. Przez chwilę myślał, że gaz przyprawia go o mdłości. Potem zdał sobie sprawę, że balon stracił zdolność utrzymywania się w powietrzu i spada.

* * *

Bez możliwości sterowania upustem Bell mógł tylko zejść do kosza i wyrzucić z niego wszystko, żeby zmniejszyć obciążenie, które ciągnęło balon ku ziemi. Ręka za ręką, stopa za stopą, opuszczał się najszybciej jak mógł z jednej poprzecznej liny na drugą ku największej średnicy worka z gazem.

Czy powłoka zmiękła? Bez wątplenia. Materiał przestał napierać na siatkę. Bell spojrział w dół. Zobaczył farmy, srebrzystą cieśninę i brzeg Long Island. Ale balon opadł już tak nisko, że nie było widać oceanu.

Bell dotarł do „równika” i rozpoczął długie poziome schodzenie pod krzywizną kulistej powłoki. Zwisał z siatki, trzymając się jej nad głową, i posuwał ku pionowej ścianie najniższej części balonu, aż wreszcie dotarł do obręczy nośnej kosza i zsunął po linach do gondoli.

Jakaś farma rozpościerała się pod nim: zielone pola z czarnymi krowami, duży dom ocieniony rozłożystymi drzewami, czerwona stodoła i obora, staw i okrągłe silosy, które celowały w niebo jak stojące ołówki. Na skraju pól rósł las. Cieśnina zniknęła z widoku.

Oderwał węże od stalowych butli z wodorem i wywalił ciężkie zbiorniki z kosza. Nie miał nic więcej do odciążenia balonu, a nadal opadał. Wyrzucił wleczkę z gondoli.

Przez chwilę fantazjował, że wyląduje w lesie, gdzie sprężyste wierzchołki drzew spowolnią balon. Ale leciał prosto na farmę. Cieniste drzewa też mogłyby go przyhamować, ale wkrótce stało się jasne, że nie są na jego kursie. Nagle znalazł się nad stodołą. Po chwili był już tak nisko, że rozróżniał gonty na dachu. Wiatrowskaz na szczycie miał kształt koguta. Wleczka zahaczyła o niego. Czy to go trochę spowolni? Chwycił się lin kosza i przygotował na twarde lądowanie.

Gondola uderzyła w dach, roztrzaskała gonty i wpadła do środka na strych wypełniony sianem. Bele siana nie zamortyzowały impetu. Podłoga strychu się zarwała, kosz zawisł na krokwiach i zatrzymał się gwałtownie. Prawie pusty worek z gazem osiadł w nieruchomym powietrzu na stodole.

Isaac Bell opadł z dna gondoli na podłogę.

Wstawał, gdy czerwony na twarzy farmer wparował do stodoły.

Bell wyjął portfel.

– Zapłacę panu za dach. Mógłbym skorzystać z pańskiego telefonu?

– Nie chcę, żeby kobiety głosowały! - krzyknął farmer.

– Co?

– Na całej mojej stodole jest napis „Prawa wyborcze dla kobiet”.

– Ma pan telefon?

– Nie.

– To pożycz mi konia, bym dojechał do najbliższej stacji kolejowej.

Bell zadepeszcował do biura terenowego w Nowym Jorku.

ZNAJDŹCIE NELLIE MATTERS

CHROŃCIE ROCKEFELLERA

Złapał lokalny pociąg do New Haven i zadzwonił do biura z publicznego telefonu międzymiastowego Southern New England Company, kiedy czekał na ekspres. Grady Forrer zameldował, że Nellie Matters uciekła innym balonem.

– Nie ukryje się w balonie.

– Zmrok zapada - odrzekł Grady. - Może się ukrywać całą noc.

– Chrońcie Rockefellera - powtórzył Bell.

– Jest bezpieczny. Otacza go armia naszych ludzi.

– Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Bell zorientował się, co według Nellie Matters Rockefeller ceni bardziej niż życie, na długo przed wjazdem ekspresu na Grand Central. Kiedy dotarł na Manhattan, zebrał wszystkich nowojorskich detektywów Van Dorna i wyczarterował parowe motorówki, żeby przewiozły ich przez zatokę na Constable Hook.

42.

– Hej, ty!

Nellie Matters zacisnęła dłoń na chwycie derringera w jej kieszeni. Prawie bez problemów dotarła do saloonu Hook.

– Ty! Stój!

Jestem tutejsza, przypomniała sobie. W swoim przebraniu miała pełne prawo iść tą ulicą wzdłuż siatkowego ogrodzenia rafinerii. Ale facet, który do niej krzyczał, pocił się w ciężkim, zapinanym na mosiężne guziki, granatowym mundurze lokalnego gliniarza. Zniżyła swój alt tak, żeby nadać mu brzmienie głosu pomiędzy ochrypłym tenorem a cienkim barytonem.

– O co chodzi?

Gliniarz rzucił okiem na jej robocze ubranie. Jej peruka - najlepsza, jaką mogła kupić - była gęstą szopą kręconych brązowych włosów, która ledwo się mieściła pod kaszkietem. Z pasa na jej ramieniu zwisała wąska torba narzędziowa z końskiej skóry. Wystające z tylnej kieszeni niklowane szczypce z bocznymi ostrzami miały jej nadawać wygląd czeladnika elektryka. Nikt w tym mieście z rafinerią dotąd jej nie zatrzymał.

– Ile masz lat?

Jestem tutejsza!

– Ile mam lat? - odparowała. - W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia cztery. A ty?

Gliniarz wyglądał na speszonego. Puściła pistolet w kieszeni i przewiesiła torbę narzędziową z lewego ramienia na prawe.

– Jezu. Z tyłu wyglądałeś jak dzieciak na wagarach.

Roześmiała się.

– Dobrze. Nie urywam się z budy, odkąd mnie wykopali z ósmej klasy.

Gliniarz też się roześmiał.

– Wybacz, brachu. Kazali mi łapać chłopaków na waksach.

– Coś ci powiem, kolego. Jak twój sierżant dał ci taką fuchę, to pójde z tobą, żebyś się wykazał. Ale nie mogę długo zostać. Muszę iść do roboty.

Gliniarz znów się roześmiał.

– Jesteś okej.

– Jasne, że jestem - mruknęła pod nosem, kiedy gliniarz odszedł, i pobiegła do saloonu Hook. - Jestem tak okej, jak tylko można być... A co u ciebie, Isaac?

* * *

Isaac Bell obsadził rafinerię ropy na Constable Hook uzbrojonymi ochroniarzami od Van Dorna pod dowództwem jego detektywów. Na ich szefa wyznaczył siwego Eddiego Edwardsa z Kansas City, bo Eddie specjalizował się w zwalczaniu plagi okradania pociągów w wielu miejskich wagonowniach przez gangi ze slumsów. Gliniarze spółki, których vandornowcy uważali za brutalnych łamistrajków w brudnych mundurach, sprzeciwiali się inwazji obcych, dopóki słowa z Jedenastego Piętra budynku na Broadway 26 nie zagrzmiały nad zatoką niczym salwa z dział okrętowych.

– Pan Rockefeller oczekuje, że wszyscy policjanci rafinerii wykonają swój obowiązek i pomogą Agencji Detektywistycznej Van Dorn w ochronie własności Standard Oil.

Jeszcze zanim Rockefeller podkreślił gliniarzy rafinerii, Eddie Edwards powitał szefów lokalnej policji, prywatnej straży pożarnej rafinerii i miejskiej ochotniczej straży pożarnej. To mądre rutynowe posunięcie przyniosło natychmiastowy skutek. Gliniarzy przydzielono do pilnowania wszystkich wysoko położonych punktów w mieście, gdzie mógłby się ulokować snajper. Standard Oil ściągnęło dodatkowe bataliony strażaków z innych rafinerii. Szeregi ochotników z Constable Hook zasilili ochotnicy ze wszystkich miast w New Jersey. Z Brooklynu i Long Island City przyplłynęły wyposażone w węże strażackie holowniki Standard Oil i wkrótce dołączyły do nich holowniki kolei Pennsylvania Railroad i New Jersey Central Railroad oraz flotylla Baltimore & Ohio Railroad z St. George. Potem mundurowy z oddziału do łapania wagarujących licealistów zameldował o spotkaniu z niskim, szczupłym, młodym elektrykiem, który odpowiadał jednemu z rysopisów przebranego za mężczyznę zabójcy, jakie miała Agencja Van Dorn.

– W mieście - powiedział Bellowi Eddie Edwards. - Taki niski i chudy, że gliniarz wziął go za dzieciaka. Przy ogrodzeniu. Nie w środku.

– Jeszcze - odrzekł Bell.

Przesłuchał gliniarza osobiście i nabrał pewności, że facet widział Nellie. Jej rozłożony 99 zmieściłby się łatwo w skórzanej torbie narzędziowej elektryka, którą opisał gliniarz. Po raz dwudziesty zastanawiał się, czy Nellie ma jakieś eksplodujące pociski Beitela. Kilka celnych strzałów wywołałoby pożar na dwustu czterdziestu hektarach. Jej obecność potwierdzała to, co mu powiedziała. Zamierzała się zemścić za ojca, niszcząc to, co dla Rockefellera było najcenniejsze. Bardziej niż życie i pieniądze cenił to, co zbudował, a rafineria na Constable Hook była jego największym dziełem.

– Isaac! - wydyszał Wally Kisley. - Znalazłem kaczkę.

Gliniarze wymienili zdumione spojrzenia.

Bell i Wally wbiegli do rafinerii. Vandornowcy przeszukujący teren pod kierownictwem Wally'ego, eksperta od materiałów wybuchowych, odkryli cel ze strzelnicy na zbiorniku z siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami litrów ropy.

– Ona tu jest - stwierdził Bell. - To jest dowód.

– Nie straciła poczucia humoru - powiedział Wally.

Kaczka była umieszczona wysoko na ogromnym zbiorniku, blisko szczytu. Została pomalowana na czerwono i przyczepiona na magnes. W dół zbiornika biegł przewód elektryczny połączony z jej klamrą szynową. Nellie ukryła pomysłowo drut, przymocowując go do grubego miedzianego kabla uziemiającego piorunochron zbiornika.

– Możesz to rozbroić tak, żeby nie wysadzić nas w powietrze?

– Odpowiem na to, jak zobaczę, co jest na drugim końcu tego przewodu.

Dwaj detektywi prześledzili drogę drutu w dół boku zbiornika do jego betonowej podstawy.

– Dobra robota z ukryciem tego przewodu - pochwalił Wally. - Wątpię, czy nasi by go zauważyli, gdyby kaczka nie była jaskrawoczerwona.

– Nellie się popisuje.

Drut opasywał połowę podstawy zbiornika równolegle do kabla uziemiającego, a potem skręcał na przesiąkniętą ropą ziemię i znikał w burzowcu. Bell strzelił palcami. Krzepki ochroniarz od Van Dorna przyczłapał ze skrzynką narzędziową.

– Podnieś kratę. Nie dotykaj przewodu.

Ochroniarz wetknął łom do otworu odpływowego i podważył żeliwną pokrywę. Była bardzo ciężka. Bell pomógł mu odsunąć ją na bok, a Wally przytrzymał drut.

Bell zmarszczył nos.

– Co to za zapach? - zapytał.

– Opary ropy.

Upał sprawiał, że ropa, nafta i benzyna parowały. Powietrze cuchnęło łatwopalnymi gazami.

– Nie, coś gorszego.

– Masz rację, to zgnilizna.

– Jestem ciekaw, jak czterdziestopięciokilogramowa kobieta podniosła tę kratę. Wally, pociągnij ten przewód.

– Jeszcze nie wiem, do czego jest przymocowany.

– Ja wiem. Nic nie wybuchnie.

– To ty go pociągnij.

Wally odszedł na bok i ostentacyjnie zasłonił uszy.

Bell szarpnął drut. Łatwo wyszedł z burzowca.

– Oto, co śmierdzi.

Przewód był owinięty wokół surowego kurzego udka, które gniło w upale. Do mięsa była przyczepiona kartka. Nellie napisała:

Cześć, Wally. Pozdrów ode mnie Isaaca.

– Ta wariatka nabija się z ciebie, Isaac.

Bell spojrział na niebo i zastanowił się nad słowami Wally’ego. Ciemne chmury burzowe nadciągały z zachodu jak każdego upalnego popołudnia.

– Nellie jest wariatką - przyznał - ale bardzo sprytną. Skoro się ze mnie nabija, to ma jakiś plan. Tylko nie wiem jaki.

Ze wzrokiem wciąż w górze, przypomniał sobie, jak Edna go zapytała, co rozumie przez „szalenię”, nie wiedząc, że zabójcą jest „szalona”. Miał dla niej taką samą odpowiedź, jak teraz dla Wally’ego.

– Nieprzewidywalna.

Jak ją złapać? Też być nieprzewidywalnym? Z tym był problem. Czego Nellie Matters się spodziewa?

* * *

Piekielny upał wreszcie jej sprzyjał.

Nellie Matters pokrzyżowała szyki obecność vandornowców, gliniarzy Standard Oil i miejskiej policji. Zebrał ich oczywiście Isaac, a któż by inny? Odcięli ją od wszystkich wysoko położonych punktów - wież, kopuł, szczytów wzgórz - gdzie mogłaby zająć stanowisko strzeleckie. Najlepszego miejsca, odległej wieży strażackiej na szczycie najwyższego wzgórza na Constable Hook, pilnowali gliniarze. Wspięcie się tam po drabinie z pięknym uśmiechem i wpakowanie kuli samotnemu strażakowi dyżurnemu odpadało.

Alternatywą był taras na dachu saloonu Hook. Umożliwiał strzały z małej odległości do zbiorników magazynowych powyżej miasta i terminali paliwowych w dole. Strzelanie z bliska kuśiło podwójnie, bo w tym skwarze kominy termiczne zakrzywiały trajektorię pocisku. Ale ulokowanie się tam

byłoby samobójstwem. Przy tylu gliniarzach i detektywach w pobliskich bramach rafinerii nie zdołałaby uciec.

Upał jej sprzyjał. Powodował parowanie ropy. Powietrze wypełniały łatwopalne gazy. Więc co z tego, że Isaac Bell odciął ją od wysoko położonych punktów? Nellie Matters zachowa się lekkomyślnie. Przygotuj się na zaskoczenie, Isaac. Czeka cię niespodzianka. Ekstrawagancka, teatralna, efekciarska Nellie Matters ulokuje się nisko.

* * *

Upał wywoływał burze. Burze miały błyskawice.

Błyskawice zapalały gazy na szczytach zbiorników ropy. Wszystkie zbiorniki na Constable Hook były najeżone piorunochronami, bo ultranowoczesną rafinerię Rockefellera zbudowano z uwzględnieniem praw fizyki, a zgodnie z nimi błyskawice wysadzały w powietrze niechronione zbiorniki ropy. Tym, którzy to lekceważyli, dawano za przykład sąsiednie Bayonne, gdzie kilka lat wcześniej uderzenia piorunów wznieciły trwające trzy dni pożary, które prawie całkowite zniszczyły przedsiębiorstwo.

Nellie zeszła po drewnianych schodach głęboko do piwnicy saloonu Hook. Ściany zrobiono z grubo ciosanego kamienia. Belki z okrągłych pni drzew podtrzymywały górne kondygnacje od dwustu lat. Oryginalny ceglany kanał ściekowy, teraz nieużywany i służący tylko do odprowadzania deszczówki z rynien budynku, biegł pod Constable Street do burzowców na zboczu wzgórza rafinerii.

Nellie nie miała skłonności do refleksji, a tym bardziej do samokontroli, ale wiedziała, że coś innego w jej charakterze pozbawia ją strachu. Co nie znaczyło, że nie istniały rzeczy, których nie lubiła, a najbardziej z nich jakiegokolwiek groźby, że zostanie powstrzymana. Wczołganie się do rury kanalizacyjnej o średnicy metra wymagało wyjątkowego samozaparcia. Ale nie miała wyboru.

Wpełzła do środka ze swoimi niklowanymi szczypcami z bocznymi ostrzami i końcem kabla na szpuli. Rozwijał się swobodnie, kiedy go ciągnęła przez ściek. Poznała, że jest w rafinerii, gdy ceglany kanał połączył się z nowoczesnym betonowym burzowcem.

Nikłe światło wpadało z rury w górze. Musiała minąć następną. Jej celem była trzecia, obok zbiornika z siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami litrów

ropy, gdzie zostawiła Isaacowi kaczkę ze strzelnicy i zgniłe kurze udko. Coraz dłuższy kabel stawał się ciężki i tarł o beton. Kiedy dotarła pod drugą rurę, usłyszała grzmot. Woląca sobie nie wyobrażać nagłej ulewy, bo wtedy by utonęła, ani uderzenia pioruna w kabel. Przypomniła sobie, że prawdopodobieństwo śmierci od porażenia prądem jest dużo mniejsze niż utonięcia w deszczu, bo mądrze czekała, żeby połączyć kabel z piorunochronem - a właściwie z czterema - aż koniec wyceluje w zbiornik, a ona wydostanie się z odpływu. Zobaczyła trzecią kratę. Prawie u celu. Usłyszała drugi grzmot, tym razem bliżej. Podpełzła pod pokrywę. Krople deszczu zmoczyły jej twarz. Uniosła koniec kabla do kraty i przy użyciu szczypiec przymocowała go do żeliwa kawałkiem drutu.

Obróciła się w ciasnej przestrzeni i poczołgała z powrotem do saloonu, najszybciej jak mogła. Musiała zdążyć przeczepić drugi koniec miedzianego kabla do przewodu uziemiającego saloon Hook, zanim piorun trafi w harpunowe odgromniki na dachu krytego tarasu.

* * *

Isaac Bell robił obchód stanowisk swoich ludzi, którzy strzegli terminali paliwowych - wielkich pirsów na Kill Van Kuli, gdzie rafineria załadowywała tankowce benzyną i naftą - gdy podmuch lodowatego powietrza zapowiedział kolejny szkwał z Upper Bay. Zobaczył, jak w środku małego sztormu jedna z jego wycarterowanych motorówek parowych płynie do portu. Jej dziób obciążał Grady Forrer, który stał ze zwojem liny, nie zważając na deszcz.

Bell ruszył naprzód, Forrer z wprawą rzucił cumę i po chwili rozmawiali pod częściową osłoną wiaty.

- Jeden z moich chłopców przeczytał jeszcze raz meldunki o zabójcy! - ryknął Forrer przez wiatr, deszcz i sapanie kilku maszyn parowych. - Przypomniał mi, że Bill Matters piął się w górę, kiedy go zaproszono do udziału w prywatnym przedsięwzięciu sitwy w Standard Oil.

Grzmot się rozległ wśród pokrytych zbiornikami wzgórz. Błyskawica oświetliła dachy w mieście. Następna rozbłysła nad zbiornikami powyżej miasta i piorun uderzył nieszkodliwie w odgromnik.

- Tym samym stał się jednym ze współników Averella Comstocka i Clyde'a Laphama, choć to raczej był żart.

- Dlaczego?
- Bo dostał część saloonu na Constable Hook.
- Tutaj?
- Na wprost frontowej bramy. Nazwali go Hook.

Bell popędził przez burzę.

Forrer pobiegł za nim, ślizgając się na tłustej od ropy ścieżce.

- Comstock i Lapham nie żyją, a Matters jest w więzieniu.
- I zostawił to „w spadku” Nellie.

* * *

Nellie Matters kończyła łączenie miedzianego kabla, który przeciągnęła od zbiornika ropy, z grubym drutem uziemiającym piorunochron saloonu. Szalejąca na dworze burza była największą od wielu dni. Nellie wiedziała, że im szybciej puści kabel o dużej przewodności, tym lepiej.

- Hej, co robisz?

Jeden z barmanów zszedł po schodach wbrew zakazowi.

- A na co to wygląda?
- Co ty jesteś, elektryk?

Jej torba była otwarta. Savage i jego luneta leżały na dnie, wciąż zawinięte w derkę. Ale wyjęła narzędzia.

- Nie powinieneś tu być - powiedziała.

W końcu rozpoznał w niej „Eddiego”, bratanka nowego właściciela.

- Przepraszam, Eddie. Gdzie jest twój wujek? Nie widziałem go nigdzie.
- Pojechał do Atlantic City, żeby uciec przed tym upałem.
- Co robisz?

- Wujek chciał, żebym to tutaj połączył.

- Po co?
- Zapytaj go, jak wróci.
- Coś mi tu nie pasuje.
- O czym mówisz?

– O drucie uziemiającym, przy którym majstrujesz. Pracowałem kiedyś jako pomocnik elektryka.

Złapał ją za ramię.

– Człowieku, ale chudzielec z ciebie.

* * *

Isaac Bell zostawił Grady'ego Forrera daleko z tyłu, gdy wbiegł pełnym pędem na wzgórze rafinerii, wypadł przez frontową bramę i przeciął Constable Street. Zobaczył saloon Hook. Budynek wyglądał jak stary dom kapitana żeglugi z tarasem na dachu. Pchnął uchylne drzwi.

W barze zastał tylko kierownika, który krzyknął:

– Nieczynne!

– Gdzie są gliniarze od pilnowania tarasu na dachu?

– W domu. Nie płacimy gliniarzom, żeby się tu kręcili... Hej, dokąd to?

Bell zatrzymał się na moment u stóp schodów i spojrzał na mężczyznę.

– Niech pan się stąd nie rusza, to nic się panu nie stanie.

Pokonał szybko trzy piętra, dostał się na duszny strych i wspiał po stromych stopniach na oszklony taras, gdzie spodziewał się zastać zabójcę z wycelowanym karabinem. Ale w środku było pusto - ani śladu Nellie. Zagrzmiało. Podkradł się do okna i popatrzył na rafinerię. Wiedział, że jest blisko. Ale nie było jej tutaj.

Kula z derringera w ramieniu zniechęciła wścibskiego barmana do walki i zadawania pytań. Nellie wycelowała broń w jego twarz, wygrzebała stalowe kajdanki z dna swojej torby narzędziowej i rzuciła mu je.

– Załóż jedną obręcz na nadgarstek.

Zaszokowany i niedowierzający, zrobił, co mu kazała.

– Drugą na kabel. Wysoko, tam, gdzie jest przybity do ściany.

– Hej, zaczekaj. Na dworze się błyska! Prąd mnie porazi.

– Masz większe szanse niż przy strzale - odrzekła. - Nie wiadomo, czy piorun tu uderzy.

– Wczoraj uderzył. A w zeszłym tygodniu dwa razy.

Nellie się roześmiała.

– Nikt ci nie powiedział, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce?

– To jest najwyższy budynek na ulicy, wyższy niż zbiorniki. Stale jest trafiany. Jak myślisz, po co ma cztery oddzielne piorunochrony?

– Wolisz pocisk?

Jęknął ze strachu i zatrzasnął kajdanki na kablu.

* * *

Isaac Bell zastanawiał się gorączkowo, co może teraz kombinować Nellie. Dom tuż obok rafinerii dawał jej duże możliwości. Jak ona to wykorzysta, jeśli nie do strzelania z doskonale usytuowanego obserwatorium?

Kiedy z ręką opartą na ramie okiennej patrzył na burzę, wyczuł grube wyrzuszenie na framudze. Wyglądało na zamalowywane od dziesiątek lat. Ale nie było drewniane, jak reszta pomieszczenia. Lina? Nie, kabel. Wciąż próbując wniknąć w obłąkany umysł Nellie, dźgnął od niechcenia przewód nożem z buta i zobaczył błysk miedzi lub mosiądzu. Kabel biegł do sufitu, przez ścianę, pod rynną i na dach. Bell otworzył okno, wychylił się w deszcz i zręcznie podciągnął na parapet. Wyprostował się tyłem do czteropiętrowej przepaści i prześledził drogę przewodu na płaski dach, gdzie kabel dzielił się na cztery żyły, które biegły do czterech rogów. Na każdym rogu widniała naturalnej wielkości brązowa replika harpuna wielorybniczego.

– Nie doceniłem cię, Nellie - szepnął.

Zagrzmiało. Bell spojrział w dół i zobaczył drobną postać, jakby przywołał ją swoim głosem. Przebiegała przez Constable Street z torbą narzędziową wystarczająco długą dla karabinu. Błyskawica przecięła niebo. Nellie przystanęła i spojrzała w górę na taras dachowy. Ich oczy się spotkały.

– Łapcie ją! - krzyknął na całe gardło Bell do vandornowców przy bramie.

Grzmot zagłuszył jego słowa. Nellie posłała mu pocałunek i w tym momencie uderzył piorun.

43.

Dziesięć milionów woltów pomknęło w dół przewodu uziemiającego, uśmierciło przykutego do niego barmana, wydostało się ze ścieku i dotarło pod Constable Street do rafinerii. Opary rozlanej ropy w jej burzowcach zapaliły się

od błyskawicy. Kule ognia wystrzeliły z krat kanałów. Na przeciwległym końcu kabla, który przeciągnęła Nellie Matters, wyładowanie elektryczne w powietrzu zrobiło dziurę w stalowej ścianie zbiornika ropy.

* * *

Isaac Bell usłyszał gwizdki strażaków Standard Oil.

Podniósł się chwiejnie z mglistą świadomością, że piorun wrzucił go z powrotem przez okno. Wylądował na podłodze oszklonego tarasu. Wiedział, że nie został bezpośrednio trafiony; ani jego skóra, ani ubranie nie płonęły. Ale serce mu waliło, jakby bliski przepływ prądu prawie je zatrzymał. Ledwo mógł oddychać i dopiero kiedy zebrał się w sobie, zmusił swoje na wpół sparaliżowane płuca do działania.

Gdy odzyskał ostrość widzenia, zobaczył słupy ognia i czarny dym nad nimi.

Płomienie pląsały między zbiornikami w rafinerii.

Bell zlustrował wzrokiem chaos poniżej w poszukiwaniu Nellie i szybko się zorientował, że zamęt jest pozorny. Dzięki wcześniejszym ostrzeżeniom vandornowców mężczyźni, którzy pędzili w obu kierunkach Constable Street oraz wbiegali i wybiegali z rafinerii, nie robili tego bez celu. Strażacy spółki poruszali się szybko po terenie, dzwoniąc i ciągnąc węże. Zapalona ropa wylewała się z płonącego zbiornika. Robotnicy pośpiesznie przepompowywali ropę ze zbiorników blisko pożaru do pustych daleko od ognia i do barek na wodzie. Inni kopali rowy, żeby płonąca ropa odpłynęła od zagrożonych zbiorników.

Nellie zniknęła. Ale Bell był przekonany, że dziewczyna nie ucieknie z miejsca pożaru, który wznieciła. Zostanie i dokończy to, co zaczęła. Nie pójdzie jej to łatwo. Przygotowana do obrony rafineria, którą chciała zniszczyć, była najlepiej strzeżona na świecie. Walczyła o przetrwanie, ale jeszcze nie rozpaczliwie.

Bell znał Nellie, więc wiedział, że to jej nie zniechęci. Tylko jak samotna kobieta będzie kontynuowała atak? Pozostał w swoim punkcie obserwacyjnym na oszklonym tarasie, żeby znaleźć na to odpowiedź.

Szczyt zbiornika eksplodował i ropa wylała się na zewnątrz. Ściany się zawaliły i rzeka gęstej cieczy popłynęła w dół wzgórza. Czarny strumień rozdzielił się na płaskim terenie. Część utworzyła ciemne półakrowe jezioro,

które drgało w upale i nagle stanęło w płomieniach. Grudy palącej się smoły poszybowały w powietrze i spadły na zbiorniki. Strażacy wspięli się na nie z łopatami i wężami. Ugasili pożary z wyjątkiem jednego. Niestłumiony ogień huczał, dym unosił się pod niebo.

Ropa, która nadal pędziła w dół wzgórza, płynęła w kierunku portu. Czarna rzeka nagle znów się rozdzieliła i główny nurt zalał nabrzeża. Zapłonął i zapalił stosy skrzyń z bańkami nafty. Cumy i liny holownicze się zajęły i popękały, łodzie robocze i statki zaczęły dryfować po płonącej ropie. Stanęły w ogniu, który szybko je trawił, bo płomień pięły się po takielunku szybciej niż marynarze. Holowniki ruszyły na ratunek i ugasiły pożary strumieniami wody z węży strażackich.

Drugi potok ropy skręcił poniżej nabrzeży i uderzył w dwupiętrowy hotel z restauracją na moło w Kill z tablicą na dachu:

OBERŻA DOBRA NOWINA

POWIOSŁUJ, POWĘDKUJ, ZJEDZ KOLACJĘ

I WYPIJ SZKLANECZKĘ W TOWARZYSTWIE

Ropa się zapaliła. Pożar ogarnął drewniane ściany restauracji. Mężczyzna i kobieta w białych strojach kucharzy wybiegli z kasą i szklanym pudełkiem cygar. Ogień otoczył budynek i zbliżał się do tych dwojga z obu stron. Popędzili zwężającą się ścieżką ku wodzie. Płomień zagnał ich na kraniec nabrzeża, gdzie balansowali na krawędzi, ściskając uratowane skarby.

Gdybym nie chybił do Nellie Matters, pomyślał Bell, ci ludzie byłiby bezpieczni.

Holownik kolei B & O dobił do nabrzeża i załoga wciągnęła ich na pokład. Ale ścigająca ich płonąca ropa spłynęła z nabrzeża na powierzchnię wody i krąg ognia otoczył holownik. Sześć innych przybyło mu na pomoc i gasiło wężami ropę, kiedy nieszczęśnik się oddalał, oraz polewało sobie nawzajem sterówki, żeby schłodzić farbę, na której od gorąca powstawały pęcherze. Holowniki utworzyły kordon i tłumili ogień strumieniami wody, żeby pożar nie rozprzestrzenił się na pobliskie statki i pirsy.

Kiedy Bell zobaczył, jak płonąca ropa otacza restaurację, a potem uciekającą parę i wreszcie holownik, zorientował się nagle, co dalej zrobi Nellie. Odwrócił

się i spojrzał na wzgórze. Było niskie, a saloon wysoki. Znów wyszedł przez okno i wspiął się na dach oszklonego tarasu. Z tego miejsca miał widok ponad dachami kamienic w mieście. Rafinerię szybko rozbudowywano w górę wzgórze. Zbiorniki i destylarnie nafty i benzyny były wszędzie - poniżej, wokół i powyżej miasta.

Teraz patrzył na Constable Hook oczami Nellie. Przeważał ją „dziedziczką” saloonu Hook, ale odziedziczyła również marzenie ojca, żeby na pagórkowatym przylądku zbudować ultranowoczesną zasilaną grawitacyjnie rafinerię z dostępem do morza. Wyobrażała ją sobie tak jak jej ojciec i miała wizję wyrastającego tu miasta. Skoro Bill Matters nie może mieć rafinerii, bo ją stracił na rzecz Rockefellera, to ją zniszczy. A ponieważ siedzi w więzieniu, Nellie zrobi to za niego. Według nich egzystujące dzięki rafinerii miasto nie istnieje.

Bell opuścił się z powrotem do okna, zbiegł po schodach i przeciął pędem ulicę. Przy bramie spotkał Wallyego Kisleya.

– Widziałeś Nellie? - zapytał go.

– Nie. Właśnie cię szukałem. Nic ci się nie stało?

– Zmusiliśmy ją - powiedział Bell. - Nie zamierzała wznieść pożaru tu na dole.

– I tak będzie rekordowy. Dobrze, że spółka podwoiła liczbę strażaków.

– Gdybyśmy nie obstawili wysoko położonych punktów, zaatakowałyby z góry. Nie widzisz stąd tego miejsca, ale ja zobaczyłem je z dachu. To ogromny zbiornik ropy powyżej miasta.

Wally przytaknął.

– Numer czternaście. Pierwszy z nowych do zasilania destylarni poniżej. Trzysta osiemdziesiąt tysięcy litrów.

– To jest jej cel - powódź jak w Johnstown, tylko że płonącej ropy.

* * *

Wally Kisley nie dowierzał.

– Ale po co atakować miasto?

– Jej plan ma obłąkańczą logikę - odrzekł Bell. - Kiedy wszyscy będą ratować miasto, ona się skupi na rafinerii.

Wypożyczył sierżanta policji i oddział lokalnych gliniarzy z głównej kwatery Eddiego Edwardsa przy bramie. Gliniarze poprowadzili jego i Wally'ego skrótem obok poskręcanych szczątków wypalonych zbiorników, a potem między nietkniętymi zbiornikami i destylarniami. Strażacy polewali je wodą z węży, żeby je schłodzić. Poszli ulicami miasta, minęli szkołę, skąd dzieci wysłano do domów, i szpital, do którego kuśtykali ranni strażacy.

Bell zauważył Ednę Matters, ponurą w czerni. Miała legitymację prasową „Evening Sun” za wstążką kapelusza i stenografowała słowa chudego udręczonego szefa ochotniczej straży pożarnej.

– To plotka, że odmówiliśmy gaszenia pożaru w rafinerii. Chronimy dwadzieścia tysięcy mieszkańców naszego miasta - rodziny, znajomych, sąsiadów.

– Jak pan odpowie na pogłoskę o tak niskim poziomie wody, że nie będziecie mieli wystarczającego ciśnienia w węzłach?

– Wierutna bzdura! Bierzemy wodę bezpośrednio z rzeki Hackensack, a ona jeszcze nie wyschła.

Mężczyzna wskoczył na tył przejeżdżającej sikawki parowej z trzykonnym zaprzęgiem i Edna zamknęła notes.

– Cześć, Isaac. Dziękuję, że pozwoliłeś mi zobaczyć się z ojcem.

– Widziałaś Nellie?

– Oczywiście, że nie. Gdybym ją zobaczyła, wydałabym ją. Co ją mogło skłonić do... - urwała. - Chyba to samo co ojca.

– Uważaj tu na siebie - doradził Bell. - Ogień jest niebezpieczny.

Ulica skończyła się nagle, zagrodzona nowym lśniącym parkanem z siatki. Bramy w płocie pilnowało dwóch gliniarzy. Na zboczu powyżej posterunku wznosił się zbiornik numer 14, pomalowany na białą, żeby odbijał ciepło.

– Jak ona mogła chybić? - zapytał Wally. - Jest wielki jak pancernik „Maine” i dwa razy bardziej wybuchowy.

Dwie świeże betonowe wylewki biegły po obu stronach zbiornika. Obok nich leżały stosy arkuszy blachy do zmontowania.

– Potrzebuję dwudziestu silnych ludzi - zwrócił się do sierżanta Bell.

– Wszyscy gaszą pożar.

– Okej. Niech pan weźmie czterech uzbrojonych, otworzy więzienie i przyprowadzi tu skazanych.

– Chyba nie wolno mi...

Bell go uciszył.

– Mistrz snajperski z karabinem naładowanym eksplodującymi pociskami zamierza zrobić dziurę w tym zbiorniku, strzelając w to samo miejsce, dopóki jedna z kul nie zapali ropy, która utopi wasze miasto w morzu ognia. Potrzebuję waszych więźniów do zbudowania barykady. Natychmiast!

Sierżant pobiegł. Bell zdjął marynarkę.

– Do roboty - powiedział do pozostałych.

– Chyba tylko zgadujesz, jeśli chodzi o tamte pociski? - zagadnął go cicho Wally. - Nie wiadomo, czy rusznikarz rzeczywiście je zrobił.

– Wiem, że tak - odparł Bell. - Znalazłem jeden w jego warsztacie. Wyglądało na to, że zrobił całą partię. Znajac Nellie, domyślam się, że ona ją ma.

– Znalazłeś jeden? Gdzie on jest?

– W moim karabinie.

* * *

Kiedy zapadła noc, pożary oświetlały Constable Hook niczym światło jasnego dnia, od zbiornika numer 14 do brzegu Kill Van Kull, gdzie ogień trawił pirsy, wiaty i pale aż do powierzchni wody. Płomienie z magazynu skrzyń z bańkami nafty widać było z każdego punktu Zatoki Nowojorskiej, a płonąca barka z beczkami ropy rzucała na Staten Island blask niczym na scenę w teatrze wodewilowym.

Isaac Bell wciąż nie widział żadnego śladu Nellie Matters. Ale zbiornik numer 14 chroniła ze wszystkich czterech stron pośpiesznie wzniesiona osłona z arkuszy blachy.

– Teraz nie będzie mogła przebić zbiornika, trafiając raz za razem w to samo miejsce - powiedział Josephowi Van Dornowi Bell. - A ponieważ stoi on na szczycie wzgórza, na Hooku nie ma żadnego punktu - ani wzgórza, ani budynku, ani drzewa - o takiej wysokości, żeby przestrzelić stamtąd wierzch tego zbiornika.

– To przestrzelili inne zbiorniki - odrzekł Van Dorn.

– Będzie wzniecała pożary, a my będziemy je gasili, aż w końcu zabraknie jej amunicji i siły.

44.

Amanda Faire gorzko się rozczarowała.

Rudowłosa główna prelegentka na konwokację sufrażystek w posiadłości Cunard na Grymes Hill na Staten Island spodziewała się, że jak zwykle zatłoczona widownia będzie entuzjastycznie skandowała jej chwytliwe hasło: „Tylko prawo wyborcze dla kobiet jest fair”. Ale mimo informacji o jej obecności we wszystkich nowojorskich gazetach, co potwierdzał wspaniały szkarłatny balon przycumowany na trawniku, połowa krzeseł w namiocie wykładowym była pusta.

– Obawiam się, że część naszych panów wybrała oglądanie pożaru - przeprosiła ją zawstydzona hostessa i bezradnie wskazała zasnuęte dymem niebo na zachodzie. - Nowy Jork, Jersey City, Newark i Oranges obserwują pożogę.

– Cóż - odrzekła mężnie Amanda - ci, którzy zadali sobie trud, żeby tu dotrzeć, zasługują na wysłuchanie mnie.

– Przedstawię panią.

– Dziękuję, sama to zrobię.

Tylko tego brakowało, żeby jakaś nudziara wygnała resztę zebranych do pożaru.

Amanda ustawiła podium na tle swojego balonu i przeczekała mizerny aplauz. Kiedy otworzyła usta, żeby zacząć mówić, zauważyła niecierpliwe poruszenie na krzesłach. I co teraz?

Patrzyli na nią. Za jej plecy. Rozdziawiali usta.

– Pani balon odlatuje! - krzyknęła jakaś kobieta.

* * *

Nellie Matters nigdy nie wątpiła, że wiatr będzie jej sprzyjał. Sprawy zawsze tak się układały. Akurat wtedy, kiedy tego potrzebowała, powiał z południa i przeniósł czerwony balon na północ, krótkie trzy kilometry od posiadłości na Grymes Hill do zbiornika numer 14. Z wysokości trzystu metrów mogła zobaczyć, co już spłonęło na Constable Hook, a co jeszcze nie. Przeraziła się. Pożary dogasały, a tyle jeszcze zostało do spalenia.

Na szczęście licznik magazynka savage'a pokazywał „5”. Pięć eksplodujących pocisków Beitela. A raczej jej. Ona je wymyśliła. Ona była ich twórczynią. Rusznikarz tylko je zrobił.

Zbiornik numer 14 dokończy dzieła.

Łatwo go zauważyła - ogromny biały krąg na szczycie najwyższego wzgórza na Constable Hook, na początku przylądka, otoczony osłoną Isaaca Bella. Sprytny Isaac. Ale nie zabezpieczył cienkiego wierzchu zbiornika. Wycelowała w sam środek, wzięła poprawkę na kołysanie balonu i strzeliła. Zobaczyła przez lunetę, jak pocisk eksploduje z czerwonym błyskiem. Nie przebił wierzchu, ale musiał go osłabić. Jedno lub dwa następne trafienia w ten sam punkt powinny załatwić sprawę. Czerwony błysk zapali gaz na górze zbiornika i morze ropy poniżej zapłonnie.

Znów nacisnęła spust.

Strzał w dziesiątkę! Trafiła dokładnie w ślad po pierwszym pocisku. Silna luneta pokazała przebicie. Jeszcze raz i będzie po wszystkim. Gdzie jesteś, Isaac?

Rozejrzała się dookoła.

Tam jesteś!

Opierał się o osłonę i mierzył do niej z karabinu. Biedny Isaac. Nie mogę cię zastrzelić. Ale ty mnie też nie. Co z nas za para. Lepiej uciekaj od zbiornika, bo zaraz wybuchnie.

Jakby usłyszał jej myśli, pobiegł nagle pochylony, ściskając karabin. Nie, nie usłyszał jej. Musiał zmienić miejsce, żeby mieć lecący balon na linii ognia.

– Po co to? - szepnęła, kiedy się złożyła do ostatniego strzału. - Przecież jedno z nas nigdy nie mogło zastrzelić drugiego.

Isaac Bell miał jeden eksplodujący pocisk. Wątpił, że impet uderzenia w cienką powłokę balonu spowoduje wybuch gazu. Tak samo jak przebicie powłoki i przejście przez gaz. Gdyby pocisk eksplodował tak łatwo, powinien wybuchnąć mu w rękę przy ładowaniu karabinu.

Jedyną twardą częścią balonu była stalowa obręcz nośna kosza.

Odszukał ją w lunecie. Wydawało się to prawie za łatwe. Luneta była silna, karabin doskonale wyważony, a balon stabilny w lekkiej bryzie. Nie mógł chybić, nawet gdyby chciał.

Zobaczył czerwony błysk tam, gdzie pocisk eksplodował. W następnym momencie tysiące metrów sześciennych gazu zapaliły się nad głową Nellie. Powłoka balonu się stopiła, ale nie spadł, jakby sam żar płonącego gazu utrzymywał go w powietrzu.

Nellie spojrzała w górę. Bell zobaczył, jak cała sztywnieje z przerażenia.

Płomienie sięgnęły w dół do kosza.

Nie chciał, żeby tak zginęła.

Znalazł jej piękną twarz w lunecie. Zrobił lekki wydech, żeby mieć pewną rękę.

Pociągnął wolno spust.

45.

Miesiąc później Ekspres Empire State

Archie Abbott ledwo zdążył na pociąg. Biegł jak szalony, żeby w ostatniej chwili skorzystać z zaproszenia Isaaca Bella.

– Postawię ci śniadanie w ekspresie.

Kiedy wszedł do wagonu restauracyjnego, Bell już siedział obok wytwornie ubranego mężczyzny mniej więcej w jego wieku. Zerwał się i wyszedł mu na spotkanie.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Pewnie, że przyszedłem. Niepokoilem się. Dawno się nie widzieliśmy. Od... sam wiesz odkąd. Jak się miewasz, Isaac?

– Mam co robić - odrzekł Bell. - Najlepiej stale być zajęтым.

– Gdzie się podziewałeś przez cały miesiąc?

– Kursowałem do Chicago i z powrotem. Praktycznie mieszkałem w Twentieth Century. Wyświadczyłbyś mi przysługę?

– Jasne.

– Wsiadam w Croton - jestem umówiony w Pocantico Hills. Pomógłbyś tamtemu dżentelmenowi wsiąść do pociągu do Ossining?

– A co z nim jest nie tak? Wygląda na sprawnego.

Bell wręczył Archiemu jakiś klucz.

– Będziesz musiał odpiąć go od stolika.

– Aha. Ossining. Sing Sing. Kogo wsadzasz do więzienia?

– Laurence’a Rosanię.

– Rosanię?

Kiedy Archie Abbott wykrzyknął to nazwisko przez cały wagon, chicagowski złodziej klejnotów zasalutował mu elegancko.

– Chodź - powiedział Bell. - Przedstawię cię. Najwyższy czas, żebyście się poznali.

– Isaac! On był mój. Prawie go miałem.

– Po prostu nie potrafiłem wymyślić dla siebie lepszego zajęcia niż aresztowanie złodzieja klejnotów.

* * *

– Słyszałem różne straszne oskarżenia pod pańskim adresem - powiedział do Rockefellera Bell - ale nigdy takiego, że nie spłaca pan swoich długów.

– To sugestia, że jestem panu coś winien? - zapytał chłodno starszy mężczyzna.

– Ocaliłem panu życie. Dwa razy. W Niemczech uratowałem pana przed Billem Mattersem, a w Westchester przed jego córką. Nie wspominając o większości pańskiej rafinerii.

– Rozczarował mnie pan - odrzekł Rockefeller. - Nigdy nie robił pan na mnie wrażenia człowieka, który będzie próbował zarobić na ocaleniu mi życia.

– Ratuję inne życie.

– Ile będzie mnie kosztował ten „dług”?

– Spłaci mi go pan w całości, jeśli udzieli pan Ednie Matters wywiadu na wyłączność.

– Nie udzielam wywiadów.

– Niech pan z nią porozmawia swobodnie i otwarcie tyle, ile trzeba, i będziemy kwita.

Rockefeller siedział w milczeniu przez jakiś czas.

– Podobno panna Matters jest w złym stanie psychicznym - odezwał się w końcu.

Bell przytaknął.

– W bardzo złym. Straciła ojca i siostrę. Oboje kochała.

– Frustrata i wariatkę.

– Ale jednak ojca i siostrę. Jest zrozpaczona, ma poczucie winy i zamęt w głowie.

– I wywiad ze mną ma być rodzajem terapii?

– To moja ostatnia nadzieja.

– Tylko o to pan prosi?

– Żądam.

– Nie udzielam wywiadów - powtórzył Rockefeller. - Dużo pan żąda.

– Ona jest tego warta - odparł Bell.

* * *

Isaac Bell zawiózł Ednę Matters do posiadłości Rockefellera w Westchester.

Wokół Pocantico budowano ogrodzenie. Mężczyzna w stróżówce powiedział, że dwumetrowy żelazny parkan długości trzydziestu dwóch kilometrów otoczy całą nieruchomość. Mówiło się o doprowadzeniu kolei. Strzały rozbrzmiewały w lesie. Gajowi mieli rozkaz zabijać bezpańskie psy.

Ogrodzenie przykuło uwagę Edny.

– Co się stało? - zapytała Bella. - JDR oszalał?

– Boi się.

– Powinien się bać i schować z przerażenia. Doprowadził mojego biednego ojca do obłądu.

Ukazał się dom, gdzie Rockefeller mieszkał podczas prac w głównej rezydencji.

– Zatrzymaj auto! - krzyknęła Edna.

Bell zatrzymał locomobile'a. Była mocno zdenerwowana.

– Nie wiem, czy dam radę - powiedziała. - A właściwie wiem, że nie dam. Zabierz mnie z powrotem do Nowego Jorku.

Bell ujął jej dłonie i spojrzał dziewczynie w oczy.

– Dlaczego nie dasz rady?

– Nigdy nie podejrzewałam mojego ojca ani siostry. Mojej rodziny. Jestem kobietą dziennikarzem. Jak mogę ufać własnej ocenie sytuacji?

– Najbogatszy, najpotężniejszy biznesmen w historii świata daje wyjątkową szansę wspaniałej pisarce. Tylko ty możesz ją wykorzystać. Jesteś to winna historii.

– Jak go do tego namówiłeś?

Isaac Bell wziął Ednę w ramiona. Przytulał ją długo, a potem szepnął:

– Powiedziałem mu, że nigdy nie będzie miał lepszej okazji, żeby szczerze opowiedzieć o sobie.

EPILOG

**Trzydzieści pięć lat później - rok 1940
Pocantico Hills, Westchester**

Isaac Bell śmignął przez frontową bramę Pocantico Hills granatowym bugatti type 57c drophead coupe i pomknął długim podjazdem. Srebrzyste włosy dodawały dostojności jego naturalnej elegancji, ale wciąż wyglądał czerstwo jak na swój wiek. Upływ czasu nie wydawał się go niepokoić.

Opływowe auto pokonało ostatni zakręt jak po szynach i Bell zatrzymał się przed rezydencją. Proporcjonalny i solidnie zbudowany dom z widokiem na rzekę Hudson wyglądał tak, jakby stał tu zawsze, ale Bell pamiętał, jak go mijał swoim locomobile'em, kiedy kamieniarze dopiero kładli fundamenty.

– Tatuś!

Jasnowłosa studentka wybiegła z drzwi z walizką maszyną do pisania, wypchaną teczką i torbą podróżną. Miejskowa bibliotekarka podążała za nią z naręczem książek.

– Wracaj, kiedy zechcesz, Amber.

– Jak poszło? - zapytał Bell w samochodzie. - Nadal chcesz być dziennikarką?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Wywiad był niesamowity. Nie wiem, jak ci za to dziękować. Co dzień czytałam i do północy stenografowałam na maszynie moje notatki. Rockefeller opowiedział E.M. Hock historie, których nikt nigdy nigdzie nie czytał. Nic dziwnego, że trzymali je pod kluczem do jego śmierci.

– Edna potrafiłaby zmusić nosorożca do opowiedzenia historii własnego życia - odrzekł Bell. - Byłaby świetnym detektywem... Jak ty.

– Nie chcę być detektywem, tylko reporterką jak ona. Wiedziałeś, że kiedy JDR miał prawie siedemdziesiąt lat, osobiście wynegocjował pierwszeństwo budowy rurociągu przez Persję pod samym nosem rosyjskiego cara?

– Zawsze mnie to zastanawiało - odparł Bell. - Gazety bardzo mało o tym wtedy pisały. Wszyscy bali się rewolucji.

– Wiedziałeś, że podróżował do Baku z detektywami Van Dorna jako ochroniarzami?

– To stara legenda... Nie wspomniał przypadkiem, z którymi?

– Powiedział E.M. Hock, że nie może ujawnić ich nazwisk, na wypadek gdyby musieli przeprowadzić inną tajną operację... Tato, czy uważasz, że Rockefeller zasłużył na to, żeby być najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Ameryce?

– A co ci podpowiadają wywiady? - skontrował Bell.

– E.M. Hock napisała we wprowadzeniu, że miała osobiste uprzedzenia z powodu interesów JDR z jej ojcem. Przyznała się do tego, a potem stwierdziła, że jej zdaniem on zasłużył na to, żeby być najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Ameryce. Ale on powtarzał, że zawsze postępował jak należy. I wydawał się naprawdę w to wierzyć. Co o tym myślisz?

– Dał zwykłym ludziom światło lamp naftowych - odrzekł Bell - co pozwoliło im czytać i uczyć się wieczorami po pracy. Zaprowadził porządek w chaosie. Uważał się za sprytniejszego od większości ludzi i był taki. Ale nie na tyle, żeby wiedzieć, kiedy przestać.

– Tato...?

– Co?

– Rzeczywiście znałeś Ednę Matters?

– Przyjaźniliśmy się.

Jego córka uniosła brwi.

– Przyjaźniliście?

Zmieniał biegi w bugatti w górę i w dół i zastanawiał się nad odpowiedzią. Będzie z niej dobra reporterka albo dobry detektyw, bo nie boi się zadawać trudnych pytań.

– Zanim poznałem twoją matkę.

Jego przenikliwe niebieskie oczy przybrały fioletowy odcień na wspomnienie, jak starał się „uchronić” Ednę przed obwinianiem się o to, że nie dostrzegła czegoś, co dałoby jej moc powstrzymania ojca i siostry od przemiany w potwory.

Bell zredukował bieg, żeby wyprzedzić samochód nowojorskiej policji.

Kiedy syrena ucichła za nim, puścił drążek zmiany biegów, żeby wziąć córkę za rękę i odpowiedzieć jej z przekonaniem mężczyzny, który od czasu trzęsienia ziemi w San Francisco w 1906 roku wie, dla kogo bije jego serce.

- Chyba wiesz, co czuję do twojej matki.
- Masz bzika na jej punkcie.
- Od dnia, kiedy się poznaliśmy.